



***EMILIE RICHARDS***



***Polowanie na lisa***

## Fragment niepublikowanej powieści „Fox River”

Maisy Fletcher

Gdy dzisiaj wracam myślami do Fox River\* i do tego, co się tam przed wielu laty wydarzyło, widzę przede wszystkim zieleni. Świeżą, cudowną zieleni łąk ciągnących się po widnokrąg, wieczną zieleni lasów na wzgórzach Wirginii i góry zlewające się w jedno z zamglonym niebem.

\* Fox River (ang.) - Lisia Rzeka. Jest to nazwa zarówno posiadłości, jak i strumienia. (Przyp. red.).

Tym samym niebem, które rozpościera się nad Kalifornią, Chinami i Antarktydą. Tym samym, pod którym się urodziłam i przeżyłam wydarzenia opowiedziane w tej książce.

Wszyscy żyjemy pod tym samym niebem, lecz tylko ja, Luiza Sebastian, widzę dumną sylwetkę mężczyzny, rysującą się na tle nieba w Fox River. Mężczyzna dosiada ogiera, którego nikt inny nie śmiałyby dosiąść. Człowiek i zwierzę zdają się stanowić doskonałą całość, przywodzą na myśl mitycznego centaura. Ich widok zapiera mi dech w piersiach.

Kiedy dzisiaj wracam myślami do wydarzeń w Fox River, myślę o zielonych łąkach oraz o krwi plamiącej trawę. Deszcz dawno już splukał purpurę z zielonych źdźbeł, ale wiem, że ziemia nadal przechowuje jej ślady. Wystarczyłoby poruszyć darń, by znaleźć rdzawe znamię.

Gdybym, jadąc do Fox River, wiedziała, co mnie tam czeka, uciekłabym natychmiast do majątku mojej kuzynki i ukryła się w nim, a potem spakowałabym kufry i możliwie najprędzej wróciła do Nowego Jorku.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mieszkańcy Ridge's Race w stanie Wirginia uważali, że barwne życie Maisy Fletcher swym chaosem i nieskładnością przypominało odwieczny dylemat foksteriera, który, zwęszywszy kilka tropów, nie wie, dokąd pójść.

Targana nieustannymi sprzecznościami i wzajemnie wykluczającymi się ciągotami, przez pięćdziesiąt lat przebywania na tym padole miała się różnych rzeczy i wcielała się w wielorakie role. Jake Fletcher, jej mąż, obruszał się na te ironicznie pomówienia, stanowczo twierdząc, że jego żona nie ma problemów z dokonywaniem życiowych wyborów.

Owszem, wciąż nowych.

Dzisiaj ci, którzy znali Maisy, byliby zaszokowani, widząc, z jaką determinacją ta, zdawałoby się, niekonsekwentna kobieta, przypuszcza szturm na klinikę Gandy'ego Wilsona.

Stanowczym gestem odepchnęła stojącego na jej drodze strażnika.

- Nie może pani wejść bez okazania jakiegoś dokumentu - zaprotestował młody człowiek.

Maisy zatrzymała się na moment i zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

Wyglądał, jakby uciekł z Virginia Military Institute, wojskowej szkoły kształcącej oficerską kadre: włosy ostrzyżone przy samej skórze, blizny po trądziku, nieubłagane spojrzenie stworzenia przez lata poddawanego surowej tresurze.

W innych okolicznościach być może zagadnęłaby go, zapytała, skąd pochodzi, co myśli o szansach Redskinsów, waszyngtońskiej drużyny baseballowej, albo o zbliżających się wyborach prezydenckich. Jednak zamiast tego odwróciła się do chłopca plecami.

- Nie próbuj mnie zatrzymywać, młodzieńcze - oznajmiła. - Jestem niegroźna jak motyl. Pilnuj swoich spraw.

- Madame, muszę...

- Tutaj leży moja córka.

- Będę zmuszony zadzwonić do...

Nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Nigdy wcześniej nie była w klinice Wilsona. Ci, którzy znikali w niej, by „odpocząć”, po wyjściu dodawali do swoich nazwisk skrót PGW, czyli Pacjent Gandy'ego Wilsona, co również mogło oznaczać: „Pieprzyć gównianą wodę” albo „Pragnę golnąć whisky”, w zależności, ile czasu poddawali się kuracji i na ile była skuteczna.

Maisy nie była zaskoczona tym, co zobaczyła, ponieważ pacjenci Wilsona zaliczali się do elity finansowej. Wysoko pod sufitem skrzył się kryształowy żyrandol, a dywan w holu pozbawił co najmniej dziesięcioro dzieci z Trzeciego Świata normalnego dzieciństwa.

Strażnik został na zewnątrz, za to na spotkanie nieproszonego gościa wyszedł starszy mężczyzna. Mógł mieć około sześćdziesięciu lat, nosił okulary i bez powodzenia usiłował przywołać na twarz dobroduszny uśmiech.

- Chyba nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy - powiedział, wyciągając dłoń. - Harmon Jeffers, dyrektor kliniki.

Maisy zastanawiała się, czy odwzajemnić uścisk, ale gdy zobaczyła drżącą ze starości dłoń Jeffersa, szybko ją ujęła.

- Maisy Fletcher. Moja córka, Julia Warwick, jest waszą pacjentką.

- Matka Julii. Oczywiście. - W dalszym ciągu uśmiechał się z pozbawioną cienia serca jowialnością.

Żadne „oczywiście”! Maisy i Julia różniły się między sobą tak bardzo, jak, na przykład, róża i hibiskus. Należały do tej samej rodziny, i na tym kończyły się wszelkie podobieństwa.

W tym miesiącu Maisy nosiła płomienistą rudą koafiurę, a włosy Julii zawsze były czarne i gładko uczesane. Maisy co roku przybywał co najmniej jeden kilogram, zaś Julia żyła powietrzem. Maisy była średniego wzrostu i drobna Julia sięgała jej zaledwie do ramienia.

Maisy wyprostowała się tak energicznie, że odezwał się ból w kręgosłupie.

- Przyszłam zobaczyć się z córką.

- Może najpierw przejdziemy do mojego gabinetu i chwilę pogawędzimy przy herbacie.

- Bardzo to miło, ale nie mam, niestety, czasu. Będę wdzięczna, jeśli wskaże mi pan, gdzie leży Julia. Nie chciałabym szukać jej sama i zakłócać spokoju innym pacjentom.

- Za nic nie dopuścilibyśmy do tego.

- Proszę mi zatem powiedzieć, gdzie znajdę Julię.

- Musimy porozmawiać, pani Fletcher. Od tego zależy zdrowie pani córki.

Maisy zadarła brodę, ale nagle uszła z niej cała wojowniczość.

- Moja córka nie powinna była tu się znaleźć.

- Chce pani powiedzieć, że nie powinniśmy jej leczyć? No cóż...

- Jej miejsce jest w domu, wśród tych, którzy ją kochają.

- Mąż pani Warwick jest odmiennego zdania. Uważa, że żona musi przejść kurację w naszej klinice, gdzie ma zapewnioną codzienną terapię.

Maisy przeszła do rzeczy:

- Z iloma przypadkami histerycznej ślepoty pan się zetknął?

- To klinika psychiatryczna. My...

- Leczycie przede wszystkim alkoholików i narkomanów - dokończyła za Jeffersa. -

Moja córka nie jest ani narkomanką, ani alkoholiczką, ale jeśli dłużej tu zostanie, może wpaść w któryś z tych nałogów. Doprowadzicie ją do obłądu.

- Jest tego bliska. - Podniósł siwe krzaczaste brwi, jakby chciał podkreślić znaczenie wypowiedzianych słów. - Z jej oczami jest wszystko w porządku, a jednak nie widzi.

Praktycznie jest ślepa. Nie powie mi chyba pani, że to normalne?

Maisy zebrała się w sobie i zaczęła mówić, powoli i z naciskiem:

- Mój zięć przywiózł ją tutaj, bo chciał się pozbyć kłopotu. Zmusił ją, by położyła się w waszej klinice. Nie zjawiała się tu z własnej woli i wcale nie jest przekonana, że możecie jej pomóc.

- Nie wolno jej jeszcze odbierać telefonów. Skąd pani wie to wszystko?

- Znam swoją córkę.

- Naprawdę, pani Fletcher?

Tak nieoczekiwanie zbita z tropu, pomyślała, że wytrawny psychiatra równie łatwo odgaduje słabości i ułomności tkwiące w ludziach, jak przepisuje im najmodniejsze psychotropy.

Musiała na nowo zebrać siły.

- Zobaczę się z córką - oznajmiła stanowczo. - Albo mi pan pomoże, albo zaraz zrobię scenę.

- Proponuję, żebyśmy usiedli i przez chwilę porozmawiali. Każę zawiadomić córkę, że jest pani tutaj. Jeśli odmówi widzenia, będzie musiała pani wyjść.

Maisy podniosła do góry upierścienione dłonie na znak, że się poddaje i poszła za Jeffersem do jego gabinetu.

Wnętrze wyglądało tak, jak przypuszczała: skórzana kanapa, także fotele, ściany zawieszane różnymi dyplomami i wyłożone ciemną boazerią, a biurko tak ogromne, jak ego psychiatry.

Zawsze się zastanawiała, czy dorośli mężczyźni porównują między sobą rozmiary biurków, tak jak dorastający chłopcy porównują rozmiary swoich penisów.

- Proszę usiąść.

Miała dwie możliwości: albo przysiąść na skraju kanapy jak uczennica w gabinecie dyrektora szkoły, albo rozsiaść się wygodnie. Wybrała drugie wyjście.

Doktor Jeffers usiadł za biurkiem i złożył dłonie.

- Uważa więc pani, że pani Warwick nie powinna była znaleźć się w naszej klinice?

Maisy spojrzała na zegarek.

- Mówimy o mojej córce, a nikt nie zna jej lepiej niż ja. Oczywiście nie oznacza to, że wiem o niej wszystko, potrafię jednak ją zrozumieć. To bardzo skryta dziewczyna, która siłę czerpie z własnego wnętrza. Nie będzie się zwierzać obcym ludziom.

- Pani się zwierza?

- Proszę nie wkładać w moje usta słów, których nie powiedziałam.

- Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, odnoszę jednak wrażenie, że jest pani całkowicie przekonana, iż potrafi jej pomóc, my natomiast nie jesteśmy w stanie tego uczynić.

- Powinna być wśród bliskich. Wiem, że bardzo tęskni za Callie...

- Nie może pani tego wiedzieć, pani Fletcher. To tylko pani projekcje. Córka od chwili przybycia do naszej kliniki nie rozmawiała z nikim, oczywiście poza swoim mężem.

- Wiem, że tęskni za Callie - powtórzyła Maisy podniesionym głosem. - Czy pan słucha tego, co do pana mówię? Rozpaczliwe brakuje jej córeczki. Jeśli napiera pan, by rozgorączkowana kobieta uczestniczyła w pańskiej terapii, powinien pan wrócić na studia medyczne.

- W tej klinice jest tylko jedna rozgorączkowana kobieta, która właśnie siedzi przede mną. - Psychiatra uśmiechnął się jowialnym, ojcowskim uśmiechem.

Maisy wstała. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Jeffers podniósł słuchawkę, dając jednocześnie Maisy znak dłonią, żeby nie wychodziła. Kiedy skończył rozmawiać, spojrzał na nią i wzruszył ramionami.

- Zdaje się, że jednak nie jest pani jedyną rozgorączkowaną kobietą w tej klinice. Pani córka wie, że pani tu przyszła.

Maisy czekała.

Jeffers podniósł się zza biurka.

- Koniecznie chce się z panią zobaczyć. Jej pokój znajduje się na piętrze. Proszę iść holem do końca, aż znajdzie pani schody. Na górze proszę skrócić w lewo, potem w prawo. Pokój pani córki znajduje się na samym końcu korytarza. Uprzedzam jednak: będę musiał powiadomić pana Warwicka, że wbrew moim zaleceniom odwiedziła pani córkę.

- Słucham? Pan jest psychiatrą czy szpiegiem, doktorze Jeffers?

- Droga pani, jest pani w takim stanie psychicznym, że sama powinna się leczyć.

Maisy zbyła tę uwagę milczeniem.

Julia wiedziała, że matka jest w klinice, bowiem odgłosów, które wydawał rozklekotany pickup Fletcherów, nie sposób było pomylić z niczym innym. Bard od lat usiłował przekonać Jake'a, by kupił nową furgonetkę, ale ojczym Julii nie chciał nawet o tym słyszeć. Nie zamierzał wyrzucać pieniędzy w błoto: nie był skąpy, po prostu wierzył w trwałość tego, co posiadał.

Na dźwięk charakterystycznych przychnień i rzeżeń starego wozu Julia po omacku podeszła do okna, jakby się spodziewała, że nagle rozproszą się otaczające ją ciemności,

pojawi się w nich szczelina i znowu będzie mogła ujrzeć świat, którego nie widziała od tygodni. Przesunęła palcami po szybie i gładkiej framudze. Nie mogła nawet wystawić twarzy na powiew popołudniowego wiatru, bo okno było zamknięte na stałe.

Wiedziała, że potrzebuje prawdziwej, praktycznej pomocy, a nie takiej, jaką ponoć otrzymywała w klinice. Już pierwszego dnia, po wstępnej rozmowie z doktorem Jeffersem, zrozumiała, że nie mogła gorzej trafić, bo, zamiast terapii, czekać ją będą nieustanne utarczki słowne. Ukrywała swoje uczucia, a Jeffers łagodnie ją beształ za trwanie w uporze.

Na szczęście jedna osoba spośród personelu zdawała się być jej przyjazna. Karen, pielęgniarka, która tego popołudnia miała dyżur, zgodziła się zadzwonić do Jeffersa i przekazała żądanie Julii. Jeśli Maisy Fletcher rzeczywiście pojawiła się w klinice, Julia chce się z nią widzieć. Niech dyrektor nie próbuje odesłać matki z niczym.

Julia usłyszała jej energiczne kroki na korytarzu. Maisy zawsze się spieszyła, jakby miała coś ważnego do załatwienia. Wszystko jedno dokąd i po co szła, robiła wrażenie osoby w najwyższym stopniu zaaferowanej.

- Julia?

- Tutaj, Maisy.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, do pokoju wpadło świeże powietrze.

- Kochanie...

Julia słyszała matkę i czuła jej zapach, rozpoznała też dotyk dłoni, która gładziła ją po policzku. Objęły się i usiadły na łóżku.

- Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

- Usłyszałam warkot pickupa. Chyba jednak dobrze, że Jake nie kupił nowego wozu.

- Jadąc tutaj, myślałam coś zupełnie przeciwnego. Już zamierzałam zostawić tego grata na poboczu. Ta kupa złomu nigdy mnie nie lubiła.

- To dlatego, że za bardzo go forsujesz. - Maisy od lat prowadziła cichą wojnę z pickupem.

- Jak się czujesz?



Julia wyprostowała się i położyła dłonie na kolanach. Maisy natychmiast się odsunęła, żeby dać córce trochę przestrzeni.

- Ani lepiej, ani gorzej.

- Doktor Jeffers to nadęty głupek. Nie umiałby wyleczyć nawet zardzewiałego gwoźdźca.

- Nie oceniaj go tak pochopnie - zaprotestowała Julia.

Zwykle w podobnej sytuacji wstawiała i zaczynała chodzić po pokoju, jednak teraz wiązało się to z pewnym ryzykiem. Pamiętała dobrze rozkład wnętrza, ale zawsze łatwo było o pomyłkę. Świat zamienił się w czarną dziurę, która mogła pochłonąć niewidomą Julię, na wieczność wciągnąć ją w otchłań.

- Co tutaj robisz, kochanie?

Julia usiłowała uspokoić rozdygotane serce.

- Kiedy człowiek nie widzi, wszystkie miejsca wydają się takie same.

- Nieprawda. Powinnaś być z bliskimi, z ludźmi, którzy cię kochają, a nie wśród obcych.

- Rozejrzyj się. Tu jest prawie jak w domu. Mam pokój pełen bezcennych antyków. Tak mi mówili. Jest nawet kominek.

- Tylko ty jesteś tutaj bezcenna. To nie miejsce dla ciebie.

Do oczu Julii napłynęły łzy. Podniosła się. Wołała objąć się o meble, niż poddawać się matczynej czułości.

- Bard jest przekonany, że tak będzie najlepiej dla wszystkich.

- Ty myślisz tak samo?

- Maisy, nie mówię przecież, że zawsze się z nim zgadzam, jednak tym razem uznałam, że być może ma rację.

- Dlaczego?

- Boi się o Callie. - Julia wyciągnęła ręce przed siebie, stropiona, że jest dalej od ściany, niż jej się wydawało. Zrobiła kilka kroków, aż napotkała opór. - Mówi, że ona może się mnie bać, bo nie zrozumie mojego stanu, że zacznie się obwiniać...

- Nonsens.

Julia odwróciła się ku matce, przynajmniej tak sądziła. -

- Skąd wiesz?

- Jestem jej babką. Dzwonię do niej codziennie, rozmawiamy, wczoraj po lekcjach zabrałam ją na lody. Callie doskonale wie, że to nie z jej winy Duster się znarowił i zrzucił cię z grzbietu. Każdemu może się to przytrafić, gdy ujeżdża młodego konia.

- Zaraz po wypadku Callie powiedziała mi, że Duster przestraszył się jej kuca.

- Nie próbowałaś jej powiedzieć, że Duster płoszył się już wiele razy i pewnie jeszcze nieraz się spłoszy? Sama tak to sobie próbuje tłumaczyć i nie sędzę, by czuła się winna. Tęskni za tobą, martwi się, że nie wracasz do domu.

Julia przełknęła łzy.

- Powtórz jej, że wrócę, jak tylko mnie wyleczą.

- Ma osiem lat. W tym wieku dziecko potrzebuje matki, babka jej nie zastąpi.

- Upadek nie miał nic wspólnego z... moim stanem. Mówiłaś jej to?

- Mówiłam, ale trudno jej to zrozumieć.

- Nic dziwnego. Ja sama nie mogę pojąć, co się ze mną dzieje. Człowiek nagle przestaje widzieć. Z moimi oczami jest wszystko w porządku, tylko w głowie coś się poprzestawiało.

Maisy milczała, czekając, aż córka się uspokoi. Obie nie lubiły emocjonalnych fajerwerków. Z wyciągniętymi rękoma Julia ruszyła przed siebie, aż wreszcie natrafiła na krzesło przy biurku i oparła się o nie.

- Nie zwariowałam - powiedziała w końcu.

- Boisz się, że mogłam pomyśleć inaczej?

- Bard mówi, że to kwestia psychiki. Tłumaczy mi, że powinnam walczyć, nie poddawać się. Jeśli będę się starała, jeśli popracuję nad sobą tutaj, w klinice, znowu zacznę widzieć. - Uśmiechnęła się z przekąsem. - On tak by się zachował na moim miejscu.

- Zdziwiłby się, gdyby usłyszał, że są rzeczy na świecie, na które nawet Lombard Warwick nie potrafi znaleźć rady.

- Otwieram oczy, zamykam oczy, znów je otwieram. Za każdym razem mam nadzieję, że wreszcie będę widzieć... i nic. Wcześniej wiele razy spadałam z konia, ale tym razem było inaczej. Podczas upadku pomyślałam o tragedii Christophera Reeve'a. Jego

koń się spłoszył i ten wysportowany aktor na resztę życia został przykuty do wózka. Kiedy już leżałam na ziemi, bałam się poruszyć. Bałam się, że już nigdy nie wstanę, nie zrobię ani jednego kroku. Musiałam stracić przytomność, a gdy się ocknęłam...

Obeszła powoli biurko i zbliżyła się do okna. Ponownie odwróciła się w stronę matki.

- Gdy się ocknęłam, jeszcze przez chwilę nie unosiłam powiek. Poruszyłam nogą, potem ręką, i poczułam ulgę nie do opisania. Dopiero wtedy otworzyłam oczy.

- I okazało się, że nie widzisz.

Julia opowiadała już o tym matce w szpitalu, gdzie trafiła zaraz po wypadku, ale z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu czuła potrzebę ponownego podzielenia się tamtymi przeżyciami.

- Pomyślałam: jakie to dziwne! Musiało minąć kilka godzin, Callie na pewno pojechała po pomoc i widocznie nie mogą mnie znaleźć. Wydawało mi się, że zapadła bardzo ciemna, czarna noc. Tymczasem, jak mi później powiedziano, byłam nieprzytomna co najwyżej przez minutę.

- Czy wspomnianie tamtego zdarzenia pomaga ci?

- Nic mi nie pomaga. Wiesz, co było najgorsze, dużo gorsze niż ocknięcie się ślepą? Kiedy mi powiedzieli, że to histeria, że jestem histeryczką.

- Jesteś wspaniałą, wrażliwą, inteligentną kobietą, a nie przypadkiem psychiatrycznym.

- Leżę w klinice psychiatrycznej. Może i mam w pokoju kominek oraz antyki, ale to jednak szpital dla psychicznie chorych.

- Nie powinnaś tu być.

Julia zrozumiała, że musi powiedzieć Maisy całą resztę.

- Są rzeczy, o których nie wiesz.

- Nie ty pierwsza mi to mówisz. Julia próbowała się uśmiechnąć.

- Zanim to się stało, zanim tamtego ranka dosiadłam Dusterą, sprawy... nie układały się najlepiej.

Maisy milczała. Julia wyobraziła sobie, że matka swoim zwyczajem wykręca upierścienione palce. Maisy kochała błyskotki. Lubiła jaskrawe kolory, tkaniny o

niezwykłej fakturze, luźne, powiewne stroje, które Julii nieodmiennie kojarzyły się z orientalnym haremem. Zawsze wyróżniała się w tłumie: barwny, egzotyczny ptak wśród starych tweedów i spłowiałych dżinsów, obiekt kpin szkolnych koleżanek Julii.

- Nie chcesz o tym słuchać, prawda?

- Julio, siedzę tutaj i czekam.

- Nigdy nie chciałaś słuchać o przykrych sprawach. Patrzysz na świat przez różowe okulary.

- To prawda - przyznała Maisy - jednak pozytywne nastawienie do życia nie powoduje, że nie widzę jego ciemnych stron.

Poczuła, że ogarnia ją wstyd. Kochała matkę, ale dzieliło je wszystko, przepaść tak ogromna jak dwadzieścia dziewięć lat życia Julii. Nigdy nie mogła zrozumieć, skąd się brał ten ogromny dystans, Maisy też pewnie nie była w stanie pojąć, jak to możliwe, by dwie tak całkowicie różne kobiety mogły darzyć się miłością.

- Przepraszam, nie chciałam cię krytykować. - Julia ruszyła, jak się jej wydawało, w stronę łóżka. - Poza tym nie powinnam cię dodatkowo obciążać...

- O mnie się nie martw. Tu chodzi o ciebie. Powiedz mi, co się stało. I przesuń się trochę w lewo.

Julia nogą dotknęła ramy łóżka.

- Będę potrzebowała białej laski. - Ostatnie słowo ledwie wypowiedziała.

- Czy doktor Jeffers mówił ci już, jakie są rokowania?

- Nie. Rzadko się odzywa w czasie naszych sesji, co najwyżej zadaje kolejne pytanie. Dlaczego nie szukałam pomocy, kiedy zaczęły się problemy? Dlaczego uważam się za osobę defensywną? Dlaczego nie chcę, żeby mój mąż uczestniczył w terapii?

- A Bard chciałby?

- Wątpię, ale jestem pewna, że nie powiedział tego Jeffersowi wprost.

- Opowiedz mi o swoich kłopotach.

- Od pewnego czasu miałam potworne bóle głowy.

- Mówiłaś o tym lekarzom?

- Tak. Zrobili mi tomografię, obejrzeni kawałek po kawałku cały mózg, przeprowadzili wszystkie możliwe badania neurologiczne, wzywali rozmaitych konsultantów, ale nie znaleźli żadnej przyczyny fizjologicznej.

- Co jeszcze?

- Ja... - Julia wahała się nad doborem właściwych słów. - Coraz gorzej mi się pracowało.

- Nie mogłaś malować? Skinęła głową.

- Trentowie zamówili u mnie portret rodzinny. Pamiętasz ich? Mieszkają na niewielkiej farmie w pobliżu Middleburga, niedaleko Gradysów. Mają dwójkę dzieci, które czasami jeżdżą na kucach razem z Callie. Łatwo je zapamiętać, bo ich włosy są jasne jak len.

- Chyba coś kojarzę.

- Mieliśmy trzy sesje i nic mi nie wychodziło. Nie wiedziała, jak dalej opowiadać o swoich kłopotach.

Ani Bard, ani doktor Jeffers nie mogli jej zrozumieć. Bard stwierdził, że zbyt wysoko ustawiła sobie poprzeczkę, przez co wpadła we frustrację.

Doktor Jeffers w milczeniu robił notatki, skrzypieniem stalówki doprowadzając ją do szału. Spróbowała raz jeszcze.

- Zrobiłam kilka wstępnych szkiców. Trentowie chcieli, żeby portret był pozbawiony sztywności, naturalny. Myśleli o koniach, o swoich zwierzakach. Szkice były niezłe, miałam pomysł, wiedziałam, o co mi chodzi, lecz kiedy zabrałam się za obraz...

- Mów dalej.

- Nie byłam w stanie namalować tego, co widziałam. Obraz wymykał mi się spod kontroli, żył własnym życiem. Pan Trent okazał się kostycznym, surowym ojcem rodziny, nie byłam w stanie inaczej go przedstawić. Wyglądał jak dowódca oddziału szturmowego. Pewnego dnia złapałam się na tym, że chcę namalować swastykę na jego rękawie.

- Może przedstawiałaś to, co czułaś, a nie to, co widziałaś? Ta umiejętność wyróżnia artystów spośród innych ludzi, prawda?

- Ale ja nie panowałam nad obrazem. - Julia usłyszała, że podnosi głos, umilkła więc na chwilę, by się uspokoić. - Tak było ze wszystkim, co robiłam przez ostatni

miesiąc przed wypadkiem. Malowałam sceny myśliwskie. Niestety, zamiast pogodnych towarzyskich spotkań, podczas których nie zabija się lisa, tylko rywalizuje się w sportowej gonitwie, ciągle miałam przed oczami psy rozrywające rude ciało. W końcu bałam się zbliżyć do płótna.

- Może byłaś zmęczona i po prostu potrzebowałaś odpoczynku.

- No to mam odpoczynek.

Maisy nie odezwała się. Co mogła powiedzieć? Jeśli Julia nie odzyska wzroku, już niczego nie namaluje.

- Kiedy byłaś małą dziewczynką - zaczęła w końcu - i miałaś jakieś zmartwienia, zamykałaś się w swoim pokoju i rysowałaś. W ten sposób wyrażałaś siebie.

- Tak jest nadal. Tylko co teraz wyrażam... a raczej wyrażałam? Jeśli nie nastąpi radykalna zmiana, koniec z moim malarstwem.

- Wróć ze mną do domu, Julio. Jeśli Bard nie będzie chciał cię widzieć w Millcreek, zamieszkaż w Ashbourne. Dość jest u nas miejsca dla ciebie i Callie. Znajdziemy terapeutę, któremu będziesz mogła zaufać. Jake też chce, żebyś zamieszkała z nami. Znasz go, wiesz, jaki on jest.

Julia kochała swojego ojczyma za ład, który wniósł w życie Maisy i za czułość okazywaną jej samej. Był cichym, łagodnym człowiekiem, który nigdy nie przyzwyczał się do ekscentrycznego sposobu bycia swojej żony. Julia wiedziała, że przyjąłby ją z otwartymi ramionami.

Przez chwilę miała ochotę się zgodzić, kusiło ją, by wrócić do domu swojego dzieciństwa, zamieszkać tam razem z córką i czekać, aż znów będzie widzieć, lub też pogodzić się z kalectwem. Jednak rozsądek wziął górę.

Pokręciła stanowczo głową.

- Nie mogę. Bard by się wściekł. Musiał użyć różnych wpływów, żeby mnie tu przyjęli. Jest przekonany, że jeśli mam wrócić do zdrowia, powinnam żyć w izolacji.

- A ty sama co myślisz?

- Chciałabym wierzyć, że Bard ma rację, ale zbyt długo tu nie wytrzymam.

Podobnie musi być w więzieniu. Wiem, jak Christian... - przerwała, przerażona tym, co zamierzała powiedzieć.

- Wiesz, jak czuje się Christian - dokończyła za nią Maisy. - Od dawna nie słyszałam jego imienia z twoich ust.

Julia zeszywniała.

- Nie myślałam o nim. Nie rozumiem, dlaczego nagle...

- Ty straciłaś wzrok, a on wolność. Obydwoje znaleźliście się w miejscu, którego sami nie wybraliście. Stąd to skojarzenie.

- Nie chcę rozmawiać o Christianie.

- Nie musisz.

Rozległ się szelest przy drzwiach i Julia z ulgą odwróciła głowę.

- Przyszła siostra - powiedziała Maisy.

- Pani Warwick? - Karen specjalnie zachowywała się hałaśliwie, by Julia mogła ją zlokalizować. - Doktor Jeffers uważa, że powinna pani odpocząć.

Po raz pierwszy zgodziła się ze swoim lekarzem. Nagle ogarnęło ją śmiertelne zmęczenie. Poczuła, że Maisy wstała z łóżka.

- Wyglądasz na wyczerpaną. Przyjadę jutro - oznajmiła matka. - Chcesz, żebym przekazała coś Callie?

- Powiedz, że ją kocham i że niedługo wrócę do domu. Wciąż widzę ją w snach. To też jej powiedz.

- Przemyślisz moją propozycję? Julia skinęła głową.

- Tak. - Do ust cisnęły się jej słowa, których nie wypowiedziała. Chciała prosić Maisy, aby zabrała ją do domu, w którym spędziła całe życie do chwili wyjścia za mąż. Z drugiej strony tłumaczyła sobie, że powinna zostać w klinice i cierpieć tutaj, dopóki nie znajdzie lekarstwa na swoją ślepotę.

Odezwała się pielęgniarka. Miała niski, matowy głos i delikatne dłonie. Tak postrzegała ją Julia.

- Chyba wie pani, że pani Warwick nie może odwiedzać nikt poza mężem, ale pech chce, że doktor Jeffers jutro o trzeciej po południu ma ważne spotkanie i nie będzie mógł sprawdzić, co dzieje się w klinice.

- Rozumiem - powiedziała Maisy.

- Dziękuję - dodała ciepło Julia.



- Do widzenia, kochanie.

Na ramieniu poczuła dłoń matki, a na policzku jej usta. Kiedy Maisy i Karen wyszły, w pokoju zrobiło się równie pusto, jak w sercu Julii.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

Wzorując się na angielskim zwyczaju, wielkie farmy i majątki ziemskie w Wirginii otrzymują własne nazwy. Podobnie stało się z Ashbourne, położoną na wzgórzach i liczącą sto dwadzieścia hektarów posiadłością z obszernym domem. W oddali, na krańcu horyzontu, błękitnym cieniem zaznaczało się górskie pasmo Blue Ridge Mountains\*.

\* Blue Ridge Mountains (ang.) - dosł.: Góry o Błękitnych Graniach. (Przyp. red.).

Maisy nigdy nie przestała zachwycać się naturalnym pięknem Ashbourne i błogosławić wyroki losu, które ją tu sprowadziły, gdy jako młoda kobieta poślubiła Harry'ego Ashbourne'a.

Wprawdzie Harry zmarł przed dwudziestu pięciu laty, lecz Ashbourne nadal żyło, czekając, aż przejmie je Julia i przywróci do dawnej świetności.

Klasycystyczny, o doskonałych proporcjach dom z czerwonej cegły pysznił się pięknym portykiem z białymi kolumnami. Główny korpus miał dwa piętra, a o jedną kondygnację niższe skrzydła otaczały dużą werandę i taras, wychodzące na ogród, który za czasów Harry'ego był starannie pielęgnowany, zaś jego kompozycja zachwycała szlachetną prostotą.

Z upływem lat bardzo się zmienił. Labirynt zasadzony przez Harry'ego, kiedy Maisy była w ciąży, zamienił się w gęszcz splecionych chaszczki i w końcu projektant zieleni musiał go wyciąć. Z czasem krzewy nabrały naturalnych kształtów, a trawniki zaczęły przypominać łąki, lecz Maisy była zadowolona, że ogród stał się właśnie taki.

Nie znaczy to, że rezydencja popadła w ruinę. Maisy dbała o konieczne naprawy, które zresztą w większości wykonywał Jake, człowiek o złotych rękach i takim samym sercu, lecz posiadłość po prostu się starzała, podobnie jak dzieje się to z ludźmi. Nie-



uchronnie zbliżał się moment, w którym Julia, córka Harry'ego, będzie musiała zdecydować o jej dalszym losie.

Ponieważ główna rezydencja była dla nich za duża, Maisy i Jake przenieśli się do domku ogrodnika, budowli jak z bajki, która przycupnęła na skraju lasu, gdzie mieszkały lisy i świstaki, a sowy urządzały nocne łowy.

Domek miał dwie kondygnacje, szeroką sień na dole i żadnego racjonalnego planu, bowiem przytulne pokoje i zakamarki tworzyły rozkosznie nielogiczny labirynt. Rury i komin śpiewały własne melodie, wiatr wygrywał serenady w szparach okien, ale Maisy i Jake byli zgodni, że te odgłosy dodają domkowi uroku, podobnie jak niezliczone kominki i spadzisty dach pokryty czerwoną dachówką.

Kiedy Maisy wróciła z kliniki Gandy'ego Wilsona, zmierzchało już, a ciężkie atramentowe chmury przysłoniły zachodzące słońce. Zapowiadała się więc bezgwiezdna noc.

Maisy często wychodziła wieczorami do ogrodu. A to musiała nakarmić koty dachówce mieszkające w stajni i noszące imiona Winken, Blinken i Nod, a to zerknąć na księżyc lub Wielki Wóz, lub też sprawdzić, czy farmer dzierzawiący łąkę zamknął bramę. Jednak Jake nie dał się zwieść. Wiedział, że każde usprawiedliwienie było dobre, byle tylko jego żona mogła na chwilę wyrwać się z domu.

Zaparkowała pickupa koło stajni, wysiadła i rozprostowała kości. Bolały ją wszystkie mięśnie, nie tylko z braku ruchu, lecz również z powodu zepsutych amortyzatorów w furgonetce. Po każdej jeździe przyrzekała sobie, że przy pierwszej okazji pozbędzie się tego grata. Upatrzyła sobie czerwonego forda rangera i ilekroć przejeżdżała koło parkingu, na którym ten samochód czekał na nabywcę, miała wrażenie, że wabi ją syrenią pieśnią swego klaksonu.

Tak jak przypuszczała, Jake był w warsztacie, urządzonej w jednej ze stajni, zbudowanej z bali kasztanowca. Nie było rzeczy, której nie potrafiłby naprawić i ludzie z całego hrabstwa zwozili mu popsute tostery, kosiarki, skutery czy wentylatory, a on je cierpliwie reperował. Ich właściciele byli wystarczająco zamożni, by zużyte sprzęty zastąpić nowymi, ale, podobnie jak Jake, czuli sentyment do staroci i przeszłości. Inną

stajnię, w której niegdyś Harry trzymał swoje znakomite konie myśliwskie, Maisy wynajęła kilku artystom na pracownię.

Gdy weszła do środka, Jake stał nachylony nad stołem. Obok niego przycupnęła Winken i gdy tylko się poruszył, leniwie łapała go za łokieć. Koty już dawno uznały stajnię za swój dom. Jak wiele przedmiotów, które Jake tu naprawiał, w oczach innych ludzi mogły uchodzić za marne okazy własnego gatunku, nie dotyczyło to jednak państwa Fletcherów. Maisy znalazła je pewnego zimowego poranka na parkingu w Middleburgu, kiedy usiłowały wypełznąć z papierowej torby. Wyglądały jak małe, miauczące kulki futra, słabe, nieporadne i skazane na zagładę. Maisy, mimo alergii na kocią sierść i tęsknoty za przespaną spokojnie nocą, skrupulatnie co dwie godziny karmiła je z butelki dla lalek. Teraz, po latach, dbały o porządek z myszami i dotrzymywały Jake'owi towarzystwa. Koty, odkryła Maisy, to prawdziwi obrońcy ładu.

- Jestem.

Jake odwrócił się do niej z uśmiechem. Kiedy zabierał się do pracy, zapominał o bożym świecie. Potrafił całkowicie się skoncentrować, co było umiejętnością absolutnie Maisy niedostępną. Często pokpiwała, że złodziej mógłby wynieść wszystko ze stajni, łącznie z pajęczynami, a Jake niczego by nie zauważył. Wytarł ręce w szmatę i podszedł, żeby pocałować żonę.

- Widziałaś ją?

- Owszem, ale nie obeszło się bez awantury. - Wiedziała, że Jake nie będzie o nic wypytywał i zadowolony się tym, co sama zechce mu powiedzieć.

Zerknęła ponad jego ramieniem. Blinken przyłączyła się do siostry i obie zajęły się inspekcją naprawianego sprzętu.

- Jak tam praca?

- Liz Schaeffer przywiozła mi zegar kominkowy, który jest w jej rodzinie od trzech pokoleń. Spóźnia się dziesięć minut na godzinę.

- Uda ci się go naprawić?

- Jeśli tylko znajdę odpowiednią część. - Przytulił Maisy, jakby czuł, że potrzebuje jego serdeczności. - Zrobiłem chili na kolację i zagniotłem ciasto na chleb. Wystarczy włożyć je do pieca.

- Jesteś dla mnie za dobry.

Spojrzała na twarz męża, na której czas rzeźbił coraz więcej zmarszczek. Jake'a nikt nigdy nie nazwał przystojnym mężczyzną, lecz zawsze, od najwcześniejszej młodości, był dystyngowany. Z latami posiwiiał, ale jego włosy nadal były tak gęste i kędzierzawe jak w dniu, kiedy Maisy go poznała. Brązowe oczy mówiły o ogromnej cierpliwości, ostatnio jednak pojawiła się w nich także zmęczenie. Maisy czasami bała się, że dzieje się tak z jej powodu.

- Posprzątam i zrobię kolację - powiedział Jake. Maisy poczuła wyrzuty sumienia.

- Nie wygłupiaj się. Sama włożę chleb do pieca i zrobię sałatkę. - Zamilkła na moment. - Mamy zieloną sałatę?

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Mamy. Wczoraj zrobiłem zakupy.

- A gdzie ja byłam?

- Zakopałaś się w swojej pracowni.

- Oj...

- Lubię odwiedzać sklepy, bo przy okazji zawsze kogoś spotykam. Więcej spraw załatwię między marchewką i jajkami, niż przez telefon. Idź zrobić sałatkę.

Odwróciła się jeszcze od drzwi.

- Co byś powiedział, gdyby Julia i Callie zamieszkały z nami?

Jake podniósł głowę znad stołu.

- To pomysł Julii?

- Nie, ja jej to zaproponowałam. Trochę musiałam naciskać.

- Tylko trochę?

- Ona tam nie powinna być, Jake. To okropne miejsce. Jest nieszczęśliwa.

- Wiesz, że w każdej chwili może się tu przenieść.

- Źle zrobiłam, że naciskałam?

- Jesteś dobrą matką. Zawsze robisz to, co uważasz za najwłaściwsze.

Wiedziała, że kierowanie się instynktem bywa ryzykowne, ale była wdzięczna Jake'owi za wsparcie.

- Jutro znowu tam pojedę.

- Bard nie będzie zadowolony, że się wtrącasz.

Maisy wyszła na zewnątrz i spojrzała na ołowiane niebo. Zrobiło się chłodno, przeszedł ją zimny dreszcz. Zaczynała się jesień. Po kolacji poprosi Jake'a, żeby rozpałił ogień w bawialni. Usiądą przy kominku i wtedy opowie mu ze szczegółami o wizycie u Julii.

Bała się tylko, co zdarzało się jej coraz częściej, czy nie zanudzi go swoją relacją.

Julia oczekiwała odwiedzin męża późnym popołudniem. Bard zawsze działał zgodnie z ustalonym planem, obsesyjnie też sprawdzał, czy wszystko jest w porządku. W pierwszych latach małżeństwa dodawało to Julii pewności siebie, ponieważ mężczyzna, za którego wyszła, znał odpowiedź na wszystkie pytania.

Poczuła wyrzuty sumienia, że w myślach pozwala sobie na nielojalność wobec męża, gdy on wiernie przy niej trwał. To prawda, bywał męczący, ale wyróżniał się niezłomną siłą i pewnością siebie. Mogła się na nim oprzeć.

W pewnym sensie należał do innej epoki. Był starszy od Julii o dwanaście lat, ale dzieliły ich nie tyle daty urodzenia, co zapatrywania. Bard mógłby z powodzeniem żyć na dworze króla Artura, gdzie jako dzielny rycerz walczyłby ze smokami. Nigdy jednak nie wcieliłby się w Lancelota, brakowało mu bowiem religijnego zapалу, a jego dusza wyprana była z wszelkiego romantyzmu. Ruszyłby do rozprawy ze smokiem tylko wtedy, gdyby okazał się przeszkodą na jego drodze.

O siódmej Julia podeszła do komody, gdzie leżały grzebień i szczotka. Proste, sięgające ramion włosy łatwo dały się szczotkować nawet po omacku. Nie ośmieliła się jednak użyć kosmetyków w obawie, że źle nałożona szminka będzie wyglądać żałośnie. Wcześniej przebrała się w wełniane spodnie i gruby sweter. W pokoju panował nieprzyjemny chłód. Maisy zawsze twierdziła, że jej córka mniej by marzła, gdyby trochę przytyła, lecz Julia nie wierzyła, by akurat teraz mogła przybrać na wadze. Jedzenie w klinice było dokładnie takie, jak się spodziewała, to znaczy: zdrowe, niskokaloryczne i zupełnie pozbawione smaku.

Gdy zapinała sweter, usłyszała delikatne pukanie, a zaraz potem dobiegł ją głos Karen:

- Zimno dzisiaj. Chce pani, żebym rozpałiła na kominku? Doktor Jeffers pozwolił.

Oczywiście nawet w takiej sprawie nie mogło się obyć bez zgody doktora. Wystarczyło spędzić kilka dni w tej klinice, by nawet będąc przy zdrowych zmysłach, mieć ochotę rzucić się w płomienie.

- Pani się uśmiecha - zauważyła Karen. Dopiero teraz Julia zdała sobie z tego sprawę.

- Myślałam o ogniu. To dobry pomysł.

Przeszła niepewnym krokiem przez pokój, usiadła na krześle obok łóżka i z radością przysłuchiwała się, jak Karen układa polana w kominku. Były to swojskie, miłe dźwięki, które, podobnie jak zapach siarki z zapalanej zapałki, kojarzyły się z domem.

- Trochę się pani ogrzeje - powiedziała Karen. - To skrzydło jest wyjątkowo zimne. Julia podziękowała jej i zaczęła wsłuchiwać się w trzask płonącego drewna.

W szpitalu, zaraz po wypadku, miała kłopoty z poczuciem czasu, bo w ciemnościach każda chwila wydawała się jej podobna do drugiej, jako że nie docierał do niej ani blask słońca, ani migotliwe światło gwiazd. Wreszcie Julia nauczyła się wykorzystywać inne zmysły, na przykład rozpoznawała ciche buczenie jarzeniówek zapalanych wieczorem i zapach środka dezynfekującego, którym rano sprzątaczkę myły korytarz.

Przywykła do tego, że czas, gdy nie miała jakiegoś konkretnego zajęcia, płynął znacznie wolniej, niż przypuszczała. Nigdy nie rozumiała einsteinowskiej teorii czasoprzestrzeni, teraz jednak odnosiła wrażenie, że powoli zaczyna do niej docierać jej sens.

Julii wydawało się, że przesiedziała w fotelu cały długi dzień, gdy wreszcie rozległo się pospieszne pukanie Barda. Zawsze pukał dwa razy, a potem otwierał drzwi, szybko szedł przez pokój i całował żonę w policzek.

Dzisiaj było tak samo. Znalazł się przy niej, zanim zdążyła się odezwać. Poczula wodę po goleniu Calvina Kleina, którą pomogła wybrać Callie, kiedy kupowały prezenty na ostatnią Gwiazdkę.

- Wyglądasz na bardzo zmęczoną. - Głos Barda powiedział jej, że mąż się wyprostował i odsunął o kilka kroków.

- Całymi dniami tkwię prawie bez ruchu. To ogromnie wyczerpuje - powiedziała.

- Potrzebujesz odpoczynku. Dlatego tutaj jesteś.

Prawda była inna. Znalazła się w klinice, by nie przynosić Bardowi wstydu. Julia była niemal pewna, że nikt z przyjaciół nie wiedział, co się naprawdę stało. Zastanawiała się, jaką historię mąż sprokurował na ich użytek.

- Lepiej odpoczęłabym w domu. Tam mogłabym trochę się poruszać.

- Rozmawialiśmy już na ten temat, Julio.

Zirytowała ją udawana łagodność, którą słyszała w głosie męża.

- Tak, wygłosiłeś swoje zdanie na ten temat, natomiast ja nie miałam nic do powiedzenia.

- Rozumiem, że twoje sesje z doktorem Jefferssem nie idą najlepiej.

- Jeśli chcesz powiedzieć, że nie odzyskałam w cudowny sposób wzroku, to masz rację. Nie idą najlepiej.

- Nie to miałem na myśli.

Narastało w niej coraz większe zniechęcenie.

- Bard, przestań do mnie mówić takim tonem, jakbyś rozmawiał z Callie. Straciłam wzrok, ale nie cofnęłam się do czasów dzieciństwa. Co więc miałeś na myśli?

- Doktor Jeffers twierdzi, że chowasz się w sobie, opierasz się terapii.

- Opieram się nakłanianiu mnie do wynurzeń, które doktor Jeffers skwapliwie zapisuje w swoim notesie.

- Skąd wiesz, że zapisuje?

- Słyszę skrzywienie pióra na papierze. Zostały mi jeszcze cztery zmysły.

- Dlaczego nie chcesz, żeby ci pomógł?

- On mi nie pomaga, tylko próbuje wchodzić z butami w moje życie, a ja nie zamierzam mu na to pozwolić.

- Wolisz psa przewodnika?

Julia zamilkła. Według Barda życie składało z samych prostych decyzji. Białe lub czarne, żadnych półcieni. Tak samo traktował chorobę Julii: albo terapia Jeffersa poskutkuje, albo żona nie odzyska wzroku. Nie próbował, bo też i nie potrafił, spojrzeć głębiej.

- Rozumiem, że twoje milczenie oznacza „nie”. - Jego głos dochodził teraz od strony okna, z ulubionego miejsca Julii.

- Możesz mi powiedzieć, co widzisz? - zapytała. - Będę mogła to sobie wyobrazić. W głosie Barda zabrzmiała nieukrywana irytacja.

- Mówisz tak, jakbyś na zawsze pogodziła się ze swoim stanem.

- Po prostu pytam.

- Widzę dokładnie to, czego możesz się spodziewać. Drzewa, klomby kwiatów, trawnik. Niewielki parking. Wzgórza w oddali.

- Dziękuję.

- Słyszałem, że Maisy była dzisiaj u ciebie. Wbrew zaleceniom doktora.

Jego głos znowu zabrzmiał głośniejsze, bo Bard zwrócił się wprost do Julii.

Wyobraziła sobie, że stoi oparty o framugę okna, nogi skrzyżował w kostkach, zaplótł dłonie i czeka na odpowiedź. Przypomniała sobie, kiedy po raz pierwszy zwróciła uwagę na Lombarda Warwicka.

Znała go od zawsze. Miasteczko Ridge's Race\*, które wzięło swoją nazwę od odbywających się tu co roku wyścigów konnych, składało się ze stacji benzynowej, poczty i sklepu spożywczego. Wokół rozsiane były ogromne farmy i warte miliony dolarów majątki ziemskie, wśród nich Ashbourne i Millcreek Farm, rodzinny dom Barda. Ridge's Race miało swojego burmistrza, radę miejską, trzy kościoły i niezwykle mocno ze sobą zżytą społeczność.

\* Ridge (ang.) - zwierzęcy grzbiet, Race (ang.) - wyścig. (Przyp. red.).

Ze względu na różnicę wieku Julia i Bard nie chodzili razem do szkoły, a nawet gdyby urodzili się w tym samym roku, ich edukacyjne ścieżki nigdy by się nie przecięły. Od początku było wiadomo, że Bard pójdzie do tej samej szkoły wojskowej, którą ukończył jego ojciec, natomiast Julia, córka kobiety o egalitarnych zapatrywaniach, dla której segregacja klasowa była czymś równie horrendalnym, jak segregacja rasowa, miała uczyć się w miejscowej szkole publicznej.



Nie mogli również spotkać się na nabożeństwie. U świętego Albana, w parafii kościoła episkopalnego, gdzie w niedzielne poranki modlili się najbogatsi mieszkańcy Ridge's Race, była tablica z imionami całych pokoleń Warwicków. Mieli tam swoją tablicę również Ashbournowie i Julię w tymże kościele podawał do chrztu ojciec, który osierocił ją, kiedy miała zaledwie cztery lata. Od kiedy jednak sięgała pamięcią, jeździła z Maisy w niedziele do Leesburga lub Fairfax, bowiem matka wybierała kościoły i kongregacje jak traf zdarzył.

Mimo że nie chodzili razem do szkoły ani do tego samego kościoła, Bard był obecny w życiu Julii. Millcreek sąsiadowało z Ashbourne i często widywała go, jak przejeżdżał drogą na jednym ze swoich rasowych koni, lub gdy mknął kolejnym drogim sportowym autem. Spotykała go na poczcie, kiedy, czekając w kolejce do okienka, rozmawiał z sąsiadami o pogodzie i polityce, albo w sklepie w Middleburgu, gdy kupował bourbona lub nową uzdę. Należał do miejscowego pejzażu, jak ciągnące się całymi milami ogrodzenia wokół łąk i ogromne wozy do transportu koni.

Pewnego dnia, gdy miała dwadzieścia lat i jej życie rozpadło się jak domek z kart, przyjrzała się uważniej Lombardowi Warwickowi. Syn Grace Lombard i Brady'ego Warwick, dziedzic Millcreek, absolwent wydziału prawa w Yale, właściciel doskonałych koni myśliwskich pełnej krwi, uznawany był za świetną partię.

Bard, tak teraz myślała, przeżywał wówczas swój najlepszy okres. Miał trzydzieści jeden lat i był zabójczo przystojny: ciemnych włosów nie przysypała jeszcze siwizna, w zielonych oczach nie zdążyło pojawić się zmęczenie. Twarz o arystokratycznych rysach okalała ciemna broda. Jedno jego spojrzenie posłane kobiecie potrafiło jej powiedzieć więcej o własnej seksualności niż długie wykłady w szkole średniej na lekcjach biologii.

Nie zakochała się w nim, ale pociągała ją siła i pewność siebie Barda. Właśnie te jego cechy zmieniły całe jej życie.

Do dzisiaj zachował wiele z tamtego mężczyzny. Wprawdzie śladem ojca przybrał trochę na wadze, ale dodatkowe kilogramy czyniły jego sylwetkę tylko potężniejszą. Wysoki, mocno zbudowany, trzymał się po wojskowemu. Nikt nigdy nie próbował stawiać mu na drodze, a nawet jeśli, to Bard nie wiedział, co to jest porażka.



Inne zmiany były subtelniejszej natury. W oczach Barda pojawiły się niedobre błyski, a srebrne skronie wprowadzały w błąd, bowiem lata nie przyniosły ze sobą spokoju. Inteligentny, nie był jednak zbyt przenikliwy. Potrafił grać na zwłokę, ale brakowało mu cierpliwości.

Jak chociażby teraz.

- Julio, czekam. Może mi powiesz, dlaczego Maisy cię odwiedziła? Ten pomysł, by wrócić do domu... mam nadzieję, że nie wyszedł od niej?

- Czy mam ci składać raport z każdej rozmowy z własną matką?

- Nie chcę, żebyś przez nią się denerwowała.

Bard podniósł głos. Niemal widziała, jak chwyta się za ucho. Była to jedyna oznaka irytacji, na jaką sobie pozwalał.

- To przez ciebie się denerwuję, Bard.

- Dlaczego?

- Bo próbujesz dyrygować moim życiem.

- Doktor Jeffers uważa, że wizyty Maisy mogą opóźnić twój powrót do zdrowia.

Jestem zdziwiony, że dotarła do kliniki. Bardziej byłoby do niej podobne, gdyby zatrzymała się gdzieś po drodze i całkowicie oddała się zbieraniu jesiennych liści, sortowanych według kształtu i koloru.

Julia poczuła się urażona, choć z drugiej strony z łatwością mogła wyobrazić sobie matkę przy takim właśnie zajęciu.

- Kocha mnie i martwi się moim stanem. Głos Barda złagodniał.

- Wszyscy się martwimy, skarbie. Dlatego chciałbym, żebyś jak najszybciej doszła do siebie.

- Nie chcę tu tkwić. Mogę znaleźć prywatnego terapeutę. Możemy zatrudnić kogoś, kto pomagałby mi w domu. W sumie wyniesie to znacznie taniej niż mój pobyt w klinice.

- Ale nie będzie miało tak dobroczynnych skutków. Julia uznała, że czas wreszcie wygarnąć prawdę.

Odwróciła głowę w stronę Barda.

- Nie chcesz, żebym wróciła do domu, bo wstydzisz się mnie. Nie chcesz, by ktokolwiek się dowiedział, że twoja żona sfiksowała i zafundowała sobie kalectwo.

- Zapominasz o Callie. Myślisz, że to na nią dobrze wpłynie, kiedy będzie widziała cię w takim stanie? Już czuje się wystarczająco nieszczęśliwa. Nie chcę, by każdego dnia widziała swoją matkę, która obija się o meble i potyka na każdym progu.

Frustracja Julii zamieniła się w gniew.

- Skąd u ciebie ta nagła troska o Callie, Bard? Z zasady nie zaprzątasz sobie głowy własną córką.

- Rozumiem, że to kolejna opinia twojej matki.

- To moja opinia.

- Nie rozpieszczę Callie i nie roztkliwiam się nad nią, co wcale nie znaczy, że się o nią nie troszczę.

- Powiedziałam, że nie zaprzątasz sobie nią głowy. To ja podejmuję wszystkie decyzje, ja jej poświęcam uwagę.

- Właśnie dlatego najpierw powinnaś wrócić do zdrowia, by zająć się nią tak, jak to robiłaś do tej pory.

- Czy będę chora, czy zdrowa, ona mnie potrzebuje. Dzieci wyobrażają sobie najgorsze rzeczy, jeśli dorośli nie są z nimi szczerzy.

- Zapewniłem ją, że wszystko będzie dobrze.

- Spędzasz z nią czas? Zabierasz ją do restauracji, do cukierni? Byłeś z nią w kinie? Pomagasz jej w odrabianiu lekcji?

- Staram się, jak mogę. Ale przecież pracuję.

Praca Barda nigdy dotąd nie stanowiła problemu, bowiem Julia cały czas była w domu i stale zajmowała się małą. Bard pracował jako radca prawny w Virginia Vistas, jednej z największych firm deweloperskich w stanie. Kiedy nie negocjował kolejnych kontraktów, zajmował się wewnętrznymi sprawami firmy, w którą zainwestował także swój prywatny kapitał, pomnażając w ten sposób pokaźny spadek odziedziczony po rodzicach.

- Czy w ogóle spędzasz z nią czas? - dopytywała się Julia. - Uwielbia jeździć z tobą konno. Zabierasz ją na przejażdżki?

- Ostatnia przejażdżka z matką nie skończyła się oszałamiającym sukcesem.

- Tym bardziej powinna jeździć, by zrozumiała, że mój wypadek to po prostu pech, nic więcej.

- Robię, co mogę.

- To dla niej za mało.

- Dlatego, z uwagi na jej dobro, powinnaś jak najprędzej wrócić do zdrowia.

- Potrafisz być sukinsynem.

Bard nie odzywał się przez chwilę, a Julia świetnie wyobrażała sobie wyraz jego twarzy. Nie był zbyt miły.

- W ten weekend zabiorę ją na przejażdżkę - powiedział w końcu.

Było to pewne ustępstwo, niezbyt jednak wielkie, zważywszy, że rozmowa toczyła się w poniedziałek.

- Nie jestem w stanie zaradzić temu, co mnie spotkało. Ten stan może się przedłużać. Jeśli tak będzie, nie zamierzam tkwić w klinice tylko dlatego, że nie chcesz widzieć mnie w domu.

- Przestań tak mówić. Musisz tu zostać, żeby wrócić do zdrowia.

- Zdasz jeszcze zobaczyć się z Callie, zanim pójdzie spać. Proszę, jedź do domu i poczytaj jej przed snem. W moim imieniu.

- Dobrze, ale to ona będzie czytała, a ja będę słuchał. Powinna się wprawiać.

Od dawna sprzeczali się o to samo. Callie miała dysleksję, która utrudniała jej naukę czytania. Bard uważał, że gdy dziewczynka będzie często czytała na głos, zwalczy tę przypadłość. Nie obchodziło go, jak bardzo Callie się męczyła i jak nie znosiła narzucanych przez ojca ćwiczeń.

- Poczytaj jej, bardzo cię o to proszę. Będzie ćwiczyła się w czytaniu, gdy wszystko wróci do normy.

- Chcesz, abym spędzał z nią czas, ale tylko pod warunkiem, że będę ściśle stosował się do twoich wskazówek.

- Gdybyś spędzał z nią więcej czasu, nie potrzebowałbyś żadnych wskazówek - powiedziała Julia.

Stał teraz naprzeciwko niej. Nie słyszała nawet, kiedy podszedł.

- Dobrze, jeśli dzięki temu masz poczuć się lepiej, poczytam jej. Jednak ty przestań walczyć ze wszystkimi dookoła i skup się na tym, by znowu widzieć.

Nie miała siły powtarzać, że żadna koncentracja, choćby największa, nie przywróci jej wzroku.

- Postaram się - obiecała.

- To rozumiem. - Nachylił się i pocałował ją nie w policzek, lecz w usta.

- Zobaczymy się jutro?

- Byłoby cudownie. Mam nadzieję, że jutro rzeczywiście mnie... zobaczysz.

- Ja też.

- Wczesnym rankiem lecę do Richmond i wrócę dopiero wieczorem. Śpij dobrze.

Tego nie mogła mu obiecać.

- Ty też.

Cicho zamknął drzwi, zostawiając Julię z całym wachlarzem rozmaitych odczuć.

Nigdy zbyt dobrze nie radziła sobie z własnymi emocjami i czasami tylko pojmowała, czym karmi się jej twórcze ja. Celowo nie drażyła tego tematu, wychodziła bowiem z założenia, że bezpieczniej nie zgłębiać własnego wnętrza. Malarstwo, rysunek, rzeźba, to były jej środki wyrazu. Być może nie przynosiły wyjaśnienia, ale sprawiały, że czuła się lepiej. To wystarczało.

Nagle ogarnęła ją przemożna, zapierająca dech w piersiach tęsknota za szkicowaniem. Podeszła do biurka, wymacała szufladę, otworzyła ją i zaczęła sprawdzać zawartość. Nie znalazła nic poza, jak się domyślała, cienką książką telefoniczną, przedmiotem zupełnie zbędnym w pokoju pozbawionym telefonu, do tego zajmowanym przez osobę niewidomą.

Żeby nikt nie okradł żony, Bard zabrał jej torebkę, a wraz z nią pióro i notes, jedyne przybory, które pozwoliłyby jej rysować. Mój Boże, co za absurdalny pomysł. Niewidoma kobieta miałaby tworzyć jakieś szkice, których i tak nie mogłaby zobaczyć?

A jednak pragnęła to zrobić. Wydawało się jej, że jeśli nie zacznie wodzić ołówkiem po papierze, za chwilę umrze.

Rozległo się pukanie i do pokoju weszła Karen.

- Widziałam, jak mąż wychodził. Pomóc pani przygotować się do snu, pani Warwick?

Co za ulga! Julii do oczu napłynęły łzy.

- Karen, może zabrzmiało to śmiesznie, ale jestem artystką i chociaż nie widzę, muszę rysować. O ile nie sprawi ci to kłopotu, czy mogłabyś przynieść mi jakiś ołówek i kilka kartek?

Karen nie odpowiadała na tyle długo, że Julia zrozumiała: nic z tego.

- Doktor Jeffers zabronił. Wyraźnie powiedział całemu personelowi, że nie wolno dawać pani żadnych przyborów do rysowania.

- Dlaczego? - zdziwiła się Julia. - Boi się, że przebiję sobie gardło ołówkiem?

- Chyba... uważa, że rysując, uciekałaby pani od rzeczywistości. A on chce, żeby zmierzyła się pani ze swoim problemem.

Julia wzięła głęboki oddech.

- Chce pani, żebym zadzwoniła do niego do domu? - zapytała Karen pospiesznie. - Przekażę mu pani prośbę, może pozwoli ją spełnić, a może sam będzie chciał z panią porozmawiać na ten temat.

Julia podniosła dłoń, ucinając dyskusję. Doskonale wiedziała, co powie Jeffers. Żył przeszłością, kiedy jedyną uznaną metodą w psychiatrii była freudowska psychoanaliza.

- Przykro mi - usprawiedliwiała się Karen. - Nie zgadzam się z doktorem, ale gdybym zrobiła to, o co pani prosi...

- Położę się.

- Naprawdę bardzo mi przykro.

Julia była tak rozczarowana, że nie zdobyła się na żadną odpowiedź. Nie chciała, by zawiódł ją głos.

- Zasypię ogień na kominku. Już i tak prawie wygasł - dodała Karen.

Julia odczekała, aż pielęgniarka wyszła z pokoju. Wprost gotowała się ze złości. Dawno nikt nie potraktował jej tak okrutnie, tak niesprawiedliwie. W najgorszym momencie swojego życia tkwiła zamknięta między obcymi ludźmi, których nie mogła

zobaczyć, niczym więzień poddawana przestarzałym metodom leczenia, całkowicie zależna od kaprysów zniedołęźniającego psychiatry.

Nigdy nie miała buntowniczej natury, a w swoich wyborach życiowych kierowała się zazwyczaj dobrem innych ludzi. Nawet w swojej sztuce nie podejmowała eksperymentów, tylko malowała tradycyjne portrety i pejzaże. W szkole sztuk pięknych doprowadzała do rozpaczy profesorów, którzy, chwając jej talent, bardzo nalegali, by uwolniła się od konwencji.

Teraz wreszcie nadszedł czas, by to uczynić. Dotąd żyła zgodnie z zasadami - i jak na tym wyszła?

Targał nią gniew, którego nie potrafiła opanować.

Od strony kominka doszedł cichy trzask. Karen musiała zasypać ledwie tłący się ogień. Pozostały zwęglone polana.

Czarne jak węgiel do rysowania. Julia odrzuciła ten pomysł, który jednak po chwili, niczym diabelski podszept, wrócił. Wiedziała, że może wywołać pożar, a w najlepszym razie nigdy już nikt nie napali w jej pokoju, niezależnie od temperatury.

Podeszła do kominka i dotknęła dłońmi szklanych drzwiczek. Słyszała wcześniej odgłos ich otwierania, więc spodziewała się poczuć pod palcami szybę. Wymacała klamkę i otworzyła drzwiczki. Uklękła przy palenisku. Żar już wygasł, ogień rzeczywiście musiał być niewielki, tak jak mówiła Karen.

Powoli przesuając dłoń, znalazła wreszcie mały, wystygły kawałek drewna. Przez chwilę badała go w rękach. Szczapka z rozpalki, z jednego końca już zimna, z drugiego jeszcze gorąca. Julia szybko cofnęła dłoń i spróbowała zgasić rozżarzony koniuszek o ceglany cokół kominka. Kilka razy powtórzyła tę czynność, aż wreszcie przestała czuć żar pod palcami.

Nawet nie próbowała wyobrazić sobie, czego dokona tym zastępczym ołówkiem, i tak przecież nie ujrzy rezultatów. Liczył się sam ruch, przekładanie wizji na wodzenie dłonią uzbrojoną w narzędzie po gładkiej powierzchni.

Wstała i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że drży z podniecenia. Nie potrafiła powiedzieć, ile w nim jest upojenia buntem, a ile z oczekiwania artysty, gotującego się do

rozpoczęcia pracy. Niewiele ją to zresztą obchodziło. Za chwilę odmieni swoją sytuację, która stała się nie do zniesienia.

Znalazła wolny kawałek ściany, zastanawiając się przez chwilę, jakiego może być koloru. Żałowała, że wcześniej nie zapytała o to Barda albo Karen. Wyobraziła sobie, że jest biała, szybko jednak uznała, że to również nie ma znaczenia. Nie zobaczy przecież swojego rysunku.

Doktor Jeffers też raczej nie urządzi pokazu jej dzieła.

- Dobrze, że nie ma tapet - powiedziała głośno.

Wzięła głęboki oddech i rozpalona wyobraźnia stanęła w płomieniach.

## ***ROZDZIAŁ TRZECI***

Następnego ranka po wizycie u Julii Maisy została obudzona łomotaniem do drzwi frontowych. Długo w noc siedziała w pracowni i położyła się późno, a na ogół nie wstawała przed dziesiątą. Spojrzała na budzik. Dochodziła siódma.

Przewróciła się na bok i wyciągnęła rękę, ale Jake'a przy niej nie było. Pomyślała, że poszedł otworzyć, ale łomotanie rozległo się znowu, jeszcze głośniejsze i bardziej natarczywe.

Usiadła, usiłując przypomnieć sobie, jaki to dzień. Bez rezultatu. Wreszcie zwlokła się z łóżka, włożyła kaptcie i owinęła się czerwonym szlafrokiem. Schodząc po schodach, przeczesała palcami włosy. Kiedy wyjrzała przez okno na półpiętrze, wiedziała już, kto się dobija do drzwi. Westchnęła ciężko: o dziewięć lat za późno, żeby na powrót zanurkować pod kołdrę.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzyła je energicznym gestem i spod ciężkich od snu powiek spojrzała na swojego zięcia. Bard Warwick powtarzał nieodmienne, że gdyby Maisy potrafiła wyregulować swój wewnętrzny zegar, w jej życiu wreszcie zapanowałby ład.

- Coś złego stało się z Julią? Albo z Callie?

- Sam mógłbym ci zadać to pytanie.



Cofnęła się, robiąc mu przejście. Ubrany był w ciemny garnitur i krawat. Dopiero teraz zauważyła, że mży i Bard ma wilgotne włosy.

Według Maisy zięć uosabiał wszystko, co Wirginia miała do zaoferowania zarazem najlepszego, jak i najgorszego. Był inteligentny, dobrze zbudowany, wiedział, co to samodyscyplina, miał dobre maniery i wdzięk dżentelmena z Południa, ale obce mu były bezpośredniość i altruizm.

Natomiast Barda widzenie samego siebie przypominało dziwaczną mapę, na której on sam jest pępkiem świata, natomiast takie miejsciny jak Los Angeles, Hong Kong czy Londyn są tylko niewielkimi punktami. Od urodzenia miał wszystko, o czym dziecko może zamarzyć. Innego człowieka przywileje nauczyłyby może pokory, jednak dla niego stanowiły przydatne, służące jego wygodzie instrumenty.

Maisy obawiała się, że Julia jest dla niego niczym więcej, jak kolejnym zasłużonym darem losu. Człowiek, któremu wszystko przychodzi łatwo, często traci wszelkie punkty odniesienia, a z nimi konieczną orientację życiową.

- Skoro już wstałam, możemy napić się kawy. - Ruszyła w kierunku kuchni, wiedząc, że jej poranny strój musiał wywołać w zięciu kolejny odruch niezadowolenia.

- Nie będę pił kawy. Spieszę się na lotnisko. Chciałem tylko zamienić z tobą kilka słów, Maisy.

- Nie jestem w stanie rozmawiać bez kawy. W każdym razie nie przed południem.

Pewna, że Bard pójdzie za nią, ruszyła przez sieni zagraconą najróżniejszymi i najdziwniejszymi przedmiotami, które zebrała w swojej pełnej przygód podróży przez życie. Dopiero gdy skrzyła w prawo, usłyszała za plecami kroki zięcia. W kuchni zaprosiła go gestem, żeby usiadł, i wyjęła puszkę z kawą.

- Czemu zawdzięczam twoją wizytę?

Usiadł ostrożnie, jakby nie był pewien, na co natknie się pod stołem, jeśli wyciągnie nogi. W domu zawsze było czysto, ale nie tylko w sieni panował wieczny nieład. Maisy była zbieraczką. Nie gromadziła starych gazet i kartonowych pudeł, które „kiedyś mogą się przydać”, natomiast kolekcjonowała porcelanowe figurki, koronki, guziki, rękawiczki, litografie, poźółkłe książki. W każdym przedmiocie potrafiła odczytać jego historię, każdy otoczony był szczególną aurą. W oczach Barda pasja Maisy zakrawała na manię.



- Słyszałem, że byłaś wczoraj u Julii.

Postawiła puszkę z kawą koło dzbanka, w szufladzie zaczęła szukać filtra.

Odgarnęła urodzinowe świece, serwetki, kilka kłębków sznurka, kupony na pizzę i wreszcie uświadomiła sobie, że szuka nie w tej, co trzeba, szufladzie.

- Owszem. Odsunąłeś ją na bok, jakby była wczorajszą pocztą.

- Zabawne określenie, ale zupełnie nieprawdziwe. Julia potrzebuje pomocy. Nie widziałem innego rozwiązania.

Zaskoczyło ją autentyczne przygnębienie w głosie Barda. Tego się nie spodziewała.

- Powinna być wśród tych, którzy ją kochają, a nie między obcymi ludźmi.

- Maisy, znam cię wiele lat. Zajmowałaś się muzyką, byłaś rzeczniką Mary Kay\*, pracowałaś dla jakiegoś orientalnego guru z nieświeżym oddechem i brudnymi stopami, byłaś też wegetarianką i członkinią ezoterycznej sekty. Teraz wcieliłaś się w rolę psychologa?

- Tu nie trzeba psychologa, Bard. Wystarczy odrobina zdrowego rozsądku.

\* Margaret Kay - właściwie Katharine Graham. Wybitna dziennikarka amerykańska, wydawca „Washington Post”. (Przyp. red.).

Trzeba oddać mu jedno: nie wytknął Maisy, że zdrowy rozsądek nie jest jej najmocniejszą stroną.

- Wiesz, co Julia zrobiła wczoraj wieczorem?

- Czuję, że się ze mną podzielisz tą wiadomością.

- Nabazgrała rysunek na ścianie. Wyjęła zwęglony kawałek drewna z kominka, z cholernego kominka, za który płacę fortunę, żeby było jej przyjemnie, i zaczęła bazgrać na ścianie. Jak jakiś jaskiniowiec.

Było to tak niepodobne do Julii, że Maisy w ułamku sekundy musiała zrewidować całą swoją wiedzę na temat charakteru córki.

Bard zaśmiał się krótko, ponurym śmiechem.

- Zdaje się, że cię zaskoczyłem.

- Dlaczego nie poprosiła o papier i ołówek?

- Widocznie nie chciała.

Maisy pomyślała, że Julia zachowała się jak osoba znajdująca się na skraju wyczerpania nerwowego, która ma wszystkiego dość.

- A dostałaby je, gdyby się o nie zwróciła?

- Doktor Jeffers uważa, że Julia potrzebuje spokoju i odpoczynku.

Zaczynała powoli rozumieć.

- W związku z tym żadnych przyborów.

- Julia nie musi rysować, natomiast powinna rozmawiać i opowiadać o swoich kłopotach. A poza tym, do diabła, przecież nie widzi! Straciła wzrok albo udaje, że oślepla.

Maisy osłupiała.

- Nie wierzysz jej? Myślisz, że symuluje? Moja córka nie jest doskonała, ale na pewno nie kłamie.

- Nie? Jest kilka rzeczy w jej przeszłości, które starannie przemilcza.

- Bard, Julia naprawdę nie widzi. Jeśli uważasz, że mogłaby...

- Wiem. Ona myśli, że nie może widzieć. Wierzę jej, ale z jej oczami nie dzieje się nic złego, przecież lekarze niczego nie znaleźli.

- Tyle tylko, że ona nie widzi.

Uderzył pięścią w stół, po raz kolejny zaskakując Maisy tym wybuchem złości.

- Po tym, co zrobiła wczoraj wieczorem, trudno cokolwiek pewnego powiedzieć w tej sprawie.

- Mylisz się. Jej zachowanie jest jeszcze jednym dowodem na to, że nie powinna przebywać w klinice.

- Dość tego! - Bard oparł głowę na dłoniach. - Dopóki tam jest, nie będziesz jej odwiedzała. Doktor Jeffers uważa, że to, co wczoraj zrobiła, jest efektem twojej wizyty. Ja też jestem tego zdania. Dzwonił do mnie mniej więcej godzinę temu, był bardzo zdenerwowany. - Uniósł wzrok. - Zrozum, nie kierują mną żadne osobiste pobudki. Po prostu nie chcę, żebyś przeszkadzała w terapii. Julia jest moją żoną.

- I moją córką.

Odepchnął krzesło i podniósł się zza stołu.

- Zwykle jesteś nieszkodliwa, ale teraz twoje wizyty mogą skrzywdzić Julię. Ona musi w spokoju przemyśleć wiele rzeczy. Dopóki nie odzyska wzroku, nie zbliżysz się do niej na krok. Nie dopuszczę do tego.

- Do czego nie dopuścisz? - rozległ się od drzwi męski głos.

Maisy odwróciła się i zobaczyła męża w płaszczu przeciwdeszczowym. Nie zważając na pogodę, Jake zawsze rozpoczynał dzień od długiego spaceru. Po tylu latach spędzonych z niespokojną żoną, być może w ten sposób próbował nadać przewidywalny, stały rytm swojemu życiu.

- Nie chcę, żeby Maisy widywała się z Julią. - Bard podszedł do Jake'a. - Postarasz się przemówić jej do rozumu?

- Maisy nie słucha niczyich poleceń - powiedział Jake bez uśmiechu. - To jedna z jej najlepszych cech. Jeśli uzna, że powinna zobaczyć się z córką, zrobi to.

Na twarzy Barda odbijały się najróżniejsze emocje. Maisy przyglądała mu się tak zafascynowana, iż zapomniała się oburzyć, że próbuje nastawiać męża przeciwko niej. Postanowiła podjąć jeszcze jedną próbę, by przekonać zięcia do swoich racji.

- Zaproponowałam Julii, żeby zamieszkała u nas, jeśli nie chcesz jej w Millcreek. Cały dzień jestem w domu i mogłabym się nią zająć...

- Maisy, na litość boską, ona nie potrzebuje twojej opieki! Julia musi odzyskać wzrok. Jak będziesz koło niej biegała i podsuwała jej wszystko pod nos, tylko ją zdemobilizujesz.

Jake się wtrącił:

- Uważasz, że twoja żona straciła wzrok po to, by inni się nią opiekowali?

- Rozumiem, że jesteście do niej przywiązani - zaczął Bard bezbarwnym głosem - ale to ja jestem odpowiedzialny za jej powrót do zdrowia. Trzymajcie się od niej z daleka, proszę. Kiedy doktor Jeffers uzna, że może ją wypisać z kliniki, wtedy zastanowimy się nad najlepszym rozwiązaniem.

- Julia sama odpowiada za siebie, również za swój powrót do zdrowia - powiedziała Maisy, uważnie dobierając słowa.

Bard pokręcił głową.

- Jeśli nadal będziesz się upierała przy swoim zdaniu, zmusisz mnie, żebym jasno wyłożył doktorowi Jeffersowi to, co myślę.

- Jestem pewien, że już to zrobiłeś. Masz do nas coś jeszcze? - Jake odsunął się, dając zięciowi do zrozumienia, że ma wyjść.

Bard ruszył ku sieni.

- Później porozmawiamy.

Maisy nic nie odpowiedziała, a Jake odezwał się dopiero wtedy, gdy trzasnęły drzwi frontowe.

- Wszystko w porządku?

- Ciągłe muszę pamiętać, żeby przez wzgląd na Julię i Callie być miłą dla Lombarda Warwicka. Nawet kiedy zachowuje się jak ostatni drań.

- Jemu też jest ciężko, Maisy. Próbuje jakoś ogarnąć sytuację, poradzić sobie z tym, co na niego spadło, a co go przerasta.

- Wydając polecenia i nieustannie podejmując decyzje za innych.

- Nie jest taki zły. Wydaje mu się, że robi to wszystko w najlepiej pojętym interesie Julii.

Maisy napełniła dzbanek wodą i włączyła ekspres.

- Powiedział, że na ogół jestem nieszkodliwa.

Jake parsknął śmiechem.

- Nie zna cię aż tak dobrze, jak mu się wydaje.

Maisy uśmiechnęła się i natychmiast spoważniała.

Powtórzyła Jake'owi, co usłyszała od Barda na temat wczorajszego zachowania córki.

- Zamierzam jechać do niej dzisiaj.

- Chcesz, żebym pojechał z tobą?

Maisy zastanawiała się przez chwilę, wreszcie pokręciła głową.

- Nie. Jedno z nas musi pozostać w łaskach Barda. Jeśli zostaniesz w domu, będziemy mogli zachować pozory, że się ze mną nie zgadzasz.

- A to pozory?

- A zgadzasz się?

Jake podszedł do kredensu, wyjął kubki i postawił na blacie obok ekspresu, a potem sięgnął po śmietankę do lodówki.

- Jeśli jedziesz, żeby się upewnić, czy Julia może decydować o swojej dalszej kuracji, masz moje pełne poparcie.

- Chcę dla niej jak najlepiej. Postawił śmietankę koło kubków.

- Zupełnie jakbym słyszał Barda.

Satysfakcja z buntu trwała zaledwie do wczesnego ranka. Julia usłyszała, jak siostra wchodzi do pokoju, potem dobiegł ją cichy odgłos gwałtownie łapanego powietrza i odgłosy pospiesznego wyjścia.

Koniec zabawy!

Zaraz po śniadaniu zawiadomiono Julię, że lada chwilą odwiedzi ją doktor Jeffers.

Usiadła przy oknie i zasłuchiwała się w bębnienie jesiennego deszczu o szyby.

Wyobraziła sobie ciężkie od wilgoci liście, opierające się porywom wiatru. Na jak długo starczy im sił? Kiedy wreszcie ulegną przemożnej sile?

- Mieliśmy zatem protest, Julio.

W momencie, kiedy usłyszała głos Jeffersa, ulotniła się cała skrucha. Gdyby nie przemawiał do niej jak do osoby posiadającej iloraz inteligencji dżdżownicy, być może nawet przeprosiłaby za to, co zrobiła.

- Nie może mnie pan powstrzymywać od robienia czegoś, co poprawia mi samopoczucie - oświadczyła ze złością.

- Uważasz, że smarowanie węglem po ścianach wpływa dodatnio na twój nastrój?

Powtarzała sobie, że nie wolno jej podejmować narzucanej przez Jeffersa gry.

- Gdy tu się zjawiłam, oczekiwałam, że będę musiała podporządkować się obowiązującym w klinice zasadom, ale to, co pan zrobił, jest zwykłym okrucieństwem. Bezwzględnie stosuje pan system kar i nagród. Wciąż pan narzeka, że nie chcę z panem współpracować, więc pozbawił mnie pan rzeczy, które mają dla mnie największe znaczenie.

- Mówisz tak, jakbyś nie wierzyła w szczerą moich intencji.

Zastanawiała się przed moment.

- Nawet jeśli panu się zdaje, że działa pan dla mojego dobra, rezultat jest odwrotny.

- To znaczy?

- Przestańmy przerzucać się słowami. Mój stan na pewno się nie polepszy, jeśli będziemy przez cały czas prowadzić utarczki. Chcę zostać w klinice, ale muszę mieć pozwolenie na odwiedziny i przybory do rysowania.

- Przecież nie widzisz.

- Ale w mojej wyobraźni widzę obrazy tak wyraźnie, jak widziałam je przed utratą wzroku.

- Opowiedz mi o nich. Znowu się zastanowiła.

- O ile spełni pan moje prośby. Jeffers zaśmiał się sucho.

- A więc tak wygląda twoje życie, Julio? Zaczynasz rozmawiać z ludźmi dopiero wtedy, kiedy spełnią twoje żądania?

- Normalny, zdrowy człowiek nie ma ochoty dawać, dopóki nie nabierze przekonania, że otrzyma coś w zamian. Proszę o bardzo zwyczajne rzeczy, o coś, co wydaje się zupełnie oczywiste.

- Zważywszy, że nie miałaś odpowiednich przyborów i nie mogłaś widzieć swojej pracy, trudno powiedzieć, co chciałaś narysować, ale mam wrażenie, że chodziło ci o pejzaż. Wzgórza? Strumień?

- Mam wrażenie, że nie doszliśmy jeszcze do porozumienia.

Usłyszała ciche westchnienie.

- Muszę się zastanowić.

Skrzypnęło krzesło. Widocznie Jeffers wstał.

- Doktorze Jeffers, powiedzmy sobie jasno: pańska klinika nie jest dla mnie najlepszym miejscem. Jestem o tym absolutnie przekonana. Jeśli nie dojdziemy do porozumienia, wypiszę się.

- Nie wiem, czy będę mógł ci na to pozwolić. Julia nie wierzyła własnym uszom.

- Zgłosiłam się tutaj dobrowolnie. Czyżby zamierzał mnie pan tu więzić siłą? I czyżby pan uważał, że niewidoma kobieta może stanowić dla kogokolwiek zagrożenie?

- Możesz stanowić zagrożenie dla samej siebie, co udowodniłaś ostatniego wieczoru. Cud, że nie spaliłaś kliniki.

Ogarnęła ją panika, która powoli stawała się jej dobrą znajomą.

- Ogień był wygaszony, a ja postępowałam bardzo ostrożnie.

- Moim zdaniem jesteś w głębokiej depresji, a przy tym przejawiasz agresję, co jest bardzo niebezpiecznym połączeniem.

O dziwo, Julia poczuła ogromną ulgę. Po panice nie zostało śladu. Wiedziała, co powinna robić.

- Chyba nie mamy sobie już nic więcej do powiedzenia.

Julia żałowała, że nie może widzieć wyrazu twarzy doktora. Odezwał się jeszcze od drzwi:

- Za chwilę przyjdzie do ciebie internista.

- Zrobiono mi wszystkie badania w szpitalu.

- O to też będziesz się kłócić? My jesteśmy skrupulatni. O szesnastej trzydzieści zobaczymy się na kolejnej sesji.

Nie zobaczymy się, doktorze, pomyślała. O szesnastej trzydzieści już mnie tu nie będzie.

Wszystkie wątpliwości, jakie jeszcze miała, rozwiały się wobec pogroźek Jeffersa.

O trzeciej po południu Julia usłyszała warkot pickupa Jacka. Kwadrans po trzeciej wiedziała już, że Maisy musi mieć kłopoty, bo nie pojawiła się dotąd w jej pokoju. Zadzwoiła na Karen i czekała niecierpliwie na pielęgniarkę.

- Karen, wiem, że przyjechała moja matka. Możesz sprawdzić, co ją zatrzymało?

W głosie siostry brzmiało współczucie:

- Nie chcą jej wpuścić na górę, pani Warwick. Doktor Jeffers mówi, że jej wizyty szkodzą prowadzonej terapii. Wydał polecenie strażnikom. Przykro mi.

- Jest tutaj jeszcze? Karen zniżyła głos.

- Zaraz sprawdzę. Mam jej coś przekazać?

- Powiedz jej, żeby na mnie zaczekała.

- Zaczekała?

Julia podniosła się z krzesła.

- Wracam do domu. Nie zamierzam tu spędzić ani jednego dnia dłużej.

- Nie może pani tego zrobić! Przecież zgłosiła się pani na leczenie do naszej kliniki.

- I właśnie się wypisuję. Zaraz. Powiedz mojej matce, że za chwilę będę na dole.

- Nie ma doktora Jeffersa...

- Tym lepiej.

- Nie mogę pani sprowadzić na dół. Mam wyraźne polecenia...

- W takim razie sama znajdę drogę, ale jeśli przy okazji skrucę sobie kark i w ten sposób zakończę życie, moja matka puści waszą klinikę z torbami. - Julia ruszyła do drzwi. Gdy przeszła obok biurka i komody, zderzyła się z Karen.

- Będziemy mieć przez panią straszne kłopoty. - W głosie pielęgniarki zabrzmiała błagalna nuta.

Julia zawahała się na moment, w końcu pokręciła głową.

- Przykro mi. Powiesz Jeffersowi prawdę: że próbowałam mnie zatrzymać i przemówić do rozsądku, ale nie chciałam cię słuchać. Bo taka też jest prawda.

- Proszę mi pozwolić zadzwonić do niego.

- Rób, co chcesz. Zanim zdąży wrócić, mnie już tu nie będzie.

- Porozmawiam z pani mężem.

- Powodzenia. Nie należy do zbyt cierpliwych słuchaczy.

- Proszę tego nie robić! Niech pani zaczeka, aż... Drobna Julia wyprostowała się.

- Zejdź mi z drogi.

- Zrobi sobie pani krzywdę. - Karen była bliska płaczu.

- Mam nadzieję, że się odsunęłaś. - Ruszyła ku drzwiom, pod drodze ocierając się o siostrę.

Na korytarzu zatrzymała się, nie wiedziała bowiem, w którą stronę powinna pójść. Pamiętała, że koło dyżurki pielęgniarek jest winda, ale trzeba było mieć do niej klucz. Doktor Jeffers przeproszał ją, że nie ma żadnego wolnego pokoju na parterze i obiecał przenieść ją na dół, jak tylko coś się zwolni. Trudno, jakoś musi znaleźć schody.

- Oczywiście mi nie pomożesz - zwróciła się do Karen.

- Nie mogę - oznajmiła pielęgniarka i ściszym głosem dodała: - Jest pani absolutnie pewna swojej decyzji?

- Wychodzę stąd.

Karen jeszcze bardziej zniżyła głos:



- Proszę iść w prawo, potem skręcić w lewo. Schody są po prawej stronie, na samym końcu korytarza. Będę tam na panią czekała.

Julia zrozumiała. Nikt nie będzie obwiniał Karen o to, że pomogła zejść pacjentce po schodach, gdy już się na nich znalazła, jednak Julia musiała dotrzeć do nich samodzielnie.

Wzięła głęboki oddech, pocieszając się, że w najgorszym razie sturla się na dół. Zrobiła pierwszy krok, potem drugi. Na korytarzu panowała upiorna cisza. Ciekawe, gdzie są inni pacjenci? - przemknęło jej przez głowę. Robią doniczki i gliniane figurki na terapii zajęciowej? Od chwili kiedy się pojawiła w klinice, nie spotkała nikogo. Nie poznała innych pacjentów. No cóż, widocznie doktor Jeffers naprawdę bardzo chciał, by została sama ze swoimi myślami.

Szła powoli wzdłuż ściany i z każdym krokiem bała się coraz bardziej, lecz możliwość, że zostanie w klinice, była jeszcze bardziej przerażająca. Za kilka dni depresja, o której wspominał doktor Jeffers, stałaby się czymś równie rzeczywistym, jak otaczający ją mrok.

Spocona i drżąca, dotarła wreszcie do końca korytarza. Gdy wyciągnęła przed siebie ręce, nie natrafiła na żadną przeszkodę. Wynikało z tego, że doszła do zakrętu, o którym mówiła Karen. Musi się spieszyć. Wprawdzie matka nie wyjdzie z kliniki bez awantury, liczyła się jednak każda minuta.

Zrobiła kolejny krok, potem następny, potknęła się o coś i upadła na kolana, a na policzku poczuła gałąź drzewa. Stłumiła szloch. Musiała natrafić na jakiś ozdobną roślinę.

Oparła się o donicę i wstała. Nic się nie stało, to tylko upadek. Musi iść dalej, nie może się poddać.

Prawie na końcu drugiego korytarza usłyszała ostrzegawczy głos. O sekundę za późno. Zawadziła o coś, co wydawało się skrajem dywanu, i upadła jak długa. Przez chwilę nie mogła złapać tchu, poczuła silny ból w prawym kolanie. Zanim zdążyła się podnieść, silne ramiona postawiły ją na nogi.

- Cholera! - Karen prawie płakała. - Niech mnie zwolnią, wszystko mi jedno. Znajdę inną pracę. Jeśli pani matka już odjechała, sama zawiozę panią do domu. Mam małego synka i nie chciałam...

Julia dotknęła dłoni dziewczyny.

- Będę potrzebowała pomocy. Zostań u mnie, przynajmniej do czasu, gdy nie znajdziesz lepszej pracy.

- Wolę pakować hamburgery w McDonalddie, niż być tutaj.

- Poszukajmy mojej matki.

- Da pani radę zejść po schodach? Julia uśmiechnęła się słabo.

- Zrobię wszystko, żeby się stąd wydostać.

- Będę panią podtrzymywała. Proszę iść ostrożnie.

Z pomocą Karen pokonanie schodów okazało się o wiele prostsze, niż mogła przypuszczać.

## **ROZDZIAŁ CZWARTY**

Współwięźniowie w Ludwell State Prison nie próbowali zaczepiać Christiana Carvera, choć na początku było inaczej. Gdy trafił tu jako przerażony dwudziestotrzylatek, silny, wysportowany i szczupły, budził powszechne zainteresowanie. Wtedy jeszcze nie wiedział, jak ważne jest nic nie czuć, ale też nie miał nic do ukrycia.

Dostał twardą lekcję i, skazany na dożywocie, w ciągu kilku miesięcy nauczył się, jak należy postępować, by przetrwać w więzieniu. Z kim się zaprzyjaźnić, kogo nie spuszczać z oka. Jak znosić hałas i smród. Jak znaleźć wspólny język z włamywaczami, podpalaczami, mordercami starych kobiet i gwałcicielami nieletnich. Jak wyciszyć trawiące go gniew i nienawiść.

Na ile to możliwe, pogodził się ze swoim życiem. Jeden ze strażników wziął Christiana pod swoje skrzydła i przeniósł go do celi, w której siedział stary człowiek skazany za zabójstwo żony.

Alf Johnson pomógł umrzeć ukochanej Doris, gdy postępujący rak płuc zamienił jej życie w koszmar, praktycznie uniemożliwiając oddychanie.

Taki czyn, przed precedensowym procesem Kevorkiana\*, prawo traktowało jako morderstwo z premedytacją.

\* Jack Kevorkian - „Doktor Śmierć”, amerykański lekarz, zwolennik eutanazji, pomógł umrzeć co najmniej stu trzydziestu osobom. W 1999 roku skazany na wieloletnie więzienie. (Przyp. red.).

Alf poświęcał czas w więzieniu na doksztalcanie się, a także zaopiekował się młodym współtowarzyszem. Wkrótce umarł, ale przez rok, który spędzili razem, skutecznie nauczył Christiana, jak żyć za kratkami.

- Nie udzielam rad. - Spojrzał na złotego retrievera o lśniącej sierści i wielkich brązowych oczach, które zdawały się zauważać absolutnie wszystko. - Siadaj, Seesaw - powiedział do szczeniaka.

Suka usiadła posłusznie, chociaż jej małe pulchne ciało roznosiła energia.

Christian pogłaskał ją po łbie, chwając za posłuszeństwo.

- Nie potrzebuję rady - obruszył się mężczyzna siedzący koło Christiana. - Powiedz mi tylko, co mam zrobić, żeby Tyrell się ode mnie odczepił.

- Na jedno wychodzi. - Christian założył suce smycz. - Noga, Seesaw.

- Siedzisz tutaj tyle czasu... Christian wyprostował się.

- I długo jeszcze będę siedział, dlatego nie chcę żadnych kłopotów.

- A jakie będziesz miał kłopoty, jeśli mi powiesz, co mam robić? - Młody człowiek ruszył powoli za Christianem wzdłuż wybiegu, na którym więźniowie tresujący psy szkolili swoich podopiecznych. Timbo Baines, czarnoskóry, śmiertelnie wystraszony chłopak, niedawno trafił do Ludwell. Na mentora wybrał sobie Christiana, co go specjalnie nie cieszyło, ale nie potrafił powiedzieć chłopcu, żeby się od niego odczepił.

- Posłuchaj, Timbo, Tyrell ma tutaj wielu przyjaciół. Pogadaj z nimi, oni pogadają z nim. Napomknij o mnie.

- Może wystarczy, żebym go unikał?

- To podstawowa sprawa. - Christian zatrzymał się i łagodnie zbesztął psa, który zaczął ciągnąć do przodu. - On szybko zapomina.

- On? - zdziwił się Timbo. - Myślałem, że Seesaw to suka.
- Mówię o Tyrellu.
- Aha. Rozumiem.
- Możesz pochodzić z Seesaw? Nie podnoś głosu i chwal ją, jeśli będzie posłuszna.

Nie szarp za smycz.

- Nie wiem, jakim cudem zostałem treserem.
- Miałeś szczęście. - Większe niż wtedy, gdy go złapano, jak sprzedawał kokainę nastolatkom zwiedzającym Richmond.

Christian ruszył w kierunku psich kojców.

Nie zauważył wielebnej Berthy Petersen, tęgiej, pięćdziesięciokilkuletniej kobiety w dżinsach i podkoszulku, z bandaną na czole. Obok niej stał strażnik, który bacznie śledził każdy krok więźniów.

Christian podszedł do Berthy.

- Dzień dobry, pani pastor. Nie spodziewaliśmy się dzisiaj pani.
- Miło cię widzieć. Jak tam nowe szczeniaki?
- Za wcześnie, żeby je oceniać, ale, jak dotąd, nie sprawiają kłopotów. Labradorka jest trochę nadpobudliwa, ale znajdziemy na nią sposób.

Bertha Petersen była prezesem fundacji zajmującej się więźniami i kapłanem niewielkiego fundamentalistycznego kościoła o bardzo długiej nazwie. Podczas gdy jej współwyznawcy usiłowali nawracać „niewiernych”, ona poświęcała całą energię pracy społecznej.

Fundacja zajmowała się szkoleniem psów dla ludzi niepełnosprawnych. Ludwell było pierwszym więzieniem, w którym tresowano psich przewodników dla osób niewidomych. Rocznie wychodziły stąd dwadzieścia cztery psy, które, po końcowym przeszkoleniu na wolności, trafiały do nowych, niecierpliwie oczekujących na nie właścicieli. Christian od dwóch lat kierował wymyślonym przez Berthę programem.

- Wpadła pani sprawdzić, co u nas słychać?
- Lubię trzymać rękę na pulsie. - Bertha zerknęła na strażnika i ponownie zwróciła się do Christiana: - Pokaż mi, jak idzie trening. Ile psów macie w tej chwili?

W Ludwell realizowano dwa programy. Pierwszy polegał na szkoleniu szczeniaków, drugi obejmował młode psy, które zdążyły już zapoznać się ze swoim przyszłym domem.

Christian chętnie brałby udział w ostatnim etapie szkolenia swoich podopiecznych, ale to wymagało wyjścia do miasta i tresury na ulicach, lub też pobytu w więzieniu niewidomej osoby, dla której przeznaczony był dany pies. Administracja Ludwell nie mogła jednak wyrazić zgody ani na jedno, ani na drugie.

Lecz jakie to miało znaczenie wobec innych i znacznie poważniejszych niedogodności życia za więziennym murem?

- W tej chwili zostały nam cztery psy z dziesięciu, które ostatnio do nas trafiły.

Pani pastor zwróciła się do strażnika:

- Możemy przejść do drugiego kojca?

Strażnik nie odpowiedział od razu. Rzucił kilka słów do krótkofalówki, po czym skinął głową.

Drugi kojec znajdował się za stalowymi drzwiami. Bertha i Christian musieli chwilę poczekać, aż drzwi się otworzą, po czym ruszyli powoli krótkim korytarzem monitorowanym przez zawieszone po obu stronach kamery wideo. Drugi kojec wyglądał podobnie jak pierwszy, miał tylko znacznie dłuższy wybieg i okno wychodzące na więzienny, otoczony wysokim murem dziedziniec.

Dyżurujący tu strażnik był przyzwyczajony do widoku Christiana, dlatego nie zwracał na niego uwagi, natomiast z uwagą obserwował innego więźnia, którego pies pokonywał tor przeszkód. Brązowy labrador w szelkach prowadził swojego tresera przez labirynt, a Javier Garcia, potężny mężczyzna w niebieskich dżinsach, podążał się za nim.

Christian i Bertha stanęli przy barierce i zaczęli przypatrywać się szkoleniu.

- To Cocoa. Ma jeszcze kłopoty z przeszkodami, które pojawiają się na wysokości głowy człowieka. Psy są uczone, by ostrzegały niewidomych przed nisko zwieszającymi się gałęziami drzew, markizami nad chodnikiem i tym podobnymi niebezpieczeństwami, nawet jeśli niczego nieświadomy właściciel każe swemu przewodnikowi iść dalej. Nazywa się to „inteligentnym nieposłuszeństwem”. W tym przypadku instynkt psa musi wziąć górę nad poleceniem pana.

- Poradzi sobie?

- Cocoa to mądra suka. Na pewno sobie poradzi, ale w zeszłym tygodniu musieliśmy zrezygnować z jednego psa. Bał się hałasów, był wyjątkowo nerwowy jak na labradora, musieliśmy więc dać sobie spokój z jego szkoleniem.

Pani pastor przez chwilę w milczeniu obserwowała, jak Javier i Cocoa bez problemów pokonują labirynt, po czym obróciła się do Christiana.

- Długo zastanawiałam się, czy ci o tym mówić. Czekał spokojnie. Tę cechę również musiał wykształcić sobie w więzieniu.

- Doszły mnie pewne słuchy - dodała po chwili.

Bertha, która odwiedzała różne więzienia, musiała słyszeć wiele plotek. Ludwell nie było jedynym zakładem karnym, w którym szkolono psy.

- Mogę mieć kłopoty, bo postępuję wbrew przepisom, ale co tam - mruknęła nonszalancko.

- Słucham.

- Słyszałeś coś o Karlu Zandoffie?

Christian, jeśli tylko miał okazję, łapczywie czytał gazety, dlatego skinął głową i powiedział:

- Czeką na wyrok śmierci w więzieniu na Florydzie. Oddalono ostatnią apelację.

- Tak, datę egzekucji wyznaczono na grudzień.

- I wszystko wskazuje, że to ostateczny termin.

- Zaczął mówić, zażądał widzenia z prokuratorem... - Bertha zawiesiła głos.

- Co miał mu do powiedzenia?

- Wie, że przegrał, dlatego przyznał się do jeszcze jednego morderstwa, o które nikt go nie podejrzewał.

- Człowiek się łamie, kiedy Kostucha wyciąga po niego dłoń.

- Mówią, że jeszcze niejedno wyzna przed egzekucją.

Christian zaczął uważniej słuchać.

- Może lżej mu będzie umierać, jak wyrzuci z siebie wszystko. Pani chyba w to wierzy?

- A ty?

- Trudno mi znaleźć Boga w więzieniu. Pani pastor, gdybym miał coś do wyznania, już dawno zrobiłbym to przed swoim adwokatem.

Christian najwyraźniej nie rozumiał, do czego zmierza Bertha.

- Zandoff wskazał miejsce, gdzie zakopał ciało dziewczyny. Znalezione je. Rodzice będą wreszcie mogli ją pochować.

- Dziewczyny?

- Studentki college'u z Tennessee, która zaginęła przed dziesięciu laty.

- Myślałem, że grasował tylko na Florydzie.

- Wznowiono dochodzenia dotyczące kilku innych niewyjaśnionych morderstw dokonanych tu, na Południu. Wygląda na to, że Zandoff przez jakiś czas kręcił się po świecie i zmieniał pracę, aż w końcu osiadł z żoną i dziećmi w Sunshine State. I nadal mordował.

Christian słyszał, że u Zandoffa znaleziono złotą klamrę do włosów z monogramem ofiary i szpadel pokryty świeżą gliną, a wkrótce potem odkopano dwa ciała ledwie przykryte ziemią. Właśnie za te zbrodnie został aresztowany.

Christian wpatrywał się w twarz pani pastor. Z wybiegu dochodził głos Javiera, który chwalił Cocoę za to, że dobrze się spisała. Niewiele czasu zostało im na rozmowę, bo za chwilę Javier miał do nich dołączyć.

- Nie rozumiem, dlaczego mówi mi pani to wszystko. Nie jestem Karlem Zandoffem. Nikogo nie zabiłem. Jeśli myśli pani, że przykład Karla poruszy moje sumienie, to proszę się nie wysilać.

Pani pastor pokręciła głową z politowaniem.

- Trochę cię poznałam i wiem, że nie zabiłeś Fidelity Sutherland.

- Byli tacy, którzy znali mnie tak dobrze jak samych siebie i wcale nie mieli tej pewności. - Szczególnie pewna kobieta, której twarzy nie był w stanie wymazać z pamięci.

Bertha spojrzała na wybieg.

- Mówię ci to wszystko dlatego, że doszły mnie pogłoski, jakoby Zandoff mniej więcej przed dziesięciu laty grasował w północnej Wirginii. Daje do zrozumienia, że i tam popełnił morderstwo.



Przez moment Christian nie był w stanie dostrzec związku, wreszcie wzruszył ramionami.

- Setki ludzi znikają co roku w niewyjaśnionych okolicznościach.

- Pracował w Wirginii na budowie. Prokuratura to sprawdziła.

- Skąd pani wie to wszystko?

- Od kogoś, kto zajmuje się jego sprawą. Chciałabym zadzwonić do twojego adwokata. Powinien zażądać rewizji wyroku.

Do barierki podszedł Javier z Cocoą. Miał ciemne, długie włosy i zaskakująco szczupłą twarz przy swojej potężnej posturze.

- Widzieliście? Zaczyna rozumieć, o co chodzi. Reaguje na najłżejsze pociągnięcie smyczy, prowadzi spokojnie. Będzie idealnym przewodnikiem dla drobnej kobiety.

- Witaj, Javier - przywitała go Bertha serdecznie. - W zeszłym tygodniu rozmawiałam z twoją żoną.

Więzień rozpromienił się.

- Jak sobie radzi?

- Mówi, że masz duże szanse na ułaskawienie. Chyba powinnam zacząć szukać pracy dla ciebie.

- Zrobi to pani?

- Oczywiście.

Nie było rzeczy, której Bertha nie uczyniłaby dla więźniów. Nawet jeśli wszystko świadczyło przeciwko nim, ona niezłomnie wierzyła w każdego, choćby najbardziej zatwardziałego kryminalistę. Dogadywała się z najgorszymi zbrodniarzami równie łatwo, jak z kaznodziejami swojej kongregacji. Nie kierowała nią czułościowa naiwność, po prostu trwała w przekonaniu, że Bóg nigdy jej nie opuszcza.

- Chcesz, żebym zadzwoniła? - zwróciła się do Christiana.

Wzruszył ramionami, zły, że przez chwilę dał się omamić nadziei. W przeciwieństwie do poczciwej pani pastor nie żywił żadnych złudzeń. Boga nie obchodził los Christiana Carvera. Światło idące z nieba nie przenikało przez grube mury więzienia.

- Rozumiem, że się zgadzasz - powiedziała Bertha z uśmiechem. - Panowie, zostawiam was. Nie chcę przeszkadzać wam w pracy.



- Nie ma pojęcia, jakie z nas dranie - westchnął Javier, kiedy Bertha znikła za drzwiami.

- Wie, ale się tym nie przejmuję. - Christian skrzywił się. - Bóg nie zasługuje na kogoś takiego jak ona.

- Ej, pójdiesz do piekła za takie gadanie.

- Już tam byłem. - Christian powoli się oddalił.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Julia miała ochotę nieco się poruszać, tymczasem każdy krok groził katastrofą. Wprawdzie wychowała się w tym domu, lecz wszystko się tu zmieniło. Zresztą, tak było zawsze. Często po powrocie ze szkoły stwierdzała z niechęcią, że Maisy przemeblowała ich sypialnię lub zamieniła jadalnię w salę gimnastyczną. Meble w tajemniczy sposób przenosiły się z pokoju do pokoju, niczym latające dywany z „Baśni z tysiąca i jednej nocy”.

Dopóki widziała te zmiany, co najwyżej ją irytowały, teraz jednak stanowiły śmiertelne zagrożenie. Nie wiedziała, gdzie się obrócić, gdzie usiąść. Pomimo pomocy Karen, jeszcze nie opanowała rozkładu niewielkiego pokoju na parterze, w którym zamieszkała.

- Stoję przy oknie, które wychodzi na podjazd przed domem. - Julia ostrożnie wyciągnęła rękę, ale nie natrafiła na szybę, a więc musiało ją dzielić od okna kilka kroków.

- Dobrze. - Głos Karen brzmiał znacznie spokojniej od momentu, kiedy uciekły z kliniki.

To Julia była zdenerwowana. Martwiła się o Callie. Maisy pojechała po wnuczkę do Millcreek i nie wiadomo było, czy uda się jej zabrać małą.

- Jesteś tuż koło okna. - Jeszcze w drodze do Ashbourne Julia poprosiła Karen, by zwracała się do niej po imieniu. - Najpierw musisz zapamiętać rozkład swojego pokoju, potem poproszę twoich rodziców, żeby tak przemeblowali resztę parteru, byś mogła swobodnie się wszędzie poruszać. - Karen przerwała. - Nie jestem najlepszą opiekunką.

Powinnaś zatrudnić kogoś, kto ma profesjonalne doświadczenie w opiece nad niewidomymi.

- Dobrze się przy tobie czuję i bardzo mi pomagasz. Zależy mi, byś była przy mnie.
- W każdej chwili możesz odzyskać wzrok. Mam nadzieję, że tak się stanie.
- Ja też. Wtedy zostaniesz moją osobistą sekretarką. Będziesz mi nadal potrzebna.

Ciągle się odgrażałam, że muszę mieć sekretarkę, i wreszcie dopnę swego.

- Pamiętaj, że cię ostrzegałam.
- Wspomniałaś, że masz synka. Chcesz do niego jechać?
- Moja matka się nim opiekuje.
- Jedź na resztę dnia do domu. Dość już dzisiaj dla mnie zrobiłaś. Zobaczymy... -

Julia zamilkła. Nadal używała tego określenia. - O której rano mogę się ciebie spodziewać?

- O ósmej, dziewiątej?

- Bądź o dziewiątej. - Julia uśmiechnęła się. - Teraz stoję twarzą do łóżka. - Przeszła kilka kroków i wyciągnęła rękę. Nic. Karen milczała. Julia zrobiła jeszcze dwa kroki, nachyliła się i wyczuła pod palcami materac. - Dam sobie radę. Jedź już.

- Do zobaczenia jutro o dziewiątej. Odwiozę Brandona do szkoły i przyjadę do Ashbourne. Śpij dobrze.

- Tak będzie. Po raz pierwszy od wielu tygodni.

- Jeśli miałabyś trudności z zaśnięciem, napij się herbaty ziołowej albo gorącego mleka.

Julii ta recepta spodobała się bardziej niż rady doktora, który zalecał whisky z mlekiem, twierdząc, że taki koktajl działa cuda.

Karen położyła jej dłoń na ramieniu i po chwili Julia usłyszała odgłos zamykanych drzwi.

Była wreszcie w domu, ale nie w swoim pokoju na piętrze, gdzie tańczyła w rytm piosenek Depeche Mode i Michaela Jacksona, gdzie szkicowała tysiące portretów swoich szkolnych koleżanek i pejzaży z ukochanymi wzgórzami, gdzie męczyła się nad zadaniami z trygonometrii i. prowadziła wielogodzinne rozmowy telefoniczne z Fidelity... i Christianem.

Mimo woli zacisnęła dłonie. Nie spała pod tym dachem od chwili ślubu. Miała tylko dwadzieścia lat, kiedy wyszła za Barda. Spakowała wtedy wszystkie wspomnienia i zamknęła je na strychu podświadomości.

Czasami tam zaglądała, otwierała kufry i walizy, w których ukryła całą swoją przeszłość. Opowiadała Callie o tym, jak dorastała w Ashbourne, jak zachorowała pewnej zimy na wietrzną ospę, a Maisy, chcąc ją rozbawić, przebrała się za Świętego Mikołaja i przyniosła w wielkanocnym koszyku słodką walentynkę.

Zawsze była poważna, ale miała szczęśliwe, pełne miłości i ciepła dzieciństwo. Była cicha, chociaż wzrastała w domu, w którym głośno mówiło się o wszystkim. Była skryta, chociaż w jej otoczeniu nikt nie miał przed nikim tajemnic. Żyła, jak chciała, nikt nie próbował jej zmieniać, nikt z niej nie kpił. Rosła otoczona uczuciem i akceptacją. Czasami tęskniła za bardziej tradycyjną rodziną, taką, w jakich wychowywały się jej przyjaciółki, ale zdawała sobie sprawę, jak bardzo jest szczęśliwa.

Do momentu, kiedy jej świat legł w gruzach.

Z zamyślenia wyrwało ją ciche pukanie do drzwi.

- Proszę! - Była zadowolona, że może oderwać się od wspomnień.

- Przyniosłem ci herbatę. Zaparzoną tak jak lubisz.

Uśmiechnęła się, zwracając twarz w kierunku, z którego dochodził głos Jake'a.

- Jesteście dla mnie za dobrzy. - Usłyszała kroki ojczyma.

- Nikt nie jest w stanie być zbyt dobry dla ciebie, Julio. - Postawił coś na szafce nocnej. - To największy kubek w całym domu, napełniony do połowy. W zeszłym tygodniu upiekłem ciastka. Przyniosłem ci dwa. Znajdziesz je na talerzyku obok kubka. Podać ci kubek do ręki?

- Proszę. - Wyciągnęła dłonie i zamknęła je wokół ciepłego fajansu, zapewne któregoś z dzieł Maisy. Matka w niezbyt udanej epoce fascynacji ceramiką wyprodukowała niezliczoną ilość krzywych kubków i talerzy, które pękały natychmiast po włożeniu do mikrofalówki.

- Dwie kostki cukru i dużo mleka. Tak jak lubisz - powiedział Jake.

- Od lat takiej nie piłam. Prawdziwa rozpusta!

Materac lekko się ugiął, kiedy Jake usiadł w nogach łóżka.

- Masz za sobą burzliwy dzień.

Od dawna o tym nie myślała, ale teraz stanęły jej w pamięci minione czasy, kiedy to Jake przychodził do jej pokoju, zawsze gotów wysłuchać, co ją nurtowało. Gdy chciała, służył jej dobrą radą, kiedy indziej dyskretnie znikał. Nigdy nie zadawał niepotrzebnych pytań, nigdy nie krytykował. Po prostu był. Rodzony ojciec nie mógłby okazać jej więcej ciepła.

- Doktor Jeffers odgrażał się, że zatrzyma mnie siłą, jeśli nie będę chciała zostać dobrowolnie.

- Mógłby to zrobić?

- Nie znam się na prawie, więc pewnie na to liczył. Wiem jedno: na pewno nie mógł mi pomóc, co nie znaczy, że tutaj wyzdrowieję.

- Przewidujesz najgorszy scenariusz?

- Być może nigdy nie odzyskam wzroku.

- To mało prawdopodobne, ale założmy taką możliwość. Co wtedy?

- Nauczę się żyć w mroku.

- Potrafisz?

- A mam inny wybór?

- Tylko ostateczny.

Zrozumiała, że Jake mówi o samobójstwie.

- Nie, to zbyt straszne. Niewyobrażalne. Mam przecież dom, rodzinę, mam córkę. Nie zamierzam popełniać głupot. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Jake, co Callie o mnie pomyśli?

Milczał przez moment.

- Niedługo się o tym przekonamy. Julia też usłyszała prychanie pickupa.

- Nie chcę, żeby zobaczyła mnie, jak płacę.

- Napij się herbaty i wytrzyj oczy.

Herbata smakowała dzieciństwem, deszczowymi popołudniami, powieściami o przygodach Czarnego Rumaka, wiatrem świszczącym w żywopłocie z iglaków. Opanowała się i po chwili usłyszała tupot stóp wędrujących po sosnowej podłodze.

Drzwi otworzyły się z łoskotem. Jake wyjął jej kubek z dłoni. Julia otworzyła szeroko ramiona i mocno przygarnęła córkę do siebie. Niemal zobaczyła małą.

Callie Warwick miała spięte w kucyki włosy w kolorze toffi, wielkie brązowe oczy i gęste czarne rzęsy. Drobna budowę odziedziczyła po matce, lecz w przeciwieństwie do niej była spontaniczna i otwarta, nigdy nie bała się okazywać uczuć.

- Mamusiu!

Julii przemknęło przez myśl, czy jeszcze kiedyś zobaczy twarzyczkę córki.

- Tak się cieszę, że wreszcie wróciłaś. Maisy po mnie przyjechała. Kazała Ramonowi przywieźć Kosmata, żebym mogła na niej jeździć tu, w Ashbourne. Fajnie, prawda?

Kosmata była ukochanym kucykiem Callie. Chociaż dziewczynka miała dopiero osiem lat, była, jak większość miejscowych dzieci, wytrawnym jeźdźcem.

- Maisy jest najlepszą babcią na świecie - powiedziała Julia.

Callie zachichotała.

- Bawiłyśmy się w chowanego z panią Taylor.

Julia domyśliła się, jak wyglądała ewakuacja z Milcreek. Maisy musiała najpierw po cichu spakować walizkę Callie, a potem umknąć z wnuczką w taki sposób, by gospodyni tego nie zauważyła.

- Wszystko poszło dobrze, Maisy? - Julia uniosła głowę. Sądząc po silnym zapachu fiołków, matka musiała stać tuż obok.

- Nie miałam żadnych problemów. Zdołałam nawet namówić Ramona, by przywiózł Kosmata. Przetransportuje ją ciężarówką. Będzie najdalej za godzinę.

- Naprawdę tu zostaniemy, mamusiu?

Julia odgarnęła grzywkę, opadającą Callie na czoło.

- Tak, zostaniemy. Maisy i Jake powiedzieli, że się mną zaopiekują, zanim znowu zacznę widzieć, ale podejrzewam, że przede wszystkim stęsknili się za tobą i chcą cię mieć przy sobie.

- Naprawdę? - zainteresowała się Callie.

- Skoro mama tak mówi... Jej nigdy nie można było oszukać. Opowiem ci niejedną historię.

- Jasne, że opowie. Nie pozwoli ci dojść do słowa - wtrącił Jake.

- Maisy powiedziała, że mogę sobie wybrać na górze pokój, jaki tylko będę chciała.

Pomożesz mi się urządzić?

Julia milczała, nie wiedząc, jak delikatnie przypomnieć córce, że w obecnym stanie nie nadaje się do pomocy.

- Och, przecież nie możesz - stwierdziła rzeczowo Callie. - Zapomniałam.

Julia poczuła ogromną ulgę. Niemal uwierzyła Bardowi, że jej ślepotą będzie dla małej ciężarem, z którym sobie nie poradzi.

Uścisnęła mocno córkę i uwolniła ją z objęć.

- Mogę pójść z tobą na górę. Opowiem ci, co zapamiętałam z dzieciństwa. Na przykład kiedyś schowałam się pod łóżkiem w pokoju koło łazienki, bo nie chciałam iść do szkoły

- Naprawdę?

- Naprawdę. Maisy udawała, że nic nie zauważyła. Nikt nawet nie próbował mnie szukać.

- Naprawdę? - ponownie zapytała zaintrygowana Callie.

- Oczywiście - przytaknęła Maisy. - Pomyślałam, że skoro chce spędzić cały dzień pod łóżkiem, niech sobie tam siedzi.

- To łóżko ciągle tam jest?

- Tylko nie próbuj kombinować - ostrzegła Julia córkę. - Będiesz codziennie chodziła do szkoły. Poza tym pod łóżkiem było pełno kurzu i wynudziłam się jak mops.

- Sprawdź, czy ciągle jest ten kurz. - Julia usłyszała pospieszny tupot.

- Bułka z masłem - powiedziała Maisy, kiedy Callie wybiegła.

- Nie zdziwiła się, że niemal ją porywasz? - zapytała Julia.

- Ani trochę. Pytała tylko, co Bard na to powie, po czym stwierdziła, że pewnie nawet nie zauważy jej nieobecności.

- Zauważy. Niedługo możemy spodziewać się telefonu - powiedziała Julia.

- Co mu powiedzieć?

- Mam przy łóżku aparat telefoniczny, prawda?

- Tak, przyniosłem ci bezprzewodowy. Będzie ci go łatwiej używać.

- Sama porozmawiam z Bardem.

- Zawsze będzie tu mile widziany, Julio - zapewniła Maisy tonem, który brzmiał zupełnie szczerze.

- Kiedy jest w stresie, wychodzą z niego najgorsze cechy. Staje się przesadnie nieustępliwy i zapatrzony w siebie, na pewno jednak zmięknie, gdy przedstawię mu swój punkt widzenia.

- Zamierzasz wrócić do domu?

Była w domu. Tak właśnie się czuła, chociaż sama do końca nie rozumiała własnych reakcji. Jak to możliwe, że dorosła kobieta, która ma męża i dziecko, szuka opieki rodziców? Jakby chciała wrócić do matczynego łona

- Powoli. Pozwól jej się zastanowić - monitował żonę Jake.

- Maisy, pomożesz Callie urządzić się w jej pokoju? - poprosiła Julia.

- Oczywiście. A jeśli wybierze sobie twoją dawną sypialnię?

- Przecież to zwykły pokój, a nie kapliczka.

- Maisy! - Z góry rozległo się wołanie Callie.

- Podać ci kubek? Chcesz jeszcze herbaty? - zapytał Jake.

Julia chciała żyć. Nie zamierzała być udręczoną, rozhisteryzowaną, niewidomą kobietą, którą ojczym musi wyręczać w najprostszych czynnościach.

Pokręciła głową.

- Dzięki. Sama spróbuję go znaleźć.

Czekała na słowa sprzeciwu, które jednak nie padły.

- Pójdę sobie - powiedział Jake. - Jeśli przypadkiem zbijesz ten kubek, sprawisz mi tylko radość.

- Rzeczywiście niezbyt mi się udał - przyznała Maisy.

- „Niezbyt” to bardzo delikatne określenie.

Julia widziała niemal, jak Jake obejmuje ramieniem żonę i wyprowadza ją z pokoju.

Znowu łzy napłynęły jej do oczu.

Przełknęła je i zaczęła szukać kubka.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Fidelity Sutherland, blondynka z włosami zaplecionymi we francuski warkocz, przysłała tej nocy do Christiana. Jak zawsze była uśmiechnięta i miała poderżnięte gardło, z którego na białą bluzkę tryskała krew.

Obudził się i usiadł na pryczy, ale Fidelity nie chciała odejść. Po śmierci była równie nieustępliwa jak za życia. Zawsze stawiała na swoim, zdobywała to, na czym jej zależało. Choć nie żyła od dziewięciu lat, nic się nie zmieniła.

Powoli dniało, wstawał pierwszy, szary świt. W celi pod sufitem znajdowało się niewielkie zakratowane okno, przez które było widać jedynie mały fragment nieba. Christian często zastanawiał się, po co w więzieniu są okna. By przypominać wykluczonym ze społeczeństwa, że gdzieś za murami jest inny świat, a życie toczy się bez ich udziału?

Oparł głowę na ramionach i utkwiał wzrok w oknie. Pewnego lata regularnie zaczął odwiedzać go kos. Sadowił się na wąskim parapecie i wygwizdywał własną wersję „Nigdy więcej”, jakby wiedział, że to najstosowniejsza do okoliczności melodia. Gdy Christian przyzwyczał się do niego i zaczął wyczekiwać jego wizyt, ptak zniknął.

W Claymore Park, gdzie Christian wychowywał się, żyło mnóstwo kosów. Pamiętał, jak powiedział Julii Ashbourne, że jej włosy podobne są do skrzydła tego ptaka.

Kiedyś był romantykiem. Nie spodziewał się, że jego życie tak gwałtownie i radykalnie się odmieni.

- Nie śpisz?

Wciąż patrzył w okno. Jego współtowarzysz z celi, niejaki Landis, zawsze budził się wcześniej. Liczył zaledwie dwadzieścia jeden lat i, podobnie jak Christian, praktycznie nie miał żadnych szans, by kiedykolwiek obudzić się poza murami więzienia.

- Spróbuj znowu zasnąć. Masz mnóstwo czasu - powiedział Christian.

- Gówno! Nie zasnę już. Nigdy nie wiadomo, co człowieka może spotkać we śnie.

- Nic ci nie grozi. Nie jesteś w moim typie.

- Masz swój typ?



Owszem, miał: pozornie krucha, czarnowłosa, niebieskooka i zbyt poważna kobieta. W towarzystwie tryskającej energią Fidelity Sutherland łatwo ją było przeoczyć. Ale on ją dostrzegł.

Dzień wstawał szybko. Zbyt szybko.

- Nie oglądam się za facetami. Jesteś bezpieczny.
- Wszystkim tak się wydaje, kiedy tu trafiają. I popatrz, co się potem dzieje?
- To nie patrz. Będziesz się czuł lepiej.
- Tak ci wszystko zobojętniało? Nie przejmujesz się, że siedzisz?
- A co by mi z tego przyszło?
- Nigdy nie spotkałem nikogo tak samotnego, jak ty - ciągnął Landis. - Nie masz

rodziny?

- Wszyscy umarli.
- Nie czeka na ciebie żadna kobieta?
- Musiałaby długo czekać.
- Dostajesz listy, ale nigdy ich nie czytasz. Christian poruszył się na prycey.
- To nie twoja sprawa. Pilnuj własnego nosa. Landis najeżył się.
- Co mi zrobisz?
- Ja nic, ale innym może nie pasować, że interesujesz się cudzymi sprawami.
- No i co?
- Widziałem już takich, którzy dostali nożem za mniejsze głupstwa.
- Spoko, powiedziałem tylko, że nie czytasz listów. Dlaczego?
- Bo mi się nie chce.
- Boisz się, że będziesz tęsknił? Ja okropnie tęsknię, kiedy dostaję pocztę.

Pewnej nocy Landis, będąc na dużym haju i z tej przyczyny uznawszy się za niezwycięzonego, zabił podczas pościgu samochodowego policjanta. Lista jego wcześniejszych grzechów była równie długa jak lista rodzin zastępczych, które od trzeciego roku życia usiłowały go wychować. Nie po raz pierwszy trafił do więzienia, ale na pewno po raz ostatni.

- Na wolności mam dziewczynę - mówił Landis. - Któregoś dnia wyjdę stąd. Będzie na mnie czekała.

Christian milczał.

- Te listy pisze do ciebie kobieta?

Maisy Fletcher była bez wątpienia kobietą. Serdeczna i ciepła jak matka ziemia, wzięła Christiana pod swoje skrzydła od razu, gdy tylko go poznała. Minęło tyle lat, a wciąż pamiętała o nim, chociaż jej rodzona córka wyrzuciła go ze swojego życia jak niepotrzebny przedmiot.

Pisała do Christiana raz w miesiącu. Listy od niej przychodziły z taką regularnością, z jaką w każdą środę więźniowie mogli spodziewać się na kolację fasolki i chleba kukurydzianego. Maisy nic więcej nie była w stanie uczynić dla Christiana.

Ostatni list przyszedł dzień wcześniej, stąd pytanie Landisa. Christian dawno już przestał otwierać pocztę. Przez pierwsze lata czytał listy Maisy, aż wreszcie okazały się zbyt bolesne, bo przenikały przez ochronną skorupę, którą usiłował się otoczyć. Opowiadały o znajomych, wspominały o małżeństwie Julii, pełne były zabawnych anegdot z życia Ridge's Race. Maisy, roztrzepana i chaotyczna w codziennym życiu, miała niewątpliwy talent literacki, dlatego zbyt ciekawie i barwnie opisywała świat za murami więzienia.

- Chris, nie śpisz?

- Jak mogę usnąć, skoro cały czas gadasz?

- Ja też pewnie któregoś dnia przestanę czytać listy. Jak ty.

Christian zamknął oczy.

- Noga, Seesaw. - Suka posłusznie przysunęła się do Christiana i razem ruszyli na wybieg.

Była wyjątkowo ładnym szczeniakiem, mądrym i kipiącym energią, ale Christian bardzo uważał, żeby nie przywiązywać się do żadnego zwierzaka. Wychował się wśród psów i koni. Znał na wylot ich wady i zalety, szkolił je i doglądał, a nawet usypiał, kiedy sytuacja tego wymagała.

Jednak tu, w więzieniu, zachowywał dystans wobec swoich podopiecznych. Psy kończyły kurs i trafiały w inne ręce. Wiedział z raportów, które do niego docierały, jak bardzo były kochane i jak wiele dobra czyniły swoim nowym właścicielom. Czasami ogarniał go żal, że nie będzie widział, jak Seesaw czy inny szczeniak dorasta, ale cieszył

się, że może z nim pracować. Tylko dzięki psom w jakimś sensie kontynuował swoje dawne życie, gdy był jeszcze człowiekiem wolnym.

Gdy usłyszał sygnał dany przez Timba, zatrzymał się i spuścił Seesaw ze smyczy. Suczka podbiegła do chłopca.

- Jak ją oceniasz, Timbo? Nadaje się do zaawansowanego szkolenia?

- Jest dobra, nawet bardzo dobra. Dałbym jej dziewięć punktów na dziesięć możliwych. - Podniósł wzrok. - A ty co myślisz?

- Osiem punktów. Jest zbyt towarzyska. Możemy mieć kłopoty, żeby nauczyć ją ignorować inne psy. Nie jest to poważny problem, wyrośnie z tego, powiem jednak nowym właścicielom, jaka z niej kumpelka.

- Jutro ją zabierają?

- Z samego rana. W przyszłym tygodniu przyjeżdżają następne szczeniaki. Dzisiaj wieczorem muszę przygotować wszystkie dokumenty.

- Trafi w dobre ręce?

Christian uniósł ze zdziwienia brew. Jak na człowieka, który nie mógł pojąć, dlaczego tresuje psy, Timbo szybko je pokochał.

- Zawsze trafiają w dobre ręce. Najczęściej do domów, w których są już inne zwierzaki i dzieci, więc mają się z kim bawić. Na pewno będzie jej dobrze. Za rok wróci do nas na kolejne szkolenie.

- Ciekawe, jak to będzie wyglądało.

- Zrobiłeś dobrą robotę, Timbo.

- Nigdy nie miałem psa, ale dokarmiałem wszystkie bezpańskie zwierzęta.

Kupowałem karmę i zostawiałem w zaułkach.

- Masz dobre serce, Timbo.

Chłopak uśmiechnął się szeroko.

- Taki już jestem.

- Staraj się, póki tu siedzisz. Jak będziesz wychodził, Bertha znajdzie ci jakąś pracę.

- Wynoszenie górien z psiarni?

- Powinieneś mieć większe ambicje.

- Mam wielkie plany.

Christian nachylił się nad suką i podrapał ją za uchem.

- Plany mają to do siebie, że się zmieniają.

- Powiadasz? Twoje chyba rzeczywiście.

Christian podniósł wzrok i zobaczył zbliżającego się strażnika.

- Odprowadź ją do kojca, a potem sprawdź, czy

Javier nie potrzebuje pomocy. Dowiem się, czego chce klawisz.

- Zdziwisz się.

Christian oddał Timbowi smycz Seesaw.

Mel Powers nie dość, że łysiał, to jeszcze pocił się jak grubas, choć był chudy. Nosił drogie garnitury, które na nim zawsze wyglądały tandetnie, oraz okulary o grubych szklach w pozłacanych oprawkach. Wyglądem przypominał prowincjonalnego księgowego, a nie wziętego adwokata, rekina palestry, najlepszego w całej Wirginii. Wynajął go Peter Claymore, by bronił Christiana. Mel do tej pory traktował wyrok, który zapadł w sprawie Carvera, jako osobistą zniewagę.

Peter Claymore z Claymore Park był przeciwieństwem Mela. Dobiegał sześćdziesiątki, był więc starszy od adwokata o lat dwadzieścia, lecz jeśli w ogóle się pocił, to po wielu godzinach konnej jazdy ze sforą\*. Miał gęste włosy i doskonały wzrok, który podczas gonitwy za lisem pozwalał mu z wielkiej odległości wypatrzeć najmniejszy ruch wśród zarośli. Szyte na miarę garnitury podkreślały doskonałą sylwetkę i świadczyły o wyrafinowanym, odziedziczonym po przodkach smaku. Claymore Park, największa w Ridge's Race hodowla koni, należała do Claymore'ów jeszcze na długo przed wojną secesyjną.

\* Sfora - para psów gończych związanych rzemieniem. (Przyp. red.).

Christian nie spodziewał się odwiedzin ani Mela, ani Petera, tymczasem obaj czekali na niego w niewielkiej rozmównicy. Ponieważ strażnik nie uprzedził go o niczym, przywitał się z nieoczekiwanymi gośćmi, usiadł za stołem i czekał, co Mel i Peter mają mu do powiedzenia.

- Dobrze wyglądasz, Christianie. - Peter jedną rękę oparł na stole, a drugą przerzucił przez oparcie krzesła. Nawet w tak obcym sobie miejscu zdawał się czuć jak u siebie w domu.

- Jakoś żyję, sir. - Zerknął na Mela, który wycierał czoło chusteczką.

- Ilekroć tu przychodzę, czuję się, jakby ktoś zawinął mnie w kokon. - Mel wycierał teraz dłonie. - Nie ma tu czym oddychać. Nie wiem, jak to wytrzymujesz.

- Nigdy nie miałem kłopotów z oddychaniem.

- Słyszałem wiele dobrego o waszym programie szkolenia psów - rzucił Peter.

- Boję się, że w każdej chwili mogą go zakończyć.

- Nawet jeśli, i tak tego nie doczekasz. - Mel wsunął chusteczkę do kieszeni.

- Mamy pomyślne wiadomości, Christianie. - Peter położył obydwie dłonie na stole i nachylił się. - Bardzo pomyślne.

Christian wnosił już tyle odwołań, że stracił wszelką nadzieję, teraz jednak czuł, jak narasta w nim napięcie.

- Bertha Petersen rozmawiała już z tobą, prawda?

- O Zandoffie? Owszem.

- Pewnie wciąż o tym myślisz.

Christian wolał nie zastanawiać się nad tym, co usłyszał od pani pastor. Fałszywa nadzieja jest dużo groźniejsza od całkowitej rezygnacji.

- A po co? Zandoffa niedługo posadzą na krześle elektrycznym. Jedyne, co nas łączy, to fakt, że przez pewien czas ponoć mieszkał w Wirginii.

Mel podniósł dłoń, niczym nazbyt przejęty swoją rolą dyrygent orkiestry symfonicznej.

- On jednak twierdzi, że łączy was znacznie więcej. Skazano cię za zabicie Fidelity Sutherland, tymczasem to Zandoff poderżnął jej gardło.

Przez chwilę Christian nie mógł złapać tchu. Pokręcił głową.

- Wierzycie, że tak było?

- Nie o wiarę tu chodzi, ale o fakty. Zandoff dzisiaj rano przyznał się do zamordowania Fidelity. Tego popołudnia, gdy zginęła, był w South Land. Wtargnął do jej domu. To on ją zamordował...

- Powiedział, skąd miał mój nóż? - Specjalny nóż maszterski o kilku ostrzach, którym morderca zadał Fidelity śmiertelną ranę, należał do Christiana.

- Znalazł go w stajni Sutherlandów. Byłeś u nich kilka dni wcześniej i ujeżdżałeś konia, prawda? Pewnie używałeś noża i zapomniałeś go zabrać.

- A biżuteria? Czytałem relacje z procesu Zandoffa. Zabijał wyłącznie dla przyjemności.

- Zawsze coś zabierał. - Mel zaczął wachlować się dłonią. - Wziął biżuterię, bo potrzebował pieniędzy, żeby wrócić na Florydę. Nikogo nie było w domu, miał więc czas, by znaleźć coś, co mógł spieniężyć, a, jak wiadomo, Fidelity nie trzymała klejnotów pod kluczem.

- Gdy wychodził, zobaczył ciebie - odezwał się Peter. - Stałeś przed domem i coś krzychałeś do Fidelity. Powiedział, że byłeś wściekły. Zrozumiał, że znajdziesz ciało i powiadomisz policję, więc się przestraszył. Bał się, że go złapią. Szybko wykopał dół i ukrył w nim biżuterię.

- Ale nie wszystko - podjął Mel. - Tak się spieszył, że zgubił naszyjnik.

Christian wprost nie wierzył własnym uszom.

- Ten naszyjnik, który znalazłeś na schodach i przez który trafiłeś do więzienia.

- Policja szuka teraz biżuterii. - Mel znowu wyjął chusteczkę. - Zandoff wskazał miejsce, gdzie ją zakopał. Kiedy ją znajdą, zeznania tego człowieka ostatecznie się uwiarygodnią.

Christian nachylił się nad stołem.

- A jeśli nie znajdą?

- Dlaczego miałyby się tak stać?

- Bo minęło tyle lat. Gdzie ją zakopał?

- Przy płocie oddzielającym grunty South Land i Claymore Park.

- Wiecie, ilu ludzi przewija się przez South Land? Któryś z sezonowych robotników pracujących dla Sutherlandów mógł się na nią natknąć i schować do kieszeni.

- Zandoff twierdzi, że zamierzał wrócić po klejnoty, ale nie miał po temu możliwości. Przeraził się i czym prędzej wrócił na Florydę, mówi jednak, że dobrze ukrył swój łup. Mamy szansę, Christianie. Wielką szansę.

- No dobrze, powiedzmy, że znajdują biżuterię?
- Wtedy natychmiast wystąpimy z wnioskiem o rewizję wyroku i uniewinnienie.

Christian siedział sztywno, czuł jednak, że serce wali mu w piersi jak oszalałe.

Panował nad myślami i sposobem bycia, ale jego ciało nadal pamiętało słodki smak wolności.

Peter położył rękę na jego dłoni.

- Wiem, co w tej chwili czujesz. Mel też wie.
- Co czuję? - Christian sam nie wiedział.
- Złość, że zmarnowano ci życie. Radość, że koszmar już się kończy. Lęk, że niepotrzebnie się łudzisz.

- Dlaczego Zandoff przyznał się do zabicia Fidelity?
- Tylko to jeszcze może zrobić w swym życiu.
- Ma żonę, dzieci...
- Może chce pokazać, że jednak miał sumienie. To jego pierwszy dobry uczynek. -

Peter zamyślił się.

- Albo zrobiło mu się ciebie żal. Przecież siedzisz za jego zbrodnię - dodał Mel.

Christian poznał wielu morderców. Żaden z nich nie miałby podobnych wyrzutów sumienia.

- A jeśli przemawia przez niego pycha? - Peter cofnął dłoń. - Być może pragnie zająć jak najbardziej poczesne miejsce w kronikach zbrodni i dlatego nie chce z nikim dzielić się swoimi... sukcesami.

- Jest też inna możliwość. Przyznając się do kolejnych zabójstw, Zandoff ma szansę odwlec termin egzekucji. - Mel oparł łokcie na stole. - Zresztą, to nie twój problem, Christianie. Tak jak ja to widzę, nie masz już czym się martwić. Po prostu czekaj. Dzisiaj policja zaczęła szukać zakopanej biżuterii. Mają wykrywacze metalu. Zandoff wskazał mniej więcej miejsce, ale to może trochę potrwać, bo nikt nie wie, gdzie dokładnie ukrył łup. Ponieważ dobrze wiadomo, o jaką stawkę chodzi, nikt nie będzie się spieszył. Wiem, że nie przeoczą ani piędzi ziemi.

Christian nie odezwał się. W głowie czuł absolutny zamęt.

- Chcieliśmy, żebyś wiedział - powiedział Peter. - Oczywiście jest minimalny margines ryzyka, że sprawa zakończy się fiaskiem, pamiętaj jednak, że jeśli nawet nie znajdą biżuterii, zeznania Zandoffa wystarczą, abyśmy mogli żądać rewizji wyroku. Wtedy wszystko przeciągnie się w czasie, a wynik może być różny, jednak wszystko świadczy na twoją korzyść.

- Jeśli będzie trzeba, znajdziemy świadków, którzy widzieli Zandoffa tamtego dnia w pobliżu domu Sutherlandów. - Mel znowu wyjął chusteczkę, tym razem, by przetrzeć okulary. - Sprawdzimy dokumenty każdej firmy budowlanej w okolicy, księgi gości w takich hotelach, będziemy pytać w barach...

Wszystko, o czym mówili, wymagało dużych pieniędzy, poza tym każde słowo Mela sporo kosztowało, mimo że zażądał niższego niż zwykle honorarium. Jednak wierzył w sukces, a ten zapewniał mu rozgłos w mediach. Zachował się bardzo przyzwoicie, bo podczas kolejnych procesów apelacyjnych wciąż obniżał stawkę, mimo to zdołał zainkasować tyle, ile kosztowałyby edukacja czwórki dzieciaków na najdroższych amerykańskich uniwersytetach oraz dokończenie nauki w Europie.

Za wszystko płacił Peter Claymore.

Christian spojrział na niego.

- Jeśli rzeczywiście stąd wyjdę, znajdę sposób, by zwrócić ci pieniądze.

- Byłeś najlepszym przyjacielem mojego syna i sam jesteś dla mnie jak syn. Robby na pewno chciałby, żebym ci pomógł. Nic mi nie jesteś winien.

Christian doskonale wiedział, ile zawdzięcza Peterowi. Gdyby nie on, dawno straciłby wszelką nadzieję, która mimo wszystko nadal się w nim tliła. Wbrew złym doświadczeniom, wbrew temu, że przyjaciele zawiedli go, a wiele osób w milczeniu przytaknęło wyrokowi, godząc się z przerażającym oskarżeniem o zbrodnię, Christian nie tracił nadziei.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Maisy naprawdę dobrze gotowała, ale Jake był jeszcze lepszym kucharzem. Razem przygotowali kolację, za sprawą której Julia przerwała głodówkę. Miała przecież Callie, o którą powinna się troszczyć, a dziewczynka na pewno nie potrzebowała matki anorektyczki. Wystarczy, że na okrągło pokazywali je w telewizji, szczególnie podczas pokazów mody.

Postanowiła bez ogródek zmierzyć się z własnym zażenowaniem.

- To jest pyszne, ale pewnie strasznie nabrudziłam. Callie zachichotała.

- Masz śmietanę na brodzie.

Julia poczuła, że ktoś wyciera jej twarz serwetką. Pozwalała córce opiekować się sobą, szczęśliwa, że Callie jest bardziej zaintrygowana niż przerażona jej stanem.

- Spróbuję jeść z zamkniętymi oczami - oznajmiła mała.

- Wystarczy jedna niezdara przy stole. - Julia uśmiechnęła się w kierunku córki. - Biedna Maisy i tak będzie miała co sprzątać.

- Zjesz jeszcze jednego biszkopta, Julio? - odezwała się siedząca po drugiej stronie stołu Maisy.

- Nie, dziękuję. Zjadłam dzisiaj więcej niż przez cały ubiegły tydzień. Cudowne jedzenie. - Rzeczywiście było wspaniałe. Maisy miała eklektyczny smak: znudzona jedną kuchnią, szybko przerzucała się na inną. Udziec z kangura czy zupa z wodorostów pojawiały się na stole w sposób równie naturalny jak wiejska szynka. Dzisiaj na kolację Maisy i Jake przygotowali klasyczne dania Południa: smażonego kurczaka i fasolę z soloną wieprzowiną, a na deser biszkopty z bitą śmietaną oraz słynną babkę ziemniaczaną na słodko Jake'a. Zawał serca na talerzu.

- Sprzątnę i podam babkę - powiedziała Maisy.

- Pomogę ci. Mogę wycierać naczynia - zaofiarowała się Julia.

Maisy nie protestowała.

- Zaprowadzę cię do kuchni.

- Pójdę do Kosmatej. Pewnie czuje się opuszczona. - Krzesło Callie zaskrzypiało.

- Pójdę z tobą - powiedział Jake. - Pozamykamy wszystko na noc.

- Mogę, mamó?

- Pewnie, że możesz.

Maisy wzięła córkę pod rękę i ostrożnie poprowadziła do przestronnej kuchni, na środku której stał wielki stół z emaliowanym metalowym blatem. Tutaj Julia odrabiała lekcje, gdy miała jakieś trudności. Maisy pomagała jej w ćwiczeniach ortograficznych, a Jake cierpliwie wyjaśniał zawiłości zadań matematycznych. Kiedy trochę podrosła, wołała siedzieć sama w swoim pokoju. Miała tam swój azyl, a także telefon, który w najtrudniejszych momentach służył za koło ratunkowe.

Znowu pomyślała o godzinach przegadanych z Fidelity i, siłą rzeczy, o Christianie.

- Masz taką minę, jaką miewałaś często w dzieciństwie. Błądzisz gdzieś myślami - powiedziała Maisy, puszczając ramię córki. - Zawsze mnie zdumiewało, że potrafisz odpłynąć tak daleko.

Julia też była zdumiona. Maisy, przy całej swej matczynej miłości i okropnym wścibstwie, rzadko pozwalała sobie na okazywanie uczuć. Taki moment zasługiwał na szczerłość.

- Myślałam o Fidelity.

- Dlaczego akurat o niej?

- No cóż, wróciłam do rodzinnego domu i znów poczułam się jak nastolatka.

- Była dla ciebie kimś bardzo ważnym. Podobnie jak Christian.

Julia nie chciała o nim mówić.

- I Robbie. Tyle smutku...

- Zawsze nosiłaś go w sobie.

- Może właśnie dlatego straciłam wzrok? Bo nie mogłam już sobie poradzić ze światem? Ze śmiercią Fidelity, skazaniem Christiana, wypadkiem Robbiego.

- Rozmawiałaś o tym z doktorem?

- A ty miałabyś ochotę z nim rozmawiać?

- Chcesz, żebym poszukała dobrego terapeuty, kogoś, komu będziesz potrafiła zaufać?

Julia domyślała się, kogo znajdzie jej matka: jakiegoś adepta Esalen Institute, gdzie uczono, jak wykorzystywać ukryte możliwości i zdolności, albo nawiedzonego guru, który

będzie zaczynał każdą sesję od mantry, by potem przejść do psychodramy. Maisy zaśmiała się cicho i trochę smutno.

- Ciekawa rzecz, ale niemal czytam w twoich myślach. Zawsze potrafiłaś się z nimi kryć, lecz teraz to się zmieniło.

- Maisy, ja...

- W Warrenton jest podobno dobra specjalistka. Żadnych fajerwerków, nagłych odmian, cudownych uleczeń, za to potrafi słuchać i dawać dobre rady.

Julia zastanawiała się, jaki pozostał jej wybór. Ma dzwonić do przyjaciół, pytać, kogo by polecili, narażać się na plotki? Lub też zaufać Bardowi, że znajdzie odpowiednią osobę?

- Spróbuj. Jeśli nie będziesz zadowolona, poszukamy kogoś innego.

Maisy znowu ujęła ją pod ramię.

- Umyte naczynia będę stawiała koło zlewozmywaka, a ty je wycieraj.

Julia stanęła koło matki. Pierwszy talerz, który wzięła do ręki, wysliznął się jej z palców i wpadł z powrotem do zlewu.

- Nic nie mów. - Maisy zmniejszyła strumień wody. - Jestem na tyle przezorna, żeby nie dawać ci do wycierania naszej najlepszej porcelany.

Julia przyjęła ponownie talerz od matki..

- Robiliśmy to samo, kiedy byłam mała, pamiętasz? Tyle, że wtedy widziałam.

- Przeniosliśmy się tutaj i mieszkaliśmy tylko we dwie, ty i ja.

Julii tamte czasy wydawały się nieskończenie odległe. Niewiele pamiętała z okresu, zanim w ich życiu pojawił się Jake, a zupełnie nic z pierwszych lat, kiedy jeszcze żył ojciec i mieszkali we trójkę w dużym domu.

- Dlaczego właściwie przeniosliśmy się tutaj, Maisy? - Wiele razy zadawała matce to pytanie, ale tym razem liczyła na dokładniejszą, bardziej szczegółową odpowiedź.

- Chcesz wiedzieć? Ashbourne jest zbyt wielkie, żeby mieszkać tam bez służby, a ja chciałam, żebyśmy były same. Po śmierci twojego ojca potrzebowaliśmy czasu i spokoju.

- A później?

- Później pokochałam nasz mały domek i nie wyobrażałam już sobie życia w rezydencji. A kiedy pojawił się Jake...

Jake też nie potrafiłby mieszkać w pałacu, zbudowanym przez ludzi pysznych, kierujących się fałszywymi ambicjami.

Rozmowa toczyła się gładko i Julia pomyślała, że warto ją kontynuować.

- Ashbourne sprawia wrażenie muzeum. Nic się tam nie zmieniło od dnia śmierci ojca.

- Ashbourne należy do ciebie. Nie widziałam powodu, żeby cokolwiek zmieniać czy wyprzedawać antyki. Mnie jest dobrze tutaj, a ty pewnego dnia sama zdecydujesz, co zrobić z rezydencją.

- Bard chętnie by w niej zamieszkał. - Ashbourne było znacznie okazalsze od Millcreek, chociaż Warwickowie mieszkali w swojej posiadłości od czasów wojny o niepodległość.

- Też tak sędzę.

- Pod warunkiem, że pozwoliłabyś na polowania na terenie majątku. Bard nie przeniesie się tutaj, dopóki nie wyrazisz na to zgody.

- Nie ma o tym mowy. - Maisy podsunęła Julii kolejne naczynia do wycierania. Jej determinacja, by nie wpuszczać na teren posiadłości myśliwych, była legendarna i stanowiła przedmiot ciągłych kpin w Ridge's Race, których ofiarą padała także Julia.

- Skoro mówimy o Bardzie... - Maisy zakręciła kran. - Zdaje się, że to jego samochód.

Julia przez cały wieczór czekała, kiedy usłyszy cichy pomruk silnika bmw.

- Zaraz się zacznie.

- Gdzie chcesz z nim porozmawiać?

- Tam, gdzie Callie nie będzie nas słyszeć. Może w ogrodzie?

- Już wieczór. Zrobiło się chłodno.

- W jadalni jest mój sweter.

- Przyniosę ci go, jak tylko wpuszczę Barda.

Julia gotowała się do konfrontacji. Jej związek z Bardem wydawał się zawsze nieskomplikowany i jasny, ale też nigdy nie przeszedł poważnej próby. Przy pierwszej, jaką była choroba Julii, zaczął się chwiać.

Z głębi domu słychać było stłumione głosy, potem rozległy się kroki. Julia wytarła ręce i oparła się o blat kuchenny. Kiedy jej mąż stanął w progu, była gotowa.

- Witaj, Bard.

- Witaj, Julio.

- Myślałam, że przyjedziesz trochę wcześniej i zjesz z nami kolację. Maisy przygotowała dla ciebie nakrycie.

- Chciałbym porozmawiać z tobą w cztery oczy. Jeśli, oczywiście, pozwolisz.

Zirytował ją zaczepny ton głosu męża.

- Nie musisz być arogancki. Maisy?

- Jestem tutaj. Chciałaś to włożyć.

Julia wyciągnęła rękę i odebrała sweter od matki.

- Pomóc ci się ubrać?

- Nie, dam sobie radę.

Maisy musiała się odwrócić, bo jej głos dochodził teraz z innego miejsca.

- Julia chciałaby porozmawiać z tobą w ogrodzie. Zaprowadzisz ją tam?

- Potrafię jeszcze zaprowadzić swoją żonę tam, dokąd chce iść.

- I dokąd nie chce - rzuciła Julia bez zastanowienia.

- I kto tu jest arogancki? - Bard miał swoją krótką chwilę żalosego triumfu.

Nie przeprosiła, chociaż wiedziała, że zachowała się głupio.

- Wyjdźmy kuchennymi drzwiami. Callie poszła do stodoły z dziadkiem.

- Wiem, że kazałaś sprowadzić Kosmatą. Jak długo zamierzasz zostać w

Ashbourne?

- Jak długo będzie trzeba.

Usłyszała odgłos otwieranych drzwi i poczuła dłoń męża na ramieniu.

- Dokończmy tę rozmowę na zewnątrz.

Bard szedł zbyt szybko jak na możliwości Julii. W pewnym momencie zatrzymała się, zmuszając go, by stanął. Sądząc po tym, jak zaciskał dłoń na jej ramieniu, był bardzo zirytowany.

- Powinieneś kiedyś spróbować, jakie to uczucie być ciągniętym przez kogoś znacznie silniejszego od ciebie.

- Nie ciągnąłem cię. - Zawahał się. - Cholera, przepraszam. Już wszystko w porządku? Jestem po prostu wściekły.

- Jak zawsze, kiedy sprawy nie układają się po twojej myśli, tak? Może zdarza się to zbyt rzadko, żebyś mógł zrozumieć, co się z tobą dzieje.

- Będziesz nadal zachowywała się jak idiotka?

- Idiotka?

- Tak, bo ucieczka z kliniki to czysty idiotyzm. Zdajesz sobie sprawę, jak ja teraz wyglądam?

- Niech zgadnę. Jak mąż idiotki.

- Do diabła, Julio!

Zamilkła, dając Bardowi czas, by się opanował. Z jednej strony miała ochotę wyrzесzczеć to wszystko, co się w niej gotowało, z drugiej wiedziała doskonale, że wszczynając awanturę, niczego dobrego nie osiągnie.

Bard długo mocował się z sobą. Julia zobaczyła oczami wyobraźni obłok pary unoszący się z czajnika, a potem niewidzialną rękę gaszącą gaz. Para uszła z głośnym „puff”, ale pozostał wrzątek, który mógł oparzyć.

- Usiąźmy.

- Gdzie jesteśmy?

- Obok ławki pod drzewem. - Podprowadził ją kilka kroków, usłyszała szelest zgarbionych liści, potem poczuła dłonie Barda na ramionach i brzeg ławki pod kolanami.

Na tyle dobrze znała upodobania matki, że mogła sobie wyobrazić, jak wygląda teraz ogród skąpany w srebrnej poświacie księżyca. Z nadejściem jesieni Maisy na pewno posadziła złote chryzantemy i purpurowe astry. Ogród Maisy miał w sobie rys chaosu i przypadkowości, ale dlatego właśnie był tak piękny, jakby sam Bóg, nie szczędząc barw, malował go hojną ręką.

- Często tu przychodziłam, kiedy byłam nastolatką. - Julia przesuwała dłońmi po deskach ławki. - Widać stąd drogę. Często przejeżdżałeś koło naszego domu. Zauważyłeś mnie kiedyś?

Nawet jeśli zrozumiał, że Julia próbuje nadać rozmowie polubowny ton, nie dał tego po sobie poznać.

- Co ci wpadło do głowy? Doktor Jeffers mówi, że sama zeszłaś na dół. Mogłaś się zabić.

- Ktoś mi pomógł. Czy Jeffers wspomniał ci także, że mi groził? Powiedział, że nie zgodzi się na wypis.

- Chciał cię zatrzymać w klinice dla twojego dobra.

- Zatrzymać siłą. Bard, jesteś prawnikiem i dobrze wiesz, co to znaczy. - W jej głosie pojawił się gniew, odczekała więc chwilę, by się uspokoić. - Może uprawiam kuchenną psychologię, ale to chyba oczywiste, że mój stan nie mógł się poprawić, skoro sposób leczenia mi nie odpowiadał.

- Może nie chcesz dojść do zdrowia.

- Tym bardziej nie było sensu zostawać w klinice, prawda? Pomyśl, ile pieniędzy zaoszczędzimy. Mogę być niewidomą za darmo.

Ujął jej dłoń.

- Nie mówię, że robisz to świadomie. Wydaje ci się, że pragniesz odzyskać wzrok, ale w głębi duszy...

- I kto tu uprawia kuchenną psychologię?

- Gdyby naprawdę ci na tym zależało, odzyskałabyś już wzrok.

- Już to przerabialiśmy.

- Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. - Bard uścisnął dłoń żony.

Nie stawiała oporu, chociaż marzyła, żeby zniknąć, rozpułać się w powietrzu.

Zaskoczyło ją to tak bardzo, że przez chwilę się nie odzywała.

- Nie będziemy już rozmawiać o klinice. - Bard pierwszy przerwał milczenie. - Może byłem dla ciebie zbyt surowy.

Koncesje zawsze mają swoją cenę, więc Julia czekała.

- Chcę, żebyś wróciła do domu. Cofnęła dłoń.

- Wybacz, ale w tej chwili powinnam być tutaj, w Ashbourne.

- Nie będę cię zmuszał, żebyś wróciła do kliniki, jeśli tego się obawiasz. To zamknięty rozdział. Powinniśmy...

- Znowu nie słuchasz, co do ciebie mówię. Chcę zostać tutaj, z Maisy i Jakiem. Dobrze się tu czuję.

- Jak mam to rozumieć? Chcesz zostać tutaj, czy nie chcesz być ze mną?

Julia nie była tego pewna.

- Chcę mieć koło siebie ludzi, którzy mnie kochają. Ty ciężko pracujesz, późno wracasz do domu. Skończyłoby się na tym, że całe dni spędzałabym z panią Taylor.

- Mógłbym wziąć urlop.

Usiłowała wyobrazić sobie Barda przygotowującego posiłki, dbającego, by wszystko, co może jej być potrzebne, miała w zasięgu ręki. Barda zmywającego z podłogi rozlaną herbatę, prowadzącego ją do łazienki, podtrzymującego ją przy każdym potknięciu.

- Nie wytrzymałbyś długo - powiedziała, a on nie zaprzeczył.

- Jak długo planujesz tu zostać?

Niczego nie planowała. Utrata wzroku była czymś tak tajemniczym i zaskakującym, że wymykała się wszelkiej logice. Julia mogła obudzić się następnego ranka i stwierdzić, że znowu widzi, albo spędzić resztę życia pogrążona w nieprzeniknionych ciemnościach.

- Nie wiem. Jak długo będzie trzeba.

- A co ze mną?

- Jak to, co z tobą?

- Potrzebuję mojej żony.

Czekała, kiedy wspomni wreszcie o Callie. Nie wspomniał.

- Po co? Nie mogę być teraz panią domu. Sezon polowań na lisy będzie się musiał zacząć beze mnie.

- Mówisz tak, jakbyś rozmawiała z prymitywnym głupkiem.

- Więc po co ci jestem potrzebna?

W głosie Barda z każdym kolejnym zdaniem narastała irytacja.

- I tak cię nie przekonam, bo już podjęłaś decyzję. Ja jestem tym złym. Usiłowałem znaleźć ci pomoc, ale ją odrzuciłaś. Proszę, żebyś wróciła do domu, a ty chcesz, bym się przed tobą czuł.

Im bardziej się unosił, tym bardziej Julia starała się mówić spokojniej.



- Nie chcę, byś się przede mną czołgał, tylko żebyś coś zrozumiał. Mój powrót do Millcreek nie ma w tej chwili sensu, chyba że miałby położyć kres plotkom. Możesz mnie odwiedzać, kiedy tylko zechcesz. Możesz widywać się z Callie.

- To nie jest małżeństwo.

Zastanawiała się, czego Bardowi może brakować. Seksu? Nie potrafiłby się kochać z kobietą, która nie jest w każdym calu doskonała. Zresztą seks nie odgrywał wielkiej roli w ich związku. Bard specjalnie go nie potrzebował, ona jeszcze mniej.

- Czym więc jest małżeństwo? - Naprawdę była ciekawa jego odpowiedzi.

- O co ci chodzi?

- Niewiele czasu poświęcasz rodzinie. Teraz będziesz mógł więcej godzin spędzać w pracy.

- Nigdy dotąd się nie uskarżałaś. Masz pretensje, że za mało bywam w domu? Że zarabiam pieniądze na twoje utrzymanie?

- Bard, i bez pracy wystarczyłoby ci pieniędzy na utrzymanie haremu. Bądź szczery. Pracujesz, bo to lubisz, czy wręcz musisz. Nie usiedziałyś jednej chwili beczynnie.

- Nigdy nie prosiłaś, abym zwolnił tempo. Pewnie byłaś zadowolona, że nie wchodzę ci w drogę, a ty możesz nadal snuć marzenia o innym mężczyźnie.

Zdumiała ją zarówno same słowa, jak i gwałtowność, z jaką zostały wypowiedziane.

- To nieprawda!

- Nie? Sądzisz, że nie dostrzegłem twojej oziębłości? Myślisz, że nie wiem, skąd się ona bierze? Myślisz, że nie widzę, jak się zżymasz, kiedy próbuję być ojcem dla Callie? Moje nazwisko widnieje na jej świadectwie urodzenia, ale nie mam do niej żadnych praw. Ona jest twoim dzieckiem. Twoim i tego mordercy.

- Nie krzycz!

- Pewnie! Nikt o niczym nie powinien wiedzieć.

- Nigdy nie odwodziłam cię od tego, żebyś spędzał czas z Callie.

- Pod warunkiem, że robiłbym wszystko pod twoje dyktando. Ty decydujesz o wszystkim, rządzisz całym domem, a mnie oskarżasz, że jestem apodyktyczny i chcę mieć nad tobą kontrolę.

Julię ogarnęły wyrzuty sumienia. Byli małżeństwem od dziewięciu lat i Bard nigdy jeszcze nie wyraził tego, co go bolało w ich związku. Starła się być dobrą żoną, nie myśleć o Christianie Carverze. Wierzyła, że jej wdzięczność dla Barda po latach zamieniła się w przywiązanie. Znała jego wady i niedostatki, ale znała też swoje. Trwała w przekonaniu, że ich małżeństwo, chociaż oparte na sekrecie, jest trwałym, solidnym i w sumie udanym związkiem.

- Nigdy nie była moją córką - mówił Bard z goryczą. - Nigdy na to nie pozwoliłaś. Christian jest więźniem wymiaru sprawiedliwości, a ja twoim.

Nie była do końca pewna, czy zasłużyła na tak surowe słowa, ale boleśnie odczuła ich ciężar.

- Jeśli chcesz, żebym wróciła do Millcreek, jesteś najgorszym wrogiem własnej sprawy. Nie powinniśmy mieszkać razem. Przez te wszystkie lata nagromadziło się zbyt wiele pretensji.

- Pozostając tutaj, nie rozwiążesz naszych problemów, chyba że chcesz się ze mną rozwieść. Do tego właśnie zmierzasz?

Od odpowiedzi uwolnił ją głos córki, który niósł się od strony stajni.

- Jeśli chcesz zobaczyć się dzisiaj z Callie, masz okazję. Myślę, że wystarczająco dużo już sobie powiedzieliśmy, nie sądzisz?

- Jestem innego zdania.

- Dowie się, że tu jesteś. Zobacz twój samochód. Nie możesz jej ignorować.

- Dobrze, Julio. Zobaczę się z nią, ale ty zostań tutaj, dopóki Maisy nie przyjdzie po ciebie. Przynajmniej raz pozwól mi być ojcem. Nie wtrącaj się.

- Bard...

- Oszczędź sobie.

Julia poczuła powiew chłodnego wiatru na twarzy i usłyszała szelest suchych liści pod stopami Barda.

- Jeśli będziesz chciała się ze mną zobaczyć, wiesz, gdzie mnie szukać. Będę czekał na twoje dalsze instrukcje - dodał.

Gdy odszedł, opuściła głowę i wbiła niewidzące oczy w ziemię.

Maisy patrzyła, jak Callie biegnie ku ojcu. Dziewczynka zatrzymała się o kilka metrów od niego, jakby nie była pewna, czy Bard zechce się z nią przywitać.

- Cześć, tato.

- Callie. - Nie otworzył ramion, stał w miejscu bez ruchu. - Mama mówiła, że poszłaś sprawdzić, jak się miewa Kosmata. Zadomowiła się już tutaj?

- Pewnie. Tu jest jej fajnie. Jake codziennie pracuje w stajni i dotrzymuje Kosmatej towarzystwa, więc klaczka nie nudzi się, kiedy jestem w szkole. Ma wszystko, czego jej trzeba.

Bard zerknął na teściową.

- Wygląda na to, że cała moja rodzina już się u was zadomowiła.

Maisy puściła tę uszczypliwość mimo uszu.

- Cieszymy się, że możemy pomóc - powiedziała spokojnie.

- Dostałam czwórkę z wypracowania z historii. -

Callie postąpiła kilka kroków w stronę ojca. - Wiesz, z tego o dawnej konnicy.

- Świetnie - powiedział obojętnie, najwyraźniej błędząc myślami gdzie indziej.

Callie spróbowała raz jeszcze:

- Czwórka to dobry stopień. Ostatnio dostałam tylko trójkę.

- Nie powinnaś tak na to patrzeć. Czwórka jest dobra, ale piątka byłaby lepsza, prawda?

Buzia Callie posmutniała.

- To znaczy, że nie mam się z czego cieszyć?

- Możesz się cieszyć, ale powinnaś starać się mieć same piątki.

- Tak jak ty?

- Tak jak ja.

- Ale ja nie jestem taka mądra... - Mała zasmuciła się.

Zirytowana Maisy chciała się już wtrącić, ale powstrzymały ją słowa, które padły z ust Barda.

- Jesteś mądra i jestem z ciebie dumny.

Callie natychmiast zachichotała. Bard podszedł wreszcie do niej i pogłaskał ją po głowie.

- Odprowadź mnie do samochodu.
- Gdzie jest mama?
- Właśnie, gdzie Julia? - zaniepokoiła się Maisy. Bard odwrócił się ku niej.
- Została w ogrodzie. Robi się zimno. Powinnaś iść po nią. - Ruszył z Callie w stronę swojego bmw zaparkowanego koło stajni.
- Zachowuje się tak, jakby trafił do gniazda szerszeni - powiedziała Maisy, kiedy Jake dołączył do niej. - Zostawił Julię w ogrodzie.
- To pod wieloma względami silny człowiek, ale zupełnie nie radzi sobie z własnymi emocjami.
- Miałam ochotę dać mu w twarz, kiedy omal nie doprowadził Callie do płaczu.
- On się pogubił, Maisy. To przecież widać gołym okiem.
- Ostatnimi czasy Jake coraz częściej strofował żonę i przywoływał ją do porządku, coraz częściej słyszała w jego głosie dezaprobatę.
- Callie jest jeszcze dzieckiem.
- Jest silniejsza, niż ci się wydaje. Oboje z Bardem muszą popracować nad wzajemnymi relacjami.
- Wiem - odpowiedziała, starając się nie dać poznać po sobie, że poczuła się dotknięta.
- Tak myślę. Chcesz za wszelką cenę chronić wszystkich, których kochasz, a taka nadopiekuńczość czasem może być męcząca.
- Mówisz także o sobie, Jake?
- Ja ci nie pozwalam, żebyś mnie niańczyła. Maisy nie miała już nic do powiedzenia. Jake uściśnął jej dłoń, jakby chciał ją pocieszyć.
- Pójdę po Julię, a ty zajmij się Callie. Powinna już kłaść się do łóżka.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

- Mamo, kiedy zamykam oczy, nadal widzę światło. A czy ty widzisz światło?

- Nie, chyba nie. Odwróć mnie w stronę lampy.

Callie najwyraźniej dobrze się bawiła. Stała na łóżku, oparła drobne dłonie na ramionach Julii i próbowała nią kierować.

- No i jak?

- Kiedy zamykasz oczy, światło przenika przez powieki, ale ja go nie widzę. Coś jest nie w porządku z moim wzrokiem.

- Tata powiedział, że coś jest nie w porządku z twoją głową i że to wcale nie od uderzenia przestałaś widzieć.

Julia była rada, że Bard przynajmniej tyle wyjaśnił córce.

- To trudno zrozumieć.

- Może jak będziesz się bardzo starała, to wreszcie zaczniesz widzieć.

Julia jakby słyszała męża. Usiadła na łóżku.

- Pamiętasz, jak uczyłaś się czytać? Bardzo się starałaś, a pomimo to wciąż nie rozpoznawałaś liter. Pomogła ci dopiero specjalna nauczycielka, która wiedziała, na czym polega twój problem i jak można go rozwiązać.

- Pamiętam, mamo, to nie było aż tak dawno temu, żebym zapomniała - powiedziała Callie z przesadną cierpliwością w głosie.

Objęła córkę, a właściwie wydawało się jej, że obejmuje. Poczula małą przy sobie dopiero wtedy, gdy Callie się do niej przytuliła.

- Ze mną jest podobnie. Bardzo się staram, bardzo chciałabym znowu widzieć, ale nie mogę. Też będę potrzebowała specjalnej nauczycielki, która wytłumaczy, na czym polega mój problem.

- Nauczycielki widzenia?

Oby to było takie proste, pomyślała Julia.

- Psychologa, terapeutę.

- Z moim problemem jest coraz lepiej. Wczoraj czytałam na głos w szkole. Może ty też nauczysz się widzieć?

Julia umówiła się z nauczycielką Callie, że nie będzie zmuszała małej do czytania przed całą klasą.

- Jak to się stało?

- Pani Queen musiała iść na zebranie i mieliśmy zastępstwo. Powiedziałam tej nowej pani, że mam kłopoty i kazała mi siadać, ale inne dzieci się śmiały.

- A ty co zrobiłaś?

- Nic. Bo pani wywołała Leroya Spadera, a on potknął się o czyjaś nogę i wszyscy zaczęli się z niego śmiać. Chwyciłam go, żeby się nie przewrócił, a potem pchnęłam.

- Nie!

- Pchnęłam go z powrotem na miejsce, żeby się znowu nie wywalił. No i zaczęłam czytać. Poszło mi nieźle.

Julia mocniej przytuliła córkę.

- Cieszę się! Ładnie się też zachowałeś, że chciałeś pomóc Leroyowi, ale niepotrzebnie go popchnęłaś.

- Dlaczego? Bo zawsze powinnam zachowywać się jak dama?

Znowu słowa Barda.

- Skądże! Po prostu nie należy nikogo popychać. A teraz kładź się, bąku, i śpij.

- Nie mogę. Musisz najpierw wstać. Siedzisz na mojej kołdrze.

Julia podniosła się z łóżka.

- Otulę cię. Zobaczymy, czy mi się uda.

- Fajny jest twój pokój. Cieszę się, że będę w nim mieszkać.

Julia też zawsze lubiła swój przestronny pokój, z oknami wychodzącymi na dwie strony. Jako nastolatka koniecznie chciała pomalować ściany na czarno, ale na ten kaprys nawet Maisy się nie zgodziła. W końcu poszły na kompromis i wybrały ciemny granat.

- Jakiego koloru są ściany, Callie?

- Purpurowe.

- Jasnopurpurowe?

- Aha.

- Pomalowałam je tak, gdy byłam na pierwszym roku studiów.

Pomagali jej Christian i Fidelity. Julia poczuła bolesne ukłucie w sercu. Callie nigdy się nie dowie, że sufit, na który teraz patrzyła, malował jej prawdziwy ojciec. Nie będzie wiedziała, że została poczęta w tym właśnie pokoju na krótko przed tym, jak Christiana oskarżono o zamordowanie Fidelity i aresztowano, zanim zdążył się dowiedzieć, że będzie miał dziecko.

- Taka jestem senna - mruknęła Callie. - To te purpurowe ściany tak mnie usypiają.
- Nie mogę ci poczytać do snu, ale mogę coś opowiedzieć.
- Chyba... zaraz zasnę.

Julia nachyliła się, poszukała twarzy córki i pocałowała ją w czoło.

- W takim razie jutro coś ci opowiem.
- Mogę już zgasić światło? - Do pokoju bezszelestnie weszła Maisy. - Nasza panna będzie spać. Dobranoc, księżniczko. Zobaczymy się rano.

- ...noc. Nie zamykajcie drzwi.

Na korytarzu Maisy otoczyła córkę ramieniem.

- Ty też pewnie chciałabyś już się położyć.
- Tak, czuję zmęczona.
- Jak rozmowa z Bardem? - zapytała Maisy, kiedy znalazły się na dole.
- Wszystko bierze do siebie. Rozstaliśmy się w gniewie.
- Pamiętaj o jednym, Julio. Nie będę dawała ci żadnych rad ani do niczego nie zamierzam cię zmuszać, natomiast możesz być pewna, że zaakceptuję każdą twoją decyzję. Sama wiesz, co dla ciebie najlepsze.

Maisy zawsze była bardzo liberalną matką. To, co wydawało się brakiem zasad, w istocie było niemal nieodczuwalną matczyną czujnością. Wolna od napomnień, Julia musiała sama dokonywać wyborów, ale jeśli popełniała błędy, to tylko z nadmiaru ostrożności.

- Nie zmuszasz mnie do niczego, ale chcesz mieć mnie tutaj, Maisy. Dałaś to jasno do zrozumienia

- To prawda. Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że postanowiłaś zamieszkać w Ashbourne.

Dotarły do pokoju Julii.

- Na łóżku leży koszula nocna. Przybory toaletowe ustawiłam na półce nad kaloryferem w łazience. Pomóc ci jeszcze w czymś?

- Dam sobie radę.

- Zostawię cię w łazience i przyjdę za kilka minut. Chyba że chcesz wziąć kąpiel.

- Rano wezmę prysznic.

Gdy leżała już w łóżku, do pokoju weszła Maisy.

- Julio, muszę z tobą porozmawiać, zanim zaśniesz. Potrzebuję twojej pomocy.

- Mów, o co chodzi.

Maisy nie odpowiedziała od razu. Kiedy wreszcie się odezwała, w jej głosie słychać było zażenowanie i nieśmiałość.

- Piszę powieść.

Gdyby matka którejkolwiek z jej przyjaciółek wystąpiła z podobną deklaracją, wprawiłaby własne dziecko w kompletne osłupienie. Panie z Ridge's Race organizowały dobroczynne herbatki, udzielały się w rozmaitych komitetach i organizacjach społecznych, prowadziły dzieci i wnuki na pokazy koni, przyjmowały wizyty znajomych, urządały przyjęcia, lecz były absolutnie głuche na uwodzicielskie podszepty muz.

Natomiast Maisy z wszystkimi dziewięcioma była w jak najlepszej komitywie.

- Przestałaś rzeźbić? - spytała Julia ostrożnie, nawiązując do ostatniej pasji matki.

- Nic mi nie wychodziło.

- Nieprawda. Niektóre twoje rzeźby były całkiem interesujące.

- Obie doskonale wiemy, co w świecie sztuki oznacza określenie „interesujące”, i do tego jeszcze „całkiem”. Oszczędź mi fałszywych pochwał.

- Popiersie Callie bardzo mi się podobało.

- Byłaś jedyną osobą, która domyśliła się, że to Callie. I to tylko dlatego, że sama pozwoliłaś, by mi pozowała,

- Postanowiłaś więc zająć się prozą? Gdy byłam na studiach, pisałaś wiersze.

- Daj spokój! Wstyd wspominać te dziadowskie rymy.

- Jeśli zwierzasz mi się po to, żeby otrzymać moje błogosławieństwo, masz je.

Uważam, że powieść to wspaniały pomysł.

- Miło mi to słyszeć. Chciałabym ci przeczytać to, co do tej pory napisałam.



Julia przestraszyła się nie na żarty.

- Kiepska ze mnie publiczność, Maisy.

- Wiem, że masz teraz inne sprawy na głowie.

Maisy była szczerą wobec córki, Julia starała się być taka sama.

- Już nie wiem, czy próbuję poskładać swoje życie na nowo, czy też dokonuję totalnego demontażu. Czuję się jak jeź zwinięty w kulkę. Potrafię myśleć tylko o własnych problemach. Zachowuję się jak ostatnia egoistka, ale inaczej nie potrafię.

- Rozumiem to.

- Cieszę się.

- Pomimo wszystko byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś zechciała posłuchać fragmentów mojej powieści. Zaraz ci powiem, dlaczego - ciągnęła Maisy, zanim Julia zdążyła zaprotestować. - Uważam, że chociaż na moment powinnaś oderwać się od własnych trosk. Rozumiem, co przeżywasz. Każdy głupi by to zrozumiał. Musisz po prostu mieć jakieś zajęcie. Nie możesz czytać. Nie możesz malować. Nie możesz też jeździć konno. Możesz, oczywiście, słuchać muzyki, radia, ale to nie oderwie cię od twoich problemów. Wciąż będziesz je analizować.

- Tylko to potrafię robić w tej chwili.

- Twoja dusza i serce potrzebują wytchnienia. Musisz zaznać spokoju, by wyzdrowieć. Czy jasno się wyrażam?

Wystarczająco jasno. Maisy, na swój zawikłany, chaotyczny sposób, chciała pomóc Julii. Bez zastanowienia zaofiarowała jej schronienie w Ashbourne, pociechę, własne oczy i własne dłonie. Teraz wyszła z kolejną propozycją, która miała przynieść córce ukojenie, ale też sama potrzebowała, jak każdy artysta, choćby i kompletny amator, wsparcia i oceny własnych poczynali.

Jak Julia mogła jej odmówić?

- Mam nadzieję, że to nie będzie aż takie straszne - stwierdziła Maisy cierpko. - Powinnaś widzieć teraz swoją minę.

- Masz rację. Choćby w ten sposób odwdzięczę ci się za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Boję się tylko, że moja opinia może być trudna do strawienia dla nas obu.

- Niekoniecznie. Po prostu potrzebna mi uważna słuchaczka.

- Kiedy chciałabyś zacząć?

- Zaraz.

Julia struchlała. Marzyła tylko o odpoczynku, bo przecież miała za sobą trudny, ciężki dzień.

- Będziesz mi czytać do poduszki?

- Teraz jest najlepsza pora. Cisza, spokój. Może będzie ci się potem lepiej spało.

- Niewykluczone, że zasnę w trakcie lektury. - Julia starała się, żeby zabrzmiało to lekko. - Co to za powieść?

- Romans, a w każdym razie w tę stronę zmierza. Tak do końca jeszcze nie wiem, bo postaci żyją własnym życiem i robią, co im się żywnie podoba.

Cóż, pomyślała Julia, nie najlepiej to świadczy o dyscyplinie pisarskiej Maisy. Jej wyroby ceramiczne też żyły własnym życiem, co i rusz wymykając się z rąk swej twórczyni.

- Kiedy byłam mała, zawsze czytałaś mi przed snem. Bardzo to lubiłam.

- Mówiłam: „Ułóż się wygodnie i pozwól, niech opowieść zabierze cię ze sobą”.

Pamiętasz?

- Tak.

- Więc ułóż się wygodnie, Julio i pozwól, niech opowieść zabierze cię ze sobą.

Zapomnij o wszystkim innym. Rano będziesz miała dość czasu, by wrócić do swoich zmartwień.

- Masz rękopis przy sobie?

- Przyniosłam pierwszy rozdział. - Maisy na potwierdzenie swych słów zaszeleściła kartkami, potem rozległo się ciche skrzypnięcie krzesła.

- Czy Jake wie, że piszesz?

- Twój ojczym nie zadaje żadnych pytań, bo wie, że w swoim czasie i tak dowie się więcej, niżby chciał.

Julia ułożyła się wygodnie. Maisy miała kojący, melodyjny głos i potrafiła czytać z prawdziwie dramatycznym talentem.

- Zamknij oczy - poleciała.

- W moim stanie nie ma to wielkiego znaczenia. - Pomimo to Julia opuściła powieki i zaczęła słuchać.

### Fragment niepublikowanej powieści „Fox River”

Maisy Fletcher

Mój ojciec wiązał ze mną wielkie ambicje, co przejawiało się tym, że za cel życia wyznaczył mi poślubienie członka nowojorskiej socjety. W ten sposób nasza rodzina niebywale miała zyskać na splendorze.

Moi bracia, George i Henry, z natury swej prostacy i gbury, nadawali się tylko do przyziemnych zadań, natomiast ja, Luiza, dziewczyna z jasnymi lokami i zielonymi jak morze oczyma, obdarzona dziewczęcym wdziękiem i urodą, mogłam spowodować, że przekroczymy ów wyśniony próg.

Chociaż ojciec wcześniej umarł, matka, sama prostacka i pozbawiona ogłady, przejęła jego ambicje. Gdy uznała, że bracia potrafią zadbać o rodzinne interesy, całą uwagę skupiła na mnie i szybko uzmysłowiła mi, po co przyszłam na świat.

Wprawdzie egzystowaliśmy na dalekich obrzeżach nowojorskiego świata, którego pępkiem była Piąta Aleja, otrzymałam jednak staranne wykształcenie, co miało podnieść moją wartość i umożliwić ostateczny sukces. Gdy skończyłam osiemnaście lat, kuzynka Annabelle Jones zaprosiła mnie na lato do swojej posiadłości w Middleburgu w Wirginii.

Z drogiej pensji dla dziewcząt wyniosłam ledwie podstawy historii, geografii i literatury, ale za to mogłam przetańczyć całą noc, a na koniu trzymałam się, jakbym urodziła się w siodle. Posiadałam sztukę flirtu, a także zawily kunszt konwersacji. Byłam gotowa polerować schody, po których miały się wspinać przyszłe pokolenia Schumacherów.

Gdyby nie udało mi się poślubić jakiegoś księcia, markiza czy hrabiego rodem z Europy, pozostawały inne partie, też dobre, choć odrobinę niżej notowane w świecie.

Przyznaję ze wstydem, że wówczas uważałam wyznaczone mi zadanie za rzecz zupełnie naturalną. Nie byłam wprawdzie pozbawiona kręgosłupa, miałam swoje zdanie i chciałam iść przez życie własną drogą... oczywiście o ile nie byłaby ona zbyt wyboista, a

moje wybory nie narażałyby mnie na dezaprobatę otoczenia. Byłam więc typowym dzieckiem ówczesnej epoki, kiedy to wielka wojna, tak zwana „światówka”, właśnie się zakończyła i wszyscy, również i ja, z ufnością patrzyli na bardzo jeszcze młody dwudziesty wiek.

Gdy jako podłotek spędzałam czas z matką, zawsze towarzyszył mi nauczyciel etykiety lub krawiec. Mama pilnowała mojej edukacji i bezskutecznie usiłowała dostać się na salony. Do dziś pamiętam jej zacięte usta i orzechowe oczy, przesuwane się niespokojnie po tłumie w poszukiwaniu kogoś, kto okazałby jej zainteresowanie.

Ostatniego wieczoru przed wyjazdem do Wirginii przyszła do mojego pokoju. Oznajmiła mi, że w małżeństwie mężczyźni nie szukają przyjaźni, tylko pragną zaspokoić własne potrzeby. Gdy już zostanę żoną, mówiła, powinnam dbać o męża i nie wynosić się ponad niego, tylko pozwolić mu błyszczeć. Krótko mówiąc, miałam być udoskonaloną wersją mojej matki.

Annabelle Jones, daleka kuzynka mamy, pochodziła ze starej i ustosunkowanej rodziny. Jej dziadek, oficer Unii urodzony w Londynie, przetrwał wojnę secesyjną, świadcząc rozmaite przysługi nowoorleańskim kupcom. To, że przy tym nieraz trudnił się kontrabandą lub wręcz kradzieżą, nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, by klienci byli zadowoleni.

Po Appomattox\* pułkownik zajął się eksportem bawełny, później został wysokim urzędnikiem Southern Pacific Railroad.

\* Appomattox - w tym mieście 9 IX 1865 skapitulował dowódca wojsk Konfederacji, gen. Charles Lee. Był to jeden z ostatnich aktów wojny secesyjnej. (Przyp. red.).

Josiah Jones, najmłodszy syn pułkownika i ojciec Annie, osiadł w Wirginii, gdzie hodował konie i cieszył się urokami wiejskiego życia.

Annie była jednym wielkim rozczarowaniem dla rodziców. Żywa, nad wyraz inteligentna, wysoka niczym mężczyzna, szeroka w ramionach, o dużych stopach i

wielkich dłoniach, bez powodzenia usiłowała pomieścić się w świecie pomyślanym dla drobnych kobietek.

Była moją najbliższą przyjaciółką. Kochałam ją za przenikliwą mądrość i niewzruszoną lojalność. Czułam, że nigdy mnie nie skrzywdzi.

Gdy Annie i jej rodzice przyjechali po mnie, pożegnałam smutny dom dzieciństwa. Samochód ruszył, matka została na progu. Przy ustach trzymała chusteczkę, jakby chciała stłumić spóźniony krzyk protestu, a jej drobna postać z każdą chwilą coraz bardziej malała.

- Nie pożałujesz, że z nami jedziesz - zapewniła Annie. - Zobaczysz, Weezy, czeka nas świetna zabawa.

- Wcale nie, jeśli wciąż będziesz nazywała mnie Weezy - naburmuszyłam się.

Annie zaśmiała się głośnym, niepohamowanym śmiechem, który przerażał mężczyzn równie mocno, jak jej męska sylwetka i szerokie ramiona. Ścisnęłam jej dłoń, przekonana, że zaczyna się najwspanialszy rozdział mojego życia.

## ***ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY***

Po śniadaniu po Christiana przyszedł jakiś nieznany strażnik.

- Carver, do naczelnika.

Po wczorajszej wizycie Petera i Mela, Christian starał się nie myśleć o ewentualnym uniewinnieniu. Teraz serce zabiło mu mocniej.

Zapiął roboczą koszulę i ruszył labiryntem korytarzy, idąc, jak wymagał tego regulamin, pół kroku przed strażnikiem. Ostatniej nocy śniło mu się, że dosiada białego rumaka, który przenosi go, szybując w powietrzu niczym Pegaz, za mury więzienia.

- Niech pan siada, panie Carver. - Naczelnik Sampsen wskazał krzesło i zwrócił się do strażnika: - A ty możesz już odejść. Kiedy skończymy rozmowę, wezwę kogoś, żeby odprowadził więźnia.

- Zdażyłeś zjeść śniadanie? - Naczelnik starał się zachowywać przyjaźnie, co podkreślił, zwracając się do Christiana per ty.

- Tak, proszę pana.

- Dobrze, bardzo dobrze. - Nie podnosząc głowy zaczął kartkować leżące przed nim papiery. - Wiem, co się dzieje w twojej sprawie, Carver. Mam tu przed sobą wszystkie akta i najnowsze raporty. Wygląda na to, że korzystasz ze wszystkich dobrodziejstw prawa, młody człowieku. Czy nie tak?

Nie tak. Gdyby w odpowiednim czasie mógł z nich skorzystać, w ogóle nie doszłoby do procesu. Byłby teraz mężem Julii Ashbourne i najpewniej ojcem ich wspólnych dzieci, oraz hodowałby z żoną najlepsze konie w całej Wirginii.

- Miałem dobrego obrońcę - powiedział wymijająco. - Pomagali mi ludzie z zewnątrz.

- Masz na myśli Petera Claymore'a z Claymore Park?

Christian skinął głową.

- Zandoff też ci pomógł?

Przez chwilę Christian był tak zaskoczony, że nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

- Nie znam Zandoffa. Wiem o nim tyle, co przeczytałem w gazetach.

- Twierdzi, że w tym czasie, kiedy panna Sutherland została zamordowana, pracował w Wirginii, i to w pobliżu domu Sutherlandów. Jeśli dobrze pamiętam, ty też pracowałeś w tej samej okolicy. Zastanawiam się, chłopcze... - Naczelnik oparł łokcie na biurku i zetknął końce palców obu dłoni - ...czy nie chciałbyś wyznać czegoś, co być może przez te wszystkie lata ciążyło ci na sercu?

Christian domyślał się, że naczelnik raczej nie oczekuje krytycznej opinii na temat systemu penitencjarnego.

- Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

- Nie miałeś najszcześniejszego życia.

- Gdy skończyłem sześć lat, umarła moja matka, a ojciec zginął po następnych sześciu. Wtedy zaopiekował się mną Peter Claymore.

- I był dla ciebie jak rodzony ojciec?

- Okazał mi więcej serca, niż mógłbym oczekiwać.

- Podobno twój ojciec podpalił stajnię Claymore'a.

- Takie zapadło orzeczenie po zakończeniu dochodzenia.

- Miał problemy z alkoholem?

- Przyjęto, że ojciec zaproszył ogień od papierosa. Policja uznała, że upił się do nieprzytomności.

- Kiepski tatuś, synu. Pijak nie mający poszanowania dla cudzej własności.

Tego już Christian nie mógł puścić płazem.

- Ojciec znał każdego konia w stajniach Claymore Park. Wychował większość z nich, trenował je. Rozmawiał z nimi. Nigdy nie traktował ich jak cudzej własności przeliczalnej na pieniądze. Były dla niego wszystkim.

- Chcesz powiedzieć, że ojciec wcale nie podpalił tej stajni?

- Chcę powiedzieć, że nie zrobił tego rozmyślnie lub przez zaniedbanie.

Rzeczywiście dużo pił i w końcu alkohol wziął nad nim górę. Był dobrym, ale chorym człowiekiem. Mnóstwo palił. Kiedy pił, nie patrzył, gdzie rzuca niedopałki. Niczego więcej się pan tu nie doszuka.

- A co z panną Sutherland?

- Tego dnia, kiedy zginęła, szukałem jej. Znalazłem jej naszyjnik na stopniach ganku. Poszedłem do jej pokoju...

- Tak po prostu poszedłeś do jej pokoju? Musiałeś czuć się bardzo swobodnie...

Christian nie dał zbić się z tropu, przeciwnie, poczuł narastający gniew.

- Przyjaźniliśmy się od dziecka. Zdziwiłem się, że jej naszyjnik leży na stopniach przed domem. Kiedy wszedłem na górę, znalazłem ją w kałuży krwi.

- Policja ujęła cię z nożem w jednej dłoni i naszyjnikiem w drugiej.

- Nóż leżał na podłodze, obok ciała, więc podniosłem go. Widocznie oglądałem za mało kryminałów.

- To był twój nóż. - Naczelnik podniósł wzrok znad akt. - Miałeś dobrego obrońcę, a jednak ława przysięgłych orzekła, że jesteś winny. Ja też tak uważam, synu.

- Jak większość ludzi, którzy zetknęli się z moją sprawą, naczelniku. Mam mówić szczerze?

- Wiesz, że tego właśnie oczekuję. Człowiek, który potrafi wyznać swoje winy, oczyszcza się z nich raz na zawsze. - Naczelnik wpadł w kaznodziejski ton.

- Jeśli policja znajdzie biżuterię we wskazanym przez Zandoffa miejscu, nie będą już ciążyły na mnie żadne zarzuty.



- Zastali cię na miejscu zbrodni, chłopcze. Z nożem w dłoni. Miałeś na rękach krew ofiary, co więcej, miałeś motyw. Może zabiliście ją razem: ty i Zandoff? Zastanawiające, dlaczego Zandoff nie próbował wrócić po swój łup.

- Bizuteria Fidelity była wyjątkowa, niepowtarzalna. Trudno byłoby ją sprzedać.

- W raporcie z dochodzenia czytałem, że zabiłeś ją w porywie wściekłości. Może byłeś w niej zakochany, a ona miała cię w nosie?

- Nie zabiłem Fidelity, a zakochany byłem w jej najlepszej przyjaciółce. Nawet jeśli kiedykolwiek natknąłem się na Zandoffa, nie zamieniłem z tym człowiekiem słowa. Nie pamiętam go.

Christian powiedział już wszystko, co miał do powiedzenia.

- Rozczarowujesz mnie, synu, a miałem nadzieję, że zdołamy się jakoś porozumieć. Zapewne wyjdiesz stąd, ale idę o zakład, że wkrótce wrócisz. Rodzice tej małej to znaczący ludzie. Nie myślisz chyba, że będą z założonymi rękami patrzyli, jak zabójca ich córki spokojnie przechadza się ulicami ich miasta. Powiem ci, lepiej wszystko wyznaj. Zandoff wziął na siebie swoją część winy, ty weź swoją. Zmniejszą ci wymiar kary i będziesz mógł żyć z podniesioną głową.

- Zmniejszenie wymiaru kary lub wolność. Pan co by wybrał? - Christian nie mógł powstrzymać się od sarkazmu.

Naczelnik poderwał głowę.

- Masz dobrą opinię z odsiadki, wyróżniłeś się w szkoleniu psów. Daję ci szansę, byś postąpił zgodnie z własnym sumieniem.

- Sumienie mi mówi, że powinienem stąd wyjść, proszę pana.

Naczelnik zamknął teczkę z aktami.

- Dam ci przyjacielską radę, Carver. Jeśli jakiś idiota w sędziowskiej todze wypuści cię stąd, nie wracaj do Ridge's Race. Już dostaję telefony od tamtejszych ludzi. Nie chcą cię widzieć u siebie. W najlepszym razie będziesz im przypominał o czymś, o czym woleliby zapomnieć. Jedź gdzie indziej, wszystko jedno dokąd. Im dalej, tym lepiej. I tak nie uciekniesz dostatecznie daleko. Prędzej czy później znajdziemy powód, żeby wsadzić cię z powrotem za kratki. - Sampsen podniósł głowę i uśmiechnął się. - Możesz być tego pewien.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jake podał Maisy koszyk z pieczywem.

- Coś się dzisiaj stało albo w South Land, albo w Claymore Park. Gdy jechałem do sklepu z narzędziami, zobaczyłem na drodze łączącej obie posiadłości kilka wozów policyjnych.

Cała rodzina siedziała przy późnej kolacji. Julia kończyła posiłek. Miała za sobą męczący dzień. Wiele godzin spędziła na powtórnym poznawaniu domu i nauce poruszania wśród wypełniających go sprzętów.

- Wiesz, o co mogło chodzić? - zainteresowała się Maisy. - Mam nadzieję, że nie przytrafiło się nikomu nic złego.

- Jeśli ktoś popełnił przestępstwo, będzie to kolejny argument przeciwko polityce intensywnego zagospodarowywania okolicy. Znowu podniosą się głosy, by deweloperzy się wynieśli i żeby wszystko zostało po staremu: sielsko, wiejsko i bezpiecznie.

Wykupywanie gruntów i dzielenie wielkich posiadłości na mniejsze działki było przedmiotem ciągłych debat w hrabstwie Loudoun. Lękano się, że w malowniczy wiejski pejzaż wtargną typowe podmiejskie osiedla.

- Nie dowiedziałeś się w miasteczku, co się tam stało? - zagadnęła Julia.

- Kay Granville twierdziła, że widziała ludzi kopiących wzdłuż płotu dzielącego oba majątki - odparł Jake.

- Dziwne. Gdyby chodziło o awarię wodociągów albo przewodów elektrycznych, szeryf nie przysyłałby swoich ludzi.

- Zadzwoń do Sutherlandów - powiedziała Maisy. - Przyzwyczajili się, że dzwonię do nich z najdziwniejszymi pytaniami.

Julia zamarła z uzbrojoną w widelec dłonią uniesioną do ust.

- I tak wkrótce się dowiemy. Flo i Frank na pewno odebrali już kilkanaście telefonów.

- Jeśli wydarzyło się coś złego, powinniśmy wiedzieć. Choćby po to, żeby pomóc.

- Jeśli, nie daj Bóg, doszło do jakiejś tragedii, wkrótce o tym usłyszymy. Złe wiadomości szybko się rozchodzą.

- Ja słyszałam o czymś strasznym! - zawołała Callie. - Ale to stara wiadomość. W okolicy mieszkał niedobry człowiek, który zabił jedną dziewczynę.

Przy stole zapadła martwa cisza. Julia wstrzymała oddech. -

- To nie temat do rozmowy przy stole - powiedziała zdławionym głosem.

- Dlaczego?

Maisy pospieszyła córce na ratunek.

- Bo przy stole powinno się myśleć i mówić o miłych rzeczach.

- A samochody szeryfa to miła rzecz?

- Moja wina - przyznał Jake. - Nie powinienem był poruszać tego tematu.

- A ja wiem, dlaczego oni kopali. - Callie nie dała zbić się z tropu. - Ten niedobry człowiek najpierw zabił tę dziewczynę, a potem schował gdzieś jej biżuterię! - oznajmiła triumfalnym tonem. - I dopiero teraz przyznał się policji.

Zapadło milczenie, które przerwała Maisy.

- Skąd o tym wiesz?

Julia nie rozumiała, jak matka może dalej ciągnąć tę rozmowę.

- Tiffany mi powiedziała. - Była to najlepsza przyjaciółka Callie. Jej matka ujeżdżała konie w Claymore Park. - Tiff słyszała, jak jej mama z kimś rozmawiała o tym niedobrym człowieku. On siedzi w więzieniu.

- Callie, myślę, że powinniśmy zmienić temat. - W głosie Julii zabrzmiała desperacja. Łzy napłynęły jej do oczu. Przez dziewięć lat wierzyła w niewinność Christiana, a teraz Callie rozprawiała o jego wyznaniu z taką beztroską, jakby opowiadała o przyjęciu urodzinowym swojej koleżanki.

- Ale to przecież dobra wiadomość. On jest w więzieniu i nie może już zrobić nic złego. A teraz pomaga policji. Niedługo ma umrzeć - trąkotała Callie. - Myślę, że to niesprawiedliwe. Przecież pomaga.

- Dość!

- Julio... - rzuciła Maisy ostrzegawczo. - Callie, to smutna historia i naprawdę nie nadaje się do rozmów przy stole. Pomówimy o tym później, zgoda?

- To bardzo niesprawiedliwe - mruknęła Callie. - Ci ludzie z Florydy są podli.

- Z Florydy? - zainteresowała się Maisy.

- Maisy, najpierw zwracasz uwagę Callie, a potem sama ją zachęcasz - wtrącił stanowczym tonem Jake.

Julia straciła apetyt.

- Skończyłaś już jeść, Callie?

- Tak. Nie lubię, jak wszyscy na mnie krzyczą - naburmuszyła się mała.

- Nikt na ciebie nie krzyczał - sprostowała Julia. - Przepraszam cię. Chodźmy do bawialni dokończyć rozmowę. Niech Maisy i Jake zjedzą w spokoju.

Kiedy usadowiły się na kanapie w bawialni, Julia przytuliła wciąż jeszcze naburmuszoną córkę.

- Ja tylko powtórzyłam, co usłyszałam od Tiffany.

- Wiem, maleńka. Ta dziewczyna, która zginęła przed laty, miała na imię Fidelity, była córką Flo i Franka Sutherlandów... i moją najlepszą przyjaciółką... Dlatego tak trudno mi o tym rozmawiać.

Callie zdawała się bardziej zafascynowana, niż wstrząśnięta.

- Dlaczego ten człowiek ją zabił?

- Nikt nie wie. Do tej pory... do tej pory mówił, że tego nie zrobił, ale może teraz poda powody.

- Znałaś go?

Owszem, znała Christiana. Tak dobrze, jak człowiek jest w stanie poznać drugiego człowieka.

- On też był moim przyjacielem. Moim i Fidelity. Trudno, bardzo trudno pogodzić się z tym, że zabił Fidelity.

- Tiff mówi, że to był jakiś trampek.

- Trampek?

- No, taki... - Callie usiłowała przypomnieć sobie określenie, którego użyła Tiffany.

- Tramp!

Julia nic nie rozumiała.

- Tramp to człowiek, który przenosi się z miejsca na miejsce, a on od zawsze mieszkał w Claymore Park.

Callie zniżyła głos. Powoli zaczynał do niej docierać tragiczny sens tamtych zdarzeń.

- Tiff mówi, że on zamordował dużo osób. Dobrze, że nie zabił ciebie, mamusiu.

- Nie zabił wielu osób. Nie wiem, co Tiff usłyszała, ale to nieprawda.

- Tiff mówi, że posadzą go na krześle elektrycznym i będzie musiał umrzeć za to, że zamordował tyle osób - ciągnęła Callie.

- Ale... - Julia przerwała na dźwięk dzwonka telefonu. Maisy odebrała i po chwili weszła do pokoju z aparatem bezprzewodowym.

- Ho Sutherland. Chce rozmawiać z tobą, Julio.

- Zabierz Callie do kuchni, dobrze? Na pewno ma ochotę na deser.

Podniosła słuchawkę dopiero wtedy, gdy Maisy i Callie wyszły z pokoju.

Tego wieczoru Maisy nie próbowała nawet proponować Julii, by wysłuchała kolejnego fragmentu powieści. Wiedziała, że po rozmowie z Flo córka chce zostać sama.

Zajrzała do sypialni w poszukiwaniu Jake'a, a kiedy go tam nie znalazła, poszła do stajni. Usłyszała, jak jej mąż rozmawia z Kosmatą.

- Dobry konik, ładny konik.

- Znowu przyniosłeś jej cukier? - fuknęła Maisy.

- A ciągle powtarzasz Callie, żeby nie dawała jej za dużo kostek.

- Nie cukier, tylko marchewkę - uspokoił żonę Jake.

- Kosmata jest śliczna uparta, ale śliczna. Jak Callie.

- I tak samo ją rozpieszczasz. Mieliśmy męczący dzień. Chcesz o tym porozmawiać?

Jake odwrócił się do Maisy z dziwnym grymasem na twarzy.

- Nie mam nic do powiedzenia. Chciałbym powiedzieć coś mądrego. O tym, czym jest ład, i że w końcu wszystko układa się tak, jak powinno.

- Nigdy tak się nie układa - orzekła Maisy.

- Dlatego nie mam nic do powiedzenia. - Otworzył ramiona i przytulił Maisy.

- Telefon od Flo był strasznym wstrząsem dla Julii.

- Wiadomość, że człowiek, którego kochała, nie jest mordercą, nazywasz straszną?

- Zawsze była przekonana o jego niewinności.

- Mówisz tak, bo chcesz w to wierzyć. Zamykasz oczy na wiele problemów. Życie twojej córki jest znacznie trudniejsze i bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. A przy tym brak jej twojej bez troski. Nie potrafi się bronić tak jak ty.

Maisy poczuła się dotknięta tą uwagą, ale usiłowała obrócić ją w żart.

- Bezbronna kobieta nie wytrzymałaby tyle lat pod jednym dachem z Bardem.

Jake pocałował Maisy w czoło.

- Julia nie była pewna niewinności Christiana. Teraz musi uznać, że nie trwała przy nim wiernie, kiedy najbardziej jej potrzebował.

Maisy wzdrygnęła się.

- Sama nie wiem, co o tym myśleć. Jeśli znajdą biżuterię Fidelity, Christian wyjdzie na wolność. Dla Julii nie będzie to łatwe.

- Myślisz, że on wróci do Ridge's Race?

- Peter opiekował się nim cały czas. Na pewno zaproponuje mu pracę u siebie w majątku.

- Peter ma kontakty w stadninach w całym kraju i może znaleźć Christianowi pracę z dala od nas, od miejsca zbrodni. Po co miałby wracać tutaj, gdzie niemal wszyscy uznali, że to on zabił Fidelity?

- Wszystko stracił i dlatego wróci, by odzyskać przynajmniej część tego, czego go pozbawiono.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Minęło dziewięć lat od chwili, kiedy Karl Zandoff zakopał biżuterię Fidelity pod płotem w South Land. Gdy jedna z ekip przerwała kopanie, żeby napić się gorącej w kawy, Pinky Stewart, zastępca szeryfa, usłyszał zgrzyt swojej łopaty o metal. Okazało się, że natrafił na blaszaną puszkę.

Sześć godzin później Christian opuścił więzienie w Ludwell.

Nie śmiał się i nie płakał. Czuł się jak pochwycony w światła reflektorów pędzącego samochodu jeleń, który nie wie, stać czy uciekać, niezdolny do podjęcia jakiegokolwiek decyzji. Dawno już pożegnał się z nadzieją odzyskania wolności, dlatego teraz nie był w stanie wyobrazić sobie, jak dalej ma toczyć się jego życie.

Zakutego w kajdanki Christiana zawieziono do sądu, skąd, po ogłoszeniu orzeczenia uniewinniającego, zabrał go Peter.

- Dokąd jedziemy? - zapytał oszołomiony, kiedy już siedzieli w lincolnie Claymore'a.

Peter położył mu dłoń na kolanie.

- A dokąd byś chciał?

Miał ochotę powiedzieć: „Do domu”, ale przecież nigdy nie miał prawdziwego domu. Tym bardziej teraz.

- Do baru - zarządził Mel, kiedy Christian wciąż milczał. - Chris musi coś zjeść i wypić solidnego drinka. Ja zresztą też muszę się napić.

Christian, syn alkoholika, jeszcze jako młody chłopak przysiągł sobie, że nigdy nie weźmie nic mocniejszego do ust. Teraz zastanawiał się, czy przypadkiem ojciec nie zgłębił jakieś tajemnicy, której on sam nie poznał.

- Christianie?

- Zgoda, jedźmy do baru.

- Julio, robię ciasto. Może chciałabyś mi pomóc?

Odruchowo odwróciła głowę w kierunku, skąd dochodził głos matki. Wiedziała, że prośba o pomoc jest tylko pretekstem, bo tak naprawdę Maisy chce ją czymś zająć. Jednak chętnie przyjęła propozycję, byle nie myśleć o Christianie.

Coraz pewniej poruszała się po domu. Bez trudu trafiła do kuchni, ale tu już poszło jej gorzej. Przesunęła ręką po blacie kuchennym, natrafiła na jakiś gładki przedmiot i rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

- Cholera!

- Drobiazg, nic się nie stało, to tylko pusta miska - uspokoiła córkę Maisy. - Nie ruszaj się, dopóki nie sprzątnę skorup.

- Kiedy to się wreszcie skończy? Jeśli rzeczywiście coś mi się poprzestawiało w głowie, może jednak w końcu wróci na swoje miejsce?

- Gdyby sprawa była taka prosta, nie straciłabyś wzroku. - Maisy zamilkła, zajęta zmiataniem szkła. - A teraz jeszcze masz świadomość, że Christian może wrócić... - dodała po chwili.

- Tu nie chodzi o Christiana.

- Na pewno?

Tym razem Julia zamilkła.

- Właśnie dlatego chciałam, żebyś przyszła do kuchni i pomogła mi upiec ciasto.

- Po co wracać do przeszłości? Nie cofnę tego, co się stało. Kiedy prokurator zapytał mnie podczas procesu, czy jestem pewna, że Christian nie zabił Fidelity, nie odpowiedziałam na jego pytanie.

- Byłaś młoda i wewnętrznie rozdarta. Zginęła twoja najlepsza przyjaciółka, a dowody świadczyły przeciwko Christianowi. Niemal wszyscy uwierzyli, że jest winny. Koniec z tym! Przestań się zadrećcać. Dzwoniła Flo.

Dłoń Julii, zaciśnięta na drewnianym tłuczku, znieruchomiała.

- Co powiedziała?

- Znaleźli biżuterię Fidelity w miejscu wskazanym przez Zandoffa. Po południu ma odbyć się rewizja wyroku i prawdopodobnie jeszcze dzisiaj Christian będzie wolny.

Julia odruchowo zamknęła oczy.

- Jak ona to przyjęła?

- Nie rozmawialiśmy na ten temat. Prosiła tylko, żebym przekazała ci wiadomość.

- Wie, że mieszkam teraz z wami?

- Nie potrafię ci powiedzieć. W każdym razie chciała, żebyś o uwolnieniu Christiana dowiedziała się ode mnie, a nie od Barda.

- Gdzie Christian się teraz podzieje?

- Nie wiadomo, ale Peter na pewno zaproponuje mu, żeby wrócił do Claymore Park.

Julia wzięła głęboki oddech.

- Nie chcę, żeby tu wracał. Nie chcę, żeby zbliżał się do Callie.

- Potrafię to zrozumieć.

- Naprawdę?

- Julio, ty nie chcesz, aby dowiedział się, że Callie jest jego córką.

- Nawet nie wypowiadaj tych słów w tym domu!

- Kochanie, Callie jest u Tiffany, a ściany nie powtórzą jej, o czym teraz rozmawiamy.

- Ciągle do tego wracasz. Mówisz, jak bardzo Callie podobna jest do ojca, opowiadasz, że jako dziecko miał podobne kłopoty z czytaniem, że przechyla głowę tak samo jak on.

- Bo to prawda.

- Zamierzasz pewnego dnia powiedzieć jej prawdę, Maisy? „Och, byłabym zupełnie zapomniała, kochanie. Ten sukinsyn Bard Warwick, którego nazywasz tatą, wcale nie jest twoim ojcem”.

- Kochanie, to nie mną powinnaś się martwić...

Maisy miała rację. Julia poczuła napływające do oczu długo powstrzymywane łzy, a potem otaczające ją ramiona matki i zapach fiołków. Rozplakała się na dobre.

- Stoisz na rozdrożu, ale to nic. Dasz sobie radę, maleńka. Na pewno w końcu podejmiesz właściwą decyzję.

Julia była wdzięczna matce za te ciepłe, kojące słowa. Kto jednak doda otuchy Christianowi, kto mu powie, że wprawdzie znalazł się na rozstaju dróg, na pewno jednak podejmie właściwą decyzję? Kto wreszcie go... przytuli?

Nie miała najmniejszych wątpliwości, że powinna zrobić to właśnie ona.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Bar „Pod Podkową” nie chlubił się wykwintną kuchnią. Wybór dań był niewielki, a kucharz taki sobie, jednak Christian miał wrażenie, że nigdy nie jadł niczego równie smacznego jak stek z frytkami, który zamówił dla niego Peter.

Sam nie potrafił wybrać dania. Kiedy wziął kartę, poczuł się bezradny jak dziecko. Po dziewięciu latach więziennych posiłków menu, chociaż skąpe, było dlań równie niezrozumiałe, jak podręcznik fizyki kwantowej.

Rozumiejąc jego dylemat, Peter przejął inicjatywę. Zamówił jedzenie i piwo dla wszystkich.

- Już ci lepiej? - zapytał przy drugiej kolejce.

Christian rysował palcem jakiś wzór na zroszonym kuflu.

- Tak, dzięki.

- Upłynie trochę czasu, zanim znów odnajdziesz się na wolności - mówił Peter. -

Nie oczekuj od razu zbyt wiele i bądź dobrej myśli.

Mel przetarł okulary.

- Ano właśnie. Masz jakieś plany? - zagadnął.

- Muszę znaleźć pracę i zacząć spłacać Peterowi długi.

- Wiesz już, jaką pracę mógłbyś podjąć?

- Bertha Petersen mi pomoże. Za kratkami zrobiłem dyplom. Może znajdzie coś dla zwolnionego z więzienia zootechnika.

- Mam pracę dla kogoś takiego. - Peter nachylił się nad stołem. W barze „Pod Podkową” czuł się równie swobodnie jak wtedy, kiedy dosiadał najlepszego konia. - Chcę, żebyś wrócił do domu, synu. Potrzebuję cię. Szukam...

Christian przypuszczał, że Peter zaproponuje mu pracę i zamierzał odmówić, ale nie spodziewał się usłyszeć: „potrzebuję cię”. Zaskoczony, w pierwszej chwili nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Szukam łowczego - ciągnął Peter. - Kogoś, kto zna się na psach i na koniach. Kto mógłby przypilnować naszego weterynarza. Rozmawiałem z kilkoma kandydatami, ale żaden się nie nadawał, a ja jestem za stary, żeby mieć nad wszystkim kontrolę.

Christian pokręcił głową.

- Nie mogę.

- Masz lepsze oferty? - zdenerwował się Mel.

- Nie potrzebujesz mnie, Peter. Na pewno znajdziesz kogoś, kto bardziej nadaje się na łowczego. Nie siedziałem na koniu od...

- Owszem, gdyby chodziło o innego faceta, mogłaby to być przeszkoda, ale ty urodziłeś się w siodle. Jeździłeś konno, zanim nauczyłeś się chodzić. Twój ojciec o to zadbał. A ja sam uczyłem cię myślistwa. Tego się nie zapomina, poza tym nie spotkałem nikogo, kto miałby lepszy instynkt łowiecki. Jak nikt potrafisz obchodzić się ze sforą. Szybko poczujesz się na swoim miejscu. Dopóki się nie oswoisz, sam będę zajmował się psami, ale wkrótce nabierzesz pewności siebie i przejmiesz nad nimi opiekę. - Peter uśmiechnął się lekko. - Najpierw jednak znów musisz przyrosnąć do siodła. Wiem, że pierwsze jazdy nie będą łatwe.

- Nawet jeśli w miarę szybko wrócę do formy, po co mam wracać? Co ja potrafię?

- Wiesz, po co? - Peter odchylił się w krześle. - Bo nauczyłeś mojego syna jeździć konno. Nikt inny nie miał do tego dość cierpliwości. Bo odbierałeś żrebaki i uratowałeś Bóg wie ile klaczy, które stracilibyśmy, gdyby nie twoje umiejętności i miłość do zwierząt. To ty mnie przekonałeś, żeby dać sobie spokój z innymi psami i skoncentrować się na hodowli amerykańskich foxhoundów\*. Okazało się, że masz rację, chociaż nikt tego wtedy nie rozumiał.

\* Foxhound (ang.) - lisiarz, pies wytresowany do polowania na lisy. (Przyp. red.).

Christian podniósł rękę.

- To było dawno.

- Tak, ale w międzyczasie zrobiłeś dyplom i prowadziłeś bardzo dobry program szkolenia psów-przewodników. Wciąż nie rozumiesz, dlaczego jesteś mi potrzebny? Dlaczego chcę, żebyś pomógł staremu człowiekowi?

- Nie widzę przed sobą starca.

Peter nie uśmiechnął się, jak można by oczekiwać.

- Skończyłem sześćdziesiąt dwa lata i nie mam już takiej energii jak kiedyś. Muszę mieć kogoś, na kogo mógłbym liczyć.

Christian nigdy wcześniej nie słyszał, by Peter prosił kogoś o pomoc, natomiast sam zawsze wyciągał dłoń do innych, gdy znajdowali się w potrzebie. Może teraz uknuł intrygę, by wymusić jego zgodę? Nawet jeśli tak, Christian, pomimo wszystkich zastrzeżeń, chciał wrócić do Ridge's Race. Pragnął odtworzyć zdarzenia sprzed dziewięciu lat, dowiedzieć się, jak doszło do zbrodni, wyjaśnić jej tajemnicę. I wreszcie zaznać spokoju.

Poza tym w oczach Petera ujrzał autentyczną prośbę. Prośbę i nadzieję, że Christian, przynajmniej w części, zastąpi mu zmarłego syna. Peter nie opuścił go w najtrudniejszych chwilach, więc i jemu nie wolno teraz opuścić tego człowieka.

Skinął głową.

- Dobrze, wrócę, ale dopóki nie odzyskam dawnej formy, będę dosiadał wyłącznie starych, spokojnych klaczy.

Peter uściśnął dłoń Christiana, po czym uniósł kufel.

- Za nowe życie i nowego łowczego Mosby Hunt.

- Co za dzień - westchnął Jake, kiedy skończył zmywać naczynia.

Całe Ridge's Race wiedziało już o uwolnieniu Christiana. Wieczorem w Ashbourne pojawił się Bard z ponownym żądaniem, by Julia wróciła do Millcreek, gdzie będzie mógł zapewnić jej bezpieczeństwo.

Maisy nie bardzo wiedziała, przed czym zięć chce chronić jej córkę, lecz on, ignorując jej słowa, stanowczo stwierdził, że nie pozwoli, by Christian kontaktował się z jego rodziną.

- Przesiedział w więzieniu dziewięć lat za niewinność, a teraz Bard gotuje mu takie powitanie. - Maisy zaczęła układać talerze w szafce.

- Christian nie jest sam, bo ma Petera. I ciebie. Nie opuściłaś go. Pisałaś do niego co miesiąc.

- Skąd wiesz?

- Żyję z tobą, Maisy.

- Nigdy nie zdradziłeś ani słowem, że wiesz o moich listach do Christiana.
- O czym tu było mówić? Poza tym, że jesteś wspaniałą kobietą o wielkim sercu.
- Z radością przyjmuję taką opinię.
- Z radością ją wygłaszam. - Pocałował żonę w policzek: - Chcesz się z nim

zobaczyć, prawda?

- Znasz mnie aż za dobrze.
- Uważaj, Maisy. Nie łudź się, nie zdołasz wszystkiego naprawić.
- Wiem.

Przed pójściem spać, Maisy zajrzała do córki.

- Wszystko w porządku? Julia skrzywiła się.
- Myślałam o Bardzie. Czuje się zagrożony. On tylko wtedy porusza się pewnie, kiedy ma gwarancję, że nie zdarzy się nic nieprzewidzianego. W innym razie zupełnie traci orientację.

- Wie, że prędzej czy później Christian spotka się z tobą i pozna Callie. To wytrąca go z równowagi.

- Mnie też nie jest łatwo.
- Chcesz posłuchać następnego rozdziału?

Mina Julii mówiła wszystko, lecz miłość do matki okazała się silniejsza. Córka grzecznie skinęła głową.

- Nie podoba ci się moja powieść? - zapytała niepewnie Maisy.
- Nie, przeciwnie. Jestem zaskoczona. Maisy zaśmiała się.
- Dlaczego?
- Zaintrygowała mnie. Nigdy wcześniej nie zajmowałaś się prozą?
- Od lat coś tam gryzmołę.
- Nic mi o tym nie mówiłaś.

Maisy rozważała przez chwilę słowa Julii.

- Próbowałam wielu rzeczy, lecz tylko pisanie jest dla mnie czymś naprawdę istotnym. A tak rzadko mówimy o tym, co najważniejsze.

- Mówisz teraz o sobie, czy o mnie? Maisy zaczęła przekładać kartki.

- Wracajmy do Luizy i jej wizyty w Wirginii. Słuchaj i postaraj się zapomnieć o innych sprawach.

- Zawsze miałaś niewielkie wymagania. - Julia zamknęła oczy.

### Fragment niepublikowanej powieści „Fox River”

Maisy Fletcher

Po raz pierwszy zobaczyłam Sweetwater od strony stawu, poprzez gałęzie płaczących wierzb. Pamiętam podjazd obsadzony azaliami we wszystkich możliwych odcieniach różu i rododendrony z pąkami kwiatów. Sam dom, z ciemnoczerwonej cegły, otoczony klonami i magnoliami, stał na łagodnym wzniesieniu.

W czasie podróży Annie opowiedziała mi o właścicielach okolicznych majątków. Zdawali się być dużo bardziej interesującymi ludźmi niż ci, których spotykałam w Nowym Jorku. Byli pełni życia i fantazji, a przy tym posiadali niewyobrażalne wprost majątki. Wkrótce miałam ich wszystkich poznać, bowiem czekały mnie sąsiedzkie wizyty, bywanie na wyścigach konnych, udział w towarzyskich przejażdżkach po okolicznych lasach.

Zaraz po przyjeździe wybrałyśmy się do Fox River, posiadłości Iana Sebastiana, który szczycił się najlepszymi końmi do polowania w całym hrabstwie i uchodził za najlepszego jeźdźca w Wirginii.

- To najpiękniejsza posiadłość w okolicy - powiedziała Annie, kiedy wjechałyśmy na teren Fox River. - Powietrze wydaje się tutaj bardziej czyste, trawa bardziej zielona, a lasy tak dziewicze, że bez przewodnictwa Iana można się w nich zgubić niczym w pradawnej puszczy.

Kiedy dotarłyśmy na brzeg Fox River, zatrzymałyśmy się na popas. Annie otworzyła torbę z jedzeniem, w którym znalazłyśmy biszkopty, jajka na twardo, jabłka i ciasto cytrynowe.

Po posiłku wstałam i ruszyłam przed siebie wzdłuż brzegu, żeby rozprostować nogi po długiej jeździe na koniu. Mimo ostrzeżeń Annie bez lęku zapuściłam się w las, bo, trzymając się brzegu strumienia, z łatwością mogłam wrócić na miejsce naszego popasu.

Nie wiem, jak długo wędrowałam, gdy wtem usłyszałam trzask łamanej gałęzi. Nie przejęłam się tym zbytnio, wiedziałam bowiem, że w lesie najdrobniejszy odgłos potężnieje po stokroć. Zatrzymałam się. Nic, cisza. Ruszyłam więc dalej.

Kiedy odgłos się powtórzył, pomyślałam, czy nie powinnam wracać. Zapaściłam się naprawdę daleko i nie widziałam już polany, na której popasałyśmy, a przez gęste korony drzew nie przenikały promienie słońca. Odwróciłam się i zobaczyłam wynurzającą się z zarośli niedźwiedzicę z dwoma małymi.

Zamarłam. Dzień był tak cudowny, że nie dopuszczałam do siebie myśli o niebezpieczeństwie. Czułam się jak księżniczka z bajki. Do czasu.

Nie miałam dokąd uciekać, nawet rejterada na drzewo na nie by się nie zdała, bo te na pozór niezdarne zwierzęta potrafią się wspinać. Niedźwiedź brunatny nie zawsze bywa groźny, ale matka z małymi to całkiem inna sprawa.

Niedźwiedzica zrazu mnie nie zauważyła, pochłonięta swoimi rozbrykanymi dziećmi, wreszcie jednak spojrzała w moją stronę. Stała na tylnych łapach i ryknęła groźnie.

Zbyt byłam przerażona, by obmyślić jakiś plan, dlatego zrobiłam rzecz najgorszą z możliwych, czyli zaczęłam biec. Pomknęłam nie wzdłuż brzegu strumienia, ale w głąb lasu, gdzie teren zdawał się równiejszy. Gnałam jak oszalała, czyniąc więcej hałasu niż trzy niedźwiedzie. Zgubiłam kapelusz, rozerwałam o gałęzie spódnicę mojej amazonki. Kiedy miałam wrażenie, że płuca mi pękną, zerknęłam za siebie. Byłam sama.

Opadłam na trawę i chyba z godzinę siedziałam bez ruchu. Wiedziałam, że Annie musi umierać z niepokoju. Wreszcie wstałam i ruszyłam w powrotną drogę. Szłam wolno, bowiem bolały mnie podrapane w czasie ucieczki nogi.

Nie odbiegłam aż tak daleko, jak mi się wydawało. Trochę tylko błędząc, po własnych śladach dotarłam do strumienia. Gdy ujrzałam przed sobą przerzedzające się drzewa, przenikające przez korony promienie słońca i polanę, miałam ochotę paść na kolana i zanieść modlitwę dziękczynną do Boga.

Ale na polanie nie było Annie, znikły też wierzchowce i moje buty do konnej jazdy, które zzułam przed przechadzką. Na próżno nawoływałam przyjaciółkę, odpowiadały mi tylko ptaki i leśne echa.

- Annie!

Nagle rozległo się ujadanie psów i po chwili ujrzałam cztery foxhoundy biegnące w moją stronę. Za nimi, zza niewielkiego wzniesienia, wyłonił się kary wierzchowiec, a na nim jeździec, tak wspaniały i tak doskonale trzymający się w siodle, że znowu poczułam się jak w bajce.

Kruczowłosa mężczyzna miał szerokie ramiona, ale sylwetkę szczupłą i gibką, wprost stworzoną do konnej jazdy. Spojrzał na moją podartą amazonkę, na to, co pozostało z mojej fryzury, na brudne dłonie i podrapaną twarz. Skłonił głowę z przesadną galanterią.

- Panna Luiza Schumacher?

Wyprostowałam się i wygładziłam potarganą spódnicę.

- Któż by inny? Zaśmiał się tubalnie.

- Jak mniemam, spotkała cię jakaś przygoda, panno Schumacher?

Przemknęło mi przez myśl, że prawdziwa przygoda dopiero mnie spotka.

- Czy pański koń poniesie dwie osoby?

- Choćby i całą armię. Potrafi pani dosiąść prawdziwego rumaka, nie takiego, jak te potulne koniki ze Sweetwater?

- Jeśli umiałam spojrzeć w oczy rozjuszonej niedźwiedzicy... - Hardo oparłam dłonie na biodrach. - Pierwej chciałabym jednak wiedzieć, z kim mam przyjemność.

Wiedziałam oczywiście, kto zacz i na terenie czyjego majątku jestem. Zmierzyłam baczny spojrzeniem Iana Sebastiana, kiedy mi się przedstawił, po czym podeszłam do niego.

- Zgubiłam kapelusz, moje buty do konnej jazdy znikły, mam podartą spódnicę i roztaczam wokół siebie woń leśnego poszycia.

- Pani przyjaciółka jest w moim domu i organizuje ekipy, które mają pani szukać. Może powstrzymamy ją, zanim ktokolwiek ujrzy ten straszny widok?

Mimo woli wybuchłam śmiechem. Byłam młoda, uwolniłam się spod czujnego nadzoru matki, wyszłam cało ze spotkania z leśną bestią, a teraz czekała mnie konna jazda z najbardziej niezwykłym mężczyzną, jakiego zdarzyło mi się spotkać.



Ian Sebastian nachylił się i pomógł mi dosiąść swojego wierzchowca. Nie wiem czemu, ale wydawało mi się to o wiele bardziej oczywiste, niż gdyby zsiadł z konia i ze mną w siodle zaprowadził go do swojego domu, co zapewne na jego miejscu uczyniłby każdy inny dżentelmen.

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

Chociaż w Wirginii przeważała architektura klasycystyczna i kolonialna, rezydencja Claymore Park swoim stylem przypominała budowle niegdyś wznoszone na prerii. Rozłożysta, o spadzistych niesymetrycznych dachach, otoczona wspartymi na filarach tarasami, wewnątrz co i rusz zaskakiwała kapryśnym, fantazyjnym rozkładem pomieszczeń to wysokich, to niskich, pełnych tajemniczych zakamarków.

Pierwszy, wzniesiony jeszcze w osiemnastym wieku dom spłonął w czasie, kiedy coraz popularniejsze stawały się budowle Franka Lloyd Wrighta\*. Dziadek Petera zamówił u przyjaciela z Chicago, architekta pozostającego pod wpływem wielkiego Wrighta, nowy projekt, który swoją śmiałością wywołał sensację w Ridge's Race.

\* Frank Lloyd Wright - znany amerykański architekt, żył w latach 1869-1959.  
(Przyp. red.).

Peter nadał wnętrzą eklektyczny charakter. Gdy służył jako oficer w marynarce wojennej, zwoził z całego świata meble i dzieła sztuki, powoli zamieniając rezydencję w muzeum swoich podróży.

Christian spoglądał na skąpane w księżycowej poświacie cedrowe ściany i wąskie okna. Robby często powtarzał, że po śmierci matki umknęła przez nie dusza domu.

- Ten dom jest za wielki - powiedział Peter. - Kiedy go budowano, ludzie potrzebowali ogromnych siedzib. Rodziny były większe, goście siedzieli całymi tygodniami. Pomyśl tylko, pierwsza rezydencja miała dwadzieścia pięć sypialni. Teraz mamy ich „tylko”, jednaście.



Na terenie posiadłości znajdowały się również dwa domki dla gości, dom dla zarządcy i pawilony, w których mieszkali robotnicy.

- Trudno mi sobie wyobrazić Claymore Park bez Robby'ego - powiedział Christian.

- Ani przez chwilę nie uwierzył w twoją winę. Umarł, pozostając twoim najlepszym przyjacielem.

Robby nigdy nie napisał ani słowa i nigdy nie przyjechał w odwiedziny do więzienia, ale Christian to rozumiał. O pewnych rzeczach nie sposób rozmawiać.

- Gdzie mam się ulokować?

- Rosalita przygotowała dla ciebie pokój na górze. W domu zarządcy trwa remont. Kiedy się skończy, będziesz mógł tam zamieszkać. Jest twój.

- Cały dom?

- Tak. Urządzisz go, jak będziesz chciał. Na mój koszt. Ostatni zarządca doprowadził dom do ruiny, ale teraz...

- To zbyt wiele.

Peter spojrzał na Christiana z ukosa.

- A czegoś się spodziewał? Posłania na sianie w stajni i starej końskiej derki?

Będziesz zarządzał Claymore Park, więc należy ci się dom.

- Ja...

- Nie chcę już rozmawiać na ten temat. Nie jestem świętym, chociaż my, baptyści, mamy takie ciagoty. Claymore Park potrzebuje młodego administratora, kogoś, kto czuje się związany z tym miejscem. Chcę, żebyś powoli zaczął przejmować wszystkie moje obowiązki. Dobrze cię wynagrodzę za ciężką pracę.

- Już wynagrodziłeś.

- To, co dotąd zrobiłem, uczyniłem przez wzgląd na pamięć twojego ojca. Gabe był dobrym, zdolnym człowiekiem, który cierpiał na straszną chorobą. Powinienem być jakoś mu pomóc, nalegać, żeby się leczył. Nie zrobiłem tego, więc zadośćuczynienie za moją naganną beztroskę należy się jego synowi. Pozwól mi na to.

- Jedną z pierwszych rzeczy, których nauczyłem się w więzieniu, to dbać o własne dobro i nie przejmować innymi.

Peter uśmiechnął się nieznacznie.

- Dalej wyznajesz tę zasadę?

- Nie jestem tym, za kogo mnie bierzesz. Zmieniłem się.

- Zobaczymy. Tymczasem rozgość się w swoim pokoju. Przez pierwsze tygodnie nie będziesz pracował. Musisz się tu zadomowić, oswoić z otwartą przestrzenią, przypomnieć sobie, jak się siedzi w siodle, wreszcie poznać ludzi. Jeśli chcesz, możesz tresować psy, ale nie forsuj się, nie przemęczaj.

Usłyszeli zbliżający się samochód. Po chwili na podjeździe zatrzymało się czarne bmw.

- To Bard Warwick - powiedział Peter. - Jesteś gotów na spotkanie?

Z mężem kobiety, którą Christian kiedyś miał poślubić...

- Z Bardem można rozmawiać na dwa sposoby - ciągnął Peter. - Albo nudzi, albo się kłóci. Tylko w ten sposób porozumiewa się z ludźmi. Zdaje się, że dzisiaj usposobiony jest do kłótni - mruknął Peter, słysząc gniewne trzaśnięcie drzwiczek samochodu. - Ten człowiek wygląda jak dżentelmen, wyraża się jak dżentelmen, ale nie ma w sobie nic z dżentelmena.

Bard zbliżył się energicznym krokiem.

- Chciałbym zamienić z tobą słowo, Carver - oznajmił bez wstępów. - Pozwolisz, Peter, że pomówię z nim w cztery oczy?

- Nie. Jestem u siebie i zostanę. Ten chłopak dość już dzisiaj przeżył.

Christian założył ręce na piersi i uważnym wzrokiem zmierzył Barda. Zły, zmęczony, w wymiętej koszuli i z zaciętą twarzą, nie robił wrażenia kogoś, kto mógłby porwać innych swoimi zaletami. Christian dotąd wyobrażał go sobie jako wytwornego, błyskotliwego światowca, który potrafi dać Julii wszystko, na co zasługiwała. Teraz musiał zrewidować tę opinię.

- Nie wiem, o czym miałbym z tobą rozmawiać, ale mów, Warwick, co ci leży na sercu.

- Przyjechałem ostrzec cię - zaczął Bard i odwrócił się plecami do Petera, jakby chciał wyłączyć go z rozmowy. - Sędzia cię uniewinnił, ale my tutaj, w Ridge's Race, potrafimy dbać o własne dobro. Moja posiadłość sąsiaduje z Claymore Park. Oświadczam,

nie chcę cię widzieć na swoim terenie. Trzymaj się z daleka od Millcreek i od mojej rodziny. Kiedyś przyjaźniłeś się z moją żoną...

Christian uniósł brew.

- Przyjaźniłem?

Bard poczerwieniał.

- Nie próbuj rozmawiać ani z nią, ani z moją córką. Trafisz do piekła razem z Zandoffem, jeśli zbliżysz się do Julii lub Callie.

Peter postąpił krok do przodu i położył dłoń na ramieniu Barda.

- Dość już powiedziałaś, wracaj do domu. Nie chcę cię tu więcej widzieć.

- Jeśli on pojawi się w Millcreek...

- Będziesz musiał zamknąć swoją posiadłość dla naszego koła łowieckiego. Od dzisiaj Christian jest łowczym Mosby Hunt i może przebywać wszędzie, gdzie mamy prawo polować.

- Kpisz sobie ze mnie!

- Nie, nie kpię.

Bard próbował się zaśmiać.

- Myślisz, że ludzie z Mosby Hunt przystaną na takiego łowczego?

- Jeśli nie zaakceptują Christiana, zrezygnuję z prezesury. Słuchaj, Warwick, powiedziałaś już wszystko, co miałaś do powiedzenia, teraz jedź do domu. Mam za sobą ciężki dzień i chciałbym odpocząć.

- Może rzeczywiście powinieneś zrezygnować - warknął Bard i ruszył w stronę samochodu.

- Pora, żebyś się znalazł się w swoim pokoju - powiedział Peter, kiedy nieproszony gość odjechał.

- Masz najlepszy przykład na to, co będzie się tu działo z mojego powodu - mruknął Christian. - Potrzebne ci to?

- Co?

- Nie widzisz? Ludzie nie chcą mieć za sąsiada byłego kryminalisty. Boją się mnie.

- Straciłeś kontakt z rzeczywistością, synu. Bard Warwick próbuje walczyć o przegraną sprawę. Pamiętaj, on nie może wypowiadać się za całą naszą społeczność.

Mówi, czy raczej krzyczy, tylko w swoim imieniu. Boi się, zgoda, ale czegoś zupełnie innego, niż ci się wydaje.

W milczeniu weszli po stopniach na frontowy taras.

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

- Powiedz mi, co wiesz o tej kobiecie. - Julia odgarnęła włosy z twarzy.

Klimatyzacja w pickupie popsła się i Jake, który wszystkim naprawiał wszystko, do tej pory jej nie zreperował.

- Strasznie krzyczysz! - huknęła Maisy.

- Przy otwartych oknach inaczej nie da się rozmawiać w tym samochodzie!

- Chyba właśnie dlatego Jake nie naprawił klimatyzacji. Nie musi słuchać mojego gadania, kiedy jedziemy gdzieś razem.

Julia uśmiechnęła się. Było wielce prawdopodobne, że Maisy miała rację.

- Zwolnij, bo znowu zapłacisz mandat.

- Skąd wiesz, z jaką szybkością jadę? - Samochód zwolnił nieco. - Nie zapłacę.

Kiedy ostatnio jakiś gliniarz chciał mi wlepić mandat, to potem błagał, żebym już sobie jechała. A ja tylko zaczęłam mu opowiadać o ekologicznej roli lasów deszczowych i konieczności ratowania ich przed zagładą.

- Nie próbuj mi wyjaśniać, co to miało wspólnego z przekroczeniem szybkości.

- On też nie chciał słuchać.

- Powiesz wreszcie, co wiesz o tej kobiecie?

Maisy wiozła Julię do Warrenton na pierwsze spotkanie z nową terapeutką.

- Nazywa się Yvonne Claxton. Młodsza ode mnie, starsza od ciebie. Zrobiła doktorat w Kalifornii, potem odbyła praktykę w Nowym Jorku.

- To żadne informacje.

- Nie spodziewaj się po mnie dokładniejszych, kochanie, bo nie zwykłam zaśmiecąć pamięci bezużytecznymi detalami. Ważniejsze jest dla mnie to, co ludzie o niej mówią. To osoba mądra, ciepła i wnikliwa. Kilka razy była w galerii. Trochę rozmawialiśmy i bardzo ją polubiłam.

Galeria w stajniach Ashbourne była jednym z największych triumfów Maisy. Teraz kierował nią kilkusobowy zarząd, ale Maisy nadal aktywnie się udzielała i była zaprzyjaźniona ze wszystkimi wystawiającymi tam artystami.

- Boisz się, że nie będzie potrafiła ci pomóc? - zwróciła się do córki. - Zastanawiasz się, czy warto próbować, tak? Za chwilę będziemy na miejscu.

Julia nie odpowiedziała. Była coraz mniej przekonana do pomysłu matki. Gdy dojechały na miejsce i wysiadły z samochodu, Maisy położyła dłoń na jej ramieniu.

- Gotowa?

- Jak daleko do wejścia?

- Jakieś dziesięć metrów.

- Okropność.

- Pierwszy raz znajdziesz się między ludźmi. Nic dziwnego, że czujesz się nieswojo.

Chcesz, to cię zaniosę.

Julia parsknęła śmiechem i napięcie ustąpiło.

- Jesteś nieznośna. Wiesz o tym?

- Robię, co mogę. Pamiętaj, nie chcę cię do niczego zmuszać. Jeśli ta kobieta ci się nie spodoba, nie będziesz do niej przyjeżdżała.

Gdy weszły do środka, Julia poczuła się lepiej. W poczekalni panował miły chłód, a kanapa była bardzo wygodna.

Po chwili otworzyły się jakieś drzwi i rozległ się kobiecy głos:

- Jesteś Julia, jak się domyślam.

- To chyba oczywiste.

- Pewnie. Maisy powiedziała, że jesteście do siebie podobne jak dwie krople wody.

Wezmę cię teraz pod rękę i zaprowadzę do mnie, zgoda?

Gdy znalazły się już w gabinecie, Yvonne posadziła Julię na krześle, a sama usiadła obok.

- Opiszę ci, jak wyglądam, chyba że twoja matka zdążyła już to zrobić.

- Nie, choć trochę opowiedziała mi o tobie.

- Jestem Afroamerykanką. Metr siedemdziesiąt wzrostu, ale nie mam figury modelki. Noszę krótko obcięte włosy i długie suknie. Mam niebieskie oczy, które

najpewniej zawdzięczam jakiemuś białemu właścicielowi niewolników, oraz duże stopy, duże dłonie i małe uszy, w których, dopóki nie będzie mnie stać na brylanty, tkwią złote kolczyki. Może teraz ty spróbowałabyś opisać siebie?

- Po co? Przecież siedzę przed tobą.
- Ciekawi mnie, jak ty widzisz siebie.
- Jestem ślepa.
- Aha.
- Tak siebie widzę.
- W takim razie jesteś ślepa na więcej niż jeden sposobów.

Julia przyjęła przycinek.

- Mam poważną twarz, która nie oszłamia urodą, zbyt wysokie czoło, co mnie okropnie martwiło, kiedy byłam nastolatką, no i jestem coraz chudsza, bo większość jedzenia łąduje mi na kolanach albo na podłodze. Mam małe stopy, niebieskie oczy, też zapewne odziedziczone po jakimś właścicielu niewolników, a także uszy, o których lepiej nie wspominać.

- Niech im się przyjrzę.

Julia odgarnęła włosy i skrzywiła się.

- Wielkie.
- Normalne, lecz nawet w jednym procencie nie tak piękne jak moje.

Na twarzy Julii pojawił się nieznaczny uśmiech.

- Kiedy się uśmiechasz, wyglądasz mniej poważnie - zauważyła Yvonne.
- Ty mnie widzisz, a ja nie mogę cię zobaczyć. Czuję się jak pod lupą.
- Bo jesteś pod lupą.
- Nie mam na to ochoty. Nie chcę być badana.
- Masz już tego dosyć, prawda?
- Nic nie znaleźli, kompletnie nic. To sprawa psychiki.

- Aha. Pozwól, że zdradzę ci mały sekret. Wszyscy, którzy tu trafiają, przychodzą właśnie z tego powodu. Mają kłopoty z głową.

- Zetknęłaś się już z przypadkiem histerycznej ślepoty?

- Nigdy. To rzadka przypadłość i prawie z reguły nie trwa tak długo jak u ciebie. Trudno ci będzie znaleźć terapeutę, który się z nią zetknał. Nawet jeśli takiego znajdziesz, powie ci to samo, co ja: każdy przypadek jest inny, bo każdy człowiek jest inny.

Julia słyszała cichy szum wentylatora obracającego się pod sufitem, z ulicy dobiegł odgłos ruszającego samochodu.

- Potrafisz mi pomóc?

- Mam nadzieję, że sama będziesz potrafiła sobie pomóc. Zacznijmy od początku. Opowiedz mi, jak straciłaś wzrok. Wiem już, że spadłaś z konia. Co wtedy czułaś? Nie jeździę konno, więc postaraj się opisać wszystkie szczegóły od chwili, gdy poszłaś do stajni i osiodłałaś konia.

Julia zamknęła oczy i zaczęła opowiadać.

Christian słyszał o ludziach głodujących przez wiele miesięcy, którzy umierali z przejedzenia, kiedy wreszcie mogli sięgnąć po żywność. Po pierwszym dniu spędzonym w Claymore Park zrozumiał, na czym taka śmierć polega. Zewsząd atakowały go wrażenia, o których istnieniu dawno zapomniał.

Po zachodzie słońca usiadł na tarasie, próbując jakoś je uporządkować. Skoro zniósł więzienie, zniesie też i wolność.

- Z każdym dniem będzie łatwiej. - Na tarasie pojawił się Peter z dzbankiem mrożonej herbaty.

- Na pewno? - Christian wziął od niego szklanke, ale nie mógł pić. Czuł się tak przepełniony, jakby za chwilę miał eksplodować.

- Miałeś zawsze więcej swobody niż inni ludzie. W więzieniu musiało być ci wyjątkowo ciężko.

Christian uśmiechnął się krzywo.

- Nie chcę do tego wracać, jeśli pozwolisz.

- Tak też myślałem. - Peter przysunął sobie fotel i siadł obok Christiana. - Jeździłeś dzisiaj konno?

- Nie. - Christian kilka godzin spędził w stajniach i obejrzał konie, ale bał się jeszcze dosiąść któregoś z nich.

- Co myślisz o moich psach?

Ten temat był wyjątkowo bliski Christianowi, więc chętnie podjął pytanie.

- Myślę, że masz wspaniałą hodowlę.

- Naprawdę? - W głosie Petera dało się słyszeć nieukrywaną dumę.

- Dobrze się spisują w terenie?

- Bardzo dobrze, choć nie wiem, czy wszystkie szczeniaki z nowego miotu będą się nadawały do tresury. Chciałbym, żebyś przyjrzał się im uważnie, oczywiście, jak już odpoczniesz.

- Które, twoim zdaniem, mogą się nie nadawać?

- Clover i Balsam. Szczególnie Clover. Kupiłem ją, bo ma znakomity rodowód. Jej matka była czempionką, ojciec dwa lata temu zdobył medal na wystawie psów gończych. Zapłaciłem za nią majątek, myślałem, że da nam w przyszłości wspaniałe szczeniaki, ale okazuje się, że ma kurzy mózdzek. Kiepska sprawa, gdyby dzieci miały odziedziczyć po niej inteligencję.

- Przyjrzę się jej.

- Może od razu do niej pójdziemy?

- Zgoda. - Christianowi spodobał się ten pomysł. Czuł, że potrzebuje ruchu.

Peter poklepał go po ramieniu.

- Poczekaj chwilę. Włożę marynarkę.

Psiarnia, jak wszystko w Claymore Park, była doskonale zorganizowana: trzy przestronne pomieszczenia, w jednym same suki, w pozostałych dwóch psy, oddzielne boksy, wygodne materace do spania, duże trawiaste wybiegi.

Peter witał się ciepło ze swoimi wychowankami, przedstawiał Christianowi, opowiadał o ich wadach i zaletach.

- To Darth Vader.

- Darth Vader?

- Akurat w tym miocie wszystkie imiona zaczynały się na „D”. Robby tak go nazwał tuż przed wypadkiem. Był agresywnym szczeniakiem, rzucał się na inne psy, nawet na Robby'ego. Teraz jest trochę spokojniejszy.

- Nie wiedziałem, że Robby interesował się psami.

- Ten zwrócił na siebie jego uwagę. Christian podrapał Dartha za uszami.



- Znamy już jego przywarę. A jakie ma zalety?
- Jest niezwykle szybki i szczeka tak głośno, że można go usłyszeć w Leesburgu.
- Ładny z niego facet. - Darth miał wszystkie cechy cenione przez hodowców, to

znaczy długą szyję, mocne nogi, szeroką klatkę piersiową.

Przeszli do pomieszczenia, w którym mieszkały suki.

- A to kto? - Christian wskazał sukę z wywieszonym ozorem.
- To Lizzie. Wywęszy igłę w stogu siana.

Christian widział już, jak przejmuje opiekę nad psiarnią. Każdy pies ma inne zdolności i temperament. Jedne prowadzą, inne się podporządkowują. Jedne łatwo podejmują trop, ale szybko tracą zainteresowanie, inne będą uparte aż do przesady. Po raz pierwszy na myśl o nowej pracy ogarnęła go radość. Wyszli na podwórze.

- Zajrzymy do Clover i Balsama.

Szczeniaki mieszkały oddzielnie, w mniejszej psiarni.

Balsam przywitał Christiana głuchym warczeniem.

- Nie można powiedzieć, żeby był przymilny. - Christian wyciągnął powoli dłoń, Balsam obwąchał ją i po chwili się uspokoił.

- Zanim trafił do nas, musiało mu się przytrafić coś złego - powiedział Peter. - Miejmy nadzieję, że zapomni o urazie. Chciałbym mieć po nim szczeniaki. Chodź, Clover! - zawołał odwracając się ku czterem zbitym w gromadkę szczeniakom. Trzy zareagowały natychmiast, tylko czwarty pozostał na miejscu. Suka usiłowała się podrapać, ale po dwóch nieudanych próbach straciła równowagę i przewróciła na grzbiet.

- Domyślam się, że to jest właśnie Clover. - Christian zbliżył się do małej, a ta, zamiast wstać, zaczęła zabawnie się wyginać i przebierać w powietrzu czterema łapami.

- Albo to najgłupsze stworzenie w całej Wirginii, albo jest zbyt mądra, żeby podporządkować się człowiekowi.

- Raczej to pierwsze. - Kiedy Christian zaczął drapać sukę po brzuchu, oszalała ze szczęścia. - Ile ma teraz?

- Niedługo skończy rok.
- Była już w lesie?

- A jakże. Uwielbia konie. Do tego stopnia, że włązi im prosto pod kopyta, jeśli ma tylko okazję. Dałem jej do pary starszego psa, żeby zobaczyć, jak będzie się zachowywała. Ciągle go zaczepiała i rozpraszała, chciała się tylko bawić.

- Przyjrę się jej bardzo uważnie. Zobaczę, co da się zrobić.

- Przyjrzyj się. Poświęciłem jej już sporo czasu, ale jeśli się okaże, że jest do niczego, będziemy musieli z niej zrezygnować.

Christian po raz ostatni podrapał sukę i wyprostował się.

- Tak, jasne...

- Widać, że rozumiesz psy, synu.

- Czasami myślę, że lepiej niż ludzi.

- I bardziej im ufasz.

- Możliwe.

- Pies nigdy cię nie zawiedzie.

Christian myślał przez cały dzień o dwojgu ludzi, którzy nie zawiedli go, kiedy trafił do więzienia. Peterowi już podziękował za wsparcie, ale dotąd nie odezwał się do Maisy Fletcher. Powinien koniecznie to zrobić.

- Zostanę tu jeszcze trochę, ale nie chcę cię zatrzymywać, jeśli masz jakieś plany na wieczór - powiedział Peter.

Christian włożył ręce do kieszeni.

- Powiniennem pojechać do Maisy.

- Do Maisy?

- Kiedy siedziałem w Ludwell, pisała do mnie miesiąc w miesiąc. Nigdy nie odpowiadałem na jej listy.

- Maisy to jedyna w swoim rodzaju osoba. Akurat ona na pewno zrozumie, dlaczego nie odpisywałeś.

- Nie potrafiłem. Nie miałem jej nic do powiedzenia.

- Jesteś gotów na to spotkanie?

- Nie usiedzę w domu, poza tym chciałbym jej podziękować.

- Wszystkie samochody są do twojej dyspozycji, możesz wziąć, który tylko chcesz.

- Miło z twojej strony, ale pójdę pieszo. Moje prawo jazdy pewnie już dawno straciło ważność.

- Mogę cię podwieźć. Na pewno chcesz iść pieszo?

- Dobrze mi to zrobi.

- Pozdrów ode mnie Maisy i Jake'a.

Rozstali się przy drzwiach psiarni. Peter został, chciał bowiem sprawdzić, czy wszystkie psy mają wodę do picia, a Christian ruszył w stronę Ashbourne.

Tysiące razy przemierzał tę drogę pieszo, konno, na rowerze. Znał na pamięć skróty, którymi biegł podczas deszczu, i długie trasy na piękne dni.

Także tę najprostszą, którą niegdyś spieszył do ukochanej kobiety.

- Gdy byłam mała, uganiałam się tu za świetlikami. - Julia przygarnęła Callie do siebie. Słońce dawno już zaszło i w ogrodzie zrobiło się chłodno.

- Zamykałaś je w słoiku? Nie powinnaś.

- Owszem, łąpałam je do słoika, ale przed powrotem do domu zawsze wypuszczałam na wolność. Kiedyś urządziłyśmy z koleżankami przyjęcie w ogrodzie, nałapałyśmy mnóstwo świetlików i zrobiłyśmy z nich lampiony. Potem chłopcy wypuścili świetliki i gonili nas w ciemnościach.

- Ta zamordowana dziewczyna też wtedy tu była?

Julia rozumiała fascynację Callie, chociaż wołała, żeby córka nie wracała do tego bolesnego tematu.

- Uhm. Nazywała się Fidelity.

- A chłopcy? Pamiętasz ich?

- Pamiętam. Był Robby, syn Petera Claymore'a. On też już nie żyje. Zginął w wypadku samochodowym krótko po twoim urodzeniu.

- Miałaś pecha. Wszyscy twoi przyjaciele umarli. Uwaga Callie zabrzmiała i zabawnie, i makabrycznie.

- Ano miałam pecha.

- Kto jeszcze był na tym przyjęciu? Tatę też zaprosiłaś?

Minęła długa chwila, zanim Julia była w stanie odpowiedzieć.

- Taty nie było, ale przyszedł chłopiec, który miał na imię Christian. Mieszkał w Claymore Park, z Robbym. Jego ojciec tam pracował.

- Ten Christian też umarł?

I znowu Julia miała problem z odpowiedzią. To Callie przyniosła do domu wiadomość o tym, że Karl Zandoff przyznał się do zabicia Fidelity. Nawet jeśli nie słyszała dotąd o Christianie, na pewno wkrótce o nim usłyszy. Całe Ridge's Race będzie mówiło o jego zwolnieniu z więzienia.

- Pamiętasz, Callie, jak dziwnie zareagowałam, kiedy zaczęłaś mówić o niedobrym człowieku, który zabił Fidelity?

- Aha.

- Widzisz, bardzo długo wszyscy myśleli, że to Christian ją zamordował.

- Ten chłopiec?

- Nie, wtedy był już dorosły, skarbie. Zamknęli go w więzieniu, chociaż teraz już wiadomo, że nic złego nie zrobił.

- Zamknęli go w więzieniu, chociaż nie zrobił nic złego? To niesprawiedliwe! - oburzyła się mała.

- Tak, bardzo niesprawiedliwe.

- Próbowiałaś zrobić coś, żeby go wypuścili? Julia nie odpowiedziała.

- Ktoś powinien próbować - oznajmiła Callie z przekonaniem. - Ja bym próbowała.

- Większość ludzi myślała, że on naprawdę zabił Fidelity.

- Ty też?

Julia w pierwszym odruchu chciała skłamać, ale wiedziała, że potem to kłamstwo nie dawałoby jej spokoju.

- Nie, ale był taki moment, kiedy nie miałam pewności.

- On się wściekł?

- Wściekł się?

- No, że zamknęli go w więzieniu, chociaż nikogo nie zabił?

- Myślę, że musiał być wściekły na cały świat.

- Ja też bym była.

Należało skończyć już tę rozmowę.

- Pora do łóżka. Jutro szkoła. Idź już.
- Jak wrócisz do domu? Zrobiło się zupełnie ciemno.
- Mnie nie robi to żadnej różnicy. Zapomniałaś?
- Możesz się przewrócić.
- Coś ci powiem. Biegnij, przebierz się w piżamę i wymyj porządnie zęby. Jeśli do tej pory nie wrócę, możesz zacząć mnie szukać.
- Nie muszę się kąpać?
- Nie, ale obiecaj, że jutro rano weźmiesz prysznic.
- Obiecuję!

Julia poczuła, jak córka zarzuca jej ręce na szyję i zaraz potem usłyszała tupot dziecięcych stóp na wyłożonej płytami z kamienia ścieżce.

Została sama pośród wieczornej ciszy. Miała za sobą długi, męczący dzień. Wyjazd do Warrenton i sesja z Yvonne Claxton kosztowały ją wyjątkowo dużo energii. Musiała opowiedzieć o swoim wypadku, o pobycie w szpitalu, o metodach leczenia doktora Jeffersa, wreszcie o tym, dlaczego uciekła z kliniki i postanowiła zamieszkać u Maisy i Jake'a.

- Uważasz swoje małżeństwo za udane? - zapytała Yvonne.
- Ani udane, ani nieudane - odpowiedziała Julia wymijająco.
- Jesteś mężatką od dziewięciu lat, tak?
- Tak.
- Przez dziewięć lat nie ustaliłaś, jakie jest twoje małżeństwo?
- Małżeństwo to małżeństwo. Złożyłam swój podpis na akcie ślubu. Pewne rzeczy podobają mi się w Bardzie, inne nie. To chyba normalne.
- Jak sobie radzisz z tym, co ci się nie podoba w twoim mężu?
- Staram się o tym nie myśleć.
- Czy zdajesz sobie sprawę, że mówisz o swego rodzaju ślepcie?

Julia ocknęła się z zadumy. Nie chciała rozpamiętywać sesji i pytań, które podczas niej padły. Polubiła Yvonne i nabrała przekonania, że jeśli ktoś może jej pomóc, to właśnie ona. Zdawała sobie jednak sprawę, że będzie to bardzo bolesny proces.

Zrobiło się zimno. Powinna wrócić do domu, utulić Callie przed snem i sama się położyć. Potem przyjdzie do niej Maisy, by przeczytać kolejny rozdział swojej powieści.

- Witaj, Julio - odezwał się głos, którego nie spodziewała się nigdy więcej usłyszeć.

Odwróciła się gwałtownie w stronę, skąd dochodził,

- Christian?

- Tak.

- Co tutaj robisz? - Julia w swoim głosie usłyszała panikę.

- Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć. Nie bój się, nie poderżnę ci gardła.

- Ja nie...

- Wybacz, ale stać mnie tylko na wisielczy humor. Jesteś sama, czy może lada chwila zza krzaków wypadnie twój mąż? Mieliśmy miłą pogawędkę na powitanie.

- Lecz mimo to przyszedłeś tutaj?

- Nie przyszedłbym, gdybym wiedział, że cię tu zastanę. Chciałem odwiedzić

Maisy.

Julia nagle uświadomiła sobie, że Callie na nią czeka i zaraz przybiegnie do ogrodu.

- Przykro mi. Jeśli ci powiedział, żebyś nie próbował się ze mną widzieć...

- Tylko tracił czas. Nie zamierzałem cię nachodzić.

- Tak czy inaczej, nie chcę, żeby ktoś w moim imieniu... uciekał się do pogroźek.

- Wolisz robić to sama?

- Może zaczniemy tę rozmowę jeszcze raz?

- Od czego?

Jeszcze nigdy tak dotkliwie nie odczuwała swojej ślepoty. Nie wiedziała, gdzie Christian stoi, jak się zachowuje, i przede wszystkim jak wygląda.

Co myśli, patrząc na niewidomą kobietę, która samotnie siedzi w mrocznym ogrodzie?

- Nie słyszałam samochodu - powiedziała w końcu, przerywając milczenie.

- Przyszedłem pieszo.

- Skrótom?

- Najpierw drogą, potem skrótom. Nie od razu go znalazłem.

- Farmer, który dzierżawi ziemię, dużo zmienił. Wytyczył nowe ścieżki, ściął niektóre drzewa, posadził żywopłoty...

Christian przerwał jej:

- Dziewięć lat to szmat czasu. Wszystko mogło się zmienić.

- Christianie, ja...

- Nie mów tego, Julio. - Głos dochodził teraz z bardzo bliska.

- Skąd wiesz, co chciałam powiedzieć?

- Cokolwiek masz do powiedzenia, nie chcę tego słyszeć. Że cieszysz się, iż wyszedłem. Że zawsze wierzyłaś w moją niewinność. Nie chcę nawet słyszeć prawdy, że byłaś przekonana o mojej winie.

Oraz tego, że w miesiąc po aresztowaniu wyszłam za innego, pomyślała. Była mu wdzięczna, że przemilczał tę sprawę. Podniosła głowę, usiłując zorientować się, gdzie Christian stoi.

- No cóż, jak widać niewiele zostało nam tematów do rozmowy,

- Przyszedłem zobaczyć się z twoją matką. - Milczał przez chwilę. - Zawsze wszystko robię nie w porę. Tak samo było tamtego dnia, kiedy znalazłem Fidelity leżącą w kałuży krwi. Gdybym pojawił się pół godziny później, nikt by mnie nie oskarżył o morderstwo. Nie zastano by mnie nad jej ciałem z nożem w dłoni. Ktoś inny podniósłby naszyjnik...

- Christian... - Julia nie mogła wydobyć słowa ze zdławionego gardła.

- Julio, na litość boską, nawet nie potrafisz na mnie spojrzeć. Czy aż tak bardzo się zmieniłem, czy też boisz się popatrzeć mi w oczy?

- Ja...

- Mamusiu!

Julia zeszywniała. Wołanie Callie doszło z domu, ale lada chwili jej córka mogła pojawić się w ogrodzie. Ich córka. Christian też usłyszał wołanie.

- To twoja mała?

Julia nie odpowiedziała. Modliła się, żeby Callie po nią nie przybiegła.

- Zaraz wracam, kochanie! - odkrzyknęła. - Nie wychodź z domu.

Christian stał teraz na wprost niej. Usłyszała suchy trzask liści pod jego stopami.

- Nie martw się, zaraz sobie pójdę. Nie musisz jej chronić przede mną. Innym razem zajrzę do Maisy.

To prawda, chciała chronić Callie, a także czuła się upokorzona własną ślepotą, której dotąd nie dostrzegł, ale nie mogła mu pozwolić tak odejść. Kiedyś kochała tego człowieka, poza tym jest ojcem jej dziecka. Cały czas był obecny w jej sercu.

- Jesteś tu zawsze mile widziany, Christianie - powiedziała cicho, niemal szeptem. - Czy tu będę, czy nie. Dużo w tobie goryczy, ale mam nadzieję, że pewnego dnia wybaczysz nam wszystkim.

- Ja też mam taką nadzieję.

Nie uwierzyła w jego zapewnienie. Christian nigdy nie potrafił dobrze kłamać.

- Wiem, że nie chcesz tego słuchać, ale wiedz, że bardzo żałuję...

- Masz rację, nie chcę tego słuchać.

Znów usłyszała szelest liści, trzask gałęzi i po chwili zapadła cisza. Christian odszedł.

- Mamusiu, idziesz? - zawołała Callie.

Julia wstała i ruszyła niepewnie w stronę domu. Wiedziała, że kiedy już położy córkę spać, a Maisy przeczyta swój kolejny rozdział i w domu zapadnie cisza, wciąż będzie słyszała słowa Christiana.

Fragment niepublikowanej powieści „Fox River”

Maisy Fletcher

Po miesiącu mojego pobytu w Sweetwater dla wszystkich stało się oczywiste, że Ian Sebastian zaleca się do mnie. Liczył dwadzieścia lat więcej ode mnie i był wdowcem. Żona odumarła go, gdy miał zaledwie dwadzieścia trzy lata. Matki panien na wydaniu widziały w nim najlepszą partię w całej Wirginii.

- Ian nigdy ponownie się nie ożeni - twierdziła Annie. - Należy do tych mężczyzn, którzy nad kobiety przedkładają konie i polowania.

A ja na to:

- Widać mam w sobie coś z konia, skoro podobam się Ianowi.



Annie roześmiała się całym ciałem, od czubków palców u stóp po koniuszki włosów, a ja głośno jej zawtórowałam. Wiele śmiałam się przez tamten miesiąc.

Nigdy nie czułam się równie szczęśliwa jak wówczas. Wiele osób odwiedzających nasz nowojorski dom podziwiała mnie, jednak nikt nie obdarzał mojej osoby żywszym afektem, natomiast przy Ianie czułam się tak, jakbym stała się dla niego kimś ważnym, czy lepiej powiedzieć: drogim. Obchodził się ze mną niczym z porcelanową lalką, ale nie taką, która miała stać na półce. Byłam jego najukochańszą zabawką, brałam udział w jego przygodach, chwalił się mną wszystkim przyjaciołom, rozpieszczał i towarzyszył mi do późnego wieczora.

- Myślisz, że poczeka do końca lata i wtedy poprosi twoich braci o zgodę na małżeństwo z tobą? - pytała Annie.

Odparłam, że chyba nie będzie czekał tak długo. Musi tylko podjąć decyzję.

- Sądziś, że oświadczy się szybciej? Na przykład na dzisiejszym balu?

Tego dnia miał się odbyć pierwszy wielki bal tego lata. Organizowało go w swoim klubie koło łowieckie, a dochód przeznaczony był na najbliższy sezon łowiecki.

- Nie wiem, co Ian Sebastian zamierza - odparłam. - Większość czasu spędzamy w siodle. Uczy mnie, jak powinnam trzymać się na koniu, jak układać dłonie i stopy. Może szykuje mnie na pokaz, jak jedną ze swoich klaczy?

- Weezy, powinnaś się cieszyć, że pobierasz lekcje u najlepszego jeźdźca w całym stanie.

- Cieszę się, że Ian poświęca mi tyle uwagi, ale nie chcę, żeby cały mój świat sprowadzał się do tego, jak mam rozłożyć ciężar, wskakując na siodło i czy powinnam nałożyć do amazonki cylinder, czy też aksamitny kaszkiet podbity korkiem.

- Zawsze czułam, że w Ianie tkwi coś prymitywnego - powiedziała Annie. - Coś pierwotnego, czego pieniądze i powodzenie w świecie nie są w stanie stłumić.

- Podoba ci się? - Naprawdę byłam tego ciekawa.

- Czy mi się podoba? Nie. Zawsze napawał mnie lękiem.

- Ian? - Nie mogłam w to uwierzyć.

- To człowiek pełen namiętności, o silnym charakterze, który nie uznaje żadnych przeszkód. Nie wiem, co by zrobił, gdyby ktoś mu się sprzeciwił.

Nie widząc u Iana rzeczonych oznak, zlekceważyłam słowa Annie. Chciałam być z człowiekiem, który żyje po królewsku i umie oddychać pełną piersią. Który, idąc przez życie, sieje wiatr i niekoniecznie zbiera burze.

Wystroiliśmy się na wieczór, starannie wybierając toalety. Annie wystąpiła w złotej sukni, która podkreślała opaleniznę, wywołującą w jej matce oburzenie. Ja zdecydowałam się na zdobną w koronki jasnozieloną kreację, do tego kolczyki z perłami i szmaragdami. Kiedyś mama otrzymała je od taty z życzeniami, by przyniosły jej szczęście.

W drodze do klubu pani Jones zrobiła nam wykład o obyczajności, a mianowicie, że dobrze ułożona panna nigdy nie wychodzi z mężczyzną do ogrodu, o ile nie towarzyszy jej przyzwoitka. Zadawałam sobie pytanie, gdzie się podziewała przez ostatni miesiąc. Ktoś przecież musiał jej powiedzieć, że Ian Sebastian ma się ku mnie.

Przodkowie Iana posiadali majątki w Wirginii jeszcze przed zrzućeniem brytyjskiego jarzma i powstaniem Stanów Zjednoczonych. Po wojnie secesyjnej zachowali swoje dobra, czyniąc ustępstwa wobec Jankeów, na które inni posiadacze ziemscy nie chcieli przystać. Fox River Farm była już prawie wystawiona na licytację, jednak w rodzinnym archiwum znaleziono listy od Thomasa Jeffersona\* i pieniędzmi uzyskanymi z ich sprzedaży uregulowano zaległe podatki. Wiele lat później ktoś odkrył, że listy zostały sfalszowane, ale wtedy majątek Fox River szczęśliwie nie był już zagrożony.

\* Thomas Jefferson - 1743-1826, amerykański bohater niepodległościowy, gubernator Wirginii, w latach 1801-1809 prezydent Stanów Zjednoczonych. (Przyp. red.).

Po wejściu do klubu zaczęłam dyskretnie rozglądać się za Ianem. Ktoś poprosił Annie do tańca, a ja podeszłam do stadka plotkujących w kącie sali podfruwajek. Znałam je wszystkie, niektóre zdążyłam polubić. Wkrótce dziewczęta zostały porwane do tańca, zaś ja pograżyłam się w rozmowie z jakimś starszym jegomościem na temat przewagi soi nad żytem, choć temat ten był dla mnie równie obcy, jak salonowa etykieta kanibali z Nowej Gwinei. Wtedy pojawił się Ian i przywitał mnie słowami:

- Nie tańczysz.

Spojrzałam po sobie i odrzekłam:

- Stoję nieruchomo.

- Jesteś stworzona do tańca, Luizo. To zbrodnia, że orkiestra gra, kiedy ty tkwisz pod ścianą.

- Nie wymierzaj kar orkiestrze. Zatańczę, o ile pewien dżentelmen zaprosi mnie na parkiet.

Zastanowił się.

- Wysłuchałaś dzisiaj wykładu o obyczajnym zachowaniu, jakie przystoi pannie?

- Wykładu?

- Wygłoszonego przez panią Jones. Wygląda na osobę w sam raz do tego dysponowaną.

- Chcesz powiedzieć, że ty też padłeś jej ofiarą?

Ian zaśmiał się.

- Nie ośmieliłaby się, ale posłała mi kilka surowych spojrzeń.

- Myślę, że boi się o Annie.

- Gdzie ona?

- Tańczy.

Ian podał mi ramię.

- Zatem i my pójdźmy jej śladem.

Nieraz myślałam, jak to będzie, gdy znajdę się w ramionach Iana. Od pierwszego spotkania, kiedy objęłam go, dosiadając czarnego wierzchowca, i gdy zaparło mi dech w piersiach zupełnie tak samo, jak przy spotkaniu z rozjuszoną niedźwiedzicą, Ian, choć się do mnie umizgał, zachowywał należyty dystans: Pani Jones nie miała się czego obawiać.

Zaczęliśmy tańczyć, przytuleni. Ian prowadził mnie na parkiecie tak samo, jak jeździł konno, czyli cudownie.

- Po kolacji spróbuj się wymknąć - powiedział. - Będę cię czekał, miła, skryty za platanem.

Tańczyłam jeszcze z innymi, potem znowu z Ianem, a kiedy podano kolację, pan Jones poprowadził mnie do stołu. Tam, po raz pierwszy od przyjazdu do klubu, zobaczyłam Annie.

- Świetnie się bawię - szepnęła, gdy jej matka odwróciła się do sąsiadki.

Oczy jej błyszcząły, miała zaróżowione policzki i wyglądała ślicznie. No, prawie ślicznie..

- Poznałaś kogoś?

- Znam go od zawsze, bo jego rodzina spędza tu co roku kilka miesięcy. On podróżował po Europie, potem odbył służbę wojskową w Bostonie i właśnie wrócił do domu.

- Kto taki?

- Paul Symington. - Lekko skłoniła głowę w lewo. - Siedzi obok Lillian Albright i jej rodziny.

Dyskretnie się obejrzałam. Nie dostrzegłam w Paulu niczego nadzwyczajnego i dopiero kiedy się uśmiechnął, zrozumiałam, dlaczego może być wyjątkowy.

- Zakochałam się w nim, gdy miałam dziesięć lat - ciągnęła Annie. - Siedziałam przy króliku, który złapał się we wnyki, a on przyszedł i wypuścił biedaka.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- Chciałam o nim zapomnieć. Myślałam, że ożeni się z Helen Faraday, ale do tego nie doszło, bo w czasie wojny zrozumiał, co naprawdę jest ważne.

- Co takiego?

- Rozkosze kobiecej duszy. Pomyślałam, że mogłabym chyba zakochać się w Paulu Symingtonie.

Przez resztę kolacji nie wiedziałam, z czyjego szczęścia bardziej się cieszyć: z mojego, czy z Annie. Marzyłam, aby zamieszkać w Fox River, rodzić dzieci, spokojnie sycić się zamożnością i szacunkiem sąsiadów. Nie chciałam wracać do Nowego Jorku. Tu, w Wirginii, czułam się wolna. Nie sądziłam, by małżeństwo z Ianem miało mi tę wolność w jakiś sposób ograniczyć.

Po kolacji przeprosiłam towarzystwo i już miałam umknąć, ale Annie wzięła mnie pod ramię i przedstawiła mi Paula Symingtona. Pogawędziłam z nimi chwilę, zerknęłam, czy pani Jones mnie nie obserwuje, po czym wybiegłam do ogrodu.

- Jesteś. - Zza drzewa wyszedł Ian, szeroko otwierając ramiona.

Byłam dobrze wychowaną panną, wiedziałam, co przystoi damie, a przecież przywarłam do niego z namietnością, na jaką stać tylko młodych. Kiedy na moich

wargach poczułam jego pachnące likierem kukurydzianym usta, przysły ostatnie zamowienia.

- Tak dłużej być nie może - powiedział, odsunawszy się na krok i kładąc mi dłonie na biodrach, jakby się bał, że ucieknę. - Miałem już żonę i przyrzekłem sobie nie brać drugiej.

Wiedziałałam od Annie, że tamta zmarła przy porodzie, chciałam o nią pytać, ale wykrztusiłam tylko:

- A teraz?

- A teraz myślę o powtórny ożenku.

- Tak? A z kim to?

- Z lisiczką, która w sam raz by mi się zdała.

Pomyślałam, że w ustach myśliwego takie porównanie to nie lada komplement.

Oparłam dłonie na jego ramionach.

- A cóż twoja lisiczka by odrzekła, gdybyś wyszedł z taką propozycją?

- Myślę, że padłaby mi w ramiona.

- Doprawdy, cóż za szalona dziewczyna! Każdy wie, że mężczyznę należy trzymać w niepewności, póki nie poprosi o rękę.

Ian zaczął się śmiać.

- Pragnę nie tylko jej ręki. Chcę mieć ją obok w łóżku, pragnę, żeby z jej łona zrodzili się moi synowie.

- Tylko synowie? Spochmurniał, ale tylko na chwilę.

- Straciłem syna, zanim chwycił pierwszy oddech. Chcę mieć następnego.

W tamtej chwili nie pragnęłam niczego bardziej, jak dać mu syna. Wiedziałałam, że mogę. Byłam młoda, zdrowa, pełna życia. Gotowa zaspokoić wszystkie jego marzenia.

Smutek, albo to, co brałam za smutek, znikł z twarzy Iana. Uśmiechnął się.

- Wyjdiesz za mnie, Luizo Elisabeth Schumacher? Zostaniesz panią na Fox River i matką moich dzieci?

Wszyscy znani mi mężczyźni pod żadnym względem nie równali się z nim. Miałam osiemnaście lat, on trzydzieści siedem, ale wówczas nie miało to znaczenia. Oto dwoje równych sobie ludzi rozważało wspólną przyszłość.

- Tak, wyjdę za ciebie - odpowiedziałam.
- Z końcem lipca, kiedy do Wirginii przyjedzie twoja rodzina - stwierdził, nie pytał.
- Tak szybko? - Bałam się, co powie mama.
- Jeśli weźmiemy ślub w lipcu, będziemy mieli czas na podróż poślubną. Jesienią muszę być z powrotem w Fox River. Nie mogę stracić sezonu.
- Nawet dla mnie? Pogłaskał mnie po policzku.
- Prowadzę zgraję\*. Musisz to zrozumieć.

\* Zgraja - gromada psów myśliwskich. Również: łaja, złaja. (Przyp. red.).

Rozumiałam. Wiązałam się nie tylko z mężczyzną, ale i ze stylem życia.

- Wesele skromne czy wystawne? - zapytałam.
- Może urządzimy przyjęcie w ogrodach Fox River?
- Wieczorem, kiedy pierwszy chłód daje się we znaki? Cudownie. Zaprosimy wszystkich, kogo tylko zechcemy.
- Zgoda. - Przygarnął mnie do siebie. - A potem pojedziemy do Italii. Pokażę ci Wenecję.

Zawsze marzyłam o podróży poślubnej do Anglii, ale Ian wydawał się tak uszczęśliwiony, że z miejsca porzuciłam swoje tęsknoty. Nie miało znaczenia, dokąd pojedziemy, ważne, że mieliśmy siebie nawzajem. Poza tym w Wenecji nikt z pewnością nie polował na lisy i przynajmniej przez jakiś czas będę jedyną „lisiczką” w małym świecie Iana.

Kiedy wróciliśmy do klubu, Ian dał mi pierścionek ze szmaragdem, który niemal idealnie pasował do kolczyków podarowanych kiedyś matce przez ojca. Dla mnie był to znak, że nasz związek musiał być zapisany w gwiazdach.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Christian wracał z Ashbourne ścieżką, której nie znał. Mógł zabłądzić, ale cóż z tego, myślał, skoro nigdzie się nie spieszył.

Dotarł do Jeeb Stuart, usiadł na brzegu strumienia i zaczął wsłuchiwać się w pohukiwania sowy. Byle nie myśleć o Julii.

W noc poprzedzającą śmierć ojca tak samo nasłuchiwał pohukiwań sowy, która obudziła go z głębokiego snu. Podniósł się z łóżka i potknął o ciało ojca. Gabe upił się wieczorem i padł nieprzytomny na podłogę.

Tak właśnie pił: po cichu nasączał się wódką, aż wreszcie tracił świadomość. Rano budził się zły, ale nigdy agresywny. Kiedy Christian potknął się i upadł na niego, ojciec, nie bardzo wiedząc, co robi, zdzielił syna pięścią, po czym znowu zapadł w pijacki sen.

Rano Christian pojawił się w stajniach z podbitym okiem. Tłumaczył, że uderzył się niechcący, ale Robby od razu domyślił się prawdy.

Gabe był najlepszym treserem koni, jaki kiedykolwiek pracował w Claymore Park. Ujmujący i dowcipny, miał wspaniały stosunek do koni, pod warunkiem, że akurat nic nie wypił. Rzadko się to zdarzało, ale do pracy na ogół przychodził trzeźwy. Tak bardzo kochał konie, że dla nich potrafił powstrzymać się od kieliszka. Dla syna już nie.

Nieraz Christian świecił oczyma przed Robbym, kiedy pijany ojciec opłakiwał zmarłą żonę albo bełkotał o jakichś dawnych wydarzeniach. Robby miał własne problemy ze swoim ojcem, rozumiał więc dobrze, co działo się w duszy Christiana i po cichu mu współczuł.

Tamtego dnia, kiedy zobaczył Christiana z sińcem pod okiem, zagroził, że powie Peterowi, co Gabe zrobił. Chłopcy się pokłócili. Christian wiedział coś, czego Robby nie potrafił zrozumieć. Ponieważ Gabe miał prawdziwy talent do koni, Peter Claymore udawał, że nie wie o jego nałogu. Gdyby Robby powiedział mu wprost, co się wydarzyło, Peter musiałby ostro zareagować, nawet wyrzucić Gabe'a z pracy.

- Może będzie pił mniej, jak zobaczy, co mi zrobił - przekonywał Christian przyjaciela i w końcu sprawa nie dotarła do Petera. Potem zastanawiał się, czy nie stało się to przyczyną śmierci Gabe'a.



Wieczorem Gabe znowu się upił, tym razem z żalu, że uderzył syna. Pewnie bojąc się własnej agresji, nie wrócił do domu, tylko, z papierosem w dłoni usnął na sianie w stajni.

W Claymore Park obowiązywała żelazna zasada: nie wolno było palić ani w stajniach, ani w promieniu stu metrów od nich. Jeśli przyłapano kogoś z papierosem, natychmiast tracił pracę. Gabe palił tak jak pił, czyli nałogowo. Po pracy wracał do domu i potrafił wypalić całą paczkę w ciągu wieczoru, odpalając papierosa od papierosa. Christian nie widział, by ojciec kiedykolwiek palił w stajni, ale gdy pił, zawsze sięgał po papierosa. A tamtego wieczoru przecież pił.

Kiedy zauważono ogień, Gabe już nie żył. Chłopcy stajenni zdołali wyprowadzić większość koni, nie uratował się tylko wielokrotnie nagradzany ogier i klacz, która ożrebiła się kilka godzin wcześniej. Przepadły dyplomy zgromadzone przez Petera, bezcenne notatki, cała dokumentacja dotycząca hodowli. Wszystko poszło z dymem, podobnie jak przeszłość Christiana, a kto wie, czego się obawiał, czy także nie przyszłość.

Kiedy Peter powiedział mu, że może zostać w Claymore Park jak długo zechce, choćby i na zawsze, Christian był mu nieskończenie wdzięczny.

Robby proponował, żeby Christian przeniósł się do rezydencji, ale on wolał zamieszkać z Jinxem Callahanem, który przypominał mu ojca. Stary stajenny, człowiek samotny, chętnie przygarnął chłopca pod swoje skrzydła.

Gdyby Christian opuścił Claymore Park, nie zaprzyjaźniłby się z Julią i z Fidelity, nie oskarżono by go o niepopelnione morderstwo, a rozbity procesem Robby pewnie nie wjechałby samochodem w drzewo.

Życie całej czwórki było ściśle ze sobą splecione. Wystarczyło wyciągnąć jedną nitkę, by wszystko się rozpadło.

Zapatrzony w wodę i zasluchany w odgłosy nocy, Christian wrócił myślami do dnia, w którym Julia i Fidelity pojawiły się w jego życiu. Przygotowywał się właśnie do wiosennej gonitwy w Middleburgu...

- Jesteś pewien, że chcesz to zrobić? - Robby przyglądał się, jak Christian czesze Rangera, jabłkowitego dwulatka z piękną białą grzywą.



- Czemu pytasz? - Cofnął się o krok, by ocenić swoje dzieło. Sierść konia lśniła, ale Christian nie był zadowolony.

- Nie rozumiem, po co organizuje się te imprezy. - Robby przeciągnął się. Wysoki i przystojny, coraz częściej zwracał na siebie uwagę dziewcząt. Chociaż większość czasu poświęcał nauce, miał wysportowaną sylwetkę.

O rok starszy Christian był jeszcze na tyle szczupły, prawie chudy, że mógł brać udział w końskiej gonitwie, wiedział jednak, że wkrótce zmężnieje i przestanie być dżokejem.

I za nim, jak za Robbym, oglądały się dziewczęta, ale praca i studia wieczorowe nie pozostawiały mu czasu na randki, choć wcale nie był od tego.

- Żeby zrozumieć sens gonitwy, trzeba kochać konie, a ty ich nie kochasz - odparował. - Tak samo jak nie lubisz współzawodnictwa...

- I jak nie Kocham Claymore Park - dokończył Robby.

- Nie mów tak.

- Bo nie Kocham. W każdym razie nie w taki sposób jak ty. Zwariowałbym, gdyby miał tu spędzić całe życie.

Stosunki Robby'ego z ojcem nie układały się najlepiej, może dlatego, że Peter miał wobec niego własne plany. Robby chciał od nowego roku akademickiego zacząć studiować fizykę na którymś z najlepszych uniwersytetów amerykańskich. Peter był dumny z osiągnięć i zamierzeń syna, ale oczekiwał, że po zrobieniu dyplomu chłopak powróci do Claymore Park. Jednak Robby inaczej wyobrażał sobie swoją przyszłość.

- W Wirginii jest co najmniej sześć przyzwoitych uniwersytetów o godzinę, dwie jazdy samochodem: American, George Washington, Georgetown... - zaczął Christian, lecz Robby mu przerwał:

- Znam tę listę.

- Po dyplomie mógłbyś wykładać na jednym z nich albo podjąć pracę w jakimś instytucie badawczym i mieszkać w Claymore Park.

- Pod warunkiem, że tu zostaniesz i będziesz zarządzać majątkiem.

Christianowi podobała się ta propozycja. Już miał odpowiedzieć, że się zgadza, gdy nagle dojrzał w drzwiach stajni najpiękniejsze błękitne oczy, jakie kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć.

- Cześć, chłopaki. Pamiętacie mnie? Robby odwrócił się. Nic nie odpowiedział.

- Tak bardzo się zmieniłam? - Jasnowłosa dziewczyna weszła do środka.

Robby odzyskał wreszcie głos.

- Fidelity?

- Nie przeszłam operacji plastycznej, Claymore. To wciąż ta sama ja.

Teraz i Christian ją poznał. Posiadłość Sutherlandów sąsiadowała z Claymore Park. W dzieciństwie, kiedy jeszcze czas dorastania nie zdążył skomplikować najprostszycch spraw, obaj chłopcy spędzali dużo czasu z Fidelity i jej przyjaciółką, Julią Ashbourne.

Christian przypomniał sobie przyjęcie w ogrodzie w Ashbourne, lampiony ze świetlików i chichoczące dziesięciolatki. Fidelity, wtedy z aparatem na zębach, zaciągnęła go za stare potężne drzewo i zaczęła całować z takim zapamiętaniem, że opłacił tę inicjację pokrwawioną dolną wargą.

- Trudno powiedzieć, żebyś była tą samą Fidelity - powiedział z uśmiechem. Szybko obliczył, że ta śliczna, kwitnąca dziewczyna, już nie pąk, jeszcze nie kwiat, musi mieć siedemnaście lat.

- Tęskniłeś za mną, Chris? - Uśmiechnęła się, błyskając drobnymi zębami o idealnym i bardzo kosztownym, zgryzie. - Wracam właśnie z Foxcroft.

W Foxcroft mieściła się bardzo droga szkołka jeździecka dla wchodzących w świat panien.

- Gdzie się podziewa twoja przyjaciółka, Julia? - odpowiedział pytaniem. - Zawsze byłyście nierozłączne, wszędzie chodziłyście razem.

Fidelity spojrzała na swoje paznokcie i niezadowolona z tego, co zobaczyła, zaczęła je polerować o sweter.

- Ale nie do szkoły. Matka posłała ją do publicznej, chociaż mogłaby bez problemów opłacić prywatną. - Podniosła głowę, zdając sobie sprawę, że palnęła gafę. - Przepraszam. Ty też pewnie chodziłeś do publicznej?

Christian uśmiechnął się szeroko.

- No tak, panienko. Nawet żem się, a i owszem, tak poduczył, że składam litery w całuchne słowa.

Fidelity zachichotała.

- Zawsze był z ciebie kpiarz. Julia gdzieś tu jest, ale nie chciała przyjść do stajni.

- Nie lubi koni? Wzruszyła ramionami.

- Boi się ich.

Fidelity się nie bała. Podeszła do Rangera i pogłaskała go lekceważąco, jakby chciała podkreślić, że mercedes jej ojca jest więcej wart. Jej południowy zaśpiew Scarlett O'Hary był równie sztuczny, jak całe jej zachowanie.

- Słyszałam, że startujesz dzisiaj na tej chabecie.

- Słuch cię nie zawiódł. Odwróciła się do Robby'ego.

- A ty dlaczego nie jeździsz, Robercie? Teraz on wzruszył ramionami.

- Bo mnie jest wszystko jedno, kto wygra. Z Chrisem sprawa ma się inaczej.

- Lubię facetów, którzy nie muszą sobie niczego udowadniać.

Robby spiekł raka na ten komplement.

- Innymi słowy, po prostu lubisz facetów.

- Mądrała z ciebie, co?

- Fidelity?

Christian podniósł wzrok i zobaczył piękną ciemnowłosą dziewczynę w ciemnobłękitnym zakiecie. Widywał ją w szkole średniej, ale była młodsza od niego i nigdy nie mieli wspólnych lekcji.

- Cześć, dawno nie widziana Julio Ashbourne.

- Cześć, Christian - uśmiechnęła się niepewnie. - Cześć, Robby.

- Wejdz. W stajni jest dużo miejsca - zachęciła przyjaciółkę Fidelity.

- Wolę zostać tutaj. Nie chcę spłoszyć konia.

- Masz rację - mruknął Christian.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że nie skończył rozczesywać grzywy Rangera, a musiał jeszcze wypucować sztylpy\* i przebrać się w zielono-złote barwy Claymore Park. Nie mógł oderwać oczu od obu dziewcząt. Królewna Śnieżka i Czerwony Kapturek, dwie baśniowe postacie.

\* Sztylpy - okrywające gołeń kamasze do konnej jazdy. (Przyp. red.).

- Piękny koń, ale taki ogromy - powiedziała Julia.

- Dzięki temu łatwiej pokonuje przeszkody. - Christian z ociąganiem wrócił do pracy. - Naprawdę nie jeździsz konno? - zapytał.

- Ja... Nie mamy koni. Mama nie chce ich trzymać w majątku. Nie zauważyłeś?

- Mama Julii jest trochę świrnięta. - W tonie Fidelity nie było cienia złośliwości, ale Julia uznała, że powinna stanąć w obronie matki.

- Przy koniach jest mnóstwo pracy, Fidelity. Wiesz o tym doskonale. Maisy też nie jeździ, więc po co nam konie?

- Kto to jest Maisy? - zainteresował się Christian.

- To moja mama.

- Mówisz do mamy Maisy?

- Wszyscy tak się do niej zwracają.

Christian przypomniał sobie serdeczną, uroczą kobietę, która wyglądała jak szefowa kapeli rockowej.

Rozległ się kolejny głos od drzwi:

- Jak ci idzie, Christianie? - W progu stajni pojawił się Peter.

- Już kończę.

- Mogę dokończyć za ciebie albo wyrzucić publiczność, żebyś mógł się skoncentrować.

- Niech je pan wyrzuci. Muszę się przebrać.

- Za bardzo goni pan Chrisa do pracy - stwierdziła Fidelity ze swoim słodkim zaśpiewem. - Mężczyzna musi się zabawić.

Zabrzmiało to niemal jak zaproszenie. Peter zaczął się śmiać.

- Panno Sutherland, czy aby nie jest tak, że pani rodzice nie śpią po nocach, czekając, kiedy ich córka wróci do domu?

- Powiedzieć prawdę? Od chwili, kiedy skończyłam trzynaście lat, nie zmrużyli oka.

- Gdzieście się wtedy podziewali, chłopcy? - ze śmiechem zapytał Peter.

- Nie tam, gdzie powinniśmy - odparł Christian.

- Powodzenia, Chris! Będziemy trzymać za ciebie kciuki. - Julia odwróciła się, a Fidelity ruszyła za nią, rzucając na odchodnym:

- Tylko nas nie wypatruj. Nie chcemy być odpowiedzialne za wypadek.

Christian uśmiechał się jeszcze dziesięć minut później, wciągając sztylpy.

Jego koń przyszedł na metę pierwszy, o trzy długości przed następnym.

- Wspaniale się spisałeś, synu. - Peter podszedł do Christiana z szerokim uśmiechem na ustach. Jeszcze nigdy nie nazwał go „synem”.

- Lubię takich facetów. Prawdziwy kowboj z ciebie - rozległ się głos Fidelity. Christian nie miał pojęcia, jak dziewczęta dostały się na tor, ale jeśli ktoś nosił takie nazwiska jak Sutherland i Ashbourne, wolno mu było w Ridge's Race wszystko. - Dzisiaj wieczorem jest przyjęcie. Pójdiesz ze mną...? - zapytała Fidelity.

- Z nami? - poprawiła się szybko.

Christian spojrzał na Julię.

- Też się tam wybierasz?

- Tak. Musimy uczcić twoje zwycięstwo - powiedziała z uśmiechem.

- Idź - zachęcił Peter. - Zasłużyłeś sobie na przyjemność. Weź z sobą Robby'ego i bawcie się dobrze.

Christian nie był pewien, co właściwie wygrał tego dnia, ale wiedział jedno: warto było stawać do gonitwy.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

W Ludwell często mu się śniło, że dosiada konia. Przysięgał sobie wtedy, że jeśli zdarzy się cud i wyjdzie z więzienia, pierwszą rzeczą, jaką zrobi, to wskoczy na siodło. Jednak mimo że od powrotu do Claymore Park minęło już kilka dni, wciąż nie spełnił złożonej sobie obietnicy.

- Chciałem coś ci pokazać. - W kuchni, gdzie Christian właśnie kończył kolację, pojawił się uśmiechnięty Peter.

- Co takiego?

- Chodź ze mną, to sam zobaczysz. Skończyłeś już jeść?

Petera prawie przez cały dzień nie było w domu i Christian przypuszczał, że za chwilę pozna powód jego nieobecności.

- Miałeś udany dzień? - zapytał Peter, gdy wyszli z kuchni.

- Produktywny. Myślę, że Fish i Gorda pogodzili się w końcu z tym, że przejąłem opiekę nad psiarnią. - Dotąd niepodzielnie tu władali, teraz musieli podporządkować się Christianowi.

- Fish szybko cię zaakceptuje. Między nim a Gordą czasami dochodzi do nieporozumień, bo ona robi wszystko, by nie sprzątać w boksach. Nie znosi tego i stara się zostawiać brudną robotę Fishowi.

- Musimy równo podzielić między siebie obowiązki.

- Wiem, że nie boisz się pracy, ale masz ważniejsze zadanie. Nie zapominaj o tym. Chciałbym, żebyś zajął się tresowaniem psów. Byłeś naszym najlepszym treserem przed...

- Mów śmiało, Peter. Pamiętam, gdzie spędziłem dziewięć lat.

- Nienawidzę słowa „wzieszenie”. Ciągłe nie mogę się pogodzić z faktem, że tam trafiłeś.

- No to jest nas dwóch.

Peter zaśmiał się i napięcie zniknęło.

- A teraz przygotuj się na spotkanie ze starym przyjacielem.

Nie był jeszcze gotowy na spotkania z dawnymi znajomymi, a już na pewno nie na takie, jakie przeżył w mrocznym ogrodzie Ashbourne.

Kiedy weszli do stajni, Peter zapalił światło i poprowadził Christiana do jednego z boksów.

- Poznajesz tego gościa?

Ranger, ukochany koń Christiana, zarżał na powitanie.

- Nie wierzę własnym oczom! - Szybko podszedł do konia i pogłaskał go po chrapach. - Skąd się tu wziął?

- Pamiętasz, jak przed laty sprzedałem go farmerowi z Kentucky?

W trzy miesiące po śmierci Fidelity Peter sprzedał Rangera. Proponowana suma była tak wysoka, że nie potrafił odmówić. Christian wyszedł wówczas z aresztu za kaucją i czekał na proces. Smutno mu było żegnać się ze swoim ulubieńcem.

- Co później z nim się działo?

- Przez kilka sezonów brał udział w gonitwach. Świetnie sobie radził, dopóki nie doznał kontuzji kolana. Po wyleczeniu poszedł w nowe ręce, potem w następne... - Peter skrzywił się. - W końcu trafił na niewielką farmę w Marylandzie, gdzie nikt się nim specjalnie nie zajmował. Jeszcze trochę, a nasz stary kumpel zostałby przerobiony na karmę dla psów.

Christian zamrugał.

- Witaj w domu, przyjacielu.

- Szybko wróci do formy. Dobra pasza, łąki, właściwa opieka, tego mu teraz trzeba. Żałuję, że go wtedy sprzedałem. Kochałeś go i twierdziłeś, że mógłby wygrać wszystkie wyścigi. Wymyśliłeś dla Rangera specjalny trening...

- No cóż, rozstaliśmy się na jakiś czas.

- Ranger jest twój. Na rachunku widnieje twoje nazwisko.

Christian odsunął się od boksu.

- Nie mogę przyjąć takiego prezentu.

- A to dlaczego?

- To zbyt cenny koń.

- Już nie, chyba że dla ciebie i dla mnie. Ale ma jeszcze przed sobą piękne lata, bo będzie świetnym koniem myśliwskim. Ma urodę, lecz to jeszcze mało. Jest dzielny. Na polowania potrzebny ci taki wierzchowiec.

Ranger parsknął, jakby chciał potwierdzić słowa Petera.

Christian zrozumiał, dlaczego dotąd nie dosiadł żadnego konia. Czekał na Rangera.

- Mam ochotę na przejażdżkę - powiedział. - Wybierzesz się ze mną?

- Nie. Zostawię was samych. - Peter poklepał konia i wyszedł.

Christian spojrzał Rangerowi w oczy.

- Mam paskudne wspomnienia, prawda, staruszkule? - zagadnął

Ogier dotknął go pyskiem, jakby rozumiał te słowa... lub domagał się jabłka.

- No to jak, lecimy w cwał? - Christian rozpromienił się.

Julia lubiła ciche wieczory. Kiedy Barda zatrzymywało coś w mieście, a Callie leżała już w łóżku, siadała przy sztalugach. Teraz, skazana na bezczynność, wędrowała myślami do miejsc i wydarzeń, do których wolałyby nie wracać.

Tego wieczoru, gdy Callie pod opieką Jake'a wybrała się na przejażdżkę, Julia usiadła na ganku i zaczęła rozpamiętywać przedpołudniową sesję z Yvonne. Rozmawiały o Fidelity i Christianie. Wyznała terapeutce, że to Christian jest ojcem Callie, oraz że nigdy o tym się nie dowiedział.

- To musiała być dla ciebie trudna decyzja - zauważyła Yvonne. - Miałś do niego żal?

- Nie, kochałam go. - Julia odchrząknęła. - On też mnie kochał. - Na myśl o spotkaniu w ogrodzie łzy napłynęły jej do oczu. - Ale to było dawno temu.

- Chcesz o tym porozmawiać?

- Czytasz przecież gazety.

- Owszem.

- Wiesz więc, że został oskarżony o morderstwo, którego nie popełnił.

- Tak.

- Fidelity, dziewczyna, która wtedy zginęła, była moją najbliższą przyjaciółką, bliższą niż siostra.

- A Christian?

- To długa i pogmatwana historia.

Głos Yvonne zabrzmiał donośniej, jakby pochyliła się ku Julii.



- Za to biorę pieniądze, żeby wysłuchiwać takich historii. Życie na ogół bywa pogmatwane.

- Moje na pewno.

- Zatem masz co opowiadać. Zaczynij od Fidelity.

Poznały się, gdy były w pierwszej klasie. Chodziły na popołudniowe spotkania do biblioteki, gdzie musiały się przebierać za jesienne liście i zielone świerki, tworząc żywe obrazy zaczerpnięte z ulubionej przez bibliotekarkę bajki. Poprzysięgły sobie wówczas, że mogą grać księżniczki i wróżki, ale nigdy więcej leśną florę.

South Land sąsiadowało wprawdzie z Ashbourne, ale po śmierci Harry'ego Maisy wycofała się z życia towarzyskiego. Siłą rzeczy Julia nie miała zbyt wielu okazji do spotkań z rówieśnikami. Kiedy los zetknął ją z Fidelity, dziewczynki stały się nierozłączne.

Fidelity chodziła do prywatnej szkoły, Julia do publicznej, ale spotykały się zaraz po lekcjach. Pływały w basenie Sutherlandów albo w potoku Jeeb Stuart, grały w tenisa, bawiły się Barbie, chodziły razem do kina. Zbierały jabłka w sadzie Ashbourne, bez przerwy chichotały, sypiały raz w jednym, raz w drugim domu i nie pozwały się rozdzielić. W końcu Fidelity prawie zamieszkała w Ashbourne, a Julia w South Land.

Kiedy Maisy poznała Jake'a i wyszła powtórnie za mąż, dziewczynki były ich druhnami, a kiedy Flo zabrała trzynastoletnią Fidelity do Paryża, Julia też miała okazję zajadać ślimaki i trufle oraz zwiedzać Dzielnicę Łacińską.

Jako nastolatki spotykały się rzadziej, bowiem miały zbyt wiele obowiązków, ale nadal pozostały najserdeczniejszymi przyjaciółkami. Fidelity oglądała wystawy, na których Julia pokazywała swoje prace i pozowała młodej malarce, gdy ta potrzebowała nastoletniej modelki. Na szesnaste urodziny dostała od Julii w prezencie swój portret, który zrobił taką furorę wśród znajomych, że ze wszystkich stron posypały się zamówienia na kolejne prace młodej artystki.

Julia pojawiała się na wszystkich gonitwach, w których jej przyjaciółka brała udział. Fidelity marzyła, żeby dostać się do drużyny olimpijskiej i Sutherlandowie wydali fortunę na treningi i konie dla córki. Gdy miejsca w olimpijskiej drużynie jeździeckiej przypadły starszym zawodniczkom, Fidelity wypłakiwała swoje rozczarowanie na ramieniu Julii.

A potem w życiu dziewcząt pojawił się Christian Carver. Od tej chwili wszystko się zmieniło.

Zaskrzypiały deski podłogi ganku i rozległ się głos Maisy:

- Nie powinnaś siedzieć tutaj zupełnie sama.

Julia położyła dłoń na piersi.

- Przestraszyłaś mnie.

- Nie chciałam - usprawiedliwiała się Maisy. - Myślałam, że usłyszałaś moje kroki.

- Tak, słyszałam, ale bujałam gdzieś daleko myślami.

- Mam dla ciebie lepszą świątynię dumania.

- Jaką?

- Chodź, pokażę ci.

Julia podniosła się, rada, że Maisy wtargnęła w jej smutne wspomnienia.

W chwilę później mama usadziła ją na werandzie koło kuchni. Pomieszczenie to było już pracownią, salką do ćwiczeń, a nawet inkubatorem dla kurcząt, gdy któregoś roku Maisy doszła do wniosku, że powinny mieć własne nioski i świeże jaja. Kiedy ostatnio Julia tu była, weranda służyła za magazyn zbędnych sprzętów, ale najwidoczniej jakiś czas temu została opróżniona.

- Co robisz, Maisy?

- To niespodzianka.

Maisy była mistrzynią od niespodzianek, przez całe dzieciństwo Julia miała ich pod dostatkiem: matka ni stąd, ni zowąd serwowała ulubione desery, szyla dla lalek takie same sukienki, jakie nosiła Julia, stawiała w pokoju córki wazon z bukietami polnych kwiatów.

- Dobrze mi tu było - powiedziała, czekając na swoją niespodziankę. -

Rozpieszczałaś mnie równie okropnie, jak Flo rozpieszczał Fidelity.

- O nie. Bardzo lubiłam Fidelity, ale Flo i Frank kochali ją tak bezkrytycznie, że ta biedna dziewczyna nie potrafiła wyrobić sobie charakteru.

- Nie było tak źle.

- Brak ci jej, prawda?

- Kiedy Fidelity była w pobliżu, nad moją głową rozprasały się chmury.

- Chmury?

Julia wróciła pamięcią do sesji z Yvonne.

- Co pamiętasz z mojego dzieciństwa? Byłam pogodna?

Maisy zastanawiała się tak długo, że Julia pomyślała, że nie odpowie.

- Nie byłaś ponura - stwierdziła w końcu.

- Też tak to pamiętam. Niczego mi nie brakowało, a jednak wciąż czegoś szukałam.

Sama nie wiem, czego.

- Słońca?

- Być może. Fidelity przynosiła je ze sobą, miała w sobie tyle światła, że aż nas oślepiało. Teraz to rozumiem. Lepiej jednak mieć go za dużo, niż za mało.

- Nigdy nie wiedziałam, co mogłabym dla ciebie zrobić. Nadal chyba nie wiem.

- I nie musisz. To mój problem i sama muszę się z nim uporać.

- Mam tu coś, co może ci pomóc. Wyciągnij rękę. Julia poczuła pod palcami coś miękkiego i wilgotnego.

- Dość!

- Nie, do cholery! Nie możesz udawać, że nie dostrzegasz problemu.

Zapadła cisza, przerywana tylko ptasimi trelami.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zwołaj mnie - odezwała się w końcu Maisy. - Jake powinien lada chwila wrócić. Ja wychodzę.

- Dokąd się wybierasz?

- Do Christiana. Na razie oszczędzę ci spotkania z nim, ale pamiętaj, że prędzej czy później zobaczy gdzieś Callie i domyśli się, że jest jego córką.

- Nie wybaczę ci, jeśli mu powiesz.

- Twój ojciec miał przykry zwyczaj mówić podobnie, kiedy unosił się gniewem. Nie znosiłam tego i nadal nie znoszę.

Julia była tak poirytowana, że nie próbowała nawet przeproszać.

- Przynajmniej wiadomo, czyją ty jesteś córką - dodała Maisy z przekąsem i szybko odeszła.

Julia cisnęła pecyną gliny o blat stołu, a potem zaczęła ją wyrabiać.

Maisy, nim dotarła do bramy posiadłości, nieco już ochłonęła, lecz wcale nie zamierzała przeproszać. Oczywiście kochała córkę i, jak wszyscy rodzice, obwiniała się o

niepowodzenia własnego dziecka. Kto jednak w tak trudnej sytuacji miał pomóc Julii, jak nie własna matka?

Bała się, że po drodze natknie się na Jake'a i Callie, ale nigdzie nie było ich widać. Wsiadła do pickupa i przekręciła kluczyk w stacyjce. Przynajmniej tym razem silnik zapalił bez kłopotów.

W połowie drogi do Claymore Park na tyle już się uspokoiła, że zaczęła jasno myśleć.

Nie mogła powiedzieć Christianowi o Callie, ale nie zamierzała również zamknąć przed nim drzwi Ashbourne. Bóg nie dał jej i Jake'owi dzieci, ale gdyby miała je mieć, chciałyby takiego syna, jak Christian. Był silnym, uczciwym człowiekiem, z którym los obszedł się okrutnie. Czy zgorzkniał? - zastanawiała się Maisy.

Nikt bardziej niż on nie potrzebował teraz przyjaźni i życzliwości.

Mimo dowodów, relacji w prasie i powszechnej opinii, Maisy nigdy nie wątpiła w jego niewinność. Pisała o tym w listach, które słała do więzienia. Regularnie spotykała się z Peterem, wypytywała o wyniki kolejnych apelacji, proponowała, że będzie pokrywała połowę honorarium Mela. Peter pieniędzy nie przyjął, ale informował Maisy o podejmowanych działaniach. Robiła dla Christiana tyle, ile była w stanie. Teraz mogła mu zaofiarować jedynie wsparcie.

Skręciła do Claymore Park i zatrzymała samochód koło stajni. Długą chwilę siedziała bez ruchu, zastanawiając się, co ma powiedzieć Christianowi, jak dać mu do zrozumienia, że zależy jej na nim.

Wreszcie wysiadła i wygładziła suknię.

- Maisy?

Ze stajni wyszedł Peter Claymore. Wyraźnie zaskoczony widokiem starej przyjaciółki, pocałował ją na powitanie w policzek.

- Witaj, Peter.

- Co cię sprowadza?

- Przyjechałam do Christiana. Jest gdzieś tutaj?

- Pojechał na przejażdżkę, ale niedługo powinien wrócić. Dobrze, że o nim pomyślałaś. Jest bardzo samotny.

- Tak mi przykro, że nie zobaczyłam się z nim, kiedy przyszedł do Ashbourne.
- Z tego pagórka powinnaś go dojrzeć.
- Trochę ruchu dobrze mi robi. - Maisy poklepała się po wydatnym brzuchu.
- Pamiętam czasy, kiedy byłaś chuda jak szczapa, ale taka bardziej mi się podobaś.
- Od tego są starzy przyjaciele. Żeby akceptować człowieka takim, jakim jest.
- Miłego spaceru.

Na szczyt pagórka dotarła zasapana. Powinna więcej się ruszać i zrzucić kilka kilogramów. Przyrzekła sobie, że pomyśli o jednym i o drugim, oczywiście jeśli przeżyje dzisiejszą wędrowkę. Zamiast jednak odpocząć, postanowiła sforsować następne wzniesienie. Dopiero z niego dojrzała sylwetkę mężczyzny na potężnym jabłkowitym koniu. Przez chwilę miała wrażenie, że to duch Harry'ego wyłonił się z szarego zmierzchu, dopiero potem rozpoznała Christiana. Dostrzegł ją od razu. Podjechał, zeskoczył z konia i krzyknął:

- Maisy Fletcher!
- Witaj, Christianie. Żadne słowa nie opiszą, jak bardzo się cieszę, że cię widzę.

Słyszałam, że byłeś u mnie kilka dni temu.

Ruszyli powoli w stronę domu.

- Nie wiedziałem, że spotkam Julię.

- Mieszka teraz z nami. Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej. Potrzebuje teraz stałej pomocy. Musieliśmy wiele zmienić w domu. Człowiek nie zdaje sobie sprawy, ile znaczy wzrok, dopóki nie zetknie się z kimś, kto nie widzi - trajkotała Maisy, nie wiedząc, jak poprowadzić rozmowę.

- Jak to, nie widzi?
- Nic nie wiesz? Nie powiedziała ci?
- O czym?
- Że jest niewidoma.

Usłyszała, jak Christian głęboko wciąga powietrze.

- Kilka tygodni temu spadła z konia. Chciała przeskoczyć przez rów. Koń się wystraszył i zrzucił ją z grzbietu. Nic jej się nie stało, nie miała żadnych obrażeń, ale kiedy się ocknęła, nie widziała.

Christian milczał, jakby to, co usłyszał, jeszcze do niego w pełni nie dotarło.

- Nikt nie wie, co się właściwie stało - ciągnęła Maisy. - Wykonano wszelkie możliwe badania i nie odkryto żadnych przyczyn, dla których Julia miałaby nie widzieć, a jednak nie widzi. Lekarze myślą...

- Co myślą?

- Że to kwestia psychiki.

- A ty jak sądzisz?

- Nasze ciała potrafią płatać różne figle.

- Nie podejrzewasz, że to tylko medyczny bełkot?

Lekarze nie wiedzą, co jej jest, więc znaleźli najprostsze wyjaśnienie.

- Była pod opieką najlepszych specjalistów. Nie ma innego wyjaśnienia.

- To przykre. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak może się czuć człowiek, którego dotknęło coś podobnego.

- Czasami zdarzają się rzeczy zupełnie pozbawione sensu. Jak twój wyrok.

Christian zatrzymał się.

- Wybrałem się do Ashbourne, bo chciałem ci powiedzieć, jak ważne były dla mnie twoje listy. I przeprosić, że nigdy ci nie odpisałem.

- Czytałeś je?

- Początkowo tak. Potem nie byłem w stanie. Trudno to wytłumaczyć.

- Nie musisz. Wysyłałam je, żebyś wiedział, że nie zapomniałam o tobie. Nie pisałam o niczym ważnym.

- Przypominały mi o zbyt wielu sprawach.

- O Julii... Nie mogłeś zrozumieć, dlaczego tak szybko po twoim aresztowaniu wyszła za męża.

- Nie mnie to osądzać. Nie wracajmy do dawnych spraw.

- Była zupełnie rozbita, Christianie. To chyba pojmujesz? Za jednym zamachem straciła Fidelity i ciebie. Bard pomógł jej odzyskać równowagę, był ucieczką przed cierpieniem.

- Powtarzam ci, Maisy, to już nie moja rzecz. Przykro mi słyszeć, że straciła wzrok, naprawdę mi przykro, ale nic mi do niej.

- Nigdy jej nie wybaczyłeś, że zwątpiła w twoją niewinność.

Długo milczał.

- Nie, nigdy - przyznał w końcu. - Ty nie miałaś wątpliwości. Peter też nie. Robby wiedział, że nie mogłem zabić Fidelity. Wszyscy najbliżsi mi ludzie... lecz Julia...

- Ona nie miała jeszcze wtedy nawet dwudziestu lat. Była młoda, stała całym sercem przy tobie, raz tylko się zawahała...

- Tak, kiedy zeznawała na mojej rozprawie.

- Zeznawała pod przysięgą. Była półprzytomna, bo prokurator ją zastraszył.

- I dlatego powiedziała ławie przysięgłych, że tego dnia byłem wściekły na Fidelity. A kiedy oskarżyciel zapytał, czy tak wściekły, że mógłbym zabić, nie zaprzeczyła.

- Nie wiedziała, co powinna była powiedzieć.

- Maisy, twoja córka zwątpiła we mnie, dopuszczała myśl, że zabiłem jej najlepszą przyjaciółkę.

- Jeśli oczekiwałeś ślepego zaufania, wybrałeś niewłaściwą kobietę. Julia potrafi wczepić się w każdą prawdę jak szczeniak w szmacianą lalkę, dopóki nie wypruje z niej wszystkich bebechów. Dowody świadczyły przeciwko tobie. Ujęto cię na miejscu zbrodni z nożem w ręku. W przekonaniu prokuratora miałeś motyw...

- Nie ma takiego motywu, który tłumaczyłby zabicie drugiego człowieka.

- Tu spierałabym się z tobą. Julia zawahała się w czasie zeznań, lecz potem ani na chwilę nie przestała wierzyć w twoją niewinność.

- Co się z tobą stało przez te dziewięć lat, Maisy? Nigdy nie byłaś równie otwarta.

- Nadrabiam stracony czas. Zawsze chciałam mieć takiego syna jak ty. Nie pozwól, żeby gorycz zepsuła kontakty między nami. Straciłeś kawał życia i nigdy nie odzyskasz tych lat, ale spróbuj jak najprędzej otrząsnąć się z ponurych wspomnień. Zobacz, słońce świeci, a gdzie sięgniesz wzrokiem, szerokie pola.

- Chciałbym zostać sam. Cieszę się, że przyjechałaś. Zawsze byłaś dla mnie przyjaciółką i masz moją wdzięczność, ale muszę jakoś ułożyć sobie życie. Mam nadzieję, że Julii też się to uda. Wierzę, że odzyska wzrok, ale to już naprawdę nie mój problem.

Maisy pomyślała, ile bezsennych nocy kosztowało Christiana, żeby samego siebie o tym przekonać.



A Julia? Tak, Maisy przeczyta jej następny rozdział, lecz potem biedna córeczka pozostanie sama, otulona smutną, czarną nocą. I będzie zastanawiać się, jak ma powiedzieć Christianowi, że jej życie i życie ich córki - to jednak również jego problem.

Fragment niepublikowanej powieści „Fox River”

Maisy Fletcher

Tak jak przypuszczałam, mama nie była zachwycona moim zamążpójściem. Wprawdzie w Wirginii Ian Sebastian był kimś, lecz na Piątej Alei nie liczył się zupełnie. Ot, zwykły hreczkosiej. Moi trzeźwo myślący bracia, dyskretnie sprawdzwszy stan konta Iana i jego reputację, bezskutecznie usiłowali przekonać mamę, że Sebastian jest partią do zaakceptowania. Konto kontem, reputacja reputacją, ale fakt, że nie wejść do pierwszej setki liczących się na Manhattanie rodzin, oznaczał dla matki klęskę jej życiowych marzeń.

Dlatego z wielką niechęcią udzieliła mi swego błogosławieństwa. O szóstej wieczorem George i Henry poprowadzili mnie do ołtarza. Annie, zaręczona z Paulem Symingtonem, była moją jedyną druhną i świadkiem. Miałam na sobie suknię z białej koronki, skandalicznie krótką, za to z bardzo długim welonem, a na głowie stroik przybrany kwiatami pomarańczy i bukiet z orchidei, róż oraz gardenii, który dostałam od Iana. Złożyliśmy przysięgę przed Bogiem, a nasz pierwszy małżeński pocałunek trwał tak długo, że pastor zaczął znacząco chrząkać.

- Złożymy sowitą ofiarę na rzecz parafii - powiedział Ian, kiedy wychodziliśmy z kościoła, i obydwójce roześmialiśmy się.

Przyjęcie weselne trwało wiele godzin. Zdążyłam na tyle już poznać mieszkańców Wirginii, by wiedzieć, że zabawa jest dla nich świętym obowiązkiem. Nawet moja szukająca dziury w całym mama nie zdołała dopatrzeć się najmniejszego uchybienia. Kiedy zaś stryjeczna babka Iana, dama dziewięćdziesięcioletnia, zaczęła wymieniać kolejne pokolenia Sebastianów, cofając się do Anglii czasów Stuartów, mama udobruchała się i nawet zaprosiła nas do złożenia wizyty w Nowym Jorku, zanim nasz statek odpłynie do Europy.



Ostatni goście opuścili Fox River o północy. Ponieważ moja rodzina nocowała w Sweetwater, zostaliśmy sami, bo nawet służba taktownie znikła.

Skończyło się bajkowe weselisko, byłam mężatką, zaczynałam nowe życie z człowiekiem, którego prawie nie znałam.

W poprzedzających ślub miesiącach nie zastawiałam się nad tym. A przecież wywodziliśmy się z innych światów, różne mieliśmy myśli i zainteresowania. Byliśmy dla siebie mili i serdeczni, ale trudno mówić o przyjaźni, takiej jaka łączyła mnie choćby z Annie. Mogłam liczyć na to, że mąż doceni moje zalety i zapomni o słabościach, ale prawdziwe porozumienie polega na czymś zupełnie innym.

Dopiero teraz zaczęłam się zastanawiać, czy dokonałam mądrego wyboru. Nigdy wcześniej nie kwestionowałam sposobu, w jaki zostałam wychowana. W pełni akceptowałam plan mamy i chciałam znaleźć bogatego męża o dobrym nazwisku. Co też uczyniłam, choć mamie Ian początkowo się nie spodobał. Czyżby moja duma wzięła górę nad zdrowym rozsądkiem, każąc mi się związać z człowiekiem pełnym tajemnic?

Kiedy zadawałam sobie to pytanie, do pokoju wszedł Ian. Czule ujął moją twarz w dłonie i zaśmiał się.

- To zupełnie naturalne, kochanie, że czujesz się trochę dziwnie.

- Tak?

- Zrobiłaś wielki krok, a teraz kolejny przed nami.

Krok, na który czekałam z ciekawością.

- Coś wiesz na ten temat. Masz już za sobą jedną poślubną noc - powiedziałam.

Ian zapalił papierosa.

- Opowiedzieć ci o Frances? Nigdy o nią nie pytałaś.

Nie byłam pewna, czy chcę słuchać, ale skinęłam głową.

Ian zaciągnął się głęboko i wypuścił gęsty kłęb dymu.

- Byliśmy w tym samym wieku. Pochodziła z Wirginii. Jej rodzina, równie stara jak moja, mieszkała w Clarke County.

- Byliście dobranym małżeństwem - stwierdziłam.

- Nie całkiem. Frances lubiła postawić na swoim. Kiedy jej się to nie udawało, pakowała kufry i jechała do mamy, a ja długo musiałam ją namawiać, by wróciła do

domu. Kiedy zaszła w ciążę, nie chciała zostać w Fox River, mimo że miała tu zapewnioną opiekę najlepszych lekarzy. Swoim zwyczajem pojechała do mamy. Nasz syn urodził się o miesiąc za wcześnie. Zmarli oboje. Akuszerka, która odbierała poród, nic nie wiedziała o nowoczesnym położnictwie.

Ogarnął mnie smutek.

- Tak mi przykro, Ianie. To musiało być dla ciebie straszne.

- Może to nie pora, bym obciążał cię smutnymi wspomnieniami, ale nie powinniśmy mieć przed sobą sekretów.

- Cieszę, że powiedziałeś mi o Frances.

- Rozumiesz teraz, dlaczego przez tyle lat wzbraniałem się przed powtórny ożenkiem.

Poczułam się dumna, że wpłynęłam na zmianę postawy Iana. Położyłam dłoń na jego ramieniu.

- Nie jestem taka jak Frances. Poślubiłam cię na dobre i złe i zawsze będę trwała przy tobie.

Twarz Iana złagodniała.

- Miejmy nadzieję, że nie zaznamy zbyt wiele złego.

- Na pewno nie dzisiejszej nocy, pod warunkiem, że przestaniemy mówić o smutnych rzeczach i pójdziemy na górę.

- Czyżby lisiczka z ciebie, co?

- Nie wiem. Musimy się przekonać.

Ian zgasił papierosa i przygarnął mnie do siebie. Tak jak przypuszczałam, to, co nastąpiło potem, okazało się dobrą stroną małżeństwa.

Nie wiedziałam jeszcze o złych stronach, które miałam dopiero poznać.

## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

Julia przeprosiła Maisy. Co prawda wolałaby, żeby matka się nie wtrącała, ale cóż - po prostu miała rację. Któregoś dnia Christian zobaczy Callie. Ile czasu zajmie mu odgadnięcia prawdy?

To od Julii powinien usłyszeć, że ma córkę. Pamiętała czasy, kiedy mówiła mu wszystko, gdy odgadywał jej myśli, zanim zdążyła je wypowiedzieć. Łączyła ich cudowna zażyłość, która zaczęła się po gonitwie w Middleburgu, a skończyła na sali sądowej.

Żyła jednak w jej wspomnieniach.

Podczas przyjęcia po gonitwie Christian Carver odnosił się tak samo miło do obu dziewcząt, starając się żadnej z nich nie wyróżniać, jednak Julia była pewna, że to Fidelity wpadła mu w oko.

- No dobrze, lubię Christiana - przyznała Julia, kiedy wróciwszy z przyjęcia, leżały już w łóżku w sypialni Fidelity w South Land. - Jest taki... prawdziwy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Zbyt prawdziwy. Jego ojciec go osierocił, gdy spowodował pożar stajni w Claymore Park. Trudno wyobrazić sobie coś bardziej konkretnego.

- Nie jest też synem milionera.

- Robby jest. - Fidelity oparła się na łokciu. - Co o nim myślisz?

- Jego też lubię.

- Mogłabym owinać go sobie wokół palca - zachichotała Fidelity. - To bogaty i inteligentny chłopak, ale zupełnie brakuje mu wiary w siebie. Ja mu jej nie dam, wolę zająć się jego przyjacielem.

Fidelity musiała posmakować wszystkiego. Brała z życia to, na co miała ochotę, unikała natomiast tego, co wydawało jej się nudne. Nie była przy tym egoistycznie zimna i okrutna; wręcz przeciwnie, miała wielkie serce.

- Myślę, że powinnaś zostawić Christiana w spokoju - ostrzegła przyjaciółkę Julia. - Jest inny niż ty, pełen powagi. Szybko musiał stać się dorosły. Nie zrozumie twoich gier.

Fidelity wydeła usta.

- Gierek? A w co ja niby gram, Julio?

- Nie chcesz przecież mieć chłopaka bez grosza przy duszy. Christian dzisiaj był bohaterem, ale jutro zakaszę rękawy i znów weźmie się do sprzątania stajen w Claymore Park.

- I co z tego? Ja też sprzątam w stajniach.

- Przez całe swoje życie nie przepracowałam nawet minuty.

- Ale wiem, jak się sprząta stajnie, gdyby przyszło co do czego. Opiekuję się swoimi końmi, o czym nie wiesz, bo nigdy się do nich nie zbliżasz.

- Zostaw Christiana w spokoju. Jeszcze ci się nie znudziło tak bez ustanku łamać serca kolejnym chłopakom?

- Christian jest już dużym chłopcem. Kiedy będę miała go dość, potrafi sobie z tym poradzić i zachować się jak dorosły człowiek.

Julia była coraz bardziej poirytowana.

- A może ty zaczęłabyś wreszcie zachowywać się jak dorosła?

Fidelity uniosła idealnie wydepilowaną brew.

- Chcesz go dla siebie, tak? Stąd ta złość. Jeśli ci się naprawdę podoba, może zostawię go w spokoju.

- Dziękuję za łaskę.

- Oj, Julio, mała Julio. Nigdy niczego nie pragnęłaś dla siebie, a teraz unosisz się dumą, kiedy chcę ci oddać Christiana. Naucz się walczyć o to, na czym ci zależy. Widziałam, jak on dzisiaj na ciebie patrzył. Robiłam do niego słodkie oczy, czarowałam go, ale on cały czas wpatrywał się w ciebie, kretynko! Przegrałam z kretelem. Kropka.

Julia nie wiedziała, co myśleć. Bała się, że Fidelity się myli, potem bała się, że Christian nie będzie chciał wyróżniać żadnej z przyjaciółek.

Targana takimi rozterkami, pewnego dnia po powrocie ze szkoły zobaczyła Christiana na ganku swojego domu. Maisy dotrzymywała gościowi towarzystwa. Na widok córki dyskretnie się ulotniła.

- Wpadłeś z sąsiedzką wizytą do mojej mamy? - zagadnęła Julia, starając się nadać swojemu głosowi nonszalancki ton.

- Myślałem, że wcześniej wrócisz do domu. Szkoda, długo czekałem, teraz muszę wracać do Claymore.

Julia poczuła bolesne rozczarowanie.

- Och...

- Powiniennem być zadzwonić. Wieczorem mam zajęcia, muszę się przygotować.

Odprowadzisz mnie do samochodu?

Zatrzymał się przy furgonetce.

- Dlaczego nie jeździsz konno? Mogłabyś przecież zawsze wziąć któregoś z koni Fidelity.

Julia wzięła głęboki oddech.

- Boję się ich. Na widok konia oblewa mnie zimny pot. Trzęsę się tak, że nie potrafiłabym utrzymać wodzy w dłoniach. Fidelity próbowała nauczyć mnie jeździć. Chciałam, naprawdę chciałam, ale nic z tego nie wyszło. Nie potrafiła zrozumieć moich reakcji... Nikt nie potrafi.

- Może ja bym spróbował? - zaproponował Christian z ujmującym uśmiechem. - Zaufasz mi? Umiem być cierpliwy. Nie będę cię do niczego zmuszał. Możemy zacząć powoli, posuwając się krok po kroku.

Nie była pewna, czy mówią tylko o koniach.

- Spróbujesz?

Ciekawe, czy można nauczyć się jeździć, nie podchodząc przy tym do tych strasznych zwierząt? - pomyślała. Raczej nie.

- Masz jakiegoś łagodnego konia w Claymore? - zapytała wreszcie.

Christian uściskał jej dłoń na pożegnanie.

- Przyjedź jutro, zanim się rozmyślisz. O siódmej rano. Jest sobota. O ósmej muszę zająć się psami, ale godzina to wystarczająco długo jak na pierwszą lekcję.

Przez następne tygodnie Julia, Fidelity, Christian i Robby znajdowali tysięczne wymówki, żeby być razem. Przyjaźń całej czwórki odżyła. Ale Christian stał się dla Julii kimś więcej niż tylko przyjacielem. Ilekroć go widziała, serce zaczynało bić szybciej, kolana się pod nią uginały, doświadczała nigdy wcześniej nie zaznanych emocji, intensywniejszych z każdym kolejnym spotkaniem. Nie było to wyłącznie fizyczne za-

uroczenie. Podziwiała szczerłość Christiana, jego silny charakter, konsekwencję w postępowaniu.

Jeźdźcem okazała się najżałośniejszym w świecie, ale Christian nie rezygnował. Minał dokładnie miesiąc, zanim odważyła się ruszyć na pierwszą krótką przejażdżkę bez Christiana u boku. Konie to nieobliczalne stworzenia: płoszą się, narowią, stają dęba i rżą.

Po sześciu tygodniach potrafiła już kłusować i galopować, a po dwóch miesiącach nauki usłyszała od Christiana:

- Masz wrodzony talent. Nie na darmo jesteś córką Harry'ego Ashbourne'a. Teraz jeszcze nauczysz się skakać przez ogrodzenia i będziesz mogła ruszyć z nami na polowanie. Fidelity i Robby jeżdżą konno, więc ty też musisz.

- Nie, nigdy nie będę skakać. Boję się, że spadnę. Przeraza mnie sama myśl, że mogłabym skakać. Mój ojciec zabił się, spadając z konia, Christianie.

Wreszcie ją przekonał. Namówił do pierwszego skoku. Wzięli przeszkodę razem, siedząc na grzbiecie Rangera. Koń lekko przesadził płot odgradzający łąkę. Kilka kolejnych skoków i Christian zsunął się z siodła.

- Teraz skoczysz sama, tylko pamiętaj, nie ściągaj wodzy. To najgorsza rzecz, jaką mogłabyś zrobić. Zaufaj Rangerowi, jego możesz być pewna.

Nie chciała wyjść przed Christianem na tchórza.

Nawet nie poczuła uderzenia, kiedy obydwójce, ona i koń, spłynęli na ziemię. Zawróciła, przesadziła ponownie płot i wróciła uszczęśliwiona do Christiana.

- Jak było?

- Wspaniale.

Gdy zeskoczyła z końskiego grzbietu, ujął jej twarz w dłonie.

- Jeśli to zrobiłaś, możesz zrobić wszystko. Oczy jej błyszczały. Nie zamknęła powiek, gdy

Christian ją pocałował. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła się do niego całym ciałem.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Zarówno Mel, jak i Peter przestrzegali Christiana, by nie wracał do sprawy morderstwa Fidelity. Rozumiał ich obawy, co więcej, podzielał je, ale czuł, że musi dojść prawdy, bo nikt inny tego nie zrobi.

Zbyt wiele było niewyjaśnionych faktów. Zandoff twierdził, że w czasie, gdy zginęła Fidelity, pracował w Middleburgu, ale nikt tego nie pamiętał. Podobno zatrudniony był nielegalnie, nie zachowały się więc żadne dokumenty, które potwierdziłyby jego zeznania.

Ponadto Zandoff zawsze działał według określonego scenariusza: najpierw gwałcił swoje ofiary, a potem je dusił, lecz nigdy ich nie okradał, brał jedynie jakiś drobiazg na pamiątkę. Natomiast Fidelity nie została zgwałcona i zginęła od noża, a jej biżuteria znikła. Dziwne było również to, że dziewczyna nie próbowała walczyć z napastnikiem.

Christian wiedział, że dopóki nie wyjaśni sprawy do końca, ludzie będą uważali, że mimo wszystko w jakiś sposób był uwikłany w tę zbrodnię.

Następnego ranka po spotkaniu z Maisy poprosił Petera, żeby zawiózł go do Leesburga, chciał bowiem odnowić prawo jazdy. Peter zostawił go przed urzędem i wręczył kluczyki od swojego lincolna. Był umówiony na lunch ze znajomą, która potem miała odwiedzić go do domu.

Po załatwieniu formalności Christian spotkał się w McDonaldzie z Pinky Stewartem, przyjacielem z lat szkolnych, a obecnie zastępcą szeryfa, który znalazł biżuterię Fidelity.

- Nieźle wyglądasz - zaczął Pinky. - Cieszę się, że odszukałem te świecidełka. Podczas procesu nic nie mogłem dla ciebie zrobić, ale jak tylko usłyszałem, czego szukacie, zaraz chwyciłem za łopatę.

Christian uśmiechnął się, okazało się bowiem, że wśród miejscowych stróżów prawa miał przynajmniej jednego sprzymierzeńca. Szybko wyjaśnił, na jakie pytania szuka odpowiedzi.

- Po co mi o tym mówisz? - Pinky ściszył głos.

- Muszę wiedzieć, co wykazało dochodzenie. Czy znaleziono jakieś dowody przeciwko Zandoffowi? Czy wiecie coś, czego ja nie wiem?

- Raporty są tajne, Chris. Wiesz, że nie mogę ci wiele powiedzieć. - Pinky nerwowo zabębnił palcami o blat stolika.

- Sprawiedliwość już raz ze mnie zakpiła.

- Szeryf Gordon krzywo na mnie patrzy i tylko wypatruje okazji, by się mnie pozbyć. Rozumiesz? Na moje miejsca czeka jego kuzyn, a szeryf jest rodzinnym facetem.

- Kiepska sprawa.

Pinky nagle uśmiechnął się.

- Dlatego myślę o straży pożarnej.

- Masz szansę?

- Na tyle duże, żeby pozwolić sobie na ryzyko. Pies jechał Gordona. - Pinky nachylił się do Christiana. - Zobaczę, co da się zrobić, ale to musi potrwać. I więcej tu nie przyjeżdżaj, tylko dzwoń do mnie do domu.

- Dobry z ciebie kumpel, Pinky.

- Zajrzyj któregoś dnia. Cholera wie, może znowu, jak za dobrych starych czasów, zaczniemy grać w baseball?

Yvonne chciała, żeby przez pierwszy tydzień terapii Julia pojawiała się u niej codziennie. Tego dnia wyjechały wcześniej z Ashbourne, bo Maisy miała coś do załatwienia po drodze, ale nie chciała zdradzić córce, o co chodziło. No cóż, kolejna niespodzianka.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała Julia, kiedy Maisy zgasila silnik.

- U dealera Forda. Zamierzam kupić nową furgonetkę, bo ta niedługo zupełnie się rozsypie.

- Jake o tym wie?

- Nie, nie wie.

- Jezu! Wolę nie myśleć, co powie.

- Szybko polubi nowy samochód, ale tu nie chodzi o Jake'a, tylko o mnie. Mam już dość ciągłych napraw. Potrzebny nam nowy wóz i dzisiaj go kupię.

- Nie znałam cię takiej.



- Jeszcze nieraz cię zaskoczę. Jeśli dotrzymali obietnicy, podpiszę fakturę, wręczoneczek i przesiądziemy się do nowego pickupa. Z tego wszystko już uprzątnęłam. Jakesz rozumie, co się święci, kiedy zobaczy na trawniku stertę map, narzędzi i butelek powodzie mineralnej.

Cała transakcja trwała zaledwie dziesięć minut. Po ich upływie Julia usłyszała cichy pomruk silnika.

- Gotowe - oznajmiła Maisy. - Pomogę ci się przesiąść.

Julię owionął zapach plastiku, skóry i gumy.

- Wspaniale - mruknęła, sadowiąc się wygodnie w fotelu.

- A teraz do Yvonne. Ależ to cudo się prowadzi! Posłuchaj, jak ładnie chodzi silnik.

Yvonne wprowadziła Julię do gabinetu i posadziła ją w fotelu.

- Dzisiaj chciałabym spróbować czegoś innego - oznajmiła.

- Mianowicie?

- Hipnozy.

- Żartujesz sobie.

- Ani trochę.

- Nie powinnaś wymachiwać mi jakimś wahadélkiem przed oczami, żeby mnie uśpić?

- Naoglądałaś się za dużo starych filmów.

- Po co hipnoza?

- Żeby pomóc ci dotrzeć do spraw, o których nie chcesz pamiętać. Może dzięki temu zrozumiesz własne problemy. Ludzie z takimi przypadłościami jak twoja łatwo poddają się hipnozie.

- Histerycy?

- Tak o sobie myślisz?

- Zanim straciłam wzrok, to określenie nigdy nie przyszłoby mi do głowy.

- I nadal tak powinno być. Jesteś mądrą, utalentowaną kobietą, artystką, człowiekiem wrażliwym ponad przeciętność, ale masz jakiś sekret, który ukrywasz przed samą sobą. Gdy czujesz, że nie radzisz sobie z problemem, za wszelką cenę go unikasz.

Julia pomyślała o Christianie i Callie, o nieuchronnie zbliżającej się konfrontacji.

- Psycholog w szpitalu proponował hipnozę. Nie zgodziłam się, teraz też się nie zgadzam. Nie chcę ponownie przeżywać tego, przez co już przeszłam. Zbyt wiele w życiu straciłam. Nie mam siły wracać do przeszłości.

- Poczekamy, aż będziesz gotowa.

- Nigdy nie będę gotowa.

- W takim razie porozmawiajmy o twoim lęku przed cierpieniem. Zacznijmy od drobnych spraw. Straciłaś kiedyś ulubionego zwierzaka?

- Nie.

- Nie dostałaś kiedyś czegoś, czego pragnęłaś?

- W szkole średniej mogłam ubiegać się o stypendium artystyczne, ale za późno złożyłam papiery.

- Opowiedz mi o tym, Opowiedz o dniu, w którym uświadomiłaś sobie, że szansa przeszła ci koło nosa.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY**

To pragnienie dojrzało w Julii powoli i prawie niedostrzegalnie dla niej samej, w każdym razie pewnego dnia zadzwoniła na Millcreek Farm i poprosiła, żeby pani Taylor przełączyła telefon do stajni. Wytłumaczyła Ramonowi, temu samemu, który przywiózł do Ashbourne Kosmatą, w czym rzecz, a potem poszła poszukać matki.

- Nie spodoba ci się to, co usłyszysz - uprzedziła Maisy.

- Przekonajmy się.

- Po powrocie Callie ze szkoły wybiorę się z nią na przejażdżkę.

- Jak zamierzasz tego dokonać?

- Ramon przyprowadzi mi Piaska. To najłagodniejszy koń w Millcreek. Ramon pojedzie z nami i będzie czuwał, żeby nic mi się nie stało. Nie martw się, proszę.

- Julio...

- Maisy, muszę znowu wsiąść na konia. Będę bezpieczna. To tylko krótka, spokojna przejażdżka.

- Nie ma sposobu, żeby wybić ci ten szalony pomysł z głowy?

- Nie ma.

- Pomóc ci znaleźć odpowiedni strój?

Karen, która okazała się nieoceniona, właśnie miała dzień wolny, ale Julia już dawno sama ułożyła swoje ubrania w komodzie.

- Włożę dzinsy. Wiem, gdzie są. Będę gotowa, kiedy przywieziesz Callie ze szkoły. Wcześniej pojawił się Ramon. Słyszac jego wołanie. Julia wyszła na ganek.

- Przeprowadziłeś Piaska?

- Tak, proszę pani. Piaska i Chwata.

Chwat był najnowszym nabytkiem Barda, koniem młodym i pełnym temperamentu.

- Dlaczego Chwata?

- Trochę ruchu dobrze mu zrobi. To spokojny koń. pan Warwick świetnie go ułożył. Codziennie na nim jeździ.

Szkoda, że Bard nie poświęca tyle czasu i uwagi Callie, pomyślała Julia.

- Przepraszam, że pytam, ale czy na pewno sobie pani poradzi?

Julia lubiła Ramona. Pochodził z Salwadoru i widział w swoim krótkim życiu mnóstwo przelanej krwi. Zanim musiał uciekać z ojczyzny, studiował weterynarię. Miał wspaniałe podejście do zwierząt, jak również ze stoickim spokojem znosił wyniosły sposób bycia Barda.

Jak Fidelity na małą księżniczkę, tak Bard wychowywany był na małego księcia i traktował swoich pracowników niczym pozbawione uczuć i duszy roboty, zaprogramowane na określone czynności. Jednak Fidelity, przy całym swoim snobizmie i arystokratycznych ciągotech, do wszystkich osób zatrudnionych u Sutherlandów odnosiła się z sercem, traktowała ich jak przyjaciół.

- Masz prawo pytać - powiedziała Julia. - Poradzę sobie, jeśli pojedziesz z nami. Nie przeszkodziłam ci przypadkiem w jakimś pilnym zajęciu?

- Nie. I tak miałem zamiar trochę rozruszać Chwata. Czy powie panu Warwickowi, jak to robiłem?

Julia oczami wyobraźni zobaczyła uśmiech na śniadej twarzy Ramona i również się uśmiechnęła.

- Jeśli o mnie chodzi, nie musisz. Prawdę mówiąc, będzie lepiej, jeśli mu nic nie powiesz.

- Mamusiu!

Julia nie usłyszała samochodu Maisy. Objęła tulącą się do niej córkę.

- Witaj, skarbie. Jak było w szkole?

- Nienawidzę szkoły. Naprawdę wybierzemy się na przejażdżkę?

- Naprawdę.

- Cześć, Ramon. Chcesz zobaczyć, jak siodłam Kosmatą?

- Za nic nie przepuściłbym takiej okazji.

- Wiesz... gdybym była dwadzieścia lat młodsza - doszedł Julię ściszony głos Maisy.

- Masz dobry gust, ale wyszłaś za Jake'a.

- Przekonamy się, jak oceni mój gust, kiedy zobaczy nowy samochód.

Jake poszedł na ryby i miał wrócić dopiero przed kolacją.

- Może zjawi się, kiedy nas nie będzie. Rozmówcie się bez świadków.

- Ale ja mogę potrzebować świadków. Julia zaśmiała się.

- Podprowadź mnie do Piaska, dosiadę go.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Tam stoją dwa konie i obu jednakowo źle patrzy z oczu.

- Ramon skończy siodłać... ja biegnę się przebrać... i zaraz... - Za zadyszana Callie drzwi zatrzasnęły się hukiem.

- Chyba się cieszy? - zapytała Julia.

- Nie chcę na to patrzeć. Znikam. Poszukaj mnie po powrocie do domu. Jeśli nie będziesz mogła mnie znaleźć, a Jake już będzie, rozejrzyj się za świeżo zasypnym dołem w ogrodzie.

Maisy odeszła, po chwili znowu trzasnęły drzwi i rozległo się wołanie małej:

- Jestem gotowa!

- Buty? Czapka?

- Mam wszystko! Możemy już jechać? Hej, Kosmata!

- Podprowadzę panią do Piaska. - Ramon ujął Julię pod ramię. Po chwili poczuła pod dłonią gładką skórę siodła. Ujęła wodze, włożyła lewą nogę w strzemię i z pomocą Ramona znalazła się na końskim grzbiecie.

- Wszystko w porządku - zapewniła.

- Callie, jedź przodem! - zawołał do małej, kiedy sam dosiadł konia. - Ja pojedę z tyłu.

Ponieważ dziewczynka znała wszystkie ścieżki w Ashbourne, więc mogła prowadzić, natomiast Ramon miał kontrolować sytuację.

Julia usłyszała stuk kopyt Kosmatej, Piasek też ruszył. Znowu siedziała w siodle.

- Proszę się odprężyć i cieszyć jazdą. Jest pani bezpieczna - zapewnił ją Ramon.

Christian nie potrzebował wiele czasu, żeby zorientować się, że Clover, mimo znakomitego rodowodu, jest zupełnie pozbawiona rozumu. Śliczna i nieustannie spragniona czułości, w swojej bezmiernej głupocie dotąd nie pojęła, że życie to coś więcej niż ładna mordka i ludzkie pieszczoty.

Gorda, opiekunka psów o manierach matrony, chciała ją wyrzucić z psiarni, bo codziennie rano potykała się o suczkę. Fish zaofiarował się nawet, że odwiezie ją do hodowcy w Pensylwanii, od którego została kupiona.

- Jesteście przekonani, że nic z niej nie będzie? - zapytał Christian i uzyskał stanowcze potwierdzenie tej opinii.

Jednak sam miał co do tego pewne wątpliwości. Każdy pies dorasta inaczej, a on zawsze czuł słabość do tych, które późno nabierały rozumu. Z drugiej strony, jako doświadczony i odnoszący sukcesy treser wiedział, że z takich szczeniaków jak Clover rzadko wyrastają naprawdę mądre psy.

- Dzwoniłem dzisiaj do hodowcy - zakomunikował mu Peter po południu. - Dziwi się naszym zastrzeżeniom, twierdzi, że zdarza się to pierwszy raz w jego karierze. Nie przyjmie Clover z powrotem, ale obiecał mi, że będę mógł sobie wybrać za darmo szczeniaka z następnego miotu. Chociaż nie wiem, czy będę miał na to ochotę.

Christian poklepał Petera po ramieniu.

- Wezmę ją ze sobą. Muszę sporo pracować z Rangerem, jeśli ma być w formie na otwarcie sezonu łowieckiego, a przy okazji zobaczę, jak Clover będzie się zachowywać.

- No cóż, w razie czego pozbędziemy się jej.

- Wstrzymaj się jeszcze z decyzją.

Christian poszedł osiodłać Rangera. Za każdym razem, kiedy wchodził do stajni, koń zdawał się na niego czekać. Albo na marchewkę, którą Christian miał zawsze w kieszeni. Wraz z upływem dni stawał się ufniejszy i ciekawszy świata, ale daleko mu jeszcze było do tego mądrego, dzielnego stworzenia, jakim był przed laty.

- Ty, ja i Clover. Niezła drużyna, co staruszkę? Sami nieudacznicy - mruknął Christian.

Już na koniu podjechał do psiarni po Clover. Szczeniaki rzuciły się witać go jak starego przyjaciela, tylko ona siedziała w kącie i wpatrywała się w Christiana sennym wzrokiem.

Przy takim temperamentie mógł ją do wieczora zachęcać, żeby wyszła na zewnątrz, dlatego po prostu wziął ją na ręce i wyniósł na dziedziniec.

Suczka początkowo siedziała ospale na ziemi, dopiero po długiej chwili ożywiła się: wreszcie zrozumiała, że ma towarzyszyć w spacerze. Podbiegła, ochoczo merdając ogonem, przewróciła się na grzbiet pod samymi kopytami Rangera i czekała, żeby ją Christian podrapał po brzuchu.

- Jak widać, czeka nas ciężkie popołudnie. Rusz się, głupku. Wstawaj. Próbuję uratować ci życie. Mogłabyś trochę mi w tym pomóc.

Wreszcie łaskawie się podniosła i zaczęła piskliwie, niczym uprzykrzony pudel, ujadać na Rangera. W jej szczekaniu nie było tak charakterystycznej dla foxhoundów melodii. Clover przypominała gwiazdy niemego filmu, zmuszone po raz pierwszy przemówić z ekranu. Jej kariera miała się skończyć równie smutno.

- Nie słyszałaś, jak szczekają porządne psy? - szydził Christian. Ranger, co trzeba mu oddać, zignorował jazgoczącego szczeniaka. - Może powinnaś zamieszkać ze starszymi sukami. Być może nauczą cię, jak powinnaś się zachowywać.

Clover w odpowiedzi zaczęła merdać całą sobą, wyginając ciało we wszystkie możliwe strony. Christian uśmiechnął się, a ona wreszcie zaczęła iść przy jego nodze.

Kiedy oddalili się od stajni, Christian dosiadł Rangera, mając nadzieję, że koń jakimś cudem nie zdepta płaczącej mu się pod nogami Clover.

- Nie pojedziemy daleko - obiecał Rangerowi. - Coś mi się wydaje, że będziemy wracać z suką na siodle, ale dajmy jej szansę.

Po dwudziestu minutach jazdy Julia nie miała już żadnych wątpliwości, że podjęła właściwą decyzję.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała córkę.

- Wiesz, gdzie pan Greely pasie swojego byka?

- Callie...

Mała zachichotała.

- Nie, oszukiwałam.

- Nie strasz mnie. - Julia też zaczęła się śmiać.

- Nie wiem, gdzie jesteśmy, tak sobie jedziemy przed siebie. Ale potrafię wrócić do domu.

- Ramon? - Julia postanowiła zasięgnąć bardziej wiarygodnej opinii.

- Pod lasem, na granicy Ashbourne i Claymore Park.

- Mielście konie w Ashbourne, kiedy uczyłaś się jeździć, mamusi?

Julia opowiadała Callie, że późno zaczęła uprawiać hippikę, ale nie zdradziła, jak do tego doszło.

- Nie. Uczyłam się w Claymore Park. Miałam pozwolenie pana Claymore'a i mogłam dosiadać wszystkie konie.

- Z twoimi przyjaciółmi?

- Tak.

- Mama Tiffany pracuje w Claymore Park i mówi, że ja też mogłabym tam jeździć.

Julia mocniej ścisnęła wodze.

- Tak?

- No, tak samo jak ty.

- Nie wiem, czy pan Claymore się zgodzi.

- Ktoś stamtąd jedzie. Widzę konia.

Julia zastanawiała się, kto mógł wypuścić się tak daleko. Nadstawiła uszu, ale doszło ją tylko ujadanie psa.

- Callie, uważaj, pies biegnie w naszą stronę! - ostrzegł Ramon.

- Pan Claymore wypuścił zgraję? - zapytała Julia.

- Nie. Jest tylko jeden pies, szczeniak. I to nie pan Claymore się zbliża, tylko ktoś inny. Nigdy go nie widziałem.

Julia natychmiast domyśliła się, o kogo chodzi.

- Zawracajmy. Za daleko ujechaliśmy - zarządziła i w tej samej chwili usłyszała wystraszony krzyk Callie i nerwowe uderzenia kopyt o ziemię. Piasek stał spokojnie, lecz pozostałe dwa konie się spłoszyły. Pies ujadał coraz bliżej.

- Ramon, Kosmata boi się... - Słowa Julii zagłuszył krzyk Callie i głośny tętent. - Callie! Gdzie jesteś!? Nic ci się nie stało? Co się dzieje? - wołała.

- Okrążaj ją, kochanie. Zataczaj duże koła - rozległ się znajomy głos.

- Nie mogę!

- Koła, duże koła.

Christian pospieszył na pomoc Callie. Zanim Julia zrozumiała, co się dzieje, poczuła, że Piasek zaczyna niespokojnie przestępować z nogi na nogę. Ściągnęła wodze i w tej samej chwili usłyszała głos Ramona:

- Trzymam go, proszę pani.

- Gdzie Callie?

- Zatacza koła. Już opanowała Kosmatą. Callie dobrze jeździ. Ten mężczyzna jest koło niej.

- Dlaczego jej nie pomogłeś?

- Chwat się wystraszył, więc nie mogłem podjechać do pani córki. Powstałoby jeszcze większe zamieszanie.

Julia ze wszystkich sił starała się opanować.

- Co ze szczeniakiem?

- Leży pod Piaskiem. Zasnął.

Zbierało się jej na płacz. Uspokój się, powtarzała sobie w duchu, zaraz wszystko się skończy. Jednak podniecony szczebiot Callie świadczył o czymś przeciwnym: kłopoty dopiero się zaczynały.

- Przeskoczyłeś przez płot! Widziałam! To bardzo wysoki płot!



- Jak mogłaś to zobaczyć? - zdziwił się Christian. - Twój kucyk poniósł w przeciwnym kierunku.

- Wcale nie poniósł, panowałam nad nim. Tylko... nie mogłam... go zatrzymać. Christian parsknął śmiechem.

- Tak, teraz rozumiem. To duża różnica.

- To twój foxhound? Mamusiu, wszystko w porządku, jestem uratowana! Julia nie wiedziała, co powiedzieć.

- Witaj, Julio. - Głos dochodził z bardzo bliska. Odwróciła głowę w tamtym kierunku.

- Christian? Bardzo ci dziękuję.

- On przeskoczył przez płot, mamusiu. Ma pięknego konia. Jak się nazywa?

- Ranger. Twoja mama go знаła, kiedy był jeszcze dwulatkiem.

- Ranger? - Julia nie wierzyła własnym uszom.

- Tak. Peter odnalazł go w Marylandzie i sprowadził do domu.

- Jak on wysoko potrafi skakać! - Callie była zachwycona. - Jeszcze nie widziałam, żeby koń tak skakał. Będę mogła kiedyś się na nim przejechać?

- Nie! - równocześnie powiedzieli Julia i Christian.

- Callie, na litość boską, twój kucyk przed chwilą poniósł. Nie jesteś jeszcze gotowa, by dosiadać dużego konia. - Zamilkła na chwilę. - Christianie, nic się, jej nie stało?

- Wszystko w porządku, jest tylko podniecona przygodą.

- To ty jesteś tym Christianem, który był w więzieniu? - z dziecięcą szczerością spytała dziewczynka.

- Niestety, tak.

- To strasznie podłe. Powinni ci zapłacić dużo pieniędzy, że coś takiego zrobili. On był zupełnie niewinny, Ramonie, i zamknęli go w więzieniu - trajkotała Callie.

- W moim kraju wciąż tak się dzieje. Ramon Lopez - przedstawił się nowo przybyłemu.

- Christian Carver.

Julia niemal zobaczyła, jak obaj mężczyźni wymieniają uścisk dłoni. Chciała jak najprędzej wrócić do domu.

- Czy ten pies nadal śpi koło mojego konia?

- Ojej! - pisnęła zachwycona Callie. - Mogę go pogłaskać?

- Ją - sprostował Christian. - Daj mi wodze, przytrzymam twojego kuca, bo znów się spłoszy.

- Callie, powinniśmy już wracać... - Julię doszło uderzenie stóp o ziemię. Callie zeskoczyła z Kosmatej, była już koło matki.

- Ojej, jaka ona śliczna. Śliczna jesteś, wiesz? Straszny głuptasek z ciebie. Konie są wielkie, a ty malutka.

Julia patrzyła przed siebie martwymi oczami.

- Czy ktoś może mi powiedzieć, co tu się dzieje? - Twoja córka zakochała się w moim psie - powiedział Christian.

- Zawsze lubiła psy. - Konwersacja stawała się absurdalna.

- Ma ich na pewno kilka.

- Nie... - Bard nie zgadzał się na to.

- W majątku powinny być psy, wtedy Chwat tak by się nie wystraszył - wtrącił Ramon.

- Ona mnie całuje, mamusiu!

- Wiedziałem, że ten pies jednak na coś się przyda. - Christian patrzył na Callie, która pieściła Clover. - Jest słodka.

Julia domyśliła się, że nie mówi o szczeniaku.

- Dziękuję.

- Myślałem, że będzie bardziej podobna do ciebie.

- Jest. Ma moje oczy.

- Spójrz na mnie, Callie. Może troszeczkę...

Julia czuła, że za chwilę się rozplacze. Christian zniżył głos:

- Tamtego wieczoru, Julio...

- Nie ma o czym mówić, Christianie.

- Nie wiedziałem...

Mówił o jej ślepcie i o swoim zachowaniu podczas spotkania w ogrodzie.

- Skąd mogłeś wiedzieć?

- Przykro mi.

- Mnie też było przykro, kiedy przed chwilą kuc mojej córki poniósł, a ja nie mogłam... - Głos odmówił posłuszeństwa.

- Już dobrze. Nic się nie stało.

- Nie zapytasz, dlaczego ślepa kobieta wybiera się na konną przejażdżkę, skoro nie potrafi zadbać o siebie, nie mówiąc już o córce?

- Najwyraźniej oczekujesz od kogoś odpowiedzi na to pytanie.

- Powinnyśmy już jechać.

- O ile uda mi się zabrać mojego szczeniaka.

- Jeszcze raz bardzo ci dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Odzyskałem Rangera i wciąż jeszcze potrafię przesadzać płoty.

Oczami wyobraźni zobaczyła młodego Carvera, jak płynie nad przeszkodą na wielkim, jabłkowitym koniu. Gdyby wiedziała, jak dalej potoczą się jej losy, czy uciekłyby tamtego letniego popołudnia z Claymore Park, by nigdy już tam nie wrócić?

Radosny pisk zachwyconej psiakiem Callie był wystarczająco jasną odpowiedzią.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Gdy Christian wrócił do majątku, w stajni zastał Petera pograżonego w dyskusji z piękną blondynką. Kobieta miała na sobie dzinsy, a także zielono-żółtą bluzę, co świadczyło, że zatrudniona była w Claymore Park.

- Jak sobie radziła? - Peter, zobaczywszy Christiana, na chwilę przerwał rozmowę.

- Masz na myśli Clover? Znalazłem rozwiązanie. Peter spojrzał na suczkę-nieudacznice.

- Pistolety są w domu pod kluczem.

- Spłoszyła kucyka Callie Warwick.

- Małej nic się nie stało? - zatroskała się kobieta.

- Christian Carver - zaczął prezentację Peter. - Christianie, to Samantha Fields, jedna z naszych trenerek. Właśnie wróciła z urlopu.

- Ładny urlop - sarknęła. - Pranie, sprzątanie i wszystkie inne domowe zaległości z całego roku. - Wyciągnęła dłoń. - Witaj, Christianie. Tiffany, moja córka, przyjaźni się z Callie. Co to za historia z psem i kucem?

- Na szczęście nic się nie stało. Callie wybrała się na przejażdżkę z matką i jakimś Ramonem.

- Z Ramonem Lopezem. Pracuje w Millcreek Farm - uzupełnił Peter.

- Kuc poniósł, bo wystraszyła go nasza kochana Clover, ale udało mi się go zatrzymać.

- A jak Julia? Trzeba mieć wiele odwagi, żeby jeździć konno, gdy się nie widzi.

- Coś ty powiedziała!? - huknął Peter.

- Nic nie wiesz? - zdziwiła się Samantha.

- Oczywiście słyszałem, że Julia spadła z konia i trafiła do szpitala, ale myślałem, że z nią wszystko dobrze.

Samantha pokręciła głową.

- Niestety. To najmiłsza osoba pod słońcem, a już na pewno w Millcreek...

- Samantho! - powiedział Peter ostrzegawczo, choć oczy mu się śmiały.

- Kiedy to prawda. Ten jej mąż... - nagle ugryzła się w język. - Tylko nie mów mi, Christianie, że to twój przyjaciel.

- Och, nie!

- Bard Warwick nie zasługuje na taką córkę jak Callie - stwierdziła ze złością Samantha. - Ciągłe ją krytykuje, z niczego nie jest zadowolony, czepia się o każdy drobiazg.

Christian nie był w stanie tego zrozumieć.

- Jak szczeniak? - Peter zmienił temat.

- Czy Callie ma psa? - Christian, zamiast odpowiedzieć Peterowi, zwrócił się do Samanthy.

- Nie, jedyny zwierzak, jakiego posiada, to kucyk. Na inne Bard się nie zgadza.

- Od pierwszego wejrzenia zakochała się w Clover. Moglibyśmy ją uszczęśliwić.

- Myślisz, że Julia się zgodzi? - z powątpiewaniem w głosie zapytał Peter.

- Porozmawiam z Maisy - powiedział Christian.

- Moim zdaniem Julia się zgodzi. Mieszka teraz z rodzicami i Bard nie ma zbyt wiele do gadania - stwierdziła Samantha.

- Julia przeniosła się do Ashbourne? Dlaczego nikt nigdy o niczym mi nie mówi? - oburzył się Peter.

- Bo nie interesują cię plotki, chyba że dotyczą koła łowieckiego i tego, kto weźmie udział w polowaniu, a kto nie.

- Damy psa Callie? - niecierpliwie zapytał Christian.

- To najlepsze rozwiązanie, ale Julia i Maisy muszą obiecać, że ją wysterylizują - powiedział Peter. - Nie powinna mieć szceniąt. - Pokiwał dłonią na pożegnanie i ruszył w stronę domu.

- My się znamy - podjęła Samantha, kiedy Peter odszedł.

- Niemożliwe. Na pewno bym cię zapamiętał.

- Przyjaźniłam się z Fidelity Sutherland. Widząc, że Christian naprawdę jej sobie przypomina, Samantha postanowiła mu pomóc:

- Mój były mąż, ojciec Tiffany, był jedną z licznych zdobyczy Fidelity. Joachim Hernandez. Grał w naszej drużynie polo. Powinieneś go pamiętać.

Christian pokręcił głową.

- Przykro mi, ale nie pamiętam. Wybacz, że pytam, ale powiedz, jak to było: odbiłaś Joachima Fidelity, czy też może...

- Niestety zainteresowała się nim już po naszym ślubie. Gdy musiałam wyjechać na dłużej, Joachim powiedział jej, że jesteśmy w separacji, co Fidelity skwapliwie przyjęła za dobrą monetę.

- Paskudna sytuacja.

- Teraz nie ma to już żadnego znaczenia. Oboje nie żyją, bo Joachim w kilka lat po rozwodzie zginął w pijackiej bójce. W pewnym sensie Fidelity wyświadczyła mi przysługę. Dzięki niej zrozumiałam, że na drabinie ewolucyjnej Jo znajduje się niżej od salamandry. Długo nosiłam w sobie żal, urodziłam Tiff, wahałam się kilka lat, aż wreszcie zdobyłam się na odwagę i odeszłam od męża, ale to dzięki Fidelity przejrzałam na oczy.

Nagle Christian przypomniał sobie przystojnego Argentyńczyka, który pojawiał się w towarzystwie szczupłutkiej modelki z długimi rudymi włosami.

- Widziałem cię kiedyś na okładce... To był chyba „Vogue”?

- Niestety nie, a szkoda, bo stałabym się bogatą kobietą. Ale rzeczywiście, kilka razy „Vogue” zamieścił moje zdjęcia, tyle że nie na okładce. Było to w czasach, kiedy jeden posiłek tygodniowo wydawał się obżarstwem.

- Teraz wyglądasz znacznie lepiej - powiedział Christian szczerze.

- To straszne, przez co musiałeś przejść. Tak jak straszna była śmierć Fidelity.

Usiłowałam ją zniechęcić, ale nie potrafiłam. Była lekkomyślna, lecz nigdy zła. Nikt jej nie nauczył, że nie można sięgać po wszystko, na co ma się ochotę.

- Jak trafiłaś do Claymore Park?

- Wyszłam za Joachima chyba dlatego, że zawsze kochałam konie. - Zobaczywszy uśmiech Christiana, zawtórowała mu. - Po rozwodzie doszłam do wniosku, że wolę pracować z nimi, niż mizdrzyć się przed obiektywem. Zresztą, przede wszystkim musiałam myśleć o Tiffany. Nie chciałam jeździć na kolejne, coraz marniej płatne sesje fotograficzne i zostawiać córki z opiekunkami. Mniej więcej sześć lat temu trafiłam do Claymore Park i powoli doszłam do stanowiska trenera.

- Dobrze znałaś Fidelity?

- O ile ktoś mógł znać ją dobrze...

- Słyszałaś o Zandoffie?

- Owszem.

- Widziałas go kiedykolwiek w naszych okolicach? Może kręcił się koło Fidelity?

- Nie wyobrażam sobie, by ktoś taki mógł należeć do jej towarzystwa. Obracała się wyłącznie wśród ludzi bogatych.

- Próbuję odtworzyć fakty. Tylko ja jeden wiem na pewno, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią Fidelity.

Samantha nachyliła się i podrapała Clover za uchem.

- Zatem jesteś jedynym, który może dojść prawdy, będzie to jednak bardzo trudne.

Jak rozumiem, chciałbyś poznać krąg znajomych Fidelity. No cóż, przez jej łóżko przewinęły się tabuny mężczyzn...

- Pamiętasz jakieś nazwiska?

- Sięgnij po książkę telefoniczną. - Gdy ujrzała dziwną minę Christiana, dodała szybko: - Zrozum, mówię poważnie. Fidelity była zachłanna na życie, jakby wiedziała, że zostało jej niewiele czasu... Obracała się w nieciekawym towarzystwie. Pijaństwa, narkotyki, orgietki...

- Podaż mi nazwiska?

- Zrobię dla ciebie wszystko, co tylko będę mogła. Samantha uśmiechnęła się serdecznie, zachęcająco.

Z jej twarzy biła szczerą radość życia. Widać było, że ta kobieta znalazła swoje miejsce na ziemi. Cieszyła się swoją córką, pracą i przyjaciółmi. Jeżeli nawet miała jakieś ukryte i niespełnione pragnienia... bo któż ich nie ma... to nie burzyły one harmonii świata, w którym żyła.

Christian pomyślał o martwych oczach Julii, o jej napiętych rysach i sztywnej sylwetce. Czyż trzeba wyraźniejszych oznak cierpienia? Był wobec niej tego popołudnia opryskliwy, a przecież jedyne, czego pragnął, to wziąć ją w ramiona, posadzić na Rangerze i pognać w nieodgadnioną, lecz jakże cudowną dal.

- Nazwiska na razie wystarczą - stwierdził sucho, prawie opryskliwie.

Samantha nie obraziła się ani trochę.

- Spróbuję sobie przypomnieć. Christianie, bądź ostrożny. Ci ludzie potrafią być groźni.

- Dawno już nie jedliśmy świeżej ryby. - Maisy pocałowała Jake'a w policzek.

- Miałem dobry dzień. A ty?

- Wspaniały, lecz jego koniec będzie tragiczny - westchnęła Maisy. - Zaraz czeka nas karczemna awantura z ciskaniem talerzami, wyzwiskami, a może i bijatyką...

- Dlaczego?

- Wiem, że mi nie przepuścisz, choć dobry Bóg na pewno by się zlitował nad moją biedną duszą.

- Co się dzieje, Maisy? Czyja to furgonetka stoi na podjeździe?

- Zabawne, że zadałeś oba pytania jednocześnie. Może przyjrzymy się jej dokładniej? - Maisy ujęła męża pod ramię.

- Jestem spocony i śmierdzą rybami. Chciałbym wziąć prysznic.

- To takie seksowne zapachy - Przymilała się Maisy. - Musisz najpierw obejrzyć samochód.

Jake zatrzymał się kilka kroków od furgonetki.

- Bardzo ładna. I w samą porę się pojawiła. Starej nie nadażalem reperować. Nie miała już chyba żadnej oryginalnej części.

Maisy stanęła jak wryta.

- Ty draniu! Dlaczego mi nie powiedziałeś, że chciałbyś kupić nową? Od lat jęczałam, prosiłam, napomykałam.

- To prawda.

- I nic nie zrobiłeś?

- Zrobiłem.

- A niby co?

- Czekałem, aż weźmiesz sprawę w swoje ręce. Wyglądasz na zadowoloną. I pewnie jesteś szczęśliwa?

- Jak cholera!

- Ta furgonetka jest zbyt dobra na drogi Loudoun County. Dokupimy budę kempingową i pojedziemy za lasy, za góry, hen, gdzie oczy poniosą. Nic nas nie zatrzyma.



Wieczorem będziemy leżeć w łóżku i patrzeć w gwiazdy. Ja się przytulę do ciebie, ty przytulisz się do mnie.

- Zaraz zacznę śpiewać ze szczęścia!

- To dobry wóz, Maisy. Wsiądźmy do środka.

- Wrzuciłam trochę siana na skrzynię, są koce. Już dzisiaj możemy położyć się i patrzeć w gwiazdy.

- Tylko patrzeć w gwiazdy?

- Muszę poczytać Julii przed snem...

- Przed nami długi wieczór.

- Czy mówiłam ci ostatnio, że cię kocham? Jake objął żonę i przygarnął ją do siebie.

- Powinna w tej chwili zabrzmieć muzyka. Chyba nawet ją słyszę.

### Fragment niepublikowanej powieści „Fox River”

Maisy Fletcher

Nasz statek płynął po spokojnych wodach, ale ze mnie żaden marynarz, bo cały czas chorowałam. Ian znosił to cierpliwie, szczególnie że wśród pasażerów znalazł entuzjastów koni.

Z Southampton, gdzie nasz rejs dobiegł końca, pojechaliśmy do Londynu, gdzie przenocowaliśmy, a potem ruszyliśmy pociągiem w dalszą drogę, do Italii.

Byłam tak strasznie zmęczona, że marzyłam tylko o tym, by pójść do naszego przedziału sypialnego i obudzić się dopiero we Włoszech.

Ian nie mógł zrozumieć, skąd brało się moje wyczerpanie i namawiał, bym się nie kładła, tylko dotrzymała mu towarzystwa. Poślubił mnie, jak stwierdził, żeby ze mną rozmawiać, a nie przyglądać się, jak śpię.

Trapiły mnie wyrzuty sumienia. Zaniedbywałam męża w podróży poślubnej, podróży, która raczej nie miała się powtórzyć w naszym życiu.

Zostałam z nim, usiłując błyskotliwie konwersować. Ian sączył whisky, a wieczorem zamówił kolację do przedziału.

Na stole pojawiały się kolejne, mnogie dania. Jadłam, przekonana, że Ian specjalnie kazał serwować tyle potraw, by sprawdzić, czy i kiedy wreszcie się zbuntuję.

Niemądre przypuszczenie! Przecież to była nasza podróż poślubna, a jedzenie smakowało wyśmienicie.

W końcu ułożyliśmy się do snu i Ian wziął mnie w ramiona. Od chwili kiedy wypłynęliśmy z Nowego Jorku, oszczędzał mnie przez wzgląd na moją chorobę. Próbowałam się opierać.

- Ciągłe nie czuję się dobrze.

- Zaraz poczujesz się lepiej.

Ian nie ustępował, a mnie zrobiło się przykro, że tak długo wzbraniałam mu siebie. Był przecież świeżo po ślubie z kobietą, z którą po wielu latach samotności zdecydował się dzielić życie. Myślałam, że wszystko potrwa krótko i potem będę mogła wreszcie usnąć.

Mylne okazały się moje rachuby, bo Ian dogadzał sobie długo i niespiesznie. Powtórzył, gdy już zapadałam w sen. Kiedy wreszcie zasnął, długo leżałam w ciemnościach, sztywna i bardzo nieszczęśliwa. Co gorsza, nie wiedziałam, czy miałam powody, by tak się czuć.

Następnego ranka zaczął mnie przeproszać, ale ma się rozumieć, całą winę wzięłam na siebie. Przechorowałam podróż i mężowska cierpliwość miała prawo się wyczerpać.

Granicę włoską przekraczaliśmy przytuleni do siebie, jak się godzi nowożeńcom. W Wenecji byliśmy wieczorem. Kiedy wysiadłam z pociągu, poczułam się jak w bajce. Nigdy nie widziałam miasta tak pięknego i niezwykłego.

Do naszego hotelu popłynęliśmy gondolą, chociaż taniej kosztowałoby nas vaporetto\*.

\* Vaporetto - (wł.) tramwaj wodny. (Przyp. red.).

Nasz apartament z widokiem na Canal Grande urządzone był starymi, pięknymi meblami, które wyszły spod ręki weneckich mistrzów stolarki. W pokojach panował miły chłód, przed lipcowym słońcem chroniły przymknięte okiennice. Byłam zachwycona, Ian przeciwnie.

- To przeklęte miasto cuchnie niczym ściek.

- Niestety, kochanie! A do tego upał i te nieprzebrane tłumy ludzi.

Odwrócił się ku mnie, czerwony na twarzy. Ja najpewniej nie wyglądałam wiele lepiej.

- Czy to skarga, Luizo?

- Nie, wyjaśnienie. - Uśmiechnęłam się. - Zabawna rzecz. Przecież musiałeś o tym wiedzieć, prawda?

Zachował ponury wyraz twarzy.

- Po zachodzie słońca zrobi się chłodniej - mruknął.

- Wtedy otworzymy okiennice i będziemy patrzyli na Canal Grande. Wenecja to najbardziej romantyczne miasto na świecie.

Kiedy wniesiono nasze kufry, Ian poszedł wziąć kąpiel, a ja pilnowałam rozpakowywania. Z łazienki wyszedł już w pogodniejszym nastroju, a wtedy ja się w niej zamknęłam, by zmyć z siebie brud długiej podróży. Ułożyłam się wygodnie w wannie.

Z rozkosznego bezwładu wytrąciły mnie zagniewane głosy, które dochodziły z saloniku.

Potem trzasnęły drzwi i zaległa cisza.

Po chwili Ian wtargnął do łazienki.

- Dostarczono jedzenie, które kazałem przysłać na górę. Zmieniłaś zamówienie?

Odparłam, że nic o tym nie wiem.

- Ten dureń twierdzi, że przyniósł, co „signora” sobie życzyła.

Ian był tak zagniewany, że zaczęłam się go bać. Istny furiat.

- Chłopak najpewniej pomylił pokoje. Nic nie zamawiałam. Naprawdę! Sądziłam, że będziesz chciał zjeść na dole.

- Jestem cierpliwym, dobrym człowiekiem, w każdym razie mam się za takiego, ale nie będę tolerował, by ktokolwiek bez porozumienia ze mną zmieniał moje polecenia.

Rozumiesz?

Teraz mnie zdjął gniew.

- Rozumiem i nie będę zmieniała twoich poleceń - obiecałam z przekąsem.

Ian nachylił się nade mną.

- To dla mnie bardzo ważne, rozumiesz?

- Ianie, komu bardziej wierzysz? Kelnerowi czy własnej żonie?

Nie usłyszałam odpowiedzi, bo ktoś zapukał do drzwi apartamentu i Ian wybiegł z łazienki.

Kiedy wróciłam do saloniku, siedział przy stole pod otwartym oknem.

- Przynieśli kolację - oznajmił głosem aktora, którego obsadzono w roli kamerdynera.

- Widzę - odrzekłam.

- Siadaj do stołu.

- Mam nadzieję, że kelner przeprosił cię za popełniony błąd.

Ian spochmurniał.

- Siadaj i jedz.

Usiadłam, ale nie podniosłam sztućców.

- Powiedział, że się pomylił - z widocznym ociąganiem przyznał w końcu mój mąż.

Cały mój gniew minął w jednej chwili.

- Przed nami długa, chłodna noc.

- Pewne rzeczy wytrącają mnie z równowagi. Nie znoszę, gdy ktoś coś zmienia bez uzgodnienia ze mną.

- Zapamiętam to.

- Albo kiedy kłamie.

- Ianie, ożeniłeś się z właściwą kobietą. Nie mam powodów, by cię okłamywać.

W każdym razie jeszcze nie wtedy.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY**

Przez cały ranek Maisy nucila wesołe melodyjki. Jake już wyszedł, Julia jeszcze się nie pokazała, natomiast Karen zawiozła Callie do szkoły, a w drodze powrotnej miała zrobić zakupy.

- Słyszę, że od rana jesteś w dobrym humorze - powiedziała Julia, wchodząc do kuchni.

- Bo dzisiaj taki piękny dzień. Dobrze spałaś? - Maisy spojrzała na córkę. Po jej twarzy łatwo można było dociec, że tej nocy nie zmrzyła oka.

- Nie mogłam zasnąć. Myślałam o twojej powieści i nagle zrozumiałam, że chcesz mi przez nią coś powiedzieć. To nie jest taki sobie zwykły romans, prawda? Postać Iana wzorowałaś na kimś, kogo dobrze znasz. To Bard, tak?

Maisy zawzięcie wycierała drzwiczki lodówki.

- Dlaczego tak uważasz?

- Znajduję wiele podobieństw. Luiza wychodzi za człowieka, który może zapewnić jej wygodne, dostatnie życie. Wmawia sobie, że go kocha, ale szybko zaczyna dostrzegać wady męża. Nigdy nie lubiłaś Barda i nigdy go nie polubisz.

Maisy odłożyła gąbkę.

- Ostatnio sama też niezbyt go lubisz. Nie przypisuj mi swoich uczuć, kochanie, bo własnych mam pod dostatkiem. Widzę na kilometr, że między wami się nie układa.

- To prawda - przyznała Julia. - Nie chcę wracać do Millcreek. Nawet gdybym w tej chwili odzyskała wzrok, nie zaczęłabym pakować walizek.

- A więc to nie kwestia wygody, tylko separacja?

- Chciałabym teraz widzieć twój twarz. Uśmiechasz się?

- Skąd! Miałabym się cieszyć, że twoje małżeństwo legło w gruzach?

- A ja się cieszę. Z jednej strony jest mi ciężko, z drugiej naprawdę się cieszę. Już to, że o tym mówię, jest jak powiew świeżego powietrza. Nie wiem, jak ta sprawa się skończy, ale nie potrafiłabym dalej żyć z człowiekiem, który na każdym kroku żąda ode mnie posłuszeństwa. - Zamilkła na moment. - Z człowiekiem, którego przedstawiasz w swojej powieści.

Po namyśle Christian doszedł do wniosku, że najprościej będzie zapytać samą Julię, czy zechce przyjąć Clover. I tak w przyszłości będą musieli się spotykać, więc unikanie kontaktów nie miało sensu.

Po powrocie z porannego spaceru z psami osiodłał Rangera i już miał wyjeżdżać, kiedy zadzwonił Pinky Stewart.

- Nie dowiedziałem się zbyt wiele - zaczął bez wstępów, jakby się bał, że ktoś może podsłuchać rozmowę - ale wygląda na to, że w początkach lat dziewięćdziesiątych większość robót budowlanych w naszej okolicy prowadziła firma Dave'a Myersa. Mają siedzibę w Warrenton.

Pinky natychmiast się rozłączył, a Christian rozsiadł Rangera, wsiadł do samochodu i pojechał do miasteczka.

- Czym mogę panu służyć? - zagadnął stary człowiek o twarzy buldoga, kiedy Christian wszedł do biura.

- Czy rozmawiam z panem Myersem?

- Kiedyś nim byłem. Teraz jestem starcem, który jeszcze próbuje utrzymać się na powierzchni - oznajmił Dave pogodnym tonem.

- Słyszałem, że na początku lat dziewięćdziesiątych realizował pan sporo zleceń w okolicy. Czy to prawda?

- Tak, ale potem miałem wylew. Kierownik robót uciekł z połową mojej ekipy budowlanej, zabierając mi przy okazji trzecią żonę. No cóż, była śliczna i dużo ode mnie młodsza.

Christian gwizdnął cicho, co wyraźnie ucieszyło Myersa. Obydwaj usiedli.

- Nadal jednak prowadzi pan firmę.

- Jeśli można tak nazwać ten upadający interes. - Machnął ręką. - Szkoda gadać.

- Liczę, że mi pan pomoże, Dave.

- Wiem, kim jesteś, chłopcze. Mam jeszcze na tyle dobry wzrok, by czytać gazety.

- Zatem domyśla się pan, z czym przychodzę. - Christian szybko opowiedział o faktach związanych ze śmiercią Fidelity, a potem poruszył kluczową sprawę:

- Mówiono mi, że być może zatrudniał pan Zandoffa. To bardzo ważne. Dlatego tu jestem.

- Myślisz, że usłyszysz ode mnie coś, czego nie powiedziałem glinom?
- Nie. Chciałbym wiedzieć to samo co oni.
- Tak, rozumiem. Przykro mi, ale nie przypominam sobie żadnego Karla Zandoffa.

Nigdy nie zatrudniałem nikogo na czarno. Wszystko jest w papierach. Mam pełną dokumentację.

Jedno było pewne: Myers powiedział Christianowi to samo co policji.

- Gdybym poszedł teraz na plac budowy, na ilu imigrantów bym natrafił?
- Teraz tylko oni najmują się do takich robót. To ciężka harówka, a pieniądze marne. Nikogo innego nie znajdziesz, człowieka.
- I wszyscy pańscy ludzie mają pozwolenie na pracę?

Myers uśmiechnął się szeroko.

- Mówią, że mają, a ja jestem za stary, żeby sprawdzać ich papiery. - Nachylił się i oparł dłonie na biurku. - Kiedy firma dobrze prosperowała, zatrudniałem setki robotników. Nawet jeśli mój księgowy, który miał dwie lewe ręce i tyleż szarych komórek, nie wpisał jego nazwiska do ksiąg, nie pamiętam Zandoffa. Mówię ci szczerze, nie pamiętam. Miałem wylew, a to bardzo osłabia pamięć. Rozpytywałem ludzi, którzy wtedy pracowali u mnie, ale nikt niczego sobie nie przypomniał. Przykro mi, że cię rozczarowałem, ale tak to wygląda.

Po drodze z Warrenton Christian odwiedził jeszcze dwie firmy budowlane wskazane przez Myersa, lecz w żadnej z nich nie pamiętano Zandoffa. Zmierzchało już, gdy dotarł do domu. Obejrzał psa, który wrócił właśnie z lecznicy, zjadł kolację i dopiero wtedy osiodłał Rangera. Wreszcie ruszył do Ashbourne.

Nie musiał nawet pukać do drzwi. Callie usłyszała, że ktoś przyjechał i wypadła z impetem na ganek.

- Usłyszałam cię! Gdzie twój koń?
- Powiem ci, ale nie podchodź do niego za blisko. Nie wiem, jak reaguje na dzieci.
- O, widzę go! - Callie popędziła do bramy.
- Christianie, co za miła niespodzianka. - Na progu pojawiła się Maisy ze ścierką w dłoni. - Siadamy za chwilę do kolacji. Zjesz z nami?
- Jadłem już. Dziękuję.

- Szkoda, bo zawsze bardzo lubiłeś moje pstrągi. Pamiętasz?

O tak, pamiętał domowe kolacje w Ashbourne, a szczególnie tę ostatnią, po której poszli z Julią na górę, gdy Maisy i Jake pojechali do miasteczka. Już nigdy więcej nie kochał się z Julią.

- Chciałem o coś zapytać i dlatego przyjechałem. Chodzi o Callie.

Maisy lekko zeszywniała.

- Na temat małej powinieneś rozmawiać z Julią, mój kochany.

- Na pewno wiesz, co wydarzyło się wczoraj?

- Tak. To szczęście, że udało ci się uspokoić kuca.

- Nie chciałem nic obiecywać...

- Christianie, ja naprawdę... Nie dał jej dokończyć.

- Wpadłem na pewien pomysł, ale musiałem najpierw uzyskać zgodę Petera. Callie zakochała się w naszym szczeniaku, który dla nas jest bezużyteczny. Nie możemy go zatrzymać. Porozmawiasz z Julią i zapytasz, czy zgodzi się, żeby Callie wzięła Clover? To śliczna suka, ale nie nadaje się do sfory. - Christian uśmiechnął się krzywo. - Ma bardzo mały rozumek, za to jest straszną pieszczołą.

- Właśnie po to przyjechałeś? Chcesz dać Callie szczeniaka?

Maisy miała taką minę, jakby Christian popełnił straszną gafę.

Może rzeczywiście jego propozycja sprawiała wrażenie, że chce się wkupić w łaski rodziny, do której nie należał, pozyskać sympatię dziecka innego mężczyzny i kobiety, którą kiedyś kochał.

Cofnął się kilka kroków.

- Przepraszam, to był głupi pomysł. Nie powtarzaj Julii, z czym przyjechałem.

- Czego Maisy ma mi nie powtarzać? Podniósł wzrok i zobaczył stojącą w drzwiach domu Julię.

- Nieważne. - Odwrócił się, by odejść.

- Christian wpadł na wspaniały pomysł - powiedziała Maisy szybko. - Chce dać Callie tego szczeniaka, który wczoraj tak narozrabiał.

- Po to tu przyjechałeś? - Julia była wyraźnie zdziwiona.



- Nie możemy zatrzymać Clover. To najgorszy foxhound, jakiego w życiu widziałem, ale domowym psiakiem będzie wspaniałym.

- Zastanówcie się. - Maisy weszła do domu. - Możecie to zrobić w środku - zawołała jeszcze przez ramię.

- Nie - odparli równocześnie.

Julia powoli zeszła po schodach. Christian przyglądał się jej uważnie. Przez te wszystkie lata niewiele się zmieniła i choć była wychudzona, a pusty wzrok budził smutek, Christianowi wciąż wydawała się najpiękniejszą kobietą na świecie.

- Jak na kogoś, kto oznajmił, że nie chce mnie więcej widzieć, pojawiaasz się bardzo często.

- Przepraszam, nie powinienem był...

Julia pokręcił głową.

- Czy wiesz, jak często żałowałam, że te ostatnie dziewięć lat w ogóle miało miejsce?

- Na pewno nie tak często jak ja. - Christian był zaskoczony, nie przypuszczał bowiem, by rozmowa miała potoczyć się w tym kierunku.

- Byłeś całym moim światem.

- A jednak uwierzyłaś, że zabiłem Fidelity.

- Nie, nie uwierzyłam, tylko moje życie nagle się zawaliło. W jednej chwili straciłam Fidelity i ciebie. Spróbuj zrozumieć, jak się wtedy czułam. Powiedziałeś, że nie chcesz mnie więcej widzieć na oczy, że nie będziesz czytał moich listów... Tam, siedząc na ławie dla świadków, miałam wrażenie, że jestem zupełnie sama, że oddaliłeś się ode mnie na tysiące mil. Pamiętam tylko uczucie opuszczenia, oślepiające światła fleszy i krzyki oskarżyciela.

- Było zupełnie inaczej, Julio.

- Mówię ci, jak się wtedy czułam. Jak robak pod mikroskopem. Zawahałem się na moment i wierz mi, że ta chwila kosztowała mnie bardzo drogo. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Ciągle noszę w sobie ten ciężar. Chciałam zapomnieć, ale nie potrafiłam. Czułam się tak, jakbym to ja podpisała wyrok na ciebie. Moment wahania i kłamka zapadła.

Christian dotknął policzka Julii. Drgnęła, zaskoczona tym gestem. Miała delikatną jak płatki róż skórę. Kobięca skóra i płatki róż. I jednym, i drugim nie nacieszył się wiele w życiu. Opuścił dłoń.

- Dlaczego wyszłaś za Barda Warwicka?

- Pomógł mi się pozbierać.

- Jesteś szczęśliwa? Byłaś szczęśliwa, zanim...?

- Zanim straciłam wzrok? - Pokręciła głową. - Nie.

- Przykro mi. - Kłamał, ale potrafił usprawiedliwić swój egoizm. Zbyt wiele spędził bezsennych nocy, nawiedzany przez obraz Julii, sycącej się miłością w ramionach Barda, a potem radośnie zmęczonej i zaspokojonej. Cieszył się, że mąż nie dał jej szczęścia.

- Miałam Callie. Ona mi wystarczała.

To mu przypomniało, że do Ashbourne przyjechał nie po to, by rozmawiać o przeszłości, lecz aby podarować dziecku psa.

- Zastanowisz się nad moją propozycją? Zapomnij, że wyszła ode mnie, tylko pomyśl, jak bardzo Callie się ucieszy.

- Muszę zapytać Maisy. No i Jake'a, na wypadek, gdybym miała wrócić do Millcreek.

- Gdybyś?

- Bard nie przepada za psami, więc szczeniak musiałby zostać w Ashbourne. Ale Callie mogłaby codziennie go odwiedzać.

- Rozumiem, że się nad tym zastanowisz.

- Zastanowię się nad wieloma sprawami, Christianie. Zresztą, od pewnego czasu nic innego nie robię.

Zamknął oczy i nagle ogarnęły go nieprzeniknione ciemności. Nie wyobrażał sobie, jak Julia może żyć w mroku, chociaż rozumiał, czym jest ślepotą. Sam był ślepy przez długie lata. Julia kochała go i on ją kochał, a jednak za chwilę wahania odpłacił ślepą nienawiścią.

Znienawidzić kogoś, kogo się kochało... czyż może być większy grzech?

- Zadzwoń, gdy się namyślisz.

- Dziękuję, Christianie. To wspaniała propozycja.

- Twoja córka też jest wspaniała.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo. - Wyciągnęła dłoń. - Daj mi dłoń - szepnęła.

Nie mógł nie przyjąć wyciągniętej ku sobie ręki.

- Maisy, co się stało? - Jake podszedł do żony i otoczył ją ramionami.

Otarła łzy.

- Pamiętasz, jak przed śmiercią Fidelity cały tydzień budziłam się w nocy zlane potem? Potem było jeszcze gorzej.

- Masz przeczucia?

- Nie jestem jasnowidzem, ale wyczuwam niepokój innych. Wiem, kiedy w pobliżu dzieje się coś złego.

- I teraz to właśnie czujesz?

- A ty nie?

- Julia musi sama uporać się ze swoim życiem.

- Jestem jej matką. Powinnam była przestrzegać swoją córkę przed zagrożeniami, a ja ją chroniłam. Aż straciła wzrok.

- Byłaś dobrą matką. Najlepszą.

Maisy usłyszała kroki córki i wnuczki. Za chwilę usiadzie z nimi do kolacji, pomoże ułożyć do snu Callie, przeczyta Julii kolejny rozdział swojej powieści, a potem długo nie będzie mogła zasnąć, dławiona tajemniczym lękiem.

- Bądź z nami, kochany, cokolwiek miałyby się zdarzyć.

Jake uśmiechnął się łagodnie.

- Wiesz, że zawsze możesz na mnie liczyć, Maisy.

## Fragment niepublikowanej powieści „Fox River”

Maisy Fletcher

Po powrocie do domu wszyscy zgotowali nam entuzjastyczne powitanie, a rodzina Annie wydała przyjęcie na naszą cześć. Ian wrócił do swojej roli szanowanego członka społeczności i pana na włościach.

Ja miałam większe trudności ze znalezieniem własnego miejsca. Dom nie wymagał mojej troski, nie miałam żadnych obowiązków, a w okolicy, z wyjątkiem Annie, nie mieszkał nikt w moim wieku. W promieniu wielu mil starszy ode mnie o dwadzieścia lat Ian był najmłodszym właścicielem majątku. Dzieci naszych sąsiadów dawno założyły własne rodziny i rozjechały się po świecie.

- Zdradzę ci sekret - oznajmiła Annie, gdy pewnego wrześnieowego popołudnia wybrałyśmy się na przejażdżkę konną. - Paul dostał pracę w Chicago. Przenosimy się tam zaraz po ślubie.

To była dla mnie bardzo smutna wiadomość. Myślałam, że Annie i Paul osiadą gdzieś w pobliżu.

- Będziesz się źle czuła w wielkim mieście - powiedziałam. - Nie będziesz mogła jeździć konno.

- Znaleźliśmy ładny dom za miastem. Będę mogła nawet trzymać parę koni. Rodzice zastanawiają się, czy nie sprzedać Sweetwater. Tata chciałby odpocząć, mamie doskwiera brak towarzystwa, a w Chicago mają wielu przyjaciół. Jak pojawią się wnuki, będą chcieli być blisko nich.

Oznaczało to, że zostanę zupełnie sama. Nie mogłam znieść tej myśli. Tego samego dnia przy kolacji zaproponowałam Ianowi, żebyśmy wydali śniadanie z okazji otwarcia sezonu łowieckiego. Małżonek najpierw spojrzał na mnie badawczo, a potem długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Jesteś za młoda, by organizować tak duże przyjęcie. Nie podasz, Luizo. Poza tym, po co? Czujesz się samotna?

- Mam ciebie - odparłam z uśmiechem - ale chciałabym pokazać ludziom, że coś potrafię. Chciałabym, żebyś był ze mnie dumny.

- Cieszę się, że mam żonę, która myśli o innych. Jeśli uważasz, że potrafisz wydać śniadanie, spróbuj - nieoczekiwanie zgodził się Ian.

Po powrocie z Włoch nie powtarzały się jego ataki gniewu i już zaczęłam przypisywać je okolicznościom. Ian musiał czuć się nieswojo w obcym świecie i pewnie stąd brały się przyływy irytacji.

Przez cały miesiąc przygotowywałam się do zorganizowania śniadania, zasięgając rad bardziej ode mnie doświadczonych pań domu, którym ten honor w minionych latach przypadł w udziale.

W dniu otwarcia sezonu wstaliśmy obydwójce przed świtem. Ian chciał sprawdzić, czy konie są przygotowane jak należy, a ja zamierzałam przywitać świeżymi bułeczkami i ponczem zjeżdżających do Fox River członków klubu. Prawdziwe śniadanie miało się odbyć dopiero po powrocie myśliwych z porannych łowów.

Kiedy Ian wyszedł do stajni, pospieszyłam do kuchni, która była królestwem Lettie, najlepszej kucharki w całym hrabstwie. Właśnie wyjmowała bułeczki z pieca i zmusiła mnie do zjedzenia jednej. Usłuchałam starej kucharki, chociaż żołądek protestował. Byłam tak przejęta, że poprzedniego wieczoru prawie nie tknęłam kolacji. Z trudem przełknęłam ostatni kęs.

- Pójdę już, Lettie. Muszę sprawdzić, czy Seth naciął kwiatów, tak jak obiecał.

- Boi się panienka? - Lettie wciąż tak mnie nazywała.

- To nierozumne, prawda? Lettie pokręciła głową.

- Pan Ian to bardzo wymagający człowiek, a panienka chce, żeby był dzisiaj z panienki zadowolony.

- Jest moim mężem.

- Panienka Frances też tak się starała, że jej w końcu zbrakło sił. Aż żal ścisnąć patrzeć.

Zaniepokoiły mnie słowa Lettie.

- Często wyjeżdżała do swojej rodziny?

- A bo to blisko. Mieszkali zaraz za wzgórzami.

- Pan Ian nie był chyba zadowolony z jej wyjazdów?

Lettie najwyraźniej nie chciała kontynuować tematu.

- Niech panienka już idzie do ogrodu, a ja dokończę potrawkę brunświcką.

Słowa Lettie szybko wyleciały mi z głowy. Seth wykonał już swoją pracę i w szopie stały wiadra pełne złotych i białych chryzantem, astrów i innych jesiennych kwiatów.

Ledwie zanieśliśmy je we dwoje do domu, zaczęli zjeżdżać pierwsi sąsiedzi. Dom szybko zaroił się od gości.

Byłam dobrze przygotowana do roli gospodyni. Ze wszystkimi witałam się i zamieniłam kilka miłych słów, pilnowałam, by jedzenie podano na czas, a poncz nie był za cienki. Zewsząd słyszałam pochwały. Promieniałam.

Aż wtem Ian odciągnął mnie na stronę. Był wściekły.

- Zapomniałam o czymś? - zapytałam.

- Ty idiotko! - wyszczał. - Nic nie rozumiesz, prawda? Ustroiłaś dom kwiatami w kolorach kół łowieckich Piedmont i Orange!

Mieszkałam od niedawna w Wirginii, ale wiedziałam, że między tamtymi kołami i naszym trwała zawzięta rywalizacja.

Strasznie się zmartwiłam.

- Nikt mi nie powiedział, jakie mają kolory.

- Piedmont - złoty, Orange - biały. Powinienem być wiedzieć, że sobie nie poradzisz.

Skompromitowałaś mnie, Luizo.

- Przecież nie zrobiłam tego umyślnie - broniłam się.

- Powinnaś była mnie zapytać.

Patrzył na mnie jak na raroga. Podniosłam głowę i przymknęłam oczy.

- W tej chwili nic już nie da się zrobić. Po prostu udawaj, że nic się nie stało.

- Czy twoja rada odnosi się także do naszego małżeństwa? - zapytał z ironią. - Mam udawać, że nie dostrzegam, iż ożeniłem się z bezmyślną kretynką?

Przełknęłam łzy.

- Chciałam, żebyś był zadowolony.

- No i świetnie ci się udało. - Zacisnął dłonie tak mocno, że pobieleły mu knykcie.

Kiedy odszedł, by wznieść toast, przypomniała mi się rozmowa z Lettie o Frances. Goście mieli lada chwila ruszać w las.

Stałam bez ruchu, gdy zbliżyła się Annie i powiedziała głośno, by inni mogli usłyszeć:

- Wspaniały pomysł, Luizo. To połączenie złota, bieli i naszej zieleni w bukietach powinno nam wszystkim przypomnieć o myśliwskiej solidarności. Zła to rywalizacja, z której biorą się swary.

- Tak, powinniśmy dać dobry przykład - odparłam równie głośno, dumnie unosząc głowę.

Ktoś zaczął klaskać w dłonie i w ten sposób błąd został naprawiony. Annie, urodzona dyplomatka, pomogła mi wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Zastanawiałam się, czy usłyszała coś z mojej rozmowy z Ianem, czy też z własnej inicjatywy postanowiła przyjść mi w sukurs. Tak czy inaczej, byłam jej nieskończenie wdzięczna.

Zabrzmiał dźwięk rogu i całe towarzystwo ruszyło polować na lisa, a ja zostałam z urazą w sercu.

Czy nie jest obowiązkiem męża trwać lojalnie przy żonie, usuwać z jej drogi przeszkody, pocieszać, kiedy popełni błąd? Czy Ian zamierzał stać z boku, obserwować mnie i strofować za każdą pomyłkę? Tak miało wyglądać nasze małżeństwo?

Nie wiedziałam jeszcze, co mnie czeka.

Wczesnym popołudniem myśliwi zaczęli wracać i Fox River Farm znowu zapełniło się gośćmi. Wyszłam na dziedziniec. Ian zsiadł z konia i ze skrwawionym lisem w dłoni podszedł do mnie.

- Oto pierwsze trofeum. Dla mojej uroczej żony, która, przez wzgląd na nas wszystkich, nie mogła wziąć udziału w polowaniu.

Spojrzałam na biedne zwierzątko i na człowieka, którego poślubiłam. Zdążyłam jeszcze dojrzeć satysfakcję w jego oczach i zemdlałam.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI**

Decyzja Petera, by uczynić Christiana łowczym Mosby Hunt, spotkała się z protestami inicjowanymi przez Barda Warwicka. Dotąd nikt nie powiedział głośno, że były więzień jest niemile widziany w klubie, mimo to Christian z niepokojem oczekiwał pierwszej dużej imprezy sezonu, czyli parady myśliwskiej, wiodącej szlakiem, po którym później miała pójść gonitwa za lisem.

W przeddzień parady Peter i Christian wyznaczyli jej trasę. Biegła ona przez tereny Claymore Park, South Land i zahaczała o Millcreek, a liczyła prawie dwadzieścia kilometrów.

- Szkoda, że Maisy zamknęła dla nas Ashbourne. Harry pewnie przewraca się teraz w grobie.

Natomiast Christian podziwiał Maisy za niezależność i upór. Sam lubił lisy i przyrzekł sobie, że żadnego nie zabije.

Gdy omówił już wszystko z Peterem, poszukał Rosality, by dowiedzieć się, czy nie było telefonu z Ashbourne w sprawie Clover. Jednak nikt nie dzwonił.

Dwie bezsenne noce myślał o rozmowie z Julią i o tym, co poczuł, gdy dotknął jej policzka. Od dziewięciu lat żył w celibacie, nic więc dziwnego, że poczuł pożądanie. Każda kobieta byłaby w stanie je obudzić, ale dotknięcie Julii było niczym powrót do domu.

Nie wiedział, czy jej wybaczył. Zdolność wybaczenia należała do świata, z którym dawno się rozstał.

Ważniejsze było, czy potrafi zrozumieć Julię i czy uwierzy, że w podobnej sytuacji sam mógłby przeżyć moment wahania. Wreszcie po kilku dniach rozmyślań uznał, że mogłoby się tak stać. W ten sposób zamknął pewien rozdział przeszłości.

Lecz tylko jeden, bo całe przeszłości nie dało się wymazać. Kiedy Rosalita powiedziała mu, że nikt z Ashbourne nie dzwonił, Christian poczuł, jak zaciskają się na gardle lodowate palce samotności, starej towarzyszkę, którą, zdawało się, dawano ujarzmił.



Gdy pogrążony w myślach zasiadł do kolacji, Rosalita, siwowłosa, ale pełna energii Teksanka z domieszką krwi latynoskiej, zajrzała do kuchni.

- Sąsiedzi z wizytą do ciebie, Christianie.

Pewnie Bard i jego poplecznicy przyjechali mnie zlinczować, pomyślał, uśmiechając się kwaśno.

- Kto, Rosalito?

- Z Ashbourne. Maisy Fletcher z córką i wnuczką.

- Julia też przyjechała? - Ucieszył się, że zdobyła się na opuszczenie domu, ale jeszcze bardziej radowała go myśl, że za chwilę ją ujrzy.

- Powiedziały, że poczekają na ciebie przed domem. Wieczór dziś taki piękny.

- Mogłabyś...

- Idź już. Jedzenie wstawię do piecyka.

- Cudowna jesteś.

- Wiem.

Przed domem nie było nikogo. Dopiero po chwili zobaczył Maisy i Callie przy oczku wodnym.

- Tutaj jesteśmy! - zawołała Maisy.

Teraz dojrzał Julię. Stała nieco z boku, szczupła, wyprostowana. Podszedł najpierw do niej.

- Witaj, Julio.

Jej twarz rozświeciła się.

- Jak dobrze, że zastałyśmy cię w domu.

- Ja też się cieszę - mruknął. - Rozumiem, że podjęłyście decyzję.

- Tak, bardzo chcemy wziąć Clover. Jesteś pewien, że Peter nie będzie miał nic przeciwko temu?

- Na sto procent.

- Może zapłacimy za nią klubowi? - Psy były własnością klubu łowieckiego Mosby Hunt.

- Nikt nie umiałby określić ceny tego szczeniaka. Zresztą najpewniej by się okazało, że to my powinniśmy wam dopłacić. Przyjmijcie Clover jako prezent.

- Dobrze. Wielkie dzięki.

- Czy Callie już wie?

Julia nie odpowiedziała od razu.

- Pomyślałam, że powinna dowiedzieć się od ciebie. Wygląda na to, że zostanieiecie przyjaciółmi.

Mała jakby domyśliła się, o co chodzi, bo zerwała się z klęczek i pomknęła w kierunku Christiana.

- Christian! Macie ryby w stawie. Są takie duże, jak pstrągi Jake'a!

- To Jake łapie takie małe rybki?

- No! Jak już je oprawi, nic nie zostaje. Mogę zobaczyć Rangera? I tego szczeniaczka? Mama, jak była mała, jeździła u was konno. Ja też będę mogła?

- Mama wcale nie była taka mała. - Christian potargał włosy Callie i zaraz sobie przypomniał, że dotyka dziecka Barda Warwicka, który ostrzegł go, by nie śmiał zbliżać się do jego żony i córki. Cofnął rękę.

- Najpierw podrośnij, potem zobaczymy. Callie posmutniała.

- Tiffany czasami u was jeździ.

- Pomyślimy o tym, dobrze?

- Wszyscy tak mówią, a potem zapominają. Obiecanki-cacanki.

Uśmiechnął się. Julia jako dziecko była inna, cicha, wrażliwa i zamyślona, natomiast Callie wnosila ze sobą powiew świeżego powietrza. Bardziej przypominała Fidelity niż matkę.

- Ja nie zapomnę - przyrzekł. - Przemyślę to bardzo starannie. Poza tym jest coś lepszego od jazdy konnej.

- A co? - zainteresowała się mała.

- Wycieczka do psiarni. Masz ochotę tam pójść?

- Będę mogła zobaczyć Clover?

- To pierwszy punkt programu. - I zapewne ostatni, jak podejrzewał.

- Byłam tu już. Wiem, gdzie jest psiarnia. - Maisy wyjątkowo dziś zamyślona, wzięła wnuczkę za rękę.

- No to ruszajmy! - niecierpliwiła się Callie. - Christian niech poprowadzi mamę. Oj, mamó, czy na chwilę mogłabyś widzieć? Prędzej byśmy doszli.

Christian obawiał się, że pytanie sprawi ból Julii, ale ona przyjęła je śmiechem.

- Z twoich ust do bożego ucha, kochanie.

- Co to znaczy?

- Wytlumaczę ci to potem. - Maisy pociągnęła wnuczkę ze sobą. - Chodźmy już.

- Ona cię lubi - powiedziała Julia, kiedy córka nie mogła jej usłyszeć.

- Ja ją też lubię. Przypomina mi kogoś i dopiero przed chwilą zorientowałem się, kogo.

- Kogo? - zapytała Julia takim tonem, że Christian zwolnił kroku.

- Fidelity.

- Naprawdę?

- Ma tę samą energię, jest bezpośrednia i do bólu szczera. No i będzie równie piękna.

- Byle nie miała wad Fidelity, a tylko jej zalety.

- Nawet najszlachetniejsi ludzie stają się lekkomyślni, kiedy nikt nie potrafi powiedzieć im „nie”. Jestem pewien, że mówisz Callie „nie” i że będzie wiedziała, co jej wolno, a czego nie.

- Nie muszę. Ojciec wszystkiego jej zabrania. - Julia przerwała. - Przepraszam. To nie twój problem.

- Nie powiedziałbym tego. Callie jest moim problemem od momentu, gdy Bard wyraźnie mi powiedział, żebym się do niej nie zbliżał. Do niej i do ciebie.

- Bard mówi różne rzeczy różnym ludziom. Dzisiaj dzwoniło do mnie kilka zaprzyjaźnionych osób z pytaniem, czy wezmę udział w jutrzejszej wędrowce i czy zgadzam się z Bardem.

- W jakiej sprawie?

- Rozesłał petycję, w której domaga się zawetowania wyboru ciebie na łowczego.

Christian był zaskoczony, że mówi mu o tym właśnie żona Warwicka.

- No cóż, jutro może być nieprzyjemnie.

- Co zrobisz, jeśli wiele osób podpisze petycję?

- Będę trenował konie. Tu raczej chodzi o Petera. Dla niego to sprawa ambicji. Przystanie być mistrzem łowów, przekaże psiarnię komuś innemu, może nawet zamknie tereny Claymore Park dla polowań.

- To wszystko przeze mnie. Przykro mi. Gdyby nie ja, Bard nie czepiałby się ciebie. Przez chwilę szli w milczeniu.

- Wiesz, dlaczego dałam jej na imię Callie? Bo to zdrobnienie od Callinda.

- Niezwykle imię.

- Kiedy byliśmy małe, Fidelity powiedziała mi, że tak ochrzci swoją córkę i upierała się przy tym pomysle. Zaplanowała sobie całe życie. Najpierw miała zdobyć złoty medal na olimpiadzie, potem skończyć studia, przenieść się do Kentucky i tam prowadzić stadnię, by w końcu zostać miliarderką.

- Tak, nasza Fidelity zawsze mierzyła wysoko.

- Zamierzała mieć tylko jedno dziecko, żeby nie popsuć sobie figury. Callinę Julię.

- Callie ma na drugie Julia?

- Nie, Fidelity.

Nie powinno go to zaskoczyć, a jednak był zdumiony. Mocniej ścisnął jej ramię. Na mgnienie oka, ale wiedział, że Julia dobrze zrozumiała, co chciał jej powiedzieć.

- Nie mogłam dać jej na imię Callinda, byłoby to nie na miejscu, więc zdecydowałam się na „Callie”.

Cały czas mówiła „ja”, ani razu nie usłyszał „my”, lecz Christian nie pytał, jak Bard chciał nazwać swoją córkę. Nie obchodziło go to.

- Fidelity ucieszyłaby się - powiedział.

- Może opiekuje się Callie. To byłoby do niej podobne, prawda? Nigdy nie rozumiała słowa „nie”. Dlaczego śmierć miałaby powstrzymać ją od robienia tego, na co ma ochotę?

- Wierzysz w to?

- Chciałabym. Byłam taka samotna bez niej... Bez ciebie.

Christian wolał nie wgłębiać się w te słowa.

- Robby też musiał czuć się samotny. Często się z nim widywałeś?

- Zamknął się w sobie. Próbowałam utrzymywać z nim kontakt, ale dla nas obojga było to zbyt bolesne. Zagubił się, lecz nie potrafił nikogo poprosić o pomoc. Zawsze był zamknięty w sobie. Dużo pił... i dlatego wpadł w drzewo.

- Właśnie wchodzimy na podwórze psiarni.

Callie i Maisy czekały już na nich. Cała czwórka ruszyła do pawilonu, w którym mieszkały szczeniaki.

- Jeśli chcecie, to albo wejdziemy do środka, albo wyprowadzę Clover.

- Idź po nią z Callie, my zaczekamy - zdecydowała Maisy.

Christian zapalił światło i oczy dziewczynki zrobiły się wielkie jak filiżanki.

- Ale ich dużo! - Kilkanaście szceniąt wilo się radośnie w kojcach. Callie poczuła się jak w siódmym niebie. Rzuciła się między nie, pozwalając, żeby skakały jej po głowie i lizały po twarzy.

- Clover, gdzie jesteś?

Christian dostrzegł ją od razu, ale nie odezwał się słowem. Ku jego zaskoczeniu, suka dołączyła do kłębowiska radości, jakby wiedziała, że została wybrana. Chyba pierwszy raz w życiu usłuchała człowieka.

- Clover! - Callie rozpoznała ją bezbłędnie wśród niemal jednakowych szceniaków. Chwyciła ją i podniosła wysoko. - Jesteś. Chcesz wyjść z kojca i pobawić się na podwórzu?

Inne maluchy też dopominały się pieszczot, ale Callie już o nich zapomniała. Clover z zapalem polizała ją po twarzy.

- Ona mnie lubi!

- Tak bardzo, że chyba będzie chciała pojechać z tobą do domu. Co o tym myślisz?

Mała spojrzała na Christiana.

- Mogę ją zabrać ze sobą?

- Jest twoja. Pan Claymore daje ci ją w prezencie. Babcia i mama już się zgodziły, żebyś ją wzięła.

- Na zawsze?

- Na zawsze.

Callie, ze szczeniakiem pod pachą, rzuciła się do Christiana i objęła go z całych sił za udo.

- To ty, a nie pan Claymore. Ty mi ją dajesz.

Pogładził małą po włosach. Serce tajało mu szybciej, niż mógł sobie z tym poradzić.

- Zostaw ją, mamusiu. Dopilnuję, żeby niczego nie pogryzła i nie nasiusiła na podłogę. - Dobra nowina: Clover natychmiast nauczyła się czystości. Zła nowina: Callie nie chciała rozstawać się z nią na noc.

Julia wiedziała, że trudno jej będzie przeforsować swoje zdanie, tym bardziej, że Maisy i Jake z góry zgodzili się, by suczka spała z Callie.

- Clover to pestka, gdy się pomyśli, kogo wpuści do swojego łóżka, gdy już dorośnie - oznajmiła Maisy z kwaśnym uśmiechem.

Julia otuliła córkę oraz Clover kołdrą i od obu dostała całusa na dobranoc. Wyszła uśmiechnięta z sypialni. Spoważniała, gdy znalazła się w kuchni.

- Jest szczęśliwa - zagadnęła matkę.

- Raczej podniecona.

- Naprawdę zaopiekujecie się Clover, jeśli wrócimy do Millcreek?

- Oczywiście. Dzięki temu częściej będę widywała Callie.

Julia natrafiła na krzesło.

- Zostawiłaś mnie samą z Christianem w Claymore Park.

- Callie ciągnęła mnie do psiarni.

- Miałaś nadzieję, że mu powiem? - Julia wiedziała, że nie musi uściślać pytania.

- Tak, miałam nadzieję, ale teraz widzę, że ani miejsce, ani czas nie były po temu.

Julia zaczęła bębnić palcami o blat stołu.

- Chciałam cię prosić o przysługę, Maisy.

- Jeśli oczekujesz, że sama powiem Christianowi, wybij to sobie z głowy.

- Chcę pojechać na jutrzejszą paradę. Razem z Callie. Tiffany też tam będzie.

Samantha obiecała, że przypilnuje dziewczynek. To dla nich wielka frajda.

- Domyślam się. Naprawdę chcesz jechać? - W głosie Maisy zabrzmiała troska.

- Chcę.

Maisy zamilkła. Do tej pory, zgodnie z życzeniem Barda, stan Julii pozostawał wstydliwą tajemnicą. Teraz wszyscy mieli się dowiedzieć o jej przypadłości.

- Nie dbam o to, co ludzie pomyślą - powiedziała Julia, odgadując przyczynę milczenia matki. - Nie mam czego się wstydzić. O ile wiem, ślepotą nie jest zaraźliwa.

- Będziesz potrzebowała pomocy.

- Pojedziesz ze mną? Będziesz moimi oczami?

- Wiesz, od jak dawna nie brałam udziału w żadnej imprezie organizowanej przez Mosby Hunt?

- Od śmierci taty. Jeśli nie masz ochoty pójść, poproszę Karen.

- Nie. Czas, żebym wreszcie się pokazała. Pojadę, ale uprzedzam, nie zamierzam wkładać dzinsów ani tweedów. Nawet dla ciebie.

- Dla mnie możesz wystąpić choćby w kapeluszu z piórami i sukni obszytej cekinami. Wszystko mi jedno.

- Bardowi nie będzie wszystko jedno.

- Ma ważniejsze sprawy na głowie. Rozesłał petycję do członków Mosby Hunt. Nie chce dopuścić, by Christian był łowczym.

- Urocze posunięcie! - prychnęła Maisy.

- Jutro powiem wszystkim, że nie popieram jego protestu.

- Uważasz, że to dobry pomysł?

- Dziewięć lat temu zawahałam się przed ławą przysięgłych, gdy pytano mnie, czy człowiek, którego kochałam, jest niewinny. Jeśli teraz nie stanę po stronie Christiana, popełnię ten sam błąd.

- Jestem z ciebie dumna. Julia podniosła się z krzesła.

- Pójdę do siebie. Jutro będę miała ciężki dzień.

- Przeczytać ci kolejny rozdział przed snem?

- Jasne. W porównaniu z tym, co musi wycierpieć biedna Luiza, moje życie wydaje się pasmem rozkoszy. Nawet zważywszy na fakt, że Ian tak bardzo przypomina Lombarda Warwicka III.

Fragment niepublikowanej powieści „Fox River”

Maisy Fletcher

Dlaczego mężczyzna, który sam nie jest doskonały, oczekuje doskonałości od kobiety? Staralam się być dobrą żoną, ale Ian nigdy nie był ze mnie zadowolony i ciągle dawał mi to odczuć. Mawiał, że gdyby wiedział, jaka jestem nierozgarnięta, nie ożeniłby się ze mną, ale skoro już popełnił ten błąd, nasze małżeństwo musi trwać. Tak długo będzie mnie uczył, aż zrozumie podstawowe rzeczy.

Po kilku dniach nieco zmięknął, a nawet mnie przeprosił. Jestem przecież młoda i nie wszystko muszę wiedzieć. To jego wina, że nie pilnował mnie dostatecznie uważnie.

I Ian zabrał się do pracy, to znaczy, że na każdym kroku mnie instruował, jak być dobrą żoną.

Gdy po kilku polowaniach okazało się, że mój Jubilat, łagodny i spokojny koń, którego dostałam w prezencie ślubnym od Annie i jej rodziców, zostaje znacznie z tyłu, Ian uznał, że odtąd mam dosiadać Ognistej, czterolatki, której imię nader trafnie oddawało jej gorący temperament.

Bałam się Ognistej od samego początku. Potężna, znacznie wyższa od innych koni, robiła, co tylko chciała. Z miejsca wyczuła mój lęk oraz brak stanowczości i wcale się mnie nie słuchała.

Ian uczył mnie, jak obchodzić się z Ognistą. Był w swoim żywiole. Początkowo okazywał cierpliwość, ale ta się skończyła, gdy kolejne lekcje nie przynosiły rezultatów. Mimo to domagał się, żebym na uroczystej imprezie, organizowanej przez nasze koło łowieckie z okazji Dnia Dziękczynienia, po raz pierwszy wystąpiła na Ognistej. Mieliśmy stanowić piękny duet: ciemnowłosa Ian na karym ogierze i ja, jasnowłosa, na białej klaczy. Zadziwiająca Luiza i jej potężny koń, taki mój wizerunek chciał zaprezentować znajomym.

Jeździłam na Ognistej codziennie. Uczyłam się skakać na niej i zaliczałam kolejne upadki, ale zawzięłam się. Chciałam ziścić marzenie męża.

Uwierzyłam w jego zapewnienia, że okiełznam Ognistą. Klacz nie traktowała mnie poważnie, ale czasami, gdy humor jej dopisywał, słuchała moich poleceń. Ja też zaczęłam



się do niej przyzwyczajając, wiedziałam, jak bardzo kocha galop, jak zawsze chce się wysunąć przed inne konie.

Przyszedł wreszcie Dzień Dziękczynienia. Wstaliśmy przed świtem, by o pierwszym brzasku ruszyć do siedziby klubu.

- Wypuścimy psy przy Soldier's Bluff - tłumaczył mi Ian. - Tam zaczniemy pogoń za lisem.

Zapowiada się piękny dzień. John Higby ustawił na trasie nowe płoty, musisz więc uważać.

- Boję się, Ianie...

- Nie bój się. Na Ognistej przesadzisz każdą przeszkodę.

Nie rozumiał, że nadal nie czułam się pewnie na tej klaczy, która na dodatek tego dnia była wyjątkowo podniecona.

Kiedy dotarliśmy do klubu, byłam już zmęczona powściągnięciem znarowionej Ognistej.

- Nie wydaje ci się, kochanie, że ta twoja klacz jest za duża dla tak drobnej osoby jak ty? - powiedziała pani Jones, gdy już wymieniliśmy uwagi na temat Annie i jej przeprowadzki do Chicago.

- Ian twierdzi, że sobie z nią doskonale poradzę - odparłam z uśmiechem, ale nie udało mi się zwieść pani Jones.

- Luiz, jeśli nie jesteś pewna konia, nie powinnaś wystawiać się na próbę - ostrzegła mnie.

- Ian byłby zawiedziony.

Do rozmowy włączyła się pani Rutheford z majątku położonego w pobliżu Middleburga:

- To bardzo surowy człowiek. Doskonały jako mistrz łowów... - Nie dokończyła zdania, jednak ton jej głosu mówił wyraźnie: „choć może niekoniecznie jako mąż”.

Kiedy zostałyśmy same, pani Jones zapytała wprost:

- Jak ci się układa z Ianem?

- Bywa trudno - przyznałam rada, że mogę wypowiedzieć te słowa głośno.

- Wysłałam za męża za pana Jonesa, wierząc, że zamieszkamy w mieście. Kocham teatr i bardzo mi go brakowało w Sweetwater. Teraz, na stare lata, wreszcie spełni się moje marzenie. Zawsze trzeba mieć nadzieję.

Pani Jones z dobroci serca pocieszała mnie, lecz dla mnie te słowa zabrzmiały jak nic nieznaczący banał.

- Będzie mi strasznie smutno bez was. Jesteście jedyną moją rodziną w całej Wirginii - powiedziałam, na co pani Jones poklepała mnie po dłoni.

- Czasami lepiej nie mieć nikogo. Musisz sama ułożyć swoje sprawy z Ianem, bez niczyjego wsparcia.

Ledwie dosiadłam Ognistej, wiedziałam, że będą kłopoty. Tańczyła pode mną niespokojnie, podniecona, gotowa do szaleńczego biegu. Od dawna nie brała udziału w polowaniu i teraz nie mogła się doczekać konfrontacji z innymi końmi.

Ian wyjaśnił, których miejsc powinniśmy się wystrzegać w czasie gonitwy: rżyska na polu kukurydzy, partii lasu, gdzie prowadzono wycinkę i podmokłych po ulewnych deszczach brzegów strumienia, gdzie bobry miały żeremie.

Rozległy się dźwięki rogu i Ian ruszył przodem, reszta towarzystwa o parę długości za nim. Myśliwska etykieta zabraniała zbliżać się do mistrza, a już w żadnym razie nie dopuszczała, by ktokolwiek wysforował się przed niego.

Nigdy nie lubiłam polowania na lisa, w dodatku miałam w pamięci „prezent”, jaki Ian uczynił mi z biednego zwierzątka. W czasie gonitw zawsze starałam się trzymać na samym końcu, żeby nie być świadkiem śmierci rudzielca. Jeśli od tego miało zależeć nasze małżeństwo, przyrzekłam rozwinąć w sobie sportowego ducha i polubić polowania. Nadal pragnęłam, by Ian był ze mnie dumny.

Koło Soldier's Bluff łowczy puścił sforę. Rozległy się dźwięki rogu. Początkowo nic się działo, aż wreszcie prowadząca suka podjęła trop i psy z głośnym ujadaniem ruszyły w las.

Jechaliśmy już prawie godzinę, gdy zrozumiałam, jak bardzo jestem zmęczona powściągnięciem Ognistej. Gdy minęła nas para dobrze już posunięta w latach, zdjął mnie wstyd. Chciałam pokazać Ianowi, że nie jestem maruderem i spięłam Ognistą do szybszego biegu, licząc, że jej pierwsze podniecenie już minęło.

I tu popełniłam fatalny błąd, bo moja klacz dopiero się rozgrzewała. Przemknęliśmy przez las, potem brodem przeprawiliśmy się na drugi brzeg Fox River. Psy były daleko w przedzie, a ja powoli zostawiałam resztę myśliwych za sobą.

To, co wydarzyło się później, na zawsze pozostanie mi w pamięci. Zwolniłam nieco i puściłam na moment wodze, by rozprostować zdrętwiałe palce. W tej samej chwili przemknął między drzewami rudy lis z wielką kitą. Psy natychmiast rzuciły się za nim, a Ognista zerwała się do biegu.

Nie byłam w stanie jej powściągnąć. Galopowała niczym koń wyścigowy. Zostawiłam daleko w tyle męża, myśliwych i łowczego. Słyszałam, jak Ian woła, bym wstrzymała konia: równie dobrze mógł domagać się, bym stanęła na rękach. Ognista parła przed siebie.

Ian gnał za mną na swoim Ekwadorze, ale to tylko zachęciło klacz do jeszcze szybszego biegu. W końcu zrównał się z nami dzięki niezwykłym zaletom swojego ogiera, szalonego konia, którego nikt inny nie śmiał dosiadać. W tej samej chwili dojrzałam pień obalonego drzewa leżący w poprzek ścieżki tak wąskiej, że dwa konie idące łeb w łeb nie mogły jednocześnie wziąć przeszkody.

- Ściągnij wodze! - krzyknął Ian.
- Mocniej nie mogę!
- Możesz, do wszystkich diabłów!

Ekwador był koniem szalonym, ale Ian w pełni nad nim panował. Liczyłam, że powściągnie ogiera i pozwoli mi pierwszej przeskoczyć przez pień, chociaż wysforowanie się przed mistrza łowów było strasznym uchybieniem.

Już gotowałam się do wzięcia przeszkody.

Lecz dla Iana protokół był ważniejszy od mojego bezpieczeństwa. Ciął pejcem w bok mojego konia. Ognista potknęła się i wpadła w zarośla.

Przeleciałam nad jej głową i wylądowałam na ziemi. Potem opowiadano mi, że Ian lekko wziął przeszkodę i nie oglądając się za siebie, pogalopował dalej. Mnie zostawił opiece łowczego, który po chwili nadjechał.

- Szczęście, że Ian cię zatrzymał, Luizo - zawołał, upewniwszy się, że cała. - Straciłaś panowanie nad koniem. Ognista nie dla ciebie. Że też Ian pozwolił ci jej dosiąść. Musi bardzo cię kochać, skoro przystaje na takie kaprysy.

Byłam tylko podrapana i poobijana, tak więc wyszłam z niefortunnej przygody prawie bez szwanku.

Upokorzona, dotarłam do leśnego traktu, gdzie musiałam czekać, aż ktoś sprowadzi mojego konia, albo weźmie mnie na grzbiet własnego i odwiezie do klubu.

Po chwili na trakcie pojawił się farmer na wozie pełnym siana zaprzężonym w dwa muły. Zaofiarował się mnie podwieźć, a ponieważ udawał się w pobliże naszego majątku, zamiast do klubu, wróciłam do domu. Nie byłam w nastroju, by świętować Dzień Dziękczynienia. Aby nikt nie szukał mnie po lesie, zadzwoniłam, że jestem już w Fox River Farm. Czekałam na Iana.

Przyjechał później, niż myślałam. Byłam ciekawa, jak się zachowa i co powie. Nie mógł przyznać, że Ognista nie dla mnie, bo wtedy uznałby swój błąd. Nie spodziewałam się też, by mnie przeprosił, że pierwszeństwo przedłożył nad moje bezpieczeństwo. Być może uwierzył nawet, że uratował mnie przed większym nieszczęściem.

Ja nie miałam złudzeń, bo dobrze pamiętałam wściekłość na twarzy męża, kiedy zrównał się ze mną. Gdyby mógł, zamiast klaczy mnie ciąłby pejcem.

Znalazł mnie w moich pokojach na górze. Było zbyt wcześnie, żeby kłaść się spać, lecz ja już przebrałam się w nocny strój. Mimo ciepłej kąpieli i rumianku, który zaparzyła mi Lettie, czułam się wyczerpana i obolała. Chciałam jeszcze trochę poczytać i zasnąć.

Nie oczekiwałam przeprosin od Iana, liczyłam tylko, że rano będzie w na tyle dobrym humorze, iż przyjmie moje. Nie należały mu się one, wiedziałam o tym w głębi serca, lecz rozum podpowiadał mi, że to jedyny sposób, by odzyskać łaski męża.

- A więc wróciłaś do domu? - Ian wszedł do mojej sypialni.

A miałam nadzieję, że uda się odłożyć tę rozmowę do rana.

- Dzwoniłam, że jestem już w Fox River. Nie przekazano ci wiadomości?

Zamknęłam książkę.

- Owszem, w obecności trzech innych panów. Moja żona na wozie z sianem. Dałaś temat do żartów na resztę dnia.

- Przepraszam. Wyraźnie prosiłam, żeby powtórzono ci o moim telefonie na osobności.

- Zostałem ukarany za to, że pozwoliłem ci dosiąść Ognistej. Nie masz jeszcze dostatecznego doświadczenia.

Wszystko się we mnie burzyło, ale wiedziałam, że nie mogę sobie pozwolić na okazanie gniewu.

- Przykro mi. Zapewne niełatwo było to wyjaśnić.

- Niełatwo? Jestem mistrzem łowów. Reszta powinna mnie słuchać i szanować. Jak mają mnie poważać, kiedy widzą, że nie potrafię upilnować własnej żony?

Podszedł do łóżka, zerwał ze mnie kołdrę i pociągnął za rękę, zmuszając, bym wstała.

- Skąd ci przyszło do głowy, że możesz dosiąść Ognistej?

Oślupiałam.

- Przecież mówiłam ci dziesiątki razy... Uderzył mnie w twarz

- Mówiłaś? Mówiłaś? Coś tam pojękiwałaś. Gdybyś była ze mną szczerą...

Nie mogłam złapać tchu. Nikt nigdy mnie nie uderzył. Ani rodzice, ani nauczyciele, nawet bracia w czasie zabawy.

Ian zdzielił mnie raz jeszcze. Z całych sił.

- Przestań!

- Co mam przestać? Ty przestań robić ze mnie idiotę!

Zaczął okładać mnie pięściami, wreszcie pchnął na łóżko.

- Jesteś nędzną kreaturą! - krzyczał. - Zakałą każdego polowania! I nie patrz tak na mnie. Zasłużyłaś na gorsze razy. Jutro będziesz jeździła całe popołudnie. Będziesz ćwiczyła tak długo, aż nauczysz się panować nad swoim koniem. Do niczego się nie nadajesz. Od jutra nie ruszysz się na krok z majątku, z nikim nie będziesz się widywała, dopóki nie będę usatysfakcjonowany twoimi postępami.

Chciał mnie zatrzymać w domu, aż znikną sińce od jego pięści. Tyle rozumiałam.

- Co masz do powiedzenia na swoje usprawiedliwienie?

- Prze... przepraszam - wykrztusiłam, choć słowo to z trudem przeszło mi przez gardło.

Przez chwilę walczył z sobą. Miał ochotę bić mnie do utraty przytomności. Widziałam to w jego oczach. Wreszcie skinął głową i wyszedł z mojej sypialni.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI**

Parada myśliwych była imprezą otwartą dla wszystkich. Członkowie Mosby Hunt nie musieli występować w klubowych strojach i każdy mógł się ubrać, jak chciał.

Tylko Christian, jako łowczy, musiał wystąpić w pełnej gali: żółte bryczesy, czerwony surdut biała kamizelka, czapka z czarnego aksamitu oraz sztylpy.

Tak ubrany poszedł do stajni, by odszukać Petera Ten otaksował go uważnym spojrzeniem i kiwnął głową na znak aprobaty. Nalegał, by Christian wystąpił w tym stroju, bowiem w ten sposób chciał dać wszystkim jasno do zrozumienia, kto będzie łowczym, niezależnie od protestów Barda.

- Cokolwiek się dzisiaj stanie, możesz na mnie liczyć, chłopcze.

- Nie narażaj dla mnie swojej pozycji. Chcę być łowczym, ale sprawa nie jest warta zatargów.

- Dla mnie jest warta. Szczególnie, gdy wszczyną je Bard Warwick.

- Nie lubisz go?

- Nigdy nie lubiłem tego faceta. Bard przypomina konia wyścigowego tak ułożonego, by zawsze pierwszy przychodził do mety. Ten człowiek nie umie przegrywać. Zawsze musi osiągnąć swój cel. Zawsze i za każdą cenę.

- Zdobył już chyba to, co chciał. Ma Julię i Callie, ma Millcreek, jest szanowanym obywatelem.

- Tak, i cały czas robi pieniądze. Jest nienasycony. Wygrywa jedną gonitwę i natychmiast staje do drugiej. Nie zatrzymuje się nawet przy podium dla zwycięzców, tak mu spieszno znowu stawać do zawodów. Jestem gotów zmierzyć się z nim.

Christian pomyślał, że Peter jest nie tylko gotów, ale wręcz nie może doczekać się starcia.

- Jak wyglądam? Bluzka równo zapięta, dzinsy czyste? - Julia określiła się, żeby Callie mogła dobrze jej się przyjrzeć.

- Wyglądasz ślicznie.

Julia postanowiła pokazać się jeszcze matce.

- Wspaniale - orzekła Maisy.

- A Callie?

- Ta koszulka w różowe słonie doskonale pasuje do szortów w zebry.

Julia parsknęła śmiechem.

- Nie dręcz mnie, Maisy.

- Mam na sobie dzinsy i bluzę z Harrym Potterem! - skorygowała Callie.

- Umyła nawet uszy - powiedziała Maisy. - Możemy się zbierać.

- Jak się ubrała Maisy? - zapytała Julia córkę.

- Po babcinemu.

- Włożyłam granatowe spodnie i granatową bluzkę. Rzeczywiście wyglądam jak babcia. Zanim zadasz następne pytanie, informuję, że podcięłam wczoraj włosy i prawie nie ma śladu po trwałej. Prezentuję się zupełnie przyzwoicie.

- Maisy ma brązowe włosy - dodała Callie.

- A właściwie jaki masz naturalny kolor włosów? - zainteresowała się Julia.

- Nigdy się tego nie dowiecie. Idziemy.

Julia wyprostowała się. Czekał ją trudny dzień, ale wiedziała, że zwycięsko przejdzie tę próbę.

- Nie mogę się już doczekać, żeby wsiąść do nowej furgonetki.

Jazda do Claymore Park zajęła kilka minut. Kierując się znakami, Maisy dojechała na łąkę za domem i zaparkowała.

Dla Petera parada była ważną imprezą, bo właściciele okolicznych majątków nie zawsze chętnie wpuszczali myśliwych na swój teren. Jednak, biorąc udział w paradzie, zapoznawali się z obyczajami obowiązującymi w klubie i potem z reguły przychylniej traktowali Mosby Hunt.

W pobliżu bramy stały stragany miejscowych kupców i kioski z jedzeniem. Ponieważ imprezę miały zamykać prezentacja koni oraz wyścig kuców, Tiffany rano przyjechała do Ashbourne ciężarówką i zabrała Kosmatą.



Julia nałożyła okulary słoneczne i wysiadła z furgonetki. Położyła dłoń na ramieniu Maisy.

- Możesz mi powiedzieć, co widzisz? Callie też niech mówi - dodała, czując córkę u swego boku.

- Jest okropnie dużo samochodów - zaczęła mała.

- Przy bramie widzę Christiana - dodała Maisy. - Rozmawia z kimś. Jest w stroju łowczego.

- Jak wygląda? Musiał się trochę postarzyć, ale...

- Prawie się nie zmienił, tylko zmężniał. Ma surowszą twarz, jakby zapomniał, co to młodość.

- Mogę pochodzić i popatrzeć? - zapytała Callie.

- Dobrze - odpowiedziała Maisy - ale się nie zgub i nie podchodź za blisko koni.

Christian idzie w naszą stronę - zwróciła się do Julii.

- Witajcie - rozległ się po chwili jego głos. - Nie spodziewałem się was.

- Nie mogłam przepuścić takiego święta - powiedziała Julia. - Tak się cieszę, Christianie, że zostałeś łowczym - oznajmiła głośno i dobitnie.

- Miło mi to słyszeć.

- Masz wszelkie kwalifikacje na świetnego łowczego - powiedziała Maisy. - Jesteś na pewno bardzo zajęty, nie chcemy cię zatrzymywać.

- Muszę iść na tor do ćwiczenia koni, bo zaraz zacznie się pokaz. Będę miał oko na Callie, chociaż dziewczynkami pewnie zajęła się już Samantha.

- Zawsze cudownie jeździła konno.

- Ma to w genach. Życzę dobrego dnia. Julia poczuła ucisk w gardle.

- Dziękuję.

- Odszedł już - powiedziała Maisy cicho. - Przygotuj się. Jesteś w centrum zainteresowania.

Christian witał przy bramie kolejnych gości. Właśnie skończył krótką, absurdalną utarczkę z Bardem, podczas której usłyszał, że ma zapomnieć o stanowisku łowczego, gdy zobaczył zbliżających się Flo i Franka Sutherlandów. Ścierpła mu skóra. Dziewięć lat



temu pierwsi zwrócili się przeciwko niemu. Rozumiał to. Wyobrażał sobie, jak cierpieli po stracie ukochanej jedynaczki.

- Dzień dobry. - Nie dodał „miło państwa widzieć”, bo spotkanie nie było miłe dla żadnej ze stron.

Sutherlandowie osłupieli na widok Christiana. Na ich twarzach malowała się zgroza i przerażenie. Bard najwyraźniej nie pofatygował się uprzedzić ich, kogo spotkają.

- Christian... - Flo pierwsza odzyskała głos.

- Nie chciałem, żeby nasze spotkanie tak wyglądało. Myślałem, że ktoś państwa uprzedził.

- Nie, nie. - Flo najpierw pokręciła głową, a potem wyprostowała się. - Jak się masz?

Teraz Christian osłupiał. Nie potrafił dobyć z gardła jednego słowa.

- Flo, to nie jest odpowiedni czas. - Frank ujął żonę za ramię, ale ona strząsnęła jego dłoń.

- Zadałam proste pytanie. Ten chłopak przeszedł przez piekło. Mogę chyba wiedzieć, jak się teraz czuje?

Frank spuścił wzrok i oblał się rumieńcem.

- Dziękuję, pani Sutherland - powiedział Christian szybko. - A państwo?

- Tak mi przykro. - W oczach Flo pojawiły się łzy.

- Tak strasznie mi przykro, że wszyscy przesądziliśmy o twojej winie. Przecież znaliśmy cię. Powinniśmy wiedzieć...

Frank objął żonę. Kiedy podniósł wzrok, Christian dojrzał w jego oczach to samo błaganie.

- Ja... Flo ma rację, Chris. Myśleliśmy... Nie powinniśmy. My... - Pokręcił głową.

Christian przez dziewięć lat zastanawiał się, jak by się czuł, gdyby usłyszał błaganie o przebaczenie. Teraz już wiedział.

Czuł się paskudnie.

- Wszystko świadczyło przeciwko mnie.

- Fidelity kochała cię jak brata - powiedziała Flo.

- Ja też ją kochałem. Wszyscy ją kochali. Żałuję, że jej nie uratowałem. Gdybym przyszedł wcześniej...

- Jeśli coś będziemy mogli dla ciebie zrobić... - Frank wyciągnął rękę. - Masz nasze poparcie, jeśli chodzi o nową pracę. Cieszę się, że Peter wybrał ciebie. Zawsze miał dobre wyczucie.

- Peter wie, co to honor. - Flo otarła oczy. - Będziemy z ciebie dumni.

- Nasze konie przyprowadzi stajenny. - Frank podał Christianowi świadectwa szczepień, który spojrzał na nie, jakby były napisane greką. Zwrócił je Frankowi.

- Udanego dnia.

I wtedy Flo zrobiła coś nieoczekiwanego. Nachyliła się i pocałowała Christiana w policzek.

- Udanego życia, Chris. Nikt bardziej na nie nie zasłużył. Nie odrobisz straconych lat, ale te, które są przed tobą, niech będą szczęśliwe.

- Witaj, Julio.

Julia usłyszała głos męża, zanim Maisy zdążyła ją uprzedzić, że Bard się zbliża. Powoli zaczynała rozumieć, co biedna Luiza musiała czuć w czasie gonitwy z okazji Dnia Dziękczynienia.

I potem.

- Nie spodziewałem się zobaczyć cię tutaj - powiedział przyjaznym tonem.

- Callie bierze udział w wyścigu kuców. Chcę być blisko niej w takiej chwili.

- Zanudzisz się na śmierć, bo przecież niczego nie zobaczysz.

- Maisy mi wszystko opowie.

- Witaj, Maisy. - Bard udał, że dopiero teraz zauważył teściową.

- Będziesz dzisiaj jeździł?

- Tak, w parze z Sarą McGuffey. Nasze konie są bardzo zgrane.

Julia знаła Sarę, łasą na mężczyznę rozwódkę, postać rodem z oper mydlanych. Nie czuła cienia zazdrości.

- Idź do Callie i życz jej powodzenia.

- Dziwię się, że pozwoliłaś jej brać udział w wyścigu.

- Dlaczego? Bardzo dobrze jeździ. Samantha będzie czuwać nad dziewczynkami.

- Myślę o tym, kto poprowadzi wyścig. Callie, która dojrzała ojca, podeszła do niego.

- Tatuś!

- Dzień dobry, Callie. Słyszałem, że bierzesz udział w konkursie. - Bard mówił takim tonem, jakby rozmawiał z dorosłą osobą.

- Mam psa, tatusiu! Nazywa się Clover i dostałam ją od Christiana.

Julia próbowała uciszyć córkę.

- Nie od Christiana, kochanie, tylko od pana Claymore'a. Clover była własnością klubu.

- O czym ona mówi? - zapytał Bard.

- Jeden ze szczeniaków nie nadawał się do sfory i Peter zgodził się, żeby Callie go sobie wzięła.

- Wzięłyście szczeniaka bez porozumienia ze mną?

- Owszem.

- Szczeniak zaczął biec za Kosmatą i Kosmata uciekła - wyjaśniła Callie, jeszcze bardziej pogarszając sytuację.

- O czym ona mówi? - zapytał ponownie Bard.

- Poproś, żeby ci opowiedziała.

- Ty to zrobisz.

- Nic wielkiego się nie stało. Wybrałyśmy się na przejażdżkę i szczeniak spłoszył Kosmatą.

- Wybrałyście się na przejażdżkę?

- Ramon przyprowadził Piaska i pojechaliśmy w trójkę.

Bard eksplodował.

- Jak nazwałabyś niewidomą kobietę, która zabiera dziecko na przejażdżkę konną?

- W najgorszym razie nierozważną. W najlepszym - pełną nadziei.

- Nic się nie stało - wtrąciła Callie. - Christian mnie uratował.

- Był na spacerze z psem - tłumaczyła Julia. - Dojechaliśmy do granicy majątków. Kiedy Christian zobaczył, że Kosmata poniosła, przesadził płot. Chwat też się spłoszył i Ramon nie mógł pomóc Callie, ale Christian szybko opanował sytuację.

Bard nie odezwał się.

- Powodzenia, tatusiu. Muszę już iść. Nie zareagował na życzenia.

- Teraz rozumiem, dlaczego nie chciałaś wrócić do domu - powiedział, gdy mała odeszła.

- Nie rozumiesz, ponieważ nie słuchasz. Moje argumenty się nie zmieniły.

Odeszłam od ciebie, nie wiedząc, że Christian wyjdzie z więzienia.

- Zostawiłaś mnie?

- Tak.

- Nie zamierzasz wrócić?

- Nie czas i miejsce na takie rozmowy.

- Kochanie. - Maisy ujęła córkę pod ramię. - Idzie w naszą stronę Flo Sutherland.

Wygląda na bardzo poruszoną.

Julia pomyślała, że jej pojawienie się w Claymore Park nie było najlepszym pomysłem. Powinna była zostać w domu.

- Witaj, moja droga. - Flo ujęła dłoń Julii.

- Flo... Jak się masz?

- To ja ciebie powinnam spytać, jak się czujesz.

- Nieźle. Nie widzę, ale mam nadzieję, że to minie.

- Tyle tylko, że nic nie robi w tym kierunku - wtrącił Bard.

- Witaj, Bard. - Flo przywitała go zimno. - Witaj, Maisy - dodała znacznie cieplejszym tonem. - Wspaniale, że wreszcie, po tylu latach, zdecydowałaś się pokazać na imprezie klubowej. Świetnie wyglądasz.

- Widziałem, że rozmawialiście z naszym nowym łowczym. To spotkanie musiało być dla was wielkim wstrząsem.

- Bard... - zaczęła Julia ostrzegawczo, ale mąż zignorował jej uwagę.

- Przygotowałem petycję w sprawie usunięcia Christiana z klubu. Jestem pewien, że ją podpiszecie jako jedni z pierwszych.

- Muszę cię rozczarować. - Głos Flo znowu zabrzmiał lodowato. - Christian ma pełne poparcie moje i Franka. Postaramy się przekonać tych, którzy już podpisali petycję, żeby wycofali swoje nazwiska. Julio, ty jesteś tego samego zdania co Bard?

- Christian nie jest mordercą. Sąd go uniewinnił, a my powinniśmy zrobić wszystko, by jak najszybciej wrócił do normalnego życia.

- Flo, nie wierzę własnym uszom! - Bard wprost kipiał wściekłością. - Ciągłe pozostaje mnóstwo niewyjaśnionych kwestii. Ten człowiek stał nad ciałem twojej córki...

- Dość! - oznajmiła kategorycznie Maisy. - Zachowaj swoje uwagi dla siebie. Flo dość wycierpiała, podobnie jak Christian. Oszczędź nam opisów.

- Wszyscy domyślają się, co tobą kieruje, Bard. - Flo zniżyła głos.

Julia ponownie próbowała przerwać tę wymianę zdań.

- Flo...

- Wybacz, Julio, ale najwyższa pora, byście sobie uświadomili, że połowa miasteczka domyśla się, kto jest biologicznym ojcem Callie. Czujesz się zagrożony, Bard, potrafię to zrozumieć, ale nie pozwolę, żebyś wykorzystywał śmierć mojej córki dla własnych celów. Nie masz prawa do tego, co ukradłeś innemu mężczyźnie.

- Jak śmiesz! - wrzasnął Bard.

- Jak ty śmiesz! - odparowała Flo.

Julia podniosła dłonie, chcąc uciszyć obie strony.

- Przestańcie, na litość boską. Przecież Callie może usłyszeć.

- Nikogo nie ma w pobliżu - uspokoiła ją Maisy.

- Jestem gotowa zrobić dla ciebie wszystko, Julio - zapewniła Flo - ale nie dopuszczę, by po raz drugi napiętnowano porządnego człowieka. Nawet jeśli będę musiała stanąć przeciwko sąsiadom. Nawet jeśli przyjdzie mi wyjawić twoją tajemnicę.

- Flo już odeszła - powiedziała Maisy do córki, zanim Julia zebrała się na odpowiedź.

- Zostaw nas na chwilę, Maisy - zażądał Bard.

- Julio?

- Nie odchodź daleko. - Usłyszała kroki matki. Została sama z mężem.

- Musiałaś powiedzieć wszystkim prawdę? - zawołał z pretensją w głosie.

- Nikomu nic nie powiedziałam, ale ludzie potrafią liczyć i mają oczy. Callie staje się coraz bardziej podobna do Christiana.

- O to chodzi. Wróciłaś już do niego, czy dopiero zamierzasz to zrobić?

Julia nie zirytowała się. Czuliła, że zadaje mężowi ból. Pomógł jej w najtrudniejszym momencie, kiedy sądziła, że potrzebuje pomocy. Powinna była wówczas sama stawić czoło problemom, ale była młoda i przerażona. Nie wiedziała, czy samotnie zdoła wychować dziecko.

- To, co dzieje się między nami, nie ma nic wspólnego z Christianem. Usiłowałam być dobrą żoną, ale oboje nie byliśmy szczęśliwi. Jest Callie...

- Zawsze była Callie, żywy ślad po człowieku, którego kochasz.

- I dlatego nie potrafisz być dla niej ojcem? Bo przypomina ci Christiana? - Gdy Bard nie odpowiedział, ciągnęła dalej: - Callie mogła być twoim dzieckiem. Wystarczyło, żebyś okazał jej trochę miłości. Jake potrafił to zrobić i dlatego jest dla mnie ojcem.

- Tak? A Maisy nadal kochała Harry'ego Ashbourne'a, kiedy wychodziła za Jake'a?

- Wychodząc za ciebie, naprawdę wierzyłam, że nasze małżeństwo może być dobrym, udanym związkiem. Próbowałam. Ale ty nie pragnąłeś partnerstwa, ty chciałeś mną rządzić.

- Muszę już iść.

- Yvonne proponuje, żebyś przyszedł na którąś z naszych sesji. Pomogłaby nam dojść do ładu z naszymi problemami.

- Żeby dojść z nimi do ładu, przede wszystkim powinnaś wrócić do Millcreek i trzymać się z dala od Claymore Park oraz Christiana Carvera. Powinnaś też zwrócić szczeniaka. Jeśli Callie chce psa, sam wybiorę dla niej jakiegoś.

Bard znalazł się w defensywie. Nie udało mu się usunąć Christiana z Mosby Hunt. Było oczywiste, że przy takim stanowisku Sutherlandów nikt nie podpisze petycji.

- Nie mogę przyjąć twoich warunków - powiedziała Julia ze znużeniem. - Muszę stanąć na własnych nogach i znaleźć w życiu swoje miejsce. Jeśli będziesz ciągle mną dyrygował, nigdy mi się to nie uda.

- Mylisz się, jeśli sądzisz, że ze łzami w oczach będę cię błagał o powrót.

Usłyszała oddalające się kroki. Jej drogi z mężem rozeszły się tak dawno, że to odejście Barda nie miało już żadnego znaczenia.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY**

Trzy dni po paradyze Samantha odszukała Christiana w psiarni.

- Masz chwilę czasu? - A gdy wyszli na dziedziniec, powiedziała: - Dzieciaki mają dziś wolny dzień i zawiozłam Tiffany do Callie. Pokazała mi Clover.

- Suka plątała ci się pod nogami?

- Trudno uwierzyć, że to rodowodowy foxhound. Christian patrzył z przyjemnością na Samanthę.

Podobała mu się bardzo i wiedział, że gdyby zaprosił ją na kolację, na pewno by się zgodziła. A jednak nie miał na to ochoty.

- Rozumiem, że musisz zaraz wracać do psów. - Samantha wyjęła z kieszeni spodni kartkę. - Nie zapomniałam o naszej rozmowie. Tu masz listę ludzi, z którymi Fidelity utrzymywała kontakty, kiedy ją bliżej poznałam. Potem, gdy dowiedziałam się o jej romansie z Joachimem, nasza znajomość siłą rzeczy się skończyła, ale nadal obracałyśmy się w tym samym towarzystwie. Masz tu nazwiska jej znajomych.

Christian zerknął na listę. Była dość krótka.

- Znałaś w tamtych czasach Julię?

- Nie. Fidelity bardzo starannie rozgraniczała różne obszary swojego życia. Julia pewnie nawet nie domyślała się, jak szalona potrafiła być jej przyjaciółka.

- Tak musiało być, inaczej coś by mi powiedziała.

- Byliście sobie bardzo bliscy.

- Tak, mieliśmy się pobrać.

- To smutne. Rozstania zawsze są bolesne. Christian schował kartkę do kieszeni kombinezonu.

- Nie chcę się narzucać, ale jeśli miałbyś ochotę, moglibyśmy czasami gdzieś razem wyskoczyć. Jesteś chyba ostatnim miłym facetem na świecie.

- Od dawna już nie jestem miłym facetem.

- Jesteś - powiedziała Samantha z uśmiechem. Christian odpowiedział tym samym, ale nie zareagował na propozycję.

Pierwsze nazwisko na liście należało do kobiety, która prowadziła w Middleburgu sklep z antykami. Zrobiła wielkie oczy, gdy Christian wyłuszczył sprawę, ale gotowa była mu pomóc.

- Znałam ją dobrze - mówiła, odkurzając szkła na półkach. - Lubiłam ją, chociaż bywała irytująca z tym swoim zaciąganiem do łóżka każdego faceta, który wpadł jej w oko. Mówiłam sobie, że w końcu się ustatkuje. Nie znam nikogo, komu wyrządziłaby krzywdę.

Gdy zapytał o narkotyki i kochanków Fidelity, dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Wszyscy brali, a ktokolwiek wiązał się z Fidelity, musiał wiedzieć, że romans nie potrwa długo. Jeśli facet miał poważne zamiary, natychmiast go splawiała. Taka już była.

Następne dwie osoby nie znały zbyt dobrze Fidelity.

Czwarta okazała się koleżanką Fidelity ze szkoły jeździeckiej. Razem trenowały przed olimpiadą i obie odpadły. To je zbliżyło do siebie, ale Caroline zastrzegła, że w ostatnich miesiącach przed zbrodnią rzadko się widywały.

- Fidelity żyła zupełnie inaczej. Ja ślęczałam nad książkami i planowałam przyszłość, a ona biegała na przyjęcia, zmieniała stroje i facetów.

- Czy był wśród znajomych Fidelity ktoś, kto zwrócił twoją uwagę? Kto nie pasował do niej?

- Fidelity brała narkotyki, głównie kokainę. Towar dostarczał niejaki Joachim. Grał w drużynie polo. Podobno kilka lat temu zginął w jakiejś bójce. Ostro kręcił się koło Fidelity, jakby poza narkotykami łączyły ich jeszcze jakieś interesy.

Christiana zaskoczyła ta wiadomość.

- Znałaś żonę Joachima?

- Tę modelkę? Była cały czas w rozjazdach. Chyba nie wiedziała, co się dzieje, skąd Joachim ma pieniądze. Boję się narkotyków, dlatego przestałam widywać się z Fidelity.

Podziękował za informacje i ruszył do Claymore Park. Zamierzał powtórzyć Samancie, czego się dowiedział, ale jeszcze nie tego dnia.

Obiecał Callie, że po powrocie z miasteczka zajrzy do Ashbourne i zacznie układać Clover, która zdążyła już zaprezentować całej rodzinie swoje rzadkie talenty.

Suka przywitała go entuzjastycznie.



- Cześć, smarkata! Jak się sprawujesz? - Poklepał ją po grzbiecie.

- Christian! - Z domu wybiegła Callie. Musiała niecierpliwie czekać na gościa. -

Christian!

Zanim się zorientował, chwyciła go pod kolana. Padł jak długi na ziemię, przygwożdżony przez dziecko i psa

- Mam cię! Jesteś moim więźniem.

- Callie! - Z ganku doszedł oburzony głos Julii.

- Nic się nie stało. Straciłem równowagę. - Potargał ze śmiechem włosy małej, uwolnił się od Clover i wstał.

Callie usiadła na trawie.

- Przyjechałeś zobaczyć się ze mną czy z Clover? - zapytała rozchichotana dziewczynka.

Zdumiało go to spontaniczne powitanie.

- Z wami obiema, ma się rozumieć.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Stanowicie przecież z Clover jedną drużynę.

- No! Clover to najwspanialszy pies na świecie!

Odetchnął z ulgą. Bał się, że Julia, gdy tylko pozna talenty suczki, zażąda, żeby zabrał psa z powrotem.

- Tak? A ty jak myślisz, Julio?

- Myślę, że moja córka ma koszmarnie maniery. Przepróż Christiana, Callie.

- Przepraszam. - Oczy dziewczynki błyszczały łobuzersko.

- Bardzo ładnie mnie przeprosiła! - zawołał Christian w stronę Julii, która ostrożnie schodziła z ganku.

Ktoś inny na jej miejscu załamałby się, lecz ona radziła sobie z własną ślepotą jak ze wszystkimi innymi problemami: rozważnie i mądrze.

- Jeśli chodzi o Clover... - zaczęła. Christian skrzywił się.

- Chyba wolałbym tego nie słyszeć.

- Jest wspaniała. Callie ją uwielbia, Maisy za nią szaleje, a Jake się w niej zakochał.

- A ty?

- Ja uważam, żeby się o nią nie przewrócić. Christian nie pomyślał wcześniej o tym, że suka będzie dla Julii dodatkowym utrudnieniem.

- Bardzo ci przeszkadza?

- Cały dzień jest w ogrodzie, do domu wraca dopiero na noc. Zaczęłyśmy z Callie ją układać. - Zwróciła się do córki. - Pokaż Christianowi, czego ją nauczyłaś.

Dziewczynka podniosła się i podbiegła do matki.

- Clover... chodź!

Suczka przekrzywiła łeb, jakby zaświtała w nim jakaś psia myśl i rzuciła się sprintem do swojej nowej właścicielki.

- Widzisz! - pisnęła zachwycona Callie.

- Dobra robota. - Christian powoli zaczynał wierzyć w cuda.

- Nauczę ją siadać, warować, iść przy nodze. Wszystkiego. Maisy kupiła mi specjalną książkę z obrazkami.

- Tylko działaj powoli, inaczej wszystko jej się pomiesza w głowie. Ucz ją jednej rzeczy i dopiero kiedy będziesz pewna, że wszystko dobrze zapamiętała, przechodź do następnej.

Podejrzewał, że w tym tempie prędzej Callie doczeka się własnych dzieci, niż ułoży Clover.

- Nauczę ją prowadzić mamę. Będzie jej przewodnikiem.

- Szkoliłem psich przewodników, ale Clover nadaje się co najwyżej do tropienia lisów. Będziesz miała szczęście, jeśli nauczysz ją przynajmniej tego.

- Ale wtedy nie przyda się mamie.

- Nie. Chyba, żeby mama zamarzyła o radym futrze z lisów.

- Aha! - powiedziały równocześnie Julia i Callie, i cała trójka roześmiała się.

- Chciałem ci powiedzieć, że świetnie się spisałaś w czasie parady. Mało brakowało, żebyście wygrały.

- Ale nie wygrałyśmy.

- Dobrze się bawiłaś?

- Tak.

- I to jest najważniejsze. Callie podrapała Clover po łbie.

- Tata wygrał. Mówi, że gdybym się bardziej starała, to też bym wygrała.

Christian nie wiedział, co powiedzieć. Już zdążył się zorientować, że Bard nigdy nie był zadowolony z córki.

- Chcesz zajrzeć do Kosmatej? Mógłbyś dać jej jabłko - zaproponowała Callie.

- To będzie dla mnie zaszczyt. Julio, zgadasz się? Miała niezbyt zadowoloną minę, jakby uważała, że

Christian zbyt wiele czasu spędza z jej córką.

- Ciemno już. - Christian zaczął się wycofywać. - Może powinienem...

- Proszę!

- Idźcie - powiedziała Julia. - Poczekam na was na ganku.

- Co tu robisz sama? - rozległ się głos Maisy i skrzypnięcie siatkowych drzwi.

- Christian i Callie poszli do stajni odwiedzić Kosmatą. Callie szaleje za nim. Wie, że Christian ją lubi. Dał jej szczeniaka. Dorosły mężczyzna, który nie dyryguje nią, tylko myśli, jak sprawić jej przyjemność, to rzadki okaz w życiu Callie.

- Ten rzadki okaz nazywa się ojciec - podsumowała Maisy.

- Wiem.

- Zamierzasz mu powiedzieć?

- Muszę. Nie mam innego wyjścia. Jeśli tego nie zrobię, powie mu ktoś inny, albo w końcu sam się domyśli.

- A więc tak rozumujesz? Powiesz mu tylko dlatego, że nie masz innego wyjścia?

- Nie, bo on zasługuje na prawdę. Zawsze tak było, ale póki siedział w więzieniu, byłoby to okrucieństwo. Teraz okrucieństwem byłoby nic mu nie powiedzieć. Mają wspaniały kontakt ze sobą. Porozumieli się bez mojego udziału.

- Zrobisz to dzisiaj?

- Nie, najpierw Bard musi się dowiedzieć o mojej decyzji. Tyle jestem mu winna.

- A co z Callie?

- Powiem jej, kiedy będzie trochę starsza. Nie chcę, żeby od kogoś obcego dowiedziała się, kto jest jej biologicznym ojcem.

- Cieszę się. Życ z kłamstwem to jak smażyć się w piekle.

- Maisy, ty przecież nie wierzysz w piekło.

- Bo i po co? Sami sobie stwarzamy problemy, diabeł nie musi się fatygować.
  - W diabła też nie wierzysz.
  - O tym właśnie mówię.
  - Co powie Christian? - Julia słyszała dochodzący ze stajni śmiech Callie. - Stracił dziewięć lat swojego życia i całe dotychczasowe życie Callie. Będzie miał do mnie żal.
- Maisy położyła dłoń na ramieniu córki.
- Świadomość, że ma się dzieci, zmienia wszystko, cały nasz sposób patrzenia na świat, sposób podejmowania decyzji. A oto i oni. Wracają.
  - Jak wyglądają razem?
- Maisy zniżyła głos.
- Jak ojciec i córka.

### Fragment niepublikowanej powieści „Fox River”

Maisy Fletcher

Po wyjściu Iana do świtu zastanawiałam się, jak odejść od niego. Byłam młoda, ale miałam dość rozsądku. Nie zrobiłam nic złego, a jednak Ian mnie zbił. Wszystkie moje wysiłki szły na darmo. Wiedziałam, że nigdy nie zadowolę mojego męża, choćbym nie wiem jak bardzo się starała. Iana nikt nie był w stanie zadowolić.

Jeśli zamierzał przekonać mnie, że jestem nic niewarta, nie udało mu się osiągnąć celu. Zaczęłam jednak wątpić w siebie, obwiniałam się o to, że nasze małżeństwo się nie układa. Podnosząc na mnie rękę, Ian przekroczył wszelkie granice. Wiedziałam, że są mężowie, którzy biją swoje żony, uczono mnie też, że żona niekiedy zasługuje na lanie. Teraz, kiedy dołączyłam do ich grona, zrozumiałam, jak fałszywe były te nauki.

Żaden mężczyzna nie powinien nigdy podnosić ręki na kobietę. Z żadnego powodu. Kiedy opuścił mnie lęk, pojawiła się wściekłość, a na końcu smutek.

Rano mój plan był niemal gotowy. Korzystając z nieobecności Iana, zamierzałam pojechać do Annie, gdy tylko wrócą z Paulem z podróży poślubnej do Hiszpanii. Chciałam zatrzymać się u nich, a potem wrócić do Nowego Jorku. Wiedziałam, że matka i bracia nie przyjmą mnie z otwartymi ramionami, ale w Wirginii zostać nie mogłam, bo

bałam się, że jeśli będę blisko, Ian nie da mi spokoju. Gdyby matka rzeczywiście pokazała mi drzwi, byłam zdecydowana pojechać za Annie i Paulem do Chicago.

Czułam, że będę tęskniła za Ianem. Może to brzmieć dziwnie, ale kiedy nie wpadał w gniew, był uroczym człowiekiem, wspaniałym kochankiem i partnerem do ciekawych rozmów. Podziwiałam jego przywiązanie do Fox River, łowów i Wirginii. Miałam do końca życia opłakiwać to, że nie ziściły się nasze marzenia.

Nie mogłam jednak dopuścić, żeby zbił mnie znowu.

Podniosłam się z łóżka, wyprostowałam się i przeszył mnie tak straszliwy ból w podbrzuszu, że opadłam na łóżko. Nie mogłam chwycić tchu. Byłam przerażona. Musiałam odnieść jakieś obrażenia wewnętrzne.

Powoli usiadłam i spojrzałam na drzwi łączące moją sypialnię z sypialną Iana. Ostatnio byłam tak zajęta, że nie zwracałam uwagi na cykl miesięczny. Okres się spóźniał, ale przypisywałam to forsownym treningom na Ognistej.

Dopiero teraz pomyślałam, że mogę być w ciąży.

I stracić dziecko. Dziecko, którego Ian tak pragnął i które mogłam poronić przez jego postępowanie.

Gdy ból ucichł, ostrożnie wstałam. Chciałam pójść do łazienki i sprawdzić, czy nie krwawię. Ból odezwał się znowu z taką siłą, że mimo woli chwyciłam się za brzuch i kilka razy głośno jęknęłam.

Albo obudziłam tym Iana, albo i on nie spał przez całą noc, bo po chwili pojawił się w moim pokoju z taką miną, jakbym to ja jego zbiła.

- Luiz... - Jego twarz wykrzywił grymas. - Jesteś chora?

- Nie. Zostaw mnie samą. Proszę...

- Coś ci jest. Co się dzieje?

Jego głos brzmiał tak łagodnie, że przez chwilę nie rozumiałam, co do mnie mówi. Zwiódł mnie czuły ton i żal, który dojrzałam w oczach męża.

- Obudziłam się... - Kolejna fala bólu zaparła mi dech w piersiach.

- Gdzie cię boli? Dotknęłam brzucha.

Zanim zdołałam coś powiedzieć, wziął mnie na ręce i zaniósł do łóżka.

- Nie podnoś się. Nie powinnaś się ruszać.

- Nie wiem... Może to...
- Jesteś w ciąży?
- Dotąd nie myślałam, że mogę być przy nadziei, ale teraz...

Ian zrozumiał, co mi grozi.

- Zadzwoń do doktora Carnesa. Poproszę, żeby natychmiast przyjechał.
- Co mu powiesz, kiedy zobaczy moją twarz? Ian przysiadł na krawędzi łóżka.
- Potrafisz mi wybaczyć?

Zobaczyłam w jego oczach łzy, których nigdy bym się nie spodziewała.

- Nie wiem, co się stało - wyznał zdławionym głosem. - Diabeł mnie opętał.

Chciałbym, żebyś zrozumiała...

- Nie potrafię. - Odwróciłam twarz.
- Przestałem myśleć.

Gdybym nie spojrzała na niego, byłabym bezpieczna, lecz popełniłam błąd, bo spojrzałam. Zobaczyłam łzy na jego policzkach i skruchę w oczach. Zrobiło mi żal mojego męża.

- Kocham cię - wykrztusił. - Ożeniłem się z tobą z miłości. Gdybyś potrafiła mi wybaczyć moje zachowanie... Gdybyś tylko zdołała...

Ujął moją dłoń. Nie cofnęłam jej. Nigdy nie byłam dotąd przez nikogo kochana. Tak strasznie, tak rozpaczliwie kochana. Miłość Iana warta była dla mnie każdego cierpienia.

Byłam pewna, że Ian nie przyczyni mi już więcej bólu. Prawdopodobnie nosiłam jego dziecko. Jeśli go nie stracę, myślałam, wkrótce staniemy się prawdziwą rodziną. Dam mojemu mężowi upragnionego potomka i wszystko się zmieni.

- Powiedz, że mi wybaczasz - szepnął.

Otarłam mu łzy i powiedziałam to, co chciał usłyszeć.

Następne miesiące spędziłam w łóżku. Rzeczywiście spodziewałam się dziecka. Służba była na każde moje zawołanie, spełniała każdy mój kaprys, a Ian dbał o mnie bardziej niż o swoje pełnej krwi klacze.

Byłam przekonana, że urodzę dziewczynkę. Nie dzieliłam się tym przekonaniem z mężem, bo dla niego było oczywiste, że dam mu syna. Bałam się kłótni w sprawie, na którą żadne z nas nie miało najmniejszego wpływu.

Dwa miesiące spędziłam w łóżku, aż wreszcie doktor Carnes orzekł, że mój stan jest na tyle dobry, iż mogę wstać. Cięża była już widoczna, poruszałam się wolniej, musiałam zmienić suknie. Zaczęliśmy bywać i zapraszać gości. Jako brzemiennej wybaczone mi niefortunne zachowanie w Dzień Dziękczynienia i przestano plotkować na mój temat.

Przed wyjazdem Annie i Paula do Chicago wydaliśmy pożegnalną kolację. W sześć tygodni później zegnaliśmy także państwa Jones.

Pod koniec ciąży Ian zaproponował, żebym zaczęła szydełkować kaftaniki dla naszego dziecka. Siedzieliśmy wieczorem w salonie przy otwartym oknie, rozmawialiśmy i rozkoszowaliśmy się zapachami płynącymi z ogrodu.

Wybrałam żółtą włóczkę i zabrałam się za robótkę.

- Mój syn nie będzie przecież nosił żółtego kaftanika, Luizo - powiedział Ian żartobliwym tonem. Ten ton i troskliwość, jaką okazywał mi przez ostatnie miesiące, uspiły moją czujność.

- Może powinnam wybrać kolory waszego klubu, ciemną zieleń i purpurę?

- Dobry pomysł.

- Wiesz, że może się urodzić dziewczynka? Jeśli odziedziczy po mnie włosy i karnację, będzie jej ładnie w żółtym.

Ian nagle zamilkł, a ja zatopiłam się w swoich myślach.

- Lepiej, żeby to nie była dziewczynka, Luizo - powiedział wreszcie.

Podniosłam wzrok.

- Nie mówisz chyba poważnie?

- Wiesz, że chcę mieć syna.

- Wiem - próbowałam udobruchać męża. - Kiedyś będziesz go miał.

- Nie chcę córki. Może później, kiedy już urodzisz mi kilku synów.

- Kochanie, wspólnie poczęliśmy to dziecko. Jeśli urodzi się dziewczynka, możesz wychować ją tak, żeby być z niej dumnym.

- Córka nigdy nie może stać się powodem do dumy. Kobiety to nierozumne stworzenia. Moja matka była najgłupszą istotą na świecie.

Z jednej strony byłam ciekawa usłyszeć coś o przeszłości Iana, z drugiej ogarnęło mnie oburzenie, że z takim lekceważeniem wyraża się o mojej płci.

- Nigdy nie mówisz o rodzicach, Ianie. Jacy oni byli?

- Mój ojciec był człowiekiem stanowczym i pracowitym, o żelaznym charakterze. To on doprowadził Fox River Farm do obecnej świetności.

- A twoja matka?

- Była słaba. Gdyby stała na torach i pędził na nią pociąg, nie miałyby dość siły i rozumu, żeby zejść na bok.

- Nie byliście sobie bliscy.

- Miłość ojca mi wystarczała.

- Nie wszystkie kobiety są nierozumne. Możesz wychować naszą córkę na dzielną, mądrą...

Prychnął ze wzgardą.

- Dość o tym! Urodzisz chłopca. Jestem tego pewien.

Byłam tak przygnębiona, że kilka minut później uciekłam do swojej sypialni, mówiąc, że czuję się bardzo zmęczona. Długo nie mogłam zasnąć. Portrety rodziców Iana zaintrygowały mnie i zasmuciły. Lekceważenie dla matki graniczyło z goryczą, a ojciec o twardym charakterze wydawał się odstręczającą postacią. Wychowywał Iana żelazną ręką.

Zaczęłam się bać o nasze dziecko, nieważne, chłopca czy dziewczynkę.

Pewnego wyjątkowo upalnego dnia, na miesiąc przed wyznaczonym porodem, poszłam do kuchni, by zadysponować zimną kolacją. Tak naprawdę chciałam porozmawiać z kucharką, która urodziła się w Fox River i całe życie tu spędziła.

- Możesz opowiedzieć mi o rodzicach Iana, Lettie? Tak niewiele o nich wiem.

- Panienska Claudia była dobrą niewiastą, ale nigdy nie potrafiła postawić się mężowi. Ona kruszyna, a pan Andrew wielki, wyższy od pana Iana. A jak potrafił krzyknąć! - Lettie pokręciła głową. - Nie chciałabym więcej usłyszeć takich wrzasków.

- Bała się męża?



- Wszyscyśmy się go bali. Ja to bym poszła precz z Fox River, gdyby nie to, żem się tu urodziła. To mój dom. Pan nigdy na mnie nie krzychał. Wiedział, że jakby krzyknął, to więcej już by mnie nie zobaczył.

- Ale i tak się go bałaś?

- Tymi swoimi wielkimi łapskami mógłby człowieka na pół złamać. Wołałam schodzić mu z drogi. A jak umarł, tom sobie zatańczyła.

Zniżyłam głos.

- Był srogi dla Iana?

- Bił syna, choć nie tak często jak panienkę Claudię. Jakby się nie starała, zawsze znalazł jakiś powód.

Zakręciło mi się w głowie, pot wystąpił na czoło.

- Bił ją?

Lettie spojrzała na mnie ze zrozumieniem.

- Jak mój raz mnie uderzył, to kazałam mu wynosić się z domu.

- Seth cię uderzył? - Lettie od trzydziestu lat była żoną naszego ogrodnika.

- Nie. Pierwszy mąż. Seth nigdy nie uderzył żadnej kobiety.

- Pani Sebastian umarła przed mężem?

- Ano. Po mojemu straciła chęć do życia.

Próbowałam sobie wyobrazić mojego męża, dorastającego w cieniu rodzinnego dramatu. Czego się nauczył? Gorzej, czego nie był w stanie zapomnieć?

- Jak panience podać tego kurczaka? Całego, czy w kawałkach? - zapytała Lettie.

Tego wieczora zaczęły się bóle i Ian zadzwonił po doktora Carnesa. Pojawiła się też położna. Męczyłam się przez dwa dni. Byłam pewna, że umrę, albo że już umarłam i diabeł w piekle rozrywa mi brzuch pazurami.

Ian nie odchodził od mojego łóżka. Przemywał mi twarz zimną wodę i zapewniał, że już niedługo będzie po wszystkim.

Trzeciego ranka, kiedy doktor już szykował się do interwencji chirurgicznej, bóle jeszcze się wzmogły. W godzinę później przyszła na świat nasza córeczka.

Iana nie było, oczywiście, w pokoju. Spojrzałam na drobne ciało noworodka i nic więcej nie pamiętam. Jak potem powiedziano, prawie się wykrwawiłam i przeżyłam tylko dzięki umiejętnościom doktora Carnesa.

Jeszcze później dowiedziałam się, że z powodu komplikacji przy porodzie najprawdopodobniej nie będę mogła mieć więcej dzieci.

Płakałam przez wiele godzin, aż wreszcie otarłam łzy. Chciałam mieć córkę i miałam ją. W głębi duszy lękałam się kolejnych ciąży. Teraz nie miałam już czego się obawiać.

Dopiero na drugi dzień po porodzie zobaczyłam Iana. Nie pytałam go ani o to, jak przyjął wiadomość o córce, ani co myślał, kiedy walczyłam ze śmiercią, a już na pewno nie zamierzałam pytać, jak zareagował na wiadomość, że jego żona, jedyna klacz w ludzkiej stajni Iana, najpewniej nigdy więcej nie da mu potomka.

Trzymałam córeczkę w ramionach, gdy mąż wszedł do pokoju.

Patrzyłam na niego i czekałam, co powie. Byłam rada, że położna jest obok mnie, a doktor w przedpokoju.

- Lepiej się już czujesz? - zapytał Ian bardzo uprzejmie.

Skinęłam głową. Położna odebrała dziecko ode mnie i podeszła do Iana.

Nie wyciągnął rąk. Stał i chłodno przyglądał się maleństwu.

- Trudno się nią zachwycić - powiedział.

- Wszystkie noworodki tak wyglądają - wyjaśniła położna. - Ma piękną mamę i przystojnego ojca. Wkrótce będzie ślicznym niemowlakiem.

- Chciałbym zostać na chwilę sam z żoną.

- Tylko nie za długo. Pani Sebastian musi wypoczywać.

Ian uśmiechnął się zimno i położna znikła, zabierając naszą córeczkę ze sobą.

- Wybrałaś już imię?

Wszystkiego się spodziewałam, tylko nie tego pytania. Czekałam na wyrzuty, że zawiodłam męża.

- Podoba mi się Alice - powiedziałam. - A może Ann albo Annie?

Ian stracił wszelkie zainteresowanie sprawą imienia swojej córki.

- Nazwij ją według własnego uznania.

- Może Alice Ann?

- Dobrze się zastanów, bo wygląda na to, że więcej nie będziesz miała takiej okazji.

Łzy napłynęły mi do oczu.

- Doktor może się mylić, Ianie.

- Przekonamy się.

- Wiem, że chciałeś mieć syna.

Machnął ręką i wyjął z kieszeni pudełeczko.

- Mąż powinien podarować położnicy coś z biżuterii. Taki jest obyczaj.

Był to sznur pięknych pereł.

- Och, Ianie...

- Należały do mojej matki. Pomyślałem, że powinnaś je mieć, by w swoim czasie przekazać... Alice. - Wypowiedział to imię z dużym niesmakiem.

Pomyślałam o kobiecie, która je nosiła. Kobiecie, która nigdy nie była w stanie zadowolić swojego męża.

- Czy dostała je od twojego ojca?

- To prezent ślubny od jej rodziców.

Nie wiem, jak bym zareagowała, gdyby perły okazały się prezentem od ojca Iana. Ale Claudia dostała je w dniu ślubu, być może ostatnim szczęśliwym dniem swojego życia. Były znakiem złudnej nadziei...

Lecz dla Alice nadzieja wciąż istniała.

- Są śliczne. Bardzo ci dziękuję. - Spróbowałam się uśmiechnąć. - Zastanawiam się, czym byś mnie obdarował, gdybym urodziła chłopca.

- Miałabyś moją dozgonną wdzięczność.

- To więcej warte niż jakikolwiek klejnot, kochanie.

Uśmiechnął się chłodno i wyszedł z pokoju. Nie widziałam go potem przez cały czas połogu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

O świcie następnego dnia Christian stał przy płocie i obserwował, jak Samantha ujeżdża nową klaczkę, śliczną jak obrazek i chyżą jak gazela. Ktoś całkowicie pozbawiony ucha i krzty wyobraźni nazwał ją Kuzynką Mack.

Spoconą kasztankę Samantha podprowadziła wreszcie do bramy, ustępując tor innemu trenerowi.

- Jest bardzo ładna.
- Peter wiąże z nią duże nadzieje.
- Pasujecie do siebie: dwie rude piękności.
- Jeśli Peter będzie chciał wystawiać Mack w gonitwach, ktoś inny musi ją układać.

Ja jestem za ciężka.

- Mogłabyś mniej jeść.
- Nie mam zamiaru. Chcę się czuć jak człowiek.
- Tiffany idzie dziś do szkoły?
- Tak. Zawiozłam ją do koleżanki. Na lekcje pojedą szkolnym autobusem. Chyba nie wstałaś tak wcześnie, żeby rozmawiać o Tiffany?

- Chciałem cię złapać, zanim ruszę ze sforą na pierwsze polowanie. Muszę ci powiedzieć, co wczoraj usłyszałem, Samantho.

- Rozumiem, że to coś ważnego. Mów mi Sam, tak wolę.
- Rozmawiałem wczoraj z Caroline Watson i jeszcze kilkoma innymi osobami z twojej listy. - Christian zawahał się. - Nie spodoba ci się to, co usłyszysz.
- Dzięki za ostrzeżenie, ale jeśli chodzi o Joachima, nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć.

- Caroline twierdzi, że Joachim dostarczał Fidelity narkotyki. Wiedziałaś o tym?
- Kiedy byłam w ciąży, zaczęłam coś podejrzewać. Joachim nie zmartwił się na wiadomość o dziecku, chociaż ciąża oznaczała, że nie będę mogła pozować. Nie miałam pracy, ale w domu zawsze były pieniądze, a grając w polo raczej trudno się wzbogacić.
- Podejrzewałaś, że twój mąż handluje narkotykami?

- Myślałam, że ma bogatą kochankę, ale byłam młoda i spodziewałam się dziecka. Czułam się bardzo rozczarowana, bo nasze małżeństwo okazało się niewypałem. - Wzruszyła ramionami. - Chyba nie chciałam znać prawdy.

- Teraz wierzysz?

- Powiedzmy, że to dla mnie paskudne zaskoczenie, ale mogło tak być. - Sam zatrzymała się przed wejściem do stajni. - Wiem jedno, Joachim nie byłby w stanie nikogo zabić. Nie miał w sobie zajadłości. Pewnie dlatego był miernym graczem w polo.

- Może Fidelity miała go dość i zaczęła mu grozić, że doniesie na policję...

- Wtedy musiałyby się przyznać, że kupowała od niego towar.

- Czy Joachim byłby zdolny wynająć kogoś, żeby zabił Fidelity?

- Zandoffa? - Sam zastanawiała się długo nad pytaniem Christiana. - Nie wiem. Raczej niemożliwe, ale o narkotykach też nie miałam pojęcia. Mogłam nie wiedzieć o wielu innych sprawach.

- Następne pytanie. Czy Joachim zostawił coś? Listy, dokumenty, wyciągi bankowe? Cokolwiek, co mogłoby stanowić źródło informacji?

- To pierwsze łatwe pytanie. Po śmierci Joachima wynajęłam ekipę, która spakowała wszystkie jego rzeczy i zawiozła do magazynu. Meble sprzedałam. Pomyslałam, że to, co zostało, Tiffany będzie mogła któregoś dnia przejrzeć i jedne rzeczy zatrzymać, a innych się pozbyć.

- Wczoraj powiedziałaś, że chętnie wybrałabyś się gdzieś ze mną wieczorem...

- Wspaniała propozycja. Ty i ja w magazynach firmy Mace!

- Innej randki nie mogę ci zaproponować.

Julia polubiła Yvonne i nabrała do niej absolutnego zaufania. W trakcie kolejnych sesji coraz swobodniej mówiła o sobie.

Gdy tego ranka Yvonne wróciła do propozycji hipnozy, Julia, co prawda z ociąganiem, lecz jednak się zgodziła.

- Przepraszam cię, że ostatnio zareagowałam tak gwałtownie.

- Wygląda na to, że przemyślałaś sprawę.

- Jeśli chcę odzyskać wzrok, powinnam spróbować wszystkiego. Tylko obiecaj, że nie każesz mi machać rękami i pisać jak kogut.

- Zaczniemy spokojnie. Będziesz miała świadomość, co się wokół ciebie dzieje. Jeśli nie zaakceptujesz jakiegoś pytania, natychmiast przerwiemy. Na początek proste ćwiczenie. Przypomnisz sobie jakiś miły dzień.

Julia zamknęła oczy i osunęła się w miękkim fotelu. Odprężyła się przez kwadrans, posłuszna wypowiedzanym kojącym głosem wskazówkom terapeutki.

- Wyobraź sobie, że stoisz na szczycie schodów. Nie są wysokie, nie musisz się bać, że spadniesz. Zaraz zejdziesz do bawialni, gdzie buzuje ogień w kominku, i usiądziesz przed telewizorem. Za chwilę zacznie się twój ulubiony program, a może historia twojego życia. Nie spiesz się, schodź powoli. Program nie zacznie się, dopóki nie zwiniesz się wygodnie na kanapie. Schodź stopień po stopniu, po każdym kroku weź głęboki oddech. Jesteś ubrana w luźne rzeczy, które lubisz. Czujesz się lekka jak piórko, jakbyś płynęła w powietrzu.

Julia straciła poczucie czasu. Kiedy siedziała już przed telewizorem, miała wrażenie, że otula ją kocyk bezpieczeństwa.

- Po twojej prawej ręce leży pilot. Kiedy będziesz gotowa, włącz telewizor. Obejrzyj zaraz historię swojego życia. Jeśli poczujesz się zmęczona albo nie będziesz chciała oglądać kolejnych scen, wyłączysz telewizor.

- Dobrze. - Julia była zdziwiona, że pomimo absolutnego zrelaksowania może mówić i że jej głos brzmi zupełnie normalnie.

- Chwilę jeszcze będziesz siedziała z zamkniętymi oczami. Kiedy je otworzysz, znajdziesz się z powrotem w moim gabinecie. Zapamiętasz wszystko, co widziałaś i co robiłaś. Patrz i opowiadaj mi, co się dzieje na ekranie. Telewizor ma wiele kanałów, jest dużo programów. Wybierz ten, który opowiada o szczęśliwym dniu w twoim życiu. O dniu, kiedy czułaś, że nie może być lepiej, a cały świat masz na wyciągnięcie ręki.

- Tak daleko mam się cofnąć?

- Jak daleko masz tylko ochotę.

Pokój wydawał się zupełnie rzeczywisty. Ogień dawał miłe ciepło. Julia nacisnęła pilota i zaczęła oglądać własną przeszłość.

- Wiesz, Julio, ty i Christian czasami jesteście naprawdę drętwi. To tylko skręt. Nic wam się nie stanie, jak weźmiecie sztacha. Zza krzaków nie wyskoczy gliniarz, by was aresztować. Mam rację, Robby?

Czwórka przyjaciół leżała na trawiastym pagórku w Ashbourne.

- Nikt nigdy jeszcze mnie nie aresztował - powiedział Robby.

- W końcu cię przymkną, jak wciąż będziesz wciskał gaz do dechy na szosie - powiedziała Julia tonem pouczenia i odegnała dłonią dym. Christian powtórzył jej gest, a Robby podał skręta Fidelity.

Był ciepły, leniwy dzień, wiał lekki wietrzyk, zbliżał się wieczór. Za miesiąc cała czwórka miała wrócić do szkół. Fidelity do Swarthmore, Robby do Yale, Julia do William and Mary College, a Christian na studia wieczorowe na George Mason University.

Gdyby nie skręt, Julia mogłaby uznać dzień za wyjątkowo udany.

- Czy wy w ogóle wiecie, co to przyjemność? - drwiła Fidelity. - Dobrze, nie musicie nic mówić, chyba że podzielicie się pikantnymi szczegółami.

Christian zaśmiał się.

- Czy dla ciebie nie ma nic świętego, Fidelity?

- Świętego, jak w kościele? - prychnęła. Robby wcisnął w trawę dopalony skręt, wyciągnął się na kocu i zapatrzył w niebo.

- To jest święte - mruknął.

- Och, kochany jesteś - ucieszyła się Fidelity. - Nie wiedziałam, że nasze towarzystwo jest dla ciebie aż tak ważne.

Julia była zdziwiona. Robby rzadko dzielił się swoimi odczuciami.

- Fidelity trzeba wykładać kawę na ławę, inaczej niczego nie zrozumie - pouczył Robby'ego Christian.

- Za to Julia jest inna - powiedział Robby. - Ma głębokie życie wewnętrzne.

- A ty? Jaki jesteś, Robercie Claymore? - zainteresowała się Fidelity. - Masz jakąś tajemnicę?

Robby zastanawiał się przez chwilę.

- Tajemnicę? Nie. Chyba chcę tego, czego pragnie większość ludzi

- Mianowicie?

- Własnego miejsca pod słońcem.

- Masz je. - Fidelity wskazała na niebo. - No, może już nie. Słońce szybko zachodzi, ale wciąż jeszcze świeci.

- A ty, Fidelity, czego chcesz? - zapytał Christian.

- Wszystkiego. I to jak najszybciej.

- Do czego tak się spieszysz?

- Nie wiem. Świat jest wspaniały, a ja chcę mieć jego kawałek dla siebie. To miałeś na myśli, Robby?

- Nie znam nikogo, kto byłby tak zachłanny na życie jak ty - odpowiedział.

- A ty? Nie jesteś zachłanny? - Fidelity połaskotała Robby'ego po nosie żdźbłem trawy.

Julia zachichotała. Fidelity zawsze flirtowała i zabawnie było patrzeć, jak Robby włącza się do gry, którą podejmują tylko bardzo zżyci z sobą ludzie.

Christian przeciągnął się.

- Chciałbym przeżywać więcej takich dni. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym zamknąć się w laboratorium albo w biurze. Chcę żyć pod otwartym niebem...

- I pocić się w słońcu Wirginii.

- Zgadza się - przytaknął Christian. - Dosiadać najpiękniejszych koni, jakie Bóg stworzył. Ułożyć życie sobie i Julii...

- Ejże - obruszyła się. - Sam je będziesz układał?

- Nie, z twoją pomocą i przy twoim pełnoprawnym udziale we wszystkich decyzjach - poprawił się Christian.

Cała czwórka wybuchła śmiechem.

- I ja chciałabym zostać w Ridge's Race. Tu mielibyśmy dom...

- Nie w Ashbourne? - zapytała Fidelity ze swoim zaśpiewem. - Stare, kochane Ashbourne już ci nie wystarczy?

- Dom - ciągnęła Julia, jakby nie słyszała pytania. - Dzieci, konie i wy oboje tak blisko, jak teraz.

- A ty? - Fidelity znowu zwróciła się do Robby'ego. - Wystarczy ci miejsce pod słońcem?



- Wystarczy, jeśli będzie naprawdę moje.

- No wiesz - zdziwiła się. - Trudno wyobrazić sobie miejsce, które byłoby bardziej twoje. Jesteś panem na Claymore Park, synu. Obywatelem Ridge's Race. Nie ma w całej okolicy laski, która nie ściągnęłaby majtek, gdybyś ją o to poprosił. Jesteś cudowny i tak mądry, że mógłbyś jak równy z równym pogadać z samym Einsteinem...

- Dawno nie żyje - zauważyła Julia. Fidelity machnęła ręką.

- Robby jest tak zdolny, że potrafiłby przywrócić go do życia. Pod tą wyniosłą maską kryje się wrażliwe serduszko, co?

Robby chwycił Fidelity za rękę i wyrwał jej źdźbło trawy.

- Wszystko cię śmieszy?

- Wcale mnie nie śmieszysz. Uważam, że jesteś wspaniały.

Julia poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Fidelity bywała samolubna i próżna, ale kochała Robby'ego równie mocno jak Christiana i ją samą. Była zachłanna na życie, ale sama potrafiła dawać z siebie pełnymi garściami.

- To już coś - mruknął Robby.

- Wszyscy uważamy, że jesteś wspaniały - powiedziała Julia. - Jesteś jednym z nas. Zawsze będziesz z nami. To się nigdy nie zmieni, Robby. Wiem, że zawsze będziemy razem.

Magazyny Acme były idealnie utrzymane, tylko w schowku wynajmowanym przez Samanthę cuchnęło pleśnią, jakby pozostałości po Joachimie ulegały nieodwracalnemu rozkładowi.

- Jesteś pewien, że chcesz przeszukać te pudła? - upewniła się Samantha. - Uprzedzam, to nie będzie proste.

- Kartony są opisane. Do tych z książkami i szkłem nie będziemy zaglądać. - Firma, która przed laty likwidowała mieszkanie Joachima, zrobiła skrupulatne spisy zawartości każdego kartonu. Christian zgromadził w jednym miejscu te, których przejrzanie może dać efekty. - Zaczniemy od tych?

- Chyba powinniśmy zawieźć je do mnie i tam spokojnie wszystko posortować. Mam butelkę dobrego bordeaux, którą dostałam od Petera, kiedy mój koń wygrał gonitwę Foxfield Meet.

Sam miała rację. Nie wytrzymałoby długo w zimnych pomieszczeniach Acme.

- Przeglądamy według jakiegoś systemu? - zapytała, gdy siedzieli w niewielkiej bawialni w jej domu.

- Ty będziesz otwierała pudła. Jeśli znajdziesz coś, czego nie będziesz chciała mi pokazać, odłóżysz na bok, a ja przejrzę resztę.

- A wino?

- Później. W nagrodę za ciężką pracę.

Zabrali się do przeglądania pudeł. Mieszkanie Samantha, przytulne, pachnące potpourri i bardzo kobiece, było równie miłe jak jego właścicielka.

Przy piątym kartonie Sam wybuchła śmiechem.

- Tutaj jest zawartość kosza. Spakowali nawet śmieci.

- Mam nadzieję, że nie z kuchni?

- Nie, z gabinetu Jo. Tu nic nie znajdziemy.

- A jednak je przejrzę.

Christian rzeczywiście nie znalazł nic poza opakowaniami po batonikach i nieistotnymi notatkami na żółtych kartkach samoprzylepnych.

Dopiero w dziesiątym pudle natrafili na wyciągi bankowe z ostatnich trzech lat życia Joachima. Samantha uznała, że przyszła pora na wino. Przyniosła butelkę, miskę z krakersami i usiadła na podłodze koło Christiana.

- Co mam robić? - zapytała.

- Ja zacznę od najdawniejszych wyciągów, ty przeglądaj ostatnie.

- Czego szukamy?

Christianowi chodziło o wysokie wpłaty bądź wypłaty, choć nie oczekiwał, że znajdzie informację o przelewie dokonany na nazwisko Karla Zandoffa.

- Czy Joachim miał stałą pracę, Sam? - zapytał po dłuższej chwili. - Albo sponsora, który regularnie go opłacał?

- Nie wiesz, jak zarabiają gracze w polo?

- Nie mam pojęcia.

- Najkrócej mówiąc, to gra dla bogatych ludzi. Taki bogaty amator płaci krocie zawodowym graczom za to, że może grać w ich drużynie. Joachim potrafił zarobić od

dziesięciu do dwudziestu tysięcy w czasie jednego turnieju. Najlepsi zarabiali jeszcze więcej.

Christian gwizdnął cicho.

- To znaczy, że nie miał regularnych wpływów?

- Ale za to mnóstwo wydatków i szeroki gest.

- Tu są regularne wpłaty: dwa razy w miesiącu sześćset dolarów, miesiąc w miesiąc.

- Pokaż. - Zaskoczona Samantha patrzyła na wyciągi. - Dziwne. To niewielkie sumy, ale wpływały regularnie, jakby ktoś dał stałe zlecenie przelewu.

Przelewy zaczęły przychodzić na kilka miesięcy przed śmiercią Fidelity i wpływały przez rok, potem się urwały. Christian przejrzał jeszcze wyciągi z kart kredytowych i zamknął oczy.

- Muszę zrobić przerwę. Nie mogę dłużej czytać, bo przestaję cokolwiek rozumieć - powiedział.

- Jesteś zmęczony?

- Jestem dyslektykiem. Z wiekiem jakoś się uporałem z tą wadą, ale kiedy się męczę, patrzę na słowa i nie jestem w stanie ich zrozumieć.

- Wiesz, Callie ma ten sam problem. Jest mądra i zdolna, ale czytanie sprawia jej ogromny kłopot. Co wieczór musi ćwiczyć z Julią.

Trochę go to zdziwiło, chociaż dysleksja jest częściej spotykaną przypadłością, niż się powszechnie przypuszcza.

- Callie wczoraj mi powiedziała, że babcia kupiła jej książkę z obrazkami o układaniu psów. Myślałem, że Maisy wybrała ilustrowany podręcznik, bo mała ma zaledwie siedem lat.

- Osiem. - Samantha wróciła do przeglądania zawartości pudła. - Kalendarzyki. Joachim zapisywał wszystko. Jest też kalendarzyk z tego roku, kiedy zginęła Fidelity.

Chciała podać go Christianowi, ale cofnął jej dłoń.

- Ty czytaj, proszę. Zaczynij... powiedzmy od marca. Zobaczymy, czy znajdziemy coś ciekawego. W razie czego cofniemy się do początku roku.

- Mecz. Piwo z kumplami. Spotkanie z M.I.

- Wiesz, o kogo chodzi?

- Nie. Spotkali się w barze, w Leesburgu. Zobaczą, czy inicjały będą się powtarzać.

W następnych dniach Joachim nie robił nic interesującego poza wizytą u weterynarza i treningami.

- Tu jest coś zapisane na marginesie. - Samantha zmrużyła oczy. - „Pech ze sprzedażą. Raport dla M.I.”. - Opuściła kalendarzyk na kolana. - Co chciał sprzedać? Narkotyki? Konia? Gracze w polo dorabiają sobie, trenując konie dla amatorów.

Christian wzruszył ramionami.

- M.I... Inicjały jakiejś stajni w Middleburgu?

- Wątpię. Spotykał się z tym kimś w barze, więc chodzi raczej o nazwisko. O, kolejna ciekawa notatka: „Znowu próba sprzedaży. F. grozi”.

- F? Fidelity? - Christian wyprostował się. - Większość kalendarzyków ma na końcu puste strony. Zobacz, czy nie ma tam jakichś zapisków.

- Kilka dat urodzin znajomych. - Sam przerzuciła kartkę. - Numery telefonów. Jest numer Fidelity. Jest też jakiś Miles Inchman.

- Nie sądzę, żebyś znalazła numer Zandoffa?

- Nie.

Wrócili do zapisków dziennych. Spotkania z Inchmanem powtarzały się przez kilka miesięcy.

- Posłuchaj tego - ożywiła się Samantha. - „Fidelity grozi, że mnie sypnie. Ha,ha! M.I. się uśmieje”.

- Mam przyjaciela w biurze szeryfa. Zadzwońię do niego i zapytam, czy w czasie dochodzenia pojawiło się nazwisko Milesa Inchmana.

- Fidelity, Joachim, Inchman, Zandoff. Wierzysz, że uda ci się powiązać ze sobą całą czwórkę? Obawiam się, że szukasz igły w stogu siana.

Christian oparł głowę o zapiecek kanapy.

- Pójdę już. Powiniennem dać ci odpocząć.

- Zostań jeszcze chwilę. Wypijemy wino.

Samantha siedziała tuż obok Christiana. Nachyliła się i pocałowała go w usta. Nie cofnął się, nie protestował. Przyjął pocałunek.

Kiedy się odsunęła, z trudem chwycił powietrze.

- Dawno tego nie robiłeś, prawda?
- Straciłem technikę.
- Wcale nie - oburzyła się Samantha.

Przygarnął ją do siebie i teraz on ją pocałował. Po latach w więzieniu poczuł, jak ogarnia go płomień. Samantha ocknęła się pierwsza.

- Powiedz mi, Christianie, kochasz nadal Julię? Jeśli tak, to lepiej nie zaczynajmy.
- W miesiąc po moim aresztowaniu wyszła za innego.
- Skazali cię na dożywocie. Chyba nie spodziewałeś się, że będzie na ciebie czekać?
- Nie sądziłem, że tak szybko wyjdzie za mąż.
- Musiała myśleć o Callie.

Zapadła cisza. Pożądanie minęło tak szybko, jak przyszło, ale mózg nie pracował jeszcze normalnie.

- Callie?

Samantha zrobiła wielkie oczy, nagle bowiem zrozumiała swój błąd.

- Wiesz, rzeczywiście zrobiło się późno. Christian chwycił ją za rękę.
  - Powiedziałaś dzisiaj, że Callie ma osiem lat. Kiedy wypadają jej urodziny?
- Samantha pokręciła głową.

- To nie jest rozmowa dla nas, Christianie.
- Ale ją dokończymy, gdy już zaczęliśmy.
- Nie mam ci nic do powiedzenia. Callie nie jest moją córką.

Nie musiała mówić nic więcej. Christian już wiedział. Zrozumiałby wcześniej, gdyby nie był tak pochłonięty uczeniem się życia na wolności.

Wiedziałby, gdyby Julia nie zachowała tajemnicy. Tymczasem pozwoliła mu trwać w przekonaniu, że Callie jest córką innego mężczyzny.

Zamknął oczy.

- Ależ ze mnie idiota!
- Christianie, wierz mi, nie chciałam, żebyś usłyszał o Callie ode mnie. To sprawa Julii.
- Ale podejrzewałaś. Od kiedy?

- Od momentu, kiedy cię poznałam. Callie jest do ciebie tak bardzo podobna, spędzasz z nią dużo czasu, dałeś jej szczeniaka. Myślałam, że wiesz. Bardzo mi przykro. - Samantha była bliska płaczu.

- Callie jest blondynką, a Bard i Julia mają ciemne włosy. Jest dyslektyczką jak ja. - Christian kręcił głową. - Ma osiem lat. Byłem pewien, że siedem. Maisy pisała o niej w swoich listach, ale odczekała wiele miesięcy, zanim wspomniała o urodzeniu się wnuczki. Nie przyszło mi do głowy, że Callie może być moją córką.

- Może jednak nie jest. Kto wie... Christian gwałtownie przerwał Samancie.

- Pójdę już.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Uważaj, nie zrób nic, czego później byś żałował.

- Żałuję, że umknęło mi dzieciństwo mojej córki. - Christian podniósł się. - Skończymy jutro przeglądać papiery Joachima, jeśli się zgodzisz.

- Posłuchaj mnie. Proszę, postępuj rozważnie. Dobrze się zastanów, zanim zaczniesz rozmowę z Julią.

Christian zmarnował już tak wiele czasu, że nie zamierzał więcej tracić choćby godziny.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Julia ubłagała Maisy, żeby tego wieczoru nie czytała swojej powieści. Chciała odpocząć od biednej Luizy, która, jak tyle innych kobiet, źle ulokowała swoje uczucia.

Teraz żałowała, że wymówiła się od wysłuchania kolejnego rozdziału. Nie mogła usnąć. Znalazła kapcie, szlafrok i po cichu, by nikogo nie budzić, poszła do kuchni, potem ze szklanką wody wyszła na ganek od frontu i usiadła w bujanym fotelu.

W pewnej chwili wyrwał ją z zamyślenia odgłos zbliżającego się samochodu. Nadstawiła uszu. Ashbourne leżało na uboczu, rzadko kto tędy przejeżdżał, a na gości pora była zbyt późna. Nie mógł to być też Bard, bo odgłos silnika bmw poznałaby od razu. Samochód zatrzymał się przed domem, kierowca wyłączył silnik i rozległo się trzaśnięcie drzwiczek. Julia już chciała wejść do domu i obudzić Jake'a, gdy usłyszała głos Christiana.

- To ja.

Opadła z powrotem na fotel.

- Przestraszyłeś mnie.

- Co robisz tu sama? - Głos się zbliżył.

- Usiłuję przekonać samą siebie, że pora spać. A ciebie co sprowadza?

- Przez całą drogę zadawałem sobie to pytanie. Pytałem sam siebie, dlaczego miałabyś teraz powiedzieć mi prawdę, skoro ukrywałaś ją przez dziewięć lat?

Julia nie zamierzała ani sekundy dłużej oszukiwać Christiana. Podniosła się z bujaka.

- Chodźmy gdzie indziej. Wszyscy w domu śpią. Nie chcę ich budzić.

- Moja córka też? Pytanie przyszło niby cios.

- Callie poszła spać o dziewiątej.

- Jedźmy gdzieś w takim razie.

- Jestem w szlafroku.

- Nie szkodzi.

Christian zaprowadził Julię do samochodu i pomógł jej wsiąść.

- Dokąd jedziemy? - zapytała, gdy włączył silnik.

- Gdzie nie będziemy musieli mówić szeptem.

- Masz zamiar krzyczeć na mnie?

Nie odpowiedział.

Jechali jakiś czas w milczeniu. Julia rozpaczliwie pragnęła wszystko Christianowi wytłumaczyć, wiedziała jednak, że nie ma dobrych wyjaśnień. Nie pozwoliła mu cieszyć się dzieckiem, choćby i w więzieniu. Zgodziła się, by ojcem Callie został człowiek, który nigdy nie potrafił jej pokochać.

Christian zahamował i wyłączył silnik.

- Gdzie jesteśmy?

- Nad strumieniem, niedaleko miejsca, gdzie przychodziliśmy pływać.

- Zamierzałam ci powiedzieć - zaczęła Julia bez wstępów - ale najpierw chciałam uprzedzić Barda o swojej decyzji. W ostatnich dniach nie mogłam się doprosić, żeby przyjechał do Ashbourne.

- Miał usłyszeć, że prawdziwy ojciec Callie wreszcie pozna prawdę?

- Tak. Zaraz po twoim powrocie nie wiedziałam, jak postąpić. Tyle ostatnio zmieniło się w moim życiu. Straciłam wzrok, odeszłam od męża. Bałam się, jak Callie zareaguje, oraz co powie Bard. Rzecz dotyczy tylu osób...

- Tak, mnie i mojej córki. - W głosie Christiana zabrzmiał sarkazm.

- Również mnie, oraz, czy tego chcesz, czy nie, także Barda. To jego nazwisko widnieje na świadectwie urodzenia Callie. Ożenił się ze mną, żeby dać jej nazwisko.

- Bo nikt nie mógł się dowiedzieć, że ojcem Callie jest morderca skazany na dożywocie?

- Myślisz, że łatwo coś takiego wytłumaczyć małemu dziecku?

- Mogłaś jej powiedzieć, że tata jest w więzieniu, ale nie zrobił nic złego i któregoś dnia wszyscy zrozumieją, że jest niewinny.

Julia zaczęła płakać.

- Znienawidziłeś mnie tamtego fatalnego dnia w sądzie. Potem, gdy okazało się, że jestem w ciąży, chciałam ci o tym powiedzieć, ale twój prawnik powtarzał, że odmawiasz widzenia ze mną. Wysłałam do ciebie list, lecz ty odesłałeś go bez otwierania.

Christian milczał.

- Nie wiedziałam, co robić. Skazali cię na dożywocie.



- A ty uciekłaś pod skrzydła Barda Warwicka.

- Podtrzymywał mnie na duchu w czasie procesu. Był przy mnie, kiedy potrzebowałam czyjejś obecności. Pilnował, żebym jadła, nie spędzała całych dni w łóżku, bym czymś się zajęła. Gdy zapadł twój wyrok, wiedziałam już, że jestem w ciąży. To musiało stać się podczas naszej ostatniej nocy...

- Tak...

- Poza rodzicami i Bardem nikt nie wiedział o dziecku. Maisy chciała, żebym została w Ashbourne i tu je wychowywała.

- Mogłaś zdecydować się na aborcję. To chyba lepsze niż urodzić dziecko mordercy?

- Myślisz, że mogłabym zabić twoje dziecko? Tylko ono mi zostało. Nie rozumiesz? Callie była dla mnie wszystkim. Tak jak ty.

Christian nie odzywał się przez chwilę.

- Dlaczego, skoro byłem dla ciebie wszystkim, ukryłaś przede mną fakt, że zostałem ojcem? Tak, nie chciałem się z tobą widzieć, odesłałem twój list, ale mogłaś powiadomić mnie przez adwokata.

- W końcu uznałam, że wiedząc o tym, cierpiałbyś jeszcze bardziej.

- Zrobiłaś to dla mojego dobra? - W głosie Christiana ponownie zabrzmiał sarkazm.

- Zrobiłam to dla dobra nas wszystkich. Bard chciał się ze mną ożenić, zapewniał, że będzie dobrym ojcem. Potrzebowałam wsparcia. Ktoś musiał prowadzić mnie za rękę, mówić, co mam robić, a Bard akurat jest w tym dobry. Ty potrzebowałeś spokoju, jeśli można w ogóle mówić o spokoju. Nasze dziecko potrzebowało życia bez obciążeń.

Zdecydowałam się wyjść za Warwicka.

- Tak po prostu?

- Miałam dwadzieścia lat.

- Teraz masz dwadzieścia dziewięć.

- Zamierzałam ci powiedzieć, ale chciałam uprzedzić Barda o swojej decyzji. Tyle przynajmniej należy mu się ode mnie.

- Ale mnie nie byłaś winna prawdy?

- Cały czas byłam ci ją winna.

- Przynajmniej w tym się zgadzamy. Christian włączył silnik i ruszył.

- Co zamierzasz? - spytała.

- W jakiej sprawie?

- Musimy zastanowić się, jak postąpić wobec Callie.

- Nie wiem.

- Nie możesz jej powiedzieć prawdy, Christianie. Jeszcze nie teraz. To dla niej za trudne. Jej kontakty z Bardem nie układają się najlepiej.

- Domyślam się. To nic miłego udawać ojca dziecka innego faceta, ale nie rozumiem, jak sobie to wszystko wyobrażasz. Mam czekać, aż ich stosunki się poprawią, a za kilka lat mimochodem wspomnieć Callie, że jestem jej tatusiem?

- Sama jej powiem, kiedy będzie starsza. Ona już cię uwielbia. Kiedy pierwszy szok minie, będzie szczęśliwa, że jest twoją córką.

- A do tego czasu? Wyobrażasz sobie, że twój mąż będzie pozwalał widywać mi się z nią? Przyjmie mnie do grona najbliższych?

- Znajdziemy sposób, żebyś mógł spotykać się z Callie. To nie ja uniemożliwiłam ci wychowywanie własnego dziecka, tylko wymiar sprawiedliwości stanu Wirginia. Przrzekam, że będziesz mógł spędzać z Callie tyle czasu, ile tylko zechcesz.

- Powiedz, jak mogłaś twierdzić, że mnie kochasz, a potem zrobić coś takiego?

Julia przypomniała sobie swój najszcześniejszy dzień, który wrócił dzięki Yvonne, i zaczęła płakać.

- Kochałam cię tak bardzo, że potem przez całe lata nie mogłam odnaleźć siebie.

- Ktoś mnie dzisiaj spytał, czy nadal cię kocham.

Julia otarła łzy rękawem szlafroka.

- Zawieź mnie do domu. A może już dojechaliśmy? - Samochód stał od kilku minut z wyłączonym silnikiem.

- Nie chcesz wiedzieć, co odpowiedziałem?

- Pytanie padło, zanim zrozumiałeś, że jesteś ojcem Callie, czy potem?

Christian nie odpowiedział.

- Kiedy przestałaś mnie kochać? - zapytał w końcu.

- Nigdy.

Otworzył drzwiczki i zamknął je tak cicho, że musieli być w Ashbourne. Po chwili Julia poczuła jego dłoń na ramieniu.

- Ostrożnie. Pomogę ci wysiąść.

Zachwiała się na stopniu, straciła równowagę i wpadła mu w objęcia.

Pocałował ją z taką pasją, że siła pocałunku w pierwszej chwili przestraszyła Julię, ale lęk zaraz minął i przyszło uniesienie. Marzyła o tej chwili, chociaż nie śmiała o niej myśleć.

Otworzyła się na niego, jak nigdy nie otworzyła się na Barda, bo mąż nie oczekiwał od niej tak wiele. Czowała niecierpliwe dłonie Christiana na piersi, na udach.

- Do diabła, co my robimy? - Christian pierwszy ochłonął. - Wracaj do domu, Julio.

- Ja...

- Nic nie mów. Idź do domu. Zaprowadzę cię. Powtórz ode mnie swojemu mężowi, że chcę poznać swoją córkę. A co jeszcze usłyszysz od ciebie, nic mnie nie obchodzi.

Stała przez chwilę na ganku, słuchając, jak Christian odjeżdża.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY**

Christian tej nocy nie zmrzążył oka. Ponieważ on i Peter umówieni byli na śniadanie z kobietą, którą rok w rok trzeba było przekonywać, żeby otworzyła swój majątek dla Mosby Hunt, postanowił przedtem zadzwonić do Pinky'ego. Chciał mu powiedzieć, czego się dowiedział o Joachimie Hernandezie i Inchmanie. Każde zajęcie było dobre, jeśli tylko pozwalało nie myśleć o Julii i Callie.

- O Inchmanie niewiele mogę powiedzieć, poza tym, że spudłowałeś - stwierdził Pinky, kiedy obudzony ze snu wysłuchał dokładnej relacji Christiana.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Spotkajmy się. O dziesiątej trzydzięci? Może wtedy będę mógł powiedzieć coś więcej.

Christian odwiesił słuchawkę, nie mogąc doczekać się nowin, które miał mu przekazać Pinky.

Następne dwie godziny spędził z Peterem. Złożyli wizytę Sally Faxhall, starej damie, która była zachwycona, że ktoś ją odwiedził. W końcu zgodziła się otworzyć swoje tereny dla myśliwych, ale Christian przez cały czas myślami był gdzie indziej.

- Jesteś jakiś nieswój - zauważył Peter, gdy dojeżdżali do Claymore Park. - Coś się stało?

- Trudno jest wracać do życia, które zostawiło się za sobą.

- Niedługo wpadniesz w taki wir roboty, że nie będziesz miał czasu czymkolwiek się martwić.

Peterowi wszystko wydawało się jasne i proste. Gdy omawiali sprawy związane z przygotowaniem do pierwszego polowania, na dziedzińcu pojawiła się Rosalita.

- Masz gościa! - zawołała do Christiana.

Przemknęło mu przez głowę, że to może Julia chce dokończyć rozmowę zaczęta ostatniego wieczoru, ale na jego powitanie szeroko otworzyła ramiona wielebna Bertha Petersen.

- Co tu robisz, Bertho? Jak mnie znalazłaś?

- Naczelnik mi powiedział, gdzie mieszkasz.

- Przysłał cię, żebyś namówiła mnie do powrotu za kratki?
  - Sampsen wie, że jesteś niewinny, ale nie mógł przeboleć, że cię traci. Bał się, że cały program diabli wezmą.
  - A wzięli?
  - Nie. Javier go prowadzi i świetnie sobie radzi. Christiana ucieszyła ta wiadomość.
  - Jadę właśnie do Ludwell, ale pomyślałam, że zбочę z drogi i zobaczę, jak żyjesz.
  - Jest mi trudno - odparł Christian, ujęty serdecznością Berthy.
  - Nie jest tak łatwo, jak by się chciało, prawda? Christian spróbował się uśmiechnąć.
  - Wiesz coś o tym?
  - Nigdy nie jest łatwo, a jeszcze trudniej żyć ze świadomością, że ukradziono ci tyle lat. Opowiedz mi o sobie. Tylko mnie i temu facetowi na górze.
  - Jeśli nawet jest tam jakiś facet, na pewno już zatkał uszy.
  - Bóg ma poważniejsze sprawy na głowie niż nasze drobne doświadczenia. Ale one nam się przytrafiają i uczymy się wyciągać z nich wnioski. Nigdy nie byłeś sam.
  - To dlaczego tak się czuję?
  - Nie będę ci dzisiaj streszczała ewangelii. Powiedz po prostu, co się dzieje?
- Usiedli na ławce przy oczku wodnym. Christian opowiedział o Julii, o próbach dojścia prawdy w sprawie Fidelity, wreszcie o Callie. Gdy skończył, był przerażony własną szczerością.
- Nie możesz zrozumieć, dlaczego twoja ukochana tak postąpiła, prawda? Dlaczego dwudziestoletnia dziewczyna, której życie się rozpadło, podejmuje podobną decyzję? Czujesz się zraniony, bo wolisz tak się czuć. W głębi duszy wszystko rozumiesz, ale boisz się otworzyć serce przed tą kobietą.
- Christian wyrzucił wreszcie z siebie to, czego nie powiedział nawet Julii.
- Nadal ją kocham.
  - Wiem.
- Wyznał wszystko, ale nie czuł się oczyszczony.
- Nie mogę cię namawiać, żebyś zniszczył jej małżeństwo. To chciałeś usłyszeć?
  - Wiem, że tego nie mogłabyś powiedzieć.

- Namawiam cię jednak, żebyś jej przebaczył. Tylko w ten sposób odzyskasz spokój, zostawisz za sobą przeszłość. Musisz zacząć wszystko od początku, cokolwiek miałyby to znaczyć. Julia jest matką twojego dziecka.

Bertha podniosła się i wyciągnęła dłoń na pożegnanie.

- Zdażyłeś już zapomnieć, ale życie bywa czasami łatwe i dobre. Jeszcze zaznasz takich chwil. Tymczasem skup się na tym, co najważniejsze, czyli opiekuj się swoją córką. Ona wkrótce się dowie, że jesteś jej ojcem. Będziesz patrzył, jak dorasta i poczujesz, że dokonałeś czegoś wspaniałego. Julia dała ci Callie, prawda? To bardzo dużo. Mogła unicestwić to ledwo poczęte życie, ale wybrała trudniejszą drogę. Chciała dobrze i podjęła najlepszą z możliwych decyzję.

Christian na próżno szukał w sobie gniewu. Był to jego stary znajomy, który dawał poczucie bezpieczeństwa, ale teraz gdzieś zniknął za sprawą dziecka, które Julia starała się chronić w jedyny sposób, w jaki potrafiła.

Callie. Jego córkę.

- Cieszę się, że przyjechałam - powiedziała Bertha. - Coś mi mówiło, że muszę się z tobą pogawędzić.

- I ja się cieszę, że znów cię zobaczyłem. Zajrzyj tu jeszcze kiedyś.

- Może ty wybierzesz się do mnie. Nadstawiam uszu na to, co się wokół dzieje i wiem, że jesteś człowiekiem, który może coś zrobić dla innych. Dla takich jak ty, niewinnie skazanych. Kto lepiej od ciebie wie, co ci ludzie przeżywają? Powinieneś im pomóc.

- Znajdź ich, wielebna, a wtedy pogadamy.

Pinky już czekał na Christiana w restauracji.

- Mam niewiele czasu - oznajmił. - Tego, co powiem, nie słyszałeś ode mnie, jasne?

- W porządku.

- Miles Inchman jest tajniakiem. Robi w narkotykach. Opłaca informatorów.

Christian poderwał głowę.

- Płacił Joachimowi?

- Hernandez pracował dla niego mniej więcej przez rok. Fidelity znalazła się na jego liście, ale ta spryciula w jakimś momencie przestała brać. W chwili śmierci była zupełnie

czysta. Nie ćpała od kilku miesięcy i pewnie nikomu nie zagrażała. Nic nie wiedziała o handlu narkotykami, więc nikt nie miał powodu, żeby ją zabić.

- No to utknąłem w martwym punkcie. - Christian uśmiechnął się krzywo.

- Podobnie jak policja. Dlatego stałeś się wygodnym podejrzanym. Nie było żadnych tropów. Sprawa zamknięta i nikt nie zechce jej ponownie otwierać. Po to się z tobą spotkałem, żeby ci powiedzieć: daj sobie spokój. Niczego nie znajdziesz. Szkoda twojego czasu.

- Może Fidelity natknęła się na coś, o czym nie powinna była wiedzieć?

Pinky podniósł oczy do nieba.

- To tylko przypuszczenia.

- Za co ludzie w Ridge's Race mogliby kogoś zabić, Pinky?

- Za cokolwiek. Jak wszędzie.

- Myślę o gruntach. Znasz ten zakątek hrabstwa. „Rozwój” to słowo, na dźwięk którego u nas się spluwa.

- Nie chwytam.

- Dave Myers mówił mi, że mniej więcej wtedy, kiedy zginęła Fidelity, miał zacząć dużą inwestycję w pobliżu South Land, ale deweloperowi nie udało się kupić działek.

- Stary, teraz się wygłupiłeś! Wiesz o tym? Christian wiedział. Nie miał ani przygotowania, ani instrumentów, żeby prowadzić dochodzenie. Miał tylko motywację.

- Zandoff twierdzi, że pracował dla firmy budowlanej, a w pobliżu majątku Sutherlandów miała ruszyć budowa dużego osiedla. Fidelity ginie zamordowana przez Zandoffa. Wszystkie elementy układanki zdają się pasować do siebie, a ja nie potrafię ich złożyć.

- Nawet jeśli je złożysz, być może nie zobaczysz obrazka.

- Muszę spróbować.

- I chcesz, żebym ci w tym pomagał.

- Tak. Chcę wiedzieć, czy ktoś pamięta tamtych deweloperów, a także konflikty związane z wykupem gruntów.

- I wtedy sobie odpuścisz?

Christian odpowiedział tylko:

- Dobry z ciebie kumpel.

- Chris, to najzimniejszy trop na południe od chaty Świętego Mikołaja. Zapomnij o przeszłości.

Rada brzmiała niemal identycznie, jak ta, której udzieliła mu Bertha.

- Pomyślę o tym.

- Zrób to.

Kiedy Christian wrócił do Claymore Park, Peter już na niego czekał.

- Chciałbym przejechać się szlakiem, którym ruszy pierwsze polowanie. Sprawdź, czy wszystko w porządku i czy nie ma nieprzewidzianych przeszkód.

- Jechać z tobą?

- Liczyłem na to.

Christian osiodłał Rangera i dołączył do Petera na dziedzińcu przed stajniami.

W milczeniu przejechali przez łąkę, na której niedawno odbyła się parada, a niedługo będzie wydawane uroczyste śniadanie otwierające sezon łowiecki. Potem skręcili na południe i miedzą wzdłuż pól kukurydzy dotarli do leśnego traktu.

- Kiedy wreszcie nauczyłeś Robby'ego dosiadać konia, często wybieraliśmy się tu na przejażdżki, tylko we dwóch - powiedział nagle Peter.

Christian pomyślał, że „często” nie jest najtrafniejszym określeniem. Peter i Robby jakoś się porozumiewali, ale ich wzajemne kontakty nigdy nie były zbyt serdeczne.

- Zawsze chciałem, żeby Robby był prowadzącym psy - ciągnął Peter. - Jak mój ojciec. A potem Harry Ashbourne. Harry był świetnym prowadzącym i wspaniałym jeźdźcem. Potrafił też być tyranem, ale zawsze w końcu to on miał rację. Wrażliwy człowiek o żelaznym charakterze.

Christian był ciekaw, na ile Julia wdała się w ojca.

- Maisy brała wtedy udział w polowaniach? Peter uśmiechnął się.

- Wszyscy byli zdziwieni, że właśnie ona została żoną Harry'ego. Delikatna, drobna...

- Maisy?

- A tak, Maisy. Dopiero z wiekiem nabrała tuszy. Była śliczną dziewczyną.

Niejeden facet smalił do niej cholewki.



A więc Maisy kiedyś uchodziła za piękność. Christian chętnie o tym słuchał.

- Dlaczego tak was zdziwiło to małżeństwo?

- Cóż, Harry był starszy i na swój sposób surowy. Taki sokół. A Maisy była motylem. Chociaż tak różni, stanowili dobraną parę. Harry wielbił żonę, chociaż jej umiejętności jeździeckie doprowadzały go do rozpacz. Podług zwykłych standardów Maisy jeździła bardzo dobrze, ale Harry oczekiwał więcej. Pamiętam, jak na nią patrzył, gdy nie widziała, że ją obserwuje. W jego oczach było tyle miłości i dumy. Oddałby za nią życie. To był najsmutniejszy dzień w historii Mosby Hunt, kiedy Harry zginął.

Christian nie pamiętał już szczegółów wypadku.

- Sam pojechał do lasu? - zapytał.

- Tak. Kiedy wieczorem nie wrócił do domu, stajenny z Ashbourne zaczął go szukać. Koń też nie wrócił. Znaleźli go z wodzami zaplątanymi w gałęzie, prawie oszalałego. Trzeba było trzech ludzi, żeby go poskromić. No i od razu wiedzieli, że coś złego przytrafiło się Harry'emu. Szukali go kilka godzin, nawet psy niewiele pomogły. Ale w końcu w lesie nad strumieniem znalazły ciało. Leżało koło przeskoiku, którego żaden z myśliwych nigdy nie odważył się wziąć, poza Harrym, który po prostu przefruwał nad nim. Miał skrecony kark. Pewnie umarł natychmiast.

- To dlatego Maisy zamknęła Ashbourne dla polowań?

- Zapewne, ale powtarzam ci, że Harry przewraca się w grobie.

Peter zsiadł z konia, chcąc sprawdzić, czy jedna z przeszkód jest w takim stanie, w jakim oglądał ją ostatnim razem. Zadowolony, wskoczył z powrotem na siodło.

- Trochę dalej nad strumieniem jest lisią nora. Zajrzyj tam - poprosił Christiana. - Ja muszę już wracać, bo mam po południu spotkanie. Wiosną widziałem koło niej trzy małe, potem już ich nie spotkałem.

Po kwadransie Christian dojechał do opisanego przez Petera miejsca i zeskoczył z konia. Zrazu nic nie zwróciło jego uwagi, ale po chwili kątem oka dojrzał jakiś ruch między drzewami. Lisi nedorostek, który wygrzewał się w słońcu na płaskim kamieniu, przewrócił się leniwie. W tej samej chwili wyczuł Christiana i poderwał się. Przez moment zwierzak i człowiek mierzyli się wzrokiem, po czym lisek czmychnął w las.

Po raz ostatni Christian widział lisa z tak bliska w dniu śmierci Fidelity. Też wybrał się wtedy do lasu z Peterem i po drodze spotkali młodzika. Nie wiedział, że to ostatnia przejażdżka wolnego człowieka i że na następną przyjdzie mu czekać wiele, wiele lat.

- Muszę zapamiętać to miejsce - powiedział wtedy Peter. - Widzi mi się, że gdzieś w pobliżu mieszka cała lisia rodzina.

Wyjechali wcześniej z domu, bo chcieli obejrzeć klaczkę, którą Frank Sutherland wystawił na sprzedaż. Christian miał służyć Peterowi radą i pomocą. Pojeździł na klacze, kiedy panowie rozmawiali o cenie, a gdy już dobili targu, ruszył z Peterem w drogę powrotną.

- Konie to wspaniałe stworzenia - powiedział ot tak sobie, bo myślami był już gdzie indziej. Wieczorem miał spotkać się z Julią.

- A jeśli chodzi o wspaniałe stworzenia - podjął temat Peter. - Wiesz, że panna Sutherland wybrała się dzisiaj na konną przejażdżkę z Robbym na Płomieniu? Frank dziwił się, że jej na to pozwoliłeś.

- Pojechała na Płomieniu?

Piękny kasztanek był oczkiem w głowie Christiana. Miał stawać w gonitwach, a nie służyć do przejażdżek po lesie.

- Fidelity wie, że nie powinna go dosiadać. To jeszcze niemal żrebak, zupełnie nieułożony i nie do zabawy.

- Pewnie dlatego go wzięła, a mój synek okazał się niewiele mądrzejszy od niej.

- Jeszcze dzisiaj z nią porozmawiam.

Dosiadając Płomienia, Fidelity ryzykowała własne bezpieczeństwo i życie młodego konia. Gdyby coś przytrafiło się ogierowi, miesiące pracy Christiana poszłyby na marne. A gdyby coś stało się Fidelity... Wprost gotował się ze złości.

Dojeżdżali do Claymore Park, gdy Peter odezwał się znowu:

- Prosiłeś Fidelity, żeby jej ojciec porozmawiał ze mną?

Christian nic nie rozumiał.

- O czym?

- Frank powiedział mi, że zostałeś przyjęty na studia dyplomowe na University of Michigan.

Wiosną Christian, mając dość łączenia pracy ze studiami wieczorowymi, wysłał podanie o stypendium na kilka uniwersytetów. Miał bardzo dobrą średnią i świetne rekomendacje od swoich profesorów. Jeden z nich szczególnie polecał Michigan.

- Owszem, odpowiedzieli pozytywnie, ale nie oni jedni. Wolałbym studiować na University of Virginia, ale za późno wysłałem podanie. Jeśli ktoś, komu przyznali stypendium, zrezygnuje, zajmę jego miejsce.

- Frank sugerował, żebym napisał do Michigan z prośbą o pełne pokrycie kosztów twoich studiów. Sam robiłem tam dyplom.

Christian wiedział o tym, ale nie chciał nikogo prosić o pomoc.

- Mój ojciec był trudnym człowiekiem, ale nauczył mnie, jak samemu stać na nogach, od nikogo niczego nie oczekując.

- Gdyby Gabe potrafił przyjmować pomoc, może żyłby do dzisiaj.

Peter rzadko był tak bezpośredni, nieczęsto poruszał tematy osobiste. Christian był bardzo zaskoczony.

- Napiszę do rektora, chyba że mi powiesz, bym tego nie robił.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Peter zawsze był dla niego bardzo dobry, traktował go jak członka rodziny i chociaż Christian, gdy nie był w szkole, pracował w stajni, to wiedział, że nigdy nie odrobi długu zaciągniętego wobec Claymore'a. Teraz też nie chciał sprawić mu przykrości.

- Lubię ludzi, którzy wiedzą, co znaczy duma. Niewielu dzisiaj ich spotkasz - ciągnął Peter, nie doczekawszy się odpowiedzi. - Duma i honor to rzeczy, za które warto umrzeć. Tak naprawdę liczy się tylko dobre imię.

- Jestem panu niezmiernie wdzięczny za tę propozycję, ale martwi mnie, że z pana pomocą dostanę te pieniądze, a wtedy będę chciał je przyjąć.

Peter parsknął śmiechem.

- Chodzi o Julię Ashbourne?

Christian poczuł, że oblewa się rumieńcem.

- Tak.

A więc dlatego Fidelity usiłowała wyekspediować go przy pomocy ojca i Petera na odległy uniwersytet. Gdyby wyjechał do Michigan, widywałby Julię tylko w czasie wakacji.

- Zatem nie napiszę do rektora. Panna Sutherland musiała coś pokręcić.

- Pokręcić?

- Frank zrozumiał, że ty i panna Ashbourne chcecie odpocząć od siebie.

Christian zupełnie zgłupiał.

- Nie, nie chcemy.

- Mam znajomości na University of Virginia.

Propozycja brzmiała kusząco, ale Christian pokręcił głową.

- Dziękuję, ale więcej będzie dla mnie znaczyć, jeśli sam zdobędę stypendium.

- Młodym teraz wszystko łatwo przychodzi, czego nie można powiedzieć o tobie.

Jestem z ciebie dumny, Christianie,

- Dziękuję panu.

Resztę drogi do Claymore Park przebyli w milczeniu. Christian zastanawiał się, co Fidelity chciała osiągnąć, wtrącając się w sprawy jego i Julii. Był zły, że wzięła Płomienia bez jego zgody, teraz ogarnęła go wściekłość.

Wieczorem, po zajęciach, postanowił zajrzeć do South Land i rozmówić się z Fidelity. Znał ją dobrze i wiedział, jak potrafi być niebezpieczna i nieprzewidywalna, kiedy się przy czymś uprze.

On sam też był młody i porywczy. Musiał się z nią zobaczyć. Nie wiedział jednak, co zastanie w domu Sutherlandów.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Wczesnym popołudniem Julia z pecyną gliny w dłoniach siedziała na ganku. Na dziedzińcu Callie i Tiffany uganiały się za Clover. Ashbourne, wypełnione chichotem dziewczynek i wesołym ujadaniem suki, zdawało się rozbrzmiewać muzyką.

Zaskrzybiały siatkowe drzwi i rozległ się głos Maisy:

- Dobrze się bawią.
- Clover to najwspanialszy prezent, jaki Callie kiedykolwiek dostała.
- Mogę dotrzymać ci towarzystwa?
- Oczywiście. - Julia powiedziała tego ranka matce o odkryciu Christiana. Maisy

przyjęła wiadomość z ulgą, ale, o dziwo, nie wypytywała o szczegóły. Na szczęście, bo nocna rozmowa nie nadawała się do powtórzenia.

- Nad czym pracujesz?
- Nie wiem.

Glina mimo woli przybierała formę męskiej głowy, przynajmniej w wyobraźni Julii.

- Jak dzisiejsza sesja?

Karen zawiozła rano Julię do Warrenton i Yvonne znowu poddała ją hipnozie.

- Rozmawialiśmy o Fidelity i o tym, jak się czułam po jej śmierci.
- To musiało być przykre.

Julia przerzuciła glinę z ręki do ręki.

- Wiesz, że pokłóciłyśmy się wieczorem przed morderstwem?
- Nigdy mi o tym nie mówiłaś.
- Przypomniałam sobie o tym dopiero pod wpływem hipnozy.
- Wiesz, o co się pokłóciłyście? Julia zaczęła modelować glinę.
- O Christiana i Robby'ego.

- To normalne. Sprzeczka między przyjaciółkami o chłopaków.

- Fidelity twierdziła, że jestem głupia, wiążąc się z kimś na stałe. Powinnam używać świata, jak ona. Mówiła, że Bard się za mną ogląda, namawiała, żebym zaczęła się z nim spotykać i zobaczyła, co z tego wyniknie. Nie mogła zrozumieć, że nie mam na to ochoty, bo znalazłam chłopaka, którego pragnę.

- Bardzo się pokłóciłyście?
- Z Fidelity trudno się było poważnie pokłócić, ale tym razem...
- A o co chodziło z Robbym?
- Fidelity uważała, że jest za mało pewny siebie.
- Miała rację. Był bardzo nieśmiały. Co złego w tym, że Fidelity próbowała go

ośmielić?

- Flirtowała z nim. Była przekonana, że w ten sposób podbuduje jego wiarę we własne zalety. Zawsze wierzyła w łatwe i proste rozwiązania. Chciała też koniecznie urządzić życie Christianowi, załatwić mu lepszy uniwersytet. Miałam już tego dość. Powiedziałam jej, żeby zostawiła nas w spokoju.

- A więc tak wyglądało wasze ostatnie spotkanie...

- Wyśmiała mnie. Wyszłam od niej wściekła. Teraz żałuję. Nie tak chciałabym zapamiętać naszą przyjaźń.

- Jak często kłóciłaś się z Fidelity?
- Nieczęsto. Na nią nie można się było gniewać.
- Czy twoja złość zrobiła na niej wrażenie?
- Ani trochę.
- Zatem mało prawdopodobne, żebyś przyprawiła ją o bezsenność.

Julia poczuła bolesny ucisk w gardle.

- Maisy, dlaczego nie mamy szansy pożegnać się z tymi, których kochamy?
- Czasami mamy.
- Ale nie ja.

Po bezsennej nocy, całym dniem ciężkiej pracy, długim spacerze z psami i kolacji przygotowanej przez Rosalite, Christian nadal czuł, że znowu nie zmruży oka.

Wiedział, co powinien zrobić.

Pojechać do Callie.

Nie zamierzał jej mówić, kim jest, ani rozpoczynać długiego procesu stawania się ojcem. Po prostu chciał ją zobaczyć, spojrzeć na nią po raz pierwszy jak na swoje dziecko.

Clover była znakomitym pretekstem. W końcu, o dziwo, okazała się jednak użyteczna. Postanowił, że zajrzy na kilka minut do Ashbourne i sprawdzi, jak się ma szczeniak.

Na wszelki wypadek zadzwonił i uprzedził o swoim przyjeździe. Telefon odebrała Maisy, która zapewniła go, że będzie mile widziany.

Już miał odłożyć słuchawkę, gdy postanowił dodać coś jeszcze.

- Rozumiem, dlaczego nie powiedziałaś mi o Callie.

- Cieszę się.

- Do zobaczenia.

Wziął prysznic i ogolił się, zupełnie jakby szedł na randkę. Włożył nową koszulę, nowe buty i wreszcie wyprawił się do Ashbourne.

Kiedy tam dotarł, Callie biegła z Clover przed domem. Wsiadł z samochodu i przez chwilę przyglądał się, jak mała rzuca patyki suce. Clover, jak łatwo można było się domyślić, nawet nie drgnęła, uznawszy widać, że zamiast aportować, powinna podziwiać to dziwne coś, co przelatywało nad jej głową.

Callie dostrzegła Christiana i rzuciła się w jego stronę.

- Cześć, Christian!

Chwycił małą w ramiona i długo jej nie puszczał. Miał wrażenie, że mógłby stać z Callie w objęciach przez całe życie. W końcu postawił dziewczynkę na ziemi.

- Widziałeś, jak Clover gapi się na patyki? - zapytała ze śmiechem. - Jak przyjedziesz następnym razem, będzie już aportowała.

- Tak myślisz?

- Wiem. Przyjechałeś zobaczyć się ze mną?

- Jasne.

- Fajnie! Chodź. - Callie pociągnęła Christiana w stronę Clover. - Chcesz zobaczyć, czego ją nauczyłam?

- Umieram z ciekawości.

Dziewczynka stanęła na wprost suki i spojrzała jej w oczy.

- Siad.

Suka pomerdała ogonem, lecz ani myślała wykonać polecenie.

- Siad - powtórzyła Callie.

Christian chciał już ostrzec córkę, że akurat ta komenda może okazać się wyjątkowo trudna dla Clover, gdy suczka właśnie zdecydowała się wykonać polecenie.

- Trzeba tylko zmusić ją, żeby uważała - tłumaczyła Callie. - Ja sama nie uważam na lekcjach i wiem, jak to jest.

Christian nachylił i pogłaskał suczkę.

- Ja też nie uważałem na lekcjach. Miałem kłopoty z czytaniem.

- Ojej! To jak ja.

- Chcesz usłyszeć dobrą wiadomość?

- Pewnie.

- W końcu się nauczyłem. Teraz bardzo lubię czytać. Callie była najwyraźniej zainteresowana jego historią.

- A co czytasz?

- Różne książki o psach i koniach, a także gazety, czasopisma, powieści. Lubię kryminały, bo zawierają trudne zagadki.

- Dla mnie czytanie jest jak zagadka.

Christian był zdumiony inteligencją Callie. No i niezmiernie dumny.

- Czytanie może być jak zagadka, nad którą warto się pogłowić.

- Jestem dobra w matematyce. Potrafię dodawać w pamięci. I umiem rysować. Jak mama. - Callie zniżyła głos. - Zanim straciła wzrok.

- Twoja mama zawsze dobrze rysowała. Pamiętam, jak przed laty często mnie portretowała.

- Byliście przyjaciółmi?

- Tak.

- Teraz też jesteście?

Na to pytanie już trudniej było odpowiedzieć.

- Od tamtej pory zdarzyło się wiele niedobrych rzeczy, Callie.

- Fidelity umarła.

- Tak. To było smutne.

- Bardzo smutne - odezwał się głos z tyłu.



Do Christiana i Callie podeszła Julia z kijem w dłoni, który służył za laskę. Zafascynowany rozmową z córką, Christian nie usłyszał jej kroków.

- Pojadę już - powiedział. - Wpadłem tylko na chwilę zobaczyć, jak Callie radzi sobie z Clover.

- Zaczekaj. - Julia wyciągnęła rękę i po kilku nieudanych próbach natrafiła na ramię Christiana. - Chcę, żebyśmy coś zrobili. Ty, ja i Callie. Znieśmy kwiaty na grób Fidelity.

Mała była zaintrygowana, a Christian zaskoczony.

- Teraz?

- Tak. Nie mogłeś się z nią pożegnać. Ja w pewnym sensie też. A Callie już wie, że była naszą przyjaciółką. To piękne miejsce. Czy słońce już zaszło?

- Niedługo zajdzie.

- Musimy się spieszyć. Pojedziesz?

Nie chciał się okłamywać. Nie potrafiłby odmówić Julii.

- Masz kwiaty?

- Maisy właśnie ścina astry, chryzantemy i co tylko ma w ogrodzie. Oczywiście Fidelity wolałaby orchidee, ale dzisiaj musi się zadowolić skromniejszym bukietem.

- Chcesz jechać z nami, Callie? - upewnił się Christian.

- Jeśli zabierzemy Clover...

- Oczywiście. Może uda jej się wytropić lisa.

- Naprawdę?

- Żartuję - powiedział Christian z uśmiechem.

Pojawiła się Maisy z naręczem kwiatów i kluczykami do swojego czerwonego pickupa. Cała czwórka: Julia, Callie, Christian i Clover, usadowiła się w samochodzie.

Christian chciał jechać na cmentarz w Ridge's Race, dopiero Julia wyjaśniła mu, że Fidelity została pochowana na rodzinnym cmentarzu.

- Tego dnia był straszny upał. Ludziom łyzy wysychały na policzkach. Dziewczyny ze szkoły jeździeckiej dziarsko odśpiewały „Zdumiewającą łaskę”. Ktoś grał na flecie. Pastor był oburzony. Powiedział, że jeszcze nie widział takiego pogrzebu i nie rozumie, jak można tak się zachowywać. To było najłagodniejsze stwierdzenie, jakie żałobnicy od niego usłyszeli.

Christian pomyślał, że czasami uwięzienie ma swoje dobre strony.

- Wierzysz w duchy, mamó? - zainteresowała się Callie.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Bo Fidelity może być duchem. A jeśli będzie nas straszyć?

- Nie, bo ona jest teraz aniołem - powiedział Christian, zanim zdążył pomyśleć.

Julia zaśmiała się cicho.

- Na pewno nie zgodziłyby się na taki przydział.

- Była naszą przyjaciółką - ciągnął Christian - a teraz jest aniołem stróżem Callie.

- To ja mam anioła stróża? - Mała na chwilę oniemiała z zachwytu.

- A dlaczego nie? Na drugie masz przecież Fidelity, prawda? - zapytał Christian.

- No tak.

- Zatem ona musi się tobą opiekować.

- Mam swojego anioła stróża - wyjaśniła Callie niezbyt uważnie śledzącej rozmowę suce, po czym zwróciła się do matki: - Christian mówi, że nauczę się czytać tak samo jak on.

Niedokładnie tak powiedział, ale nie próbował zaprzeczać.

- To dobrze, bo Christian może czytać wszystko - skomentowała Julia.

- Fidelity mi pomoże.

Pomysł z aniołem stróżem pojawił się nieoczekiwanie, ale Christian uznał, że nie wyrządzi córce szkody. Przy wjeździe do South Land zwolnił, mówiąc Julii, że są prawie na miejscu.

- Teraz musisz skręcić w lewo i pojechać drogą między płaczącymi wierzbami.

- Trudno o bardziej symboliczne drzewa. Kierując się wskazówkami Julii, dotarł na cmentarzyk ogrodzony niskim kamiennym murkiem.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział, gasząc silnik.

- A na niebie jest wielka tęcza - dodała Callie.

- Nie tęcza, tylko zorza wieczorna - sprostował Christian. - Ale wyjątkowo piękna.

Julia zsunęła szybę po swojej stronie.

- Tak tu cicho. Powinniśmy byli pochować ją pod podłogą dyskoteki.

- Ale bardzo ekskluzywnej - dodał Christian.

- Nie chowa się ludzi w dyskotekach! - obruszyła się Callie.

Clover zaczęła się wiercić, więc Christian ją wypuścił, a kiedy mała pobiegła za suką, podszedł do Julii.

Ścisnęła kwiaty, jakby mogły obronić ją przed wszelkim złem. Położył rękę na jej dłoni.

Zwróciła ku niemu oczy, jakby widziała każdy grymas przemykający przez jego twarz.

- Dlaczego chciałaś, żebyśmy tu przyjechali w trójkę?

- Dlatego, że Callie jest nasza. To bardzo ważne, by wiedziała, że nie mamy przed nią i przed sobą żadnych tajemnic.

- Nasza? - Christian zaśmiał się kwaśno. - Nasza i Barda Warwicka?

- Nie mówię o Bardzie. Chcę, by Callie zrozumiała, że postępujemy jak dorośli ludzie. Kiedy nadejdzie właściwy czas, będzie umiała zaakceptować prawdę.

- Julia przygryzła wargę i dodała: - Jeżdżę do terapeutki. Leczy mnie hipnozą.

- To chyba dobry pomysł - powiedział Christian z wahaniem.

- Mamusiu! - rozległo się wołanie od strony cmentarnej bramy.

- Co ona robi? - zaniepokoiła się Julia.

- Wisi na gałęzi i usiłuje zaczepić się o nią nogami.

- Czy to niebezpieczne?

- Nie, chyba że chcesz wychować ją na małą damę.

- Ani myślę. - Julia przyłożyła dłonie do ust i zawołała: - Uwóżaj, Callie! - Zwróciła się Chrystiana:

- Powiesz mi, jeśli spadnie?

- Obserwuję ją. Zaczęłaś mówić o hipnozie...

- Głupi pomysł, prawda?

- Jeśli tylko pomoże... - Christian uświadomił sobie, że rozmawiają z Julią jak para starych przyjaciół. Bronił się przed tym, ale dawne nawyki wracały. .

- Nie wiem, czy pomoże, ale przynajmniej przypomnę sobie rzeczy, które wyparłam ze świadomości.

- I które sprawiły, że straciłaś wzrok?

- Prawdopodobnie. Dzisiaj wróciłam w czasie sesji do ostatniej rozmowy z Fidelity. Pokłóciłyśmy się o ciebie.

- O mnie?

- O ciebie i Robby'ego. Fidelity namawiała mnie, żebym spotykała się z innymi chłopakami.

- Wiem.

- Wiesz?

- Dlatego byłem na nią taki zły w dniu jej śmierci. Pojechałem do South Land, żeby się z nią rozmówić.

- Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

- Uważałem, że po morderstwie Fidelity ta sprawa przestała się liczyć, a potem straciliśmy kontakt. Zresztą wtedy martwiłem się głównie o siebie i o to, jaki dostanę wyrok.

- Policji powiedziałeś, że Fidelity zirytowała cię, bo tamtego ranka wzięła ze stajni Claymore Park konia, na którym nie pozwalałeś nikomu jeździć.

- To był Płomień, dziki kasztanek. O to też się na nią zezłościłem.

- Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego to zrobiła.

- Często wymienialiśmy się końmi. Robby'emu pewnie wmówiła, że otrzymała moją zgodę. Lubiała przygody.

- Skąd wiedziałeś, że chciała, abym umawiała się z innymi chłopakami?

Christian powtórzył Julii rozmowę, którą odbył tamtego dnia z Peterem. Nie był pewien, czy powinna poznać całą prawdę, ale w końcu uznał, że musi być z nią szczery. Zbyt dużo między nimi było sekretów i niewyjaśnionych spraw.

- Po południu, kiedy pojechałem do miasteczka odebrać nową uprzęż, natknąłem się na Barda.

Pamiętał każdy szczegół owego spotkania. Wziął wtedy jedną z najbardziej zdezelowanych furgonetek należących do Claymore Park. Był zmęczony i spocony, a jazda bez amortyzatorów i klimatyzacji nie poprawiła mu humoru.

Przed zakładem rymarskim było jedno jedyne wolne miejsce do parkowania. Już miał je zająć, lecz srebrny jaguar okazał się szybszy.

Zablokował jaguarowi drogę wyjazdu, ustawiając się tuż za nim, i wysiadł z furgonetki.

- Od słowa do słowa i zaczęła się kłótnia. Bard groził, że zawoła policję, a potem, chcąc mi dopiec, powtórzył, co mu podobno powiedziała Fidelity: że chętnie byś się z nim umówiła. Miał rację?

- Nie widziałam świata poza tobą. Nie wiem, po co Fidelity bawiła się w głupie intrygi.

Christian usłyszał odpowiedź na swoje pytanie. Teraz winien był Julii całą prawdę. Oparł się o furgonetkę Maisy, nie spuszczać z oka siedzącej na drzewie Callie.

- Ja wiem po co, ale nie jest to zbyt miłe. Chcesz usłyszeć?

- Mów, proszę.

Najkrócej jak potrafił opowiedział o narkotykowych kłopotach Fidelity.

- W porę się wycofała, ale to oznaczało zerwanie ze znajomymi, którzy ćpali. Żyła w dwóch światach: naszym i tym drugim, dość niebezpiecznym.

- Skąd o tym wiesz?

- Po powrocie do domu rozpytywałem ludzi o ostatnie miesiące życia Fidelity. Moim zdaniem, bawiła się w intrygi z nudów. Może była zła, że musiała porzucić swój upojny tryb życia, a może walka z braniem okazała się trudniejsza, niż Fi przypuszczała. Całą swoją uwagę skierowała na nas, bo tylko my jej zostaliśmy.

Julia milczała przez chwilę, a kiedy się odezwała, w jej głosie brzmiały tłumione łzy.

- Była nieszczęśliwa i chciała, żebyśmy też nie zaznali szczęścia?

- Po prostu myślała, że wie, co dla kogo najlepsze. Chyba też jakoś była zazdrosna o nasz związek, chociaż nie sędzę, żeby to sobie uświadamiała. Na pewno celowo nie chciała nas zranić, próbowała tylko zapanować nad nami, kontrolować nasze losy.

- Dlaczego nigdy nie wspomniała mi o swoich kłopotach z narkotykami?

- Bo nie miała żadnych słabości i była doskonała. Zapomniałaś? Tak została wychowana. Jak mogłaby się przyznać, że zaplątała się w coś takiego?

- Bardzo mi jej brakuje. Nie pomogłam jej, kiedy mnie potrzebowała. - W oczach Julii zalśniły łzy.

- A ja co mam powiedzieć? Awantura z Bardem, odbiór i pakowanie upręży.

Gdybym kilka minut wcześniej pojawił się w South Land...

Julia poszukała ramienia Christiana.

- Niech Fidelity spoczywa w spokoju. To, co się stało, nie jest naszą winą. Zabił ją jakiś psychopata, a tobie przyszło zapłacić za zbrodnię. Była naszą przyjaciółką, a teraz może naprawdę jest aniołem i na swój sposób próbuje ingerować w nasze życie.

- Gdyby tak było, nie trafiłbym do więzienia, a ty nie zostałabyś żoną Barda.

Trzymając się za ręce, powoli weszli na cmentarzyk. Callie zeskoczyła z drzewa i ruszyła za nimi. Clover szalała w wysokiej trawie, której każde źdźbło stawało się dla niej wyzwaniem.

Dotarli do grobu, przy którym kochająca dłoń posadziła krzew róży.

- Przyniosłam ci kwiaty - powiedziała Callie, kładąc ostrożnie bukiet na grobie Fidelity. - Już wiem, że jesteś moim aniołem stróżem.

- Tak mi przykro, że nie mogłem cię uratować - szepnął Christian. - Byłaś moją przyjaciółką i jestem szczęśliwy, że cię znałem.

Wiatr odezwał się w krzewie róży i zakołysał nim, zaszeleściły liście.

- Ona się nie smuci - powiedziała Callie stanowczym tonem. - Patrzcie, poruszyła różą, jakby chciała zatańczyć.

Cała trójka stała bez ruchu, zapatrzona w płasające gałęzie.

## **ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY**

Telefon Pinky'ego obudził Christiana przed świtem.

- Chris, otwórz oczy! Mam dobre wiadomości. Dzwonię tak wcześnie, bo chciałem cię złapać, zanim pójdziesz do stajni.

- Mów.

- Wczoraj wpadł do mnie stary kumpel i trochę wypiliśmy. Pracował kiedyś u Dave'a Myersa. Kiedy jego firma jeszcze nieźle prosperowała.

- I...?

- Posłuchaj! Facet pamięta ten projekt budowy osiedla w okolicy South Land. Twierdzi, że były jakieś afery, bo ludzie z majątków nie chcieli, by w okolicy domy zaczęły mnożyć się bez opamiętania. Powiedział, że zamiast lisów byłyby tu króliki.

Christian gwizdnął cicho i Pinky ciągnął swoją relację:

- Nic więcej nie udało mi się z niego wycisnąć. Jakby ktoś mu zapłacił za to, że będzie trzymał gębę na kłódkę. Wytrąbił pół butelki dobrego Wild Turkey i stwierdził, że nic więcej nie pamięta.

- Co to za jeden?

- Czasem chodzę z nim na polowania. Nazywa się Lester Morgan. Mieszka niedaleko Warrenton, ale pracuje w Virginia Vistas.

Christian zupełnie już się rozbudził. W tej firmie deweloperskiej Bard Warwick był radcą prawnym.

- Pamiętasz, w jakim czasie tam trafił?

- Chyba wtedy, jak cię posłali do kicia. Rok wcześniej, rok później. Pasuje ci? Owszem, pasowało.

- Czym zajmuje się w Virginia Vistas?

- Wynajmuje firmy budowlane i nadzoruje roboty. Prawdę mówiąc, trochę się dziwię, bo gość ma zręczne ręce, ale słabo pod sufitem.

- Trzeba by sprawdzić, jakie inwestycja prowadziła wtedy Virginia Vistas. Facet będzie ze mną gadać?

- Nie. Musisz jakoś inaczej to załatwić. Powodzenia. Zrobiłem wszystko, co mogłem.

Rano Karen zawiozła Julię do Leesburga, by odebrać wyniki medycznych testów.

Po drodze rozmawiały jak stare przyjaciółki, bo zdążyły się serdecznie zaprzyjaźnić. Mówiły o Brandonie i Callie.

- Nie wiem, co bym bez niej zrobiła - powiedziała w pewnej chwili Julia. - Nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłabym jej nie mieć. Potem nigdy już nie zaszłam w ciążę. Nie doczekałam się kolejnego dziecka.

- Jest tyle różnych metod leczenia bezpłodności.

- Och, przemawia przez ciebie rasowa pielęgniarka. Nie wiem, na czym polega problem. Mam nieregularne miesiączki i być może o to chodzi. Ale też

Bard nigdy nie chciał mieć dzieci. Sądzę, że po prostu ich nie lubi.

- Dziwne! Kiedyś mówiłaś mi, że nie potrafił pokochać Callie, bo nie jest jego córką.

- Tak.

- Powinien więc zrobić wszystko, żeby zostać prawdziwym ojcem.

- Sęk w tym, że ja nie chciałam... już nie chcę mieć z nim dziecka. - Julia zamilkła, uderzona sensem swoich słów. - Nie, Karen. Już za późno.

Jeśli chodzi o Barda, na wiele rzeczy było za późno.

Gdy dotarły do lekarza, siostra wprowadziła Julię do gabinetu zabiegowego i poprosiła, żeby się rozebrała i włożyła koszulę.

- Przyjechałam tylko odebrać wyniki - zdziwiła się Julia.

- Wiem, ale doktor chciałby jednak panią obejrzeć.

Zdziwiła się jeszcze bardziej, ale usiadła w fotelu. Siostra wyszła i od drzwi dobiegło Julię jowialne „dzień dobry”.

- Przyjechałam tylko po wyniki - powtórzyła Julia to samo, co mówiła siostrze.

- Wiem, ale coś muszę sprawdzić - odparł doktor. - Wie pani, w zeszłym roku miałem okazję poznać pani męża. Przyszedł do mnie, bo jego lekarz akurat gdzieś wyjechał. Pan Warwick to okaz zdrowia - zagadywał.

- Powie mi pan, o co chodzi?



- Oczywiście, ale wolałbym zrobić to po badaniu, jeśli pani pozwoli. Nie zamierzam niczego przed panią ukrywać, chcę tylko się upewnić. Przysięgam, że to nic takiego, czym miałyby pani się martwić. Julia wzruszyła ramionami.

- Dobrze. Przecież nie ucieknę panu, niewidoma i w tej koszulinie.

Co prawda apetyt Julia miała coraz lepszy, ale tego wieczoru niemal nie tknęła kolacji.

- Nie smakowało ci? - zmartwiła się Maisy, gdy same zostały w kuchni.

- Nie mogę równocześnie myśleć i jeść.

- Widzę, że coś cię gryzie.

- Z tyloma problemami muszę się uporać.

Nikt o tym lepiej nie widział od Maisy, nikt też lepiej od niej nie wiedział, jak bardzo Julia potrafi być skryta.

- Myślałam o twojej książce - zaczęła Julia. - Co cię popchnęło do jej napisania?

- Od czegoś trzeba zacząć.

- Tak po prostu usiadłaś do maszyny i zaczęłaś stukać, co ci przychodziło do głowy?

- Do komputera. Twoja matka jest nowoczesną staruszką. I wcale nie stukałam tego, co mi ot tak przyszło do głowy. Fascynują mnie relacje między ludźmi. Tyle związków już widziałam w swoim życiu...

- Ian jest przerażającym człowiekiem.

- Jeśli widzisz go w ten sposób, to mi się nie udał. On jest jak ktoś, kto wpadł w koleiny i nie potrafi nawrócić. Może posuwać się tylko w jednym kierunku.

- Chcesz powiedzieć, że Ian Sebastian nie może się zmienić? Usprawiedliwiasz sposób, w jaki traktuje Luizę?

- Chcę powiedzieć, że życie jest skomplikowane, a proste odpowiedzi nie istnieją.

- A to by się Bard zdziwił, gdyby teraz cię słyszał.

- Od samego początku upierasz się, że Ian jest na nim wzorowany.

- Mężczyzna może znęcać się nad kobietą na wiele sposobów. Ian się zmieni po urodzeniu dziecka? Dlatego go bronisz? - ostro zapytała Julia.

- Jeszcze nie pora czytania, a ja nie mam zamiaru uprzedzać wypadków i zawczasu opowiadać fabuły. Chcesz tego?

- Nie. Może dzisiaj poczytasz mi na ganku, zanim położę się do łóżka? Chyba że masz inne zajęcia.

- Nie mam.

- Callie jest u Tiffany. Mamy przed sobą długi wieczór.

- A więc umowa stoi.

Julia spojrzała na matkę, jakby ją widziała.

- Kiedy zaczynam malować, obraz zawsze wyraźnie układa mi się w głowie.

- A inni muszą błędzić, kochanie. Starają się, męczą, a jednak trudno im wyrazić to, co mają do powiedzenia.

### Fragment niepublikowanej powieści „Fox River”

Maisy Fletcher

W momentach ślepej wściekłości Ian nadal egzekwował swoje racje pięścią, winę przypisując mnie, nie sobie. Mając przed sobą niepewną przyszłość z mężem, który raz twierdził, że mnie kocha, a kiedy indziej bił, wybrałam to, co wydawało mi się w tej sytuacji rozsądniejsze.

Pozostawało mi tylko cieszyć się, że przez pierwsze lata jej życia zostawiał Alice w spokoju. Oszalałam na jej punkcie. Miała sześć tygodni, kiedy pierwszy raz uśmiechnęła się do mnie, a ja byłam rada, że nie muszę dzielić tej chwili z Ianem. Alice należała do mnie. Ojciec odrzucił ją w chwili urodzenia. Gdyby był starożytnym Rzymianinem, cisnąłby ją wilkom na pożarcie.

To ja byłam jedynym świadkiem jej pierwszych niepewnych kroków, ja uczyłam ją liczyć, mówiłam, jak nazywa się każdy kwiat w ogrodzie. Była moją radością, całym sensem mojego życia, przyczyną, dla którego małżeństwo z Ianem Sebastianem nie okazało się całkowitą klęską.

Z upływem czasu, gdy Ian upewnił się, że nie dam mu syna, jego stosunek do Alice zaczął się zmieniać. Początkowo jej nie zauważał. Gdybym ustawiła ją w rzędzie dziewczynek równych jej wiekiem, o podobnych włosach i karnacji, pewnie nie potrafiłby jej wskazać. I oto nagle zaczął dostrzegać wszystko.

- Jest nieśmiałym dzieckiem - stwierdził pewnego wieczoru po kolacji, gdy Alice bawiła się z trzema nowymi szczeniakami, które Ian właśnie przywiózł do domu.

Patrzyłam, jak moja córka broni się przed psimi zębami.

- Kłują jak szpilki, a ona nie ma jeszcze trzech lat - powiedziałam.

- Ty chyba nie byłaś taka zahukana.

- Każde dziecko jest inne. Trudno je porównywać ze sobą.

Następnego wieczoru scena się powtórzyła.

- Alice, przestań się mazać. Jeśli cię kęsają, odepchnij je - nakazał.

Mała zrobiła wielkie oczy, bo ojciec nigdy się do niej nie odzywał.

- Boli - pisnęła.

- Odepchnij je!

Naprawdę próbowała, ale małymi łapkami niewiele mogła zdziałać, poza tym przerażały ją psie zęby.

Ian podniósł się z fotela.

- Powiedziałem, że masz je przegonić. Alice lekcewały, Iana zrozumiały od razu. Jeden przewrócił się na grzbiet, pozostałe czmychnęły na bezpieczną odległość.

- Masz być dzielną dziewczynką - mówił Ian. - Zwierzęta zawsze wyczuwają, kiedy się ich boisz, i nie będą cię słuchać. Musisz być silna i odważna.

Wpatrywała się w ojca oczyma pełnymi łez. Ian pokręcił głową i zniknął w głębi domu.

Teraz dopiero zrozumiałam, jakim błogosławieństwem była początkowa obojętność Iana i jak beztrudne dotychczasowe dzieciństwo Alice. Pierwszej próby nie zdała, a czekało ją jeszcze wiele podobnych. Nie była tchórzem, ale istotą nadwrażliwą. Kolory widziała intensywniej, dźwięki miały mocniejsze brzmienie, wybierała jałowe w smaku jedzenie, odczuwała jak nikt nastroje ludzi i łatwo je przejmowała. Mogła z niej wyrosnąć poetka, pianistka lub malarka, lecz na pewno nie siłaczka, którą Ian tak bardzo chciał z niej uczynić.

Oczekiwałam kłopotów.

I zaczęły się, gdy Ian powziął zamiar uczenia Alice jazdy konnej. Córeczka była zafascynowana końmi, zresztą trudno oczekiwać czegoś innego u dziecka wychowanego

w Fox River. Bała się jednak tych potężnych, chyżych stworzeń. Wprawdzie przyglądała się im z nabożnym podziwem, ale z daleka.

Na tydzień przed jej trzecimi urodzinami Ian wrócił z aukcji z maleńkim kucykiem. Wieczorem zaprowadził mnie do stajni. Klasnęłam w dłonie z zachwytem.

- Nie miej żalu, mój drogi, jeśli na początku będzie się go bała - ostrzegłam. - Konik jest maleńki, ale dla niej ogromny.

- Za bardzo się z nią cackasz. Pewnego dnia ten majątek będzie jej własnością. Musi wiedzieć wszystko o koniach, jeśli chce nim zarządzać.

Zaskoczona, że Ian tak daleko zdołał wybiec myślami, przede wszystkim lękałam się jednak o Alice. Chciał z niej zrobić chłopczycę, którą nie była.

W dniu jej urodzin zjechali sąsiedzi z życzeniami. Carroltonowie, rodzice dwóch niewiele starszych od Alice chłopców, dzierżawili Sweatwater od Jonesów, licząc, że któregoś dnia kupią owe włości.

Bob Carrolton był świetnym myśliwym i wytrawnym jeźdźcem, podobnie jego żona, Etta. Alice, bezpieczna na moich kolanach i trochę spłoszona, obserwowała dwóch rozdokazywanych chłopców: pięcioletniego Dicka i o rok starszego Gilla.

Po kolacji, po podzieleniu urodzinowego tortu, Ian przyprowadził do ogrodu kuca, pociągnął ku niemu Alice i zmusił, żeby pogłaskała konika po chrapach. Ledwie puścił jej rączkę, rzuciła się do mnie biegiem.

Chłopcy parsknęli śmiechem. Byli już dobrymi jeźdźcami, a konik Alice był zbyt spokojny jak na ich wymagania.

Ian wziął córkę w ramiona, posadził na grzbiecie kuca i obszedł kilka razy trawnik. Byłam zdumiona dzielnością Alice. Oczekiwałam łez, tymczasem ona trzymała się dzielnie grzywy, wpatrzona przed siebie, nieporuszona. Dopiero kiedy Ian mi ją oddał, poczułam, jak bardzo jest przerażona. Trzęsła się, nie mogłam jej utrzymać, co więcej, zmoczyła ze strachu sukienkę.

Ian był tym zniesmaczony, widziałam to po jego minie. Kiedy przyjęcie dobiegło końca i Carroltonowie pojechali do domu, dotąd poprawny i uprzejmy, w końcu wybuchnął:

- To twoja wina! Nie rozstajesz się z nią.

- Nieprawda, Ianie. Ona ma dopiero trzy latka. Pokocha swojego kuczka, ale musi się do niego przyzwyczaić - broniłam Alice. - Widziałeś, jak dzielnie się trzymała na jego grzbiecie, chociaż była przerażona?

- Powiadam, cackasz się z nią, moja droga! Dość tego! Mnie się nie zdałaś na nic, a teraz jeszcze robisz z mojego dziecka zastraszoną mysz.

Już myślałam, że zaaplikuje Alice kolejną lekcję jazdy, ale Ian zniknął w domu, a po chwili chłopak stajenny przyszedł po kuczka.

Kładąc córeczkę do łóżka, opowiadałam jej, że z czasem polubi konika, który tatuś kupił specjalnie dla niej i będzie na nim jeździła niczym duża panna. Alice nie odezwała się do mnie słowem, tylko, ssąc kciuk, odwróciła głowę.

W mojej sypialni czekał już poirytowany Ian. Bałam się, że skończy się razami, ale tym razem obeszło się bez tego.

- Spędzasz z nią zbyt wiele czasu - oznajmił bez wstępów. - Od jutra co rano będę uczył ją jeździć. Nie wydajesz się zachwycona tym pomysłem - dorzucił, gdy zostawiłam jego słowa bez odpowiedzi. - Chcę się zajmować moim dzieckiem. - Zacisnął pięści, które lada chwila mogły pójść w ruch. - Nie będziesz wtrącała się w moje metody wychowawcze.

- Pamiętaj, że cokolwiek zrobisz, może odbić się to na jej całym późniejszym życiu - przestrzegłam i zobaczyłam, jaki niesmak wywołały moje słowa.

- Po śniadaniu ma być gotowa. Zajmij się tym. - Wyszedł.

Rano próbowałam wytłumaczyć Alice, co ją czeka:

- Tatuś będzie uczył cię jeździć na kuczku. Była wystraszona.

- Mamusia też pójdzie?

- Nie, skarbie. Tatuś chce mieć swoją małą Alice tylko dla siebie. Zajmie się tobą, kochanie. Zobaczysz, będziesz zupełnie bezpieczna - przekonywałam.

Ian obejrzał córkę uważnie, jakby oglądał jakiś mechanizm i chciał się upewnić, czy wszystko działa i czy nie brakuje żadnej części. Kiedy ją wyprowadzał, chwyciłabym ją i uciekła, gdybym tylko mogła. Wrócili po niecałej godzinie.

- Dzisiaj było tylko oglądanie - oznajmił mrukliwie. - Karmiła go marchewką.

- Głaskałam konika po nosku - dodała z powagą i uciekła do swojego pokoju.

Chciałam biec za nią, ale Ian mnie zatrzymał.

- Boi się wszystkiego. Mnie, kuca, cieni w stajni.

Kolejne lekcje były prawdziwą torturą. Widziałam to po minie Alice i słyszałam w jej głosie, kiedy usiłowałam się dowiedzieć, czy polubiła Łatka, bo tak nazwaliśmy kucyka.

- Nie lubię Łatka - odparła z uporem godnym Iana.

Pod koniec tygodnia cierpliwość mojego męża się wyczerpała. Nic go nie obchodził strach dziecka, opór, moje argumenty, że Alice jeszcze jest za mała. Wszystko to skwitował wściekłymi pomrukami i zarządził kolejną lekcję, a mnie kazał trzymać się jak najdalej.

Stałam w oknie salonu i patrzyłam, jak idą w stronę stajni: wygrażający palcem ojciec i trzyletnia Alice, wlokąca się za nim, jakby szła na ścięcie.

Nic nie mogłam zrobić, do nikogo się odwołać. Wiedziałam, że jeśli dalej będę dyskutowała z Ianem, mogę go rozwścieczyć, a wtedy gotów zrobić coś strasznego dziecku.

Patrzyłam, jak sadza Alice na siodle, widziałam jej zapłakaną buzię i nieudolne próby wywinięcia się ojcu.

Ian krzyknął coś w stronę stajni i po chwili pojawił się chłopak stajenny z czymś, co ku mojemu przerażeniu okazało się powrozem, którym ojciec przywiązał córkę do siodła.

Zdjęły mnie mdłości, żołądek mi się przewracał. Ian przez kilkanaście minut oprowadzał Łatka z zapłakaną Alice po dziedzińcu, po czym przywiązał go do drzewa, zostawiając córkę sam na sam z jej przerażeniem.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Tego ranka Julia obudziła się z ogromną wolą czynu. Nie chciała dłużej usprawiedliwiać własnej bierności ślepotą. Wstała i ubrała się, zanim ktokolwiek w domu otworzył oczy.

Jake zastał ją siedzącą przy stole w kuchni.

- Jadę do Millcreek - powiedziała, gdy zapytał, co ją tak wcześniej wyгнаło z łóżka.

- Zawiozę cię i poczekam, ile będzie trzeba - zaproponował, dodając, że powinna częściej korzystać z pomocy domowników.

- Cieszę się, że jedziesz ze mną. Łatwiej będzie mi się rozmawiało z Bardem, wiedząc, że jesteś w pobliżu.

W Millcreek pomógł Julii otworzyć jej kluczem frontowe drzwi i doprowadził do jadalni, gdzie Bard właśnie wydawał dyspozycje pani Taylor.

- Zostaw mnie przy wejściu, dam sobie radę - szepnęła Julia.

- Będę czekał na ganku. Pani Taylor odprowadzi cię do drzwi?

Czuł, że Bard nie będzie miał ochoty pomóc żonie.

- Na pewno. Poza tym znam rozkład domu. Dam lobie radę.

Stanęła w progu.

- Witaj, Bard.

- Julia?! - Jego głos zbliżył się, a równocześnie głośno trzasnęły drzwi frontowe. -

To był Jake? - upewnił się.

- Tak, poczeka na mnie na ganku.

- Dlaczego? Niech wejdzie, zje z nami śniadanie

- To nie jest towarzyska wizyta, Bard. Przyjechałam, żeby zadać ci pytanie.

- Słyszałaś chyba o telefonie - powiedział z sarkazmem.

- Wolę rozmówić się z tobą osobiście, mimo że nie widzę.

- Jak rozumiem, również tobie nie ma sensu proponować śniadania?

- Przejdźmy do rzeczy. Dlaczego przez te wszystkie lata kłamałaś, tłumacząc powody, dla których nie mamy dzieci?

Niemal słyszała, jak Bard przebiega w myślach możliwe odpowiedzi, ale tej nie oczekiwała:

- Cieszę się, że wiesz - stwierdził krótko. - Zaskoczona?

- Zaskoczona. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że miałeś wasektomię? Możesz odpowiedzieć, nie uciekając się do interpretowania moich uczuć? Chciałabym znać fakty

Długo nie odpowiadał, wreszcie zaczął hardo:

- Kiedy Callie miała dwa lata, zrozumiałem, że nie chcę mieć więcej dzieci. Nie mogłem spać, bałem się ilekroć się kochaliśmy. Postanowiłem coś z tym wreszcie zrobić.

- Bez uzgodnienia ze mną?

- Nie było nic do uzgadniania. Podjąłem decyzję i żadne twoje argumenty nie mogły jej zmienić. Nie chciałem tego całego zamieszania, płaczów po nocach, pieluch, kaszek.

Dlatego poddałem się zabiegowi. Miałem ci o tym powiedzieć.

- Ileż troski. Tylko że przez sześć lat jakoś zapomniałeś to zrobić.

- Później żałowałem swojej decyzji. Działalem bez zastanowienia. Powinienem omówić to z tobą. Jak się o tym dowiedziałaś?

- Internista z Gandy Wilson był zaniepokojony moimi nieregularnymi okresami. Zapytał się, dlaczego nie biorę środków antykoncepcyjnych. Powiedziałam, że nie było ku temu powodów. Ja myślałam o tym, że przecież chcieliśmy mieć dziecko, a on o twoim zabiegu. Nazywa się Forrester. Mówi ci to coś? Zgłosiłeś się do niego w zeszłym roku z zapaleniem pęcherza, kiedy twój lekarz wyjechał. Zapamiętał, że miałeś robioną wasektomię, bo sądziłeś, że ona jest przyczyną zapalenia.

Ton głosu Barda zmienił się.

- Brzmi to niemilo, ale uznałem, że mam prawo.

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego. Byłeś przecież moim mężem.

- Nie byłem, lecz jestem, ale ty kochałaś innego. Nie wierzyłem, że chciałabyś urodzić mi dziecko. Byłem przybity faktem, że wyszłaś za mnie tylko dlatego, by dać córce nazwisko. Dlatego nie powiedziałem ci o zabiegu. I tak nie urodziłabyś mojego dziecka.

- Być może, ale ukrywając prawdę, doprowadziłeś do tego, że przypisywałam winę sobie.



- Popełniłem błąd.

- I to są według ciebie przeprosiny?

- Nie bądź taka zasadnicza! Ożeniłem się z tobą, wziąłem na siebie odpowiedzialność za bękarta, bo chciałem, żebyśmy byli razem!

Bard chyba nie zdawał sobie sprawy z mocy słów, które wykrzyczał. W jednej chwili jego małżeństwo się rozpadło.

- Nie chciałem tego powiedzieć - wycofał się natychmiast.

Lecz już niczego nie mógł odwołać. Dotknął ramienia Julii, rozpaczliwie próbował coś jeszcze naprawiać.

- Ożeniłem się z tobą, bo chciałem mieć cię za żonę.

- Podejrzywałam przez wiele lat, że ożeniłeś się ze mną dla Ashbourne. - Julia wzięła głęboki oddech. - Po śmierci Maisy majątek przeszedłby na mnie, a więc i na ciebie. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo moja ciąża wszystko uprościła.

- Wiem, że może to tak wyglądać.

- Miałam majątek, nazwisko, pochodzenie. I potrzebowałam cię. Wymarzona sytuacja, gdyby nie mój bękart.

- Ożeniłem się z tobą, bo chciałem być z tobą.

- Ożeniłeś się ze mną, bo jesteś wyrachowanym sukinsynem. Twoje uczucie do mnie powinno się mierzyć ilością ziemi przypadającej mi w spadku.

Odwróciła się i chciała odejść, ale Bard ją zatrzymał.

- Pasujemy do siebie. Kocham cię. Pragnę uratować nasze małżeństwo. Pojadę z tobą do twojej terapeutki, poświęcę więcej czasu Callie. Wróć do domu. Nie rozwiążemy naszych problemów, jeśli będziesz mieszkała w Ashbourne.

- Nie, Bard. Kilka tygodni temu popełniłam ogromny błąd, bo nie powiedziałam Christianowi, że Callie jest jego córką. Dowiedział się o tym od kogoś innego. Nie cofniemy czasu. Powrót do Millcreek niczego nie zmieni. Wszystko jest już inaczej. A ja nawet nie wiem, jak naprawdę było do tej pory. Mówisz, że mnie kochasz. Założmy, że tak jest, ale od miłości ważniejsze jest pragnienie naprawienia przeszłości, a w tobie go nie ma i nigdy nie będzie.

- Więc to koniec? Przekreślisz dziewięć lat małżeństwa z powodu jednego kłamstwa?

- Całe nasze małżeństwo było kłamstwem.

- Wygodnym kłamstwem. Chciałaś dać nazwisko dziecku i ja je dałem. Odegrałem swoją rolę. Teraz już nie jestem potrzebny, bo na scenie pojawił się prawdziwy ojciec. Wchodzi Christian Carver, wychodzi Lombard Warwick.

Julia długo ważyła swoją odpowiedź i wiedziała, że jest absolutnie szczerą.

- Christian mógłby dzisiaj wrócić do więzienia, a moja decyzja nie zmieniłaby się na jotę. Nasze małżeństwo było skończone, zanim się zaczęło. Potrzeba mi było dziewięciu lat i utraty wzroku, żeby wreszcie to zobaczyć.

Maisy nie wiedziała, jak przebiegła rozmowa w Millcreek. Obserwowała Julię przez cały dzień. Córka była trochę bledsza, trochę bardziej milcząca, lecz nie brakło jej powietrza.

Wieczorem, po położeniu Callie do łóżka, usiadła na ganku, mimo że było chłodno.

- Zamarzniesz - oznajmiła Maisy, podając Julii ciepły szal. - Nie wejdiesz do środka?

- Jesteś kochana, ale tu mi dobrze. Jesień w pełni, prawda?

- Jake rozpałił na kominku. Jak się już nacieszysz chłodem, przyjdź do saloniku.

Przeczytam ci następny rozdział.

- Nie mogę się doczekać, czy Luiza wreszcie zostawi Iana.

- Nie powiem ci.

- Kobieta wiele zniesie, ale nie pozwoli znęcać się nad swoim dzieckiem.

- Kobiety i dzieci przez wieki były własnością mężczyzn. Obyczaje zmieniają się powoli.

- Zmieniły się za twojego życia. Maisy oparła się o futrynę.

- Nie tak szybko, jak bym tego chciała.

Fragment niepublikowanej powieści „Fox River”

Maisy Fletcher

- Pan Ian był jeszcze niniejszy niż Alice, kiedy ojciec zaczął go uczyć jeździć. - Lettie nakrywała do kolacji. Nie powiedziałam słowa, ale doskonale widziała, że drżą mi ręce. - Tak samiutko go uczył, jak pan Ian przyucza Alice.

Alice spędziła godzinę przywiązana do siodła. Kiedy Ian mi ją przyniósł, była półprzytomna. Przez cały dzień próbowałam ją uspokoić, wreszcie, zupełnie wyczerpana, usnęła.

Naprawdę było mi wszystko jedno, czy Ian uczył się swoich zachowań na ojcowskim kolanie, czy mu je anioł zwiastował. Zadał cierpienie wrażliwemu dziecku, które nieprędko miało się otrząsnąć z szoku.

- Nie zmieni panienka pana Iana. Człowiek niektóre rzeczy nosi głęboko. Tyle powiem.

- Nie mogę kazać mu się wynosić z domu, jak ty swojemu pierwszemu mężowi.

- Mnie było łatwiej, bo jestem tylko kucharką. Zamknęłam oczy.

- Przepraszam, Lettie. Jesteś więcej niż kucharką. Stałaś się moją przyjaciółką i bardzo to sobie cenię.

Już myślałam, że poniechała rad, ale myliłam się.

- Jak nie można takiego pogonić, trza czasami samej iść precz.

Zniżyłam głos, chociaż Ian był jeszcze przy koniach, i zakomunikowałam Lettie swoją decyzję:

- Wracam do domu. Moja matka jest coraz bardziej chora. Wyjeżdżamy z Alice jutro rano, zanim Ian przyjdzie, żeby zabrać ją na następną lekcję.

- Czy chce panienka, żeby Seth odwiózł ją na pociąg?

Zamierzałam iść pieszo do Sweetwater i prosić Ettę Carrolton o pomoc, ale z Sethem ucieczka stawała się znacznie prostsza.

- Nie chcę, żeby miał kłopoty.

- Niech mu panienka nie mówi, dokąd i za czym jedzie. Ja też słówka nie powiem, to nie będzie wiedział. Pomyśli, że wyjazd był za zgodą pana Iana.

Uścisnęłam dłoń Lettie. Miałam w niej sprzymierzeńca.

Życząc mężowi dobrej nocy, miałam świadomość, że być może nigdy więcej go nie zobaczę. W naszym małżeństwie była radosne chwile, piękne podarunki i żarty. Ian dawał mi rozkosz w łóżku, dał mi uwielbianą córkę, ale teraz to wszystko nie miało znaczenia. Nie chciałam go więcej widzieć.

O brzasku spakowałam rzeczy, obudziłam Alice i powiedziałam jej, że jedziemy daleko, daleko od Fox River.

Zrobiła wielkie oczy.

- I od Łatka?

- Szczególnie od niego.

Mała ożywiła się po raz pierwszy od poprzedniego ranka.

- Pojedziemy do babci. Poznasz kuzynka Josepha. - Mojemu bratu Georgeowi urodził się właśnie pierwszy syn; wiedziałam, że Alice będzie zachwycona niemowlakiem.

- Tatuś nas nie znajdzie?

Nie chciałam nastawiać Alice przeciw własnemu ojcu, ale byłam zbyt oburzona.

- Tatuś nie może przyjechać do Nowego Jorku. - Moje słowa wyraźnie ją uspokoiły.

Ian, pomimo iż zanosilo się na burzę, wyjechał wcześniej, bo miał spotkanie w miasteczku. Widziałam, jak znika za bramą na Ekwadorze. Zeszłam do Lettie i powiedziałam jej, że jesteśmy gotowe. Seth odwiózł nas na stację packardem. W połowie drogi rozpiętała się prawdziwa nawałnica.

Podróż do Nowego Jorku była długa i męcząca, ale z każdą chwilą oddalałam się od Iana i lżej mi się robiło na sercu. Było mi wszystko jedno, za co będę żyła oraz czy uda mi się wrócić do nowojorskiej socjety. Uciekałam w bezpieczny świat, gdzie nikt nie będzie znęcać się nade mną i nad moim dzieckiem. Miałam nadzieję, że Alice pojmie kiedyś tę lekcję: jej życie należy tylko i wyłącznie do niej i nie może być własnością żadnego mężczyzny.

Wcześniej wysłałam telegram do George'a, w którym napisałam, kiedy przyjedziemy i dlaczego, tak że czekał już na nas na dworcu. Ubrany był na czarno. Wystarczyło mi jedno spojrzenie i wiedziałam już, że moja matka nie żyje.

- Zmarła wczoraj wieczorem o dziesiątej. Myślałam, że doczeka twojego przyjazdu.

- Spokojnie odeszła?
- Tak, bardzo spokojnie.
- Powiedziałeś jej, dlaczego przyjeżdżam?
- Nie.

Poczułam ulgę, że zmarła, nie dowiedziawszy się o moim poniżeniu.

- Jeszcze jedna wiadomość, Luizo. - Mój brat był człowiekiem rzeczowym, przyziemnym, nie trzymałby mnie na peronie z byle powodu. - Ian miał wypadek.

Zacisnęłam wargi, a świat zakręcił mi się przed oczami.

- Wrócił wczoraj do domu zaraz po waszym wyjeździe. Czegoś zapomniał. Gdy dowiedział się, co zrobiłaś, chciał dojechać lasami na skróty na stację, ale zrzucił go koń. Ludzie znaleźli Iana nieprzytomnego. Kiedy rozmawiałem z doktorami po raz ostatni, ciągle był nieprzytomny.

Sytuacja wydawała się niepojęta. Ian był najwyborniejszym jeźdźcem w Wirginii, a Ekwador reagował na każdy jego gest, jakby byli jednym ciałem. Ian musiał pędzić jak oszalały, zapominając o wszelkim bezpieczeństwie. Wiedziałam, co mam robić i jakie obowiązki na mnie spoczęły.

- Chciałam wiedzieć tylko jedno, George - zapytałam. - Gdybym została w Nowym Jorku, dałbyś mi dach nad głową?

- Jesteś mężatką, Luizo, wracaj do Wirginii. Spróbuj raz jeszcze.
- A jeśli znowu będzie mnie bił i znęcał się nad twoją siostrzenicą?
- To próbuj nadal.
- Naprawdę potrafiłbyś pokazać mi drzwi?
- Wolę tego nie wiedzieć.

Wracałam do Wirginii, myśląc, czy zastanę Iana nieżywym, czy też żywym i zupełnie odmienionym.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY**

Christian nie nadawał się na detektywa. Spędził cały dzień w archiwach sądowych, ale jego poszukiwania nie przyniosły żadnych efektów. Zdołał tylko dowiedzieć się, że od kilku lat hrabstwo zaciekle walczy z deweloperami, starając się ograniczać parcelację gruntów. I okazało się w tym bardzo skuteczne.

W drodze powrotnej do domu nagle przypomniała mu się wizyta u Sally Faxhall, starej damy, którą co roku trzeba było przekonywać, by otworzyła swoje tereny dla myśliwych z Mosby Hunt. Sally, żywotna jeszcze pomimo podeszłego wieku osoba, w trakcie rozmowy wychwalała pod niebiosa swoją wnuczkę, Lucy, trzydziestoletnią kobietę, rozkochaną w wiejskim życiu i koniach, która niedawno zdecydowała się przenieść do Faxhall i zaopiekować babką. Lucy po śmierci Sally miała odziedziczyć majątek.

- Tylko ją coś jeszcze obchodzi.

Christian w pierwszej chwili przyjął to stwierdzenie jako pochwałę miłości wnuczki dla babki, ale teraz nie był taki pewien.

- Króliki zamiast lisów - mruknął do siebie, skręcając do majątku Sally. - A może króliki zamiast Faxhall?

W trzecim roku odsiadania wyroku Christian dzielił przez pewien czas celę z nałogowym oszustem, prawdziwym mistrzem w swoim fachu, który całe dnie opowiadał Christianowi o misternych intrygach, aż ten zagroził, że zawiąże cwaniakowi język na supeł, jeśli usłyszy jeszcze jedną historię.

Oszust przestał go raczyć kolejnymi fragmentami chwalebnej biografii, ale zdążył przekazać współwięźniowi jedną ze swych mądrości: „Zawsze udawaj, że wiesz znacznie więcej, niż wiesz naprawdę”.

Do biur Virginia Vistas Christian dotarł tuż przed godziną zamknięcia. Bard Warwick musiał być w pracy, bo na parkingu stało jego czarne bmw. Christian zastawił swoją furgonetką wyjazd Bardowi. Ot, nostalgiczny gest na pamiątkę dawnych czasów.

Kiedy recepcjonistka zapytała go o nazwisko, powiedział, że jest starym przyjacielem Barda i chce mu zrobić niespodziankę. Dziewczyna bez słowa wskazała drzwi gabinetu i wróciła do swoich spraw.

Odwrócony tyłem i zajęty rozmową telefoniczną Bard nie usłyszał wejścia Christiana. Wreszcie odłożył słuchawkę, obrócił się w fotelu i na jego twarzy odmalowało się kompletne zaskoczenie, a potem ogromna wściekłość.

- Musimy porozmawiać - oznajmił Christian. - O Callie przede wszystkim, ale i o innych sprawach.

- A ty niby kim jesteś, że wdzierasz się tutaj bez zapowiedzenia i żądasz rozmowy?

- Facetem, któremu ukradłeś córkę.

- Zaraz, zaraz! Ożeniłem się z jej matką. Raczej ciebie można uznać za złodzieja.

Julia wyprowadza się z domu, ty wychodzisz z więzienia. Potrafię dodać dwa do dwóch. Pewnie wczoraj padła ci w ramiona po tym, jak mi oznajmiła, że między nami wszystko skończone.

Christian nie dał poznać po sobie, jak go zaskoczyła ta wiadomość. A więc Julia odeszła od Barda...

Przysiadł się na skraju biurka, jak stary przyjaciel.

- Wynoś się z mojego gabinetu, Carver. Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia.

- To następny temat, z którym przychodzę. Skoro mowa o interesach, to czy pamiętasz negocjacje, które prowadziłeś przed laty z Sally Faxhall? Bardzo się z nią wtedy zaprzyjaźniłeś. Ona w dalszym ciągu ma dla ciebie wiele sentymentu, ale dziwi się, dlaczego nie zaglądasz do niej jak za dawnych czasów. Byłeś w Faxhall częstym gościem, kiedy z trudem dochodziła do siebie po zawale. Namawiałeś ją, żeby sprzedała ci ziemię. Akurat gdy myślała, że lada dzień pożegna się z życiem. Gdybyś ją przekonał, zrobiłbyś fortunę na tym interesie.

- O ile się nie mylę, Sally nikomu nie sprzedała ziemi, prawda? Już ci powiedziałem, Carver, wynoś się z mojego biura.

- Mogę, ale wtedy pojedę prosto do szeryfa.

- Z czym?

- Opowiem, jak to w dniu śmierci Fidelity Sally była niemal gotowa upoważnić cię do sprzedaży majątku. Nie miała siły nim zarządzać, krewni go nie chcieli, z wyjątkiem Lucy, gdyby ta zdecydowała się przejąć posiadłość. Dla ciebie kupno ziemi było wielką okazją. Oczywiście, działałbyś tylko jako pośrednik i twoje nazwisko nie pojawiłoby się w



dokumentach. Zapewne zamierzałeś powołać coś w rodzaju konsorcjum, a potem odsprzedać grunty i zgarnąć fortunę.

- To wymysły.

- Zdradzę ci mały sekret. Długo nie mogłem zrozumieć, dlaczego chciałeś wpuścić deweloperów na te tereny i mieć osiedle domków jednorodzinnych niemal pod oknami Millcreek. Wreszcie zrozumiałem: nie było mowy o żadnych deweloperach.

Sutherlandowie, Claymore i cała reszta odkupiliby ziemię Sally za wielokrotnie wyższą cenę, może nawet dwudziestokrotnie wyższą, byle nie dopuścić do zamiany hrabstwa w podmiejski koszmar. Sam byś pewnie wyłożył jakąś sumę dla odsunięcia od siebie podejrzeń.

- Masz bogatą fantazję.

- Ja albo Sally. Mówi, że na pewno poprowadziłbyś bez zarzutu sprawę sprzedaży majątku. Ufała ci, bardzo cię lubiła, wierzyła w twoją uczciwość i kompetencje. Pech chciał, że po zawale szybko wróciła do zdrowia i wycofała się z pomysłu sprzedaży Faxhall. Miliony przeszły ci koło nosa.

- Niczego mi nie dowiedziesz. Jeśli nawet chciałem kupić Faxhall, to wyłącznie dla siebie. Zawsze powtarzam: ziemia nie powinna należeć do obcych.

- Nie wiem. Sally jest w dobrej formie i bardzo lubi mówić. Ma świetną pamięć. Wyobraź sobie, pamięta Fidelity. Ale kto mógłby ją zapomnieć? Ja nigdy.

- Wyjdiesz stąd?

- Fidelity tamtego ranka przyjechała do Faxhall i widziała się z tobą. - Christian musiał blefować, nie był bowiem pewien, kiedy spotkanie miało miejsce, nie dodał też, że Sally pewnych szczegółów jednak nie zapamiętała.

O dziwo, Bard nie zaprzeczył.

- Owszem, widziałem się tamtego dnia z Fidelity. Też mi wielka rewelacja. Szukała mnie i znalazła w Faxhall.

- Sally twierdzi, że bardzo się zdenerwowała. Tego lata w ogóle była rozdrażniona. Zorientowała się, co zamierzasz. Znałeś ją dobrze, wiedziałeś, że kocha intrygi i potrafi być bezlitosna. Pokłóciliście się u Sally, a Fidelity zagroziła, że uprzedzi sąsiadów o twoich matactwach. Przestraszyłeś się i wynająłeś Zandoffa, którego pewnie spotkałeś u



Myersa, żeby ją zabił. Dowiodę ci, że to ty zaplanowałeś morderstwo i klnę się, wylądujesz w Ludwell.

Bard uśmiechnął się lodowato.

- Nie widziałem tego człowieka na oczy. Nie dowiedzisz mi związku z Zandoffem, bo go nie ma. Zandoff nie zabił Fidelity, ale ja wiem, kto to zrobił.

Christian potrafił wyczuć, czy ktoś blefuje, czy też mówi prawdę. Była to kolejna umiejętność, jakiej nauczył się w więzieniu. Bard nie blefował.

- Sally mówi, że staliście na drodze i wymachiwaliście rękami, jakby coś was opętało.

- Fidelity nie była zła na mnie, to ktoś inny doprowadził ją do furii. Ten, kto ją zamordował.

- Kto?

Christian chwycił Barda za koszulę i podniósł go z fotela.

- Od początku wiedziałem, kto ją zabił. Ty się nie domyślałeś, bo byłeś tak samo ślepy jak moja żona.

Nie było szans, żeby zdradził nazwisko mordercy. Jeśli Christian chciał je poznać, sam musiał dojść całej prawdy.

- A więc od początku wiedziałeś, że nie zabiłem Fidelity, ale pozwoliłeś, żeby mnie skazano. Bardzo ci musiało zależeć na Julii.

- Była cennym trofeum, prawie tak cennym jak Faxhall. Skoro nie zdobyłem tego drugiego...

Bard czekał na cios, prowokował wybuch agresji. Wezwałby natychmiast szeryfa i Christian znowu trafiłby do więzienia. Lecz on bez słowa odwrócił się i wyszedł.

Kiedy Ramon miał trochę czasu, pojawiał się w Ashbourne. Dzięki temu Julii udało się kilka razy razem z nim i Callie wyjechać na konną przejażdżkę, ale brakowało jej koni: ich zapachu, skrzypienia siodła, pędu wiatru, lekkości skoków. Przed wypadkiem dosiadała końskiego grzbietu codziennie, podobnie jak każdego dnia malowała. Teraz była pozbawiona najważniejszych przyjemności, które wypełniały jej życie.

Żeby jakoś sobie wynagrodzić brak końskiego ciepła, codziennie szła odwiedzić Piaska, który zamieszkał razem z Kosmatą w stajniach Ashbourne.

Tego wieczoru też do niego zajrzała. Poruszała się już na tyle pewnie, że dotarła bez przeszkód do jego boksu. Coś tylko po drodze otarło się o jej łydkę i usłyszała obrażone miauknięcie. Któryś z kotów wszedł jej pod nogi i musiała nastąpić mu na łapę.

- Przepraszam - mruknęła, choć wiedziała, że poszkodowany lokator stajni dawno już czmychnął.

- Julia? - doszedł ją głos Christiana.

- Tu jestem, u Piaska! - zawołała. Światła na pewno były już zgaszone i nie mógł jej widzieć. - Co cię sprowadza?

- Po prostu przyjechałem - odpowiedział już z bliska. - Piękny koń.

- I łagodny. W sam raz dla niewidomej kobiety.

- Brakuje ci jazdy, prawda? Wiem, jakie to uczucie. Czasami śniłem w Ludwell, że znowu dosiadam konia i myślałem, że już nigdy nie będzie mi to dane.

- A ja śniłam wiele razy, że Kocham się z tobą. We dnie byłam lojalną żoną, ale noce należały do ciebie. Mimo że tak bardzo chciałam zapomnieć o przeszłości, zastanawiałam się, co z tobą się dzieje, czy ciągle jeszcze mnie nienawidzisz.

Wspominałam też... dobre czasy.

- Wiem od Barda, że odeszłaś od niego. - Christian przemógł się, by wypowiedzieć te słowa.

Julia była zaskoczona, ale nie zapytała, jak doszło do rozmowy między obu mężczyznami.

- Dawno powinnam była to zrobić, albo jakoś ułożyć nasz związek. Trwałam w małżeństwie, po prostu dryfowałam, bo uważałam, że tak będzie lepiej dla Callie. Myliłam się. Jest jeszcze mała, ale potrafi zmierzyć się z problemami, które wyczuwa. -

Wyciągnęła dłoń, próbując dotknąć Christiana. - Nie odeszłam od Barda dlatego, że wypuszczono cię z więzienia. Nie chcę, żebyś tak myślał. Odeszłam, bo był po temu najwyższy czas i wreszcie zdobyłam się na odwagę.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Żebyś nie czuł, że cię tym do czegośkolwiek zobowiązuję. Abyś nie sądził, że jesteś odpowiedzialny za rozpad mojego małżeństwa.

- Jedźmy gdzieś na Rangerze - zaproponował Christian, gwałtownie zmieniając temat. - Już nieraz niósł nas we dwoje. Czeka przy bramie. Brakuje ci jazdy, a ja mam odpowiedniego wierzchowca.

Julię zabolęła reakcja Christiana, potem ogarnął ją gniew.

- Nigdzie nie pojedę. Słyszałeś, o czym mówiłam? Zawsze tak robiłeś. Zamykałeś się przede mną. Poszedłeś do więzienia, nie pozwalając mi wyjaśnić, że na ławie dla świadków wcale cię nie zdradziłam. Zostawiłeś mnie z tak samo wielką raną w duszy, jaką zadano tobie.

- Teraz też masz zranioną duszę?

- Nie proszę, żebyś ją wyleczył.

- Nie. Mówisz mi tylko, że zostawiłeś Barda, ale to nie ma nic wspólnego ze mną. Więc się dowiedz, że wszystko mi jedno, dlaczego odeszłaś od tego sukinsyna. Może cię olśniło, może twoja terapeutka powiedziała ci, że tak będzie lepiej dla twojego zdrowia, a może zrozumiałaś, że nie mogłaś trafić na gorszego męża. Nie dbam o to.

Julia osłupiała, ale szybko odzyskała rezon.

- W takim razie po co tu przyjechałeś? Jeśli nie dbasz o to, po co chcesz mnie zabierać na przejażdżkę?

- Nie jestem święty. Nie ma we mnie za grosz szlachetności. Nie potrafię przejmować się tym, dlaczego odeszłaś od męża. Dla mnie liczy się tylko jedno: że to zrobiłaś.

Nagle dziewięć lat, które ich dzieliło, przestało istnieć. Julia wyciągnęła dłoń i odszukała policzek Christiana.

- Nie widzę, ale mam w oczach obraz kobiety i mężczyzny na koniu. Powiesz Maisy, że zabierasz mnie na przejażdżkę?

- Już to zrobiłem.

- Niech więc Ranger niesie nas w noc, Christianie.

- Masz policzki zaróżowione jak dwa jabłuszka. - Maisy czekała na Julię w pokoju córki.

- Wcale się nie dziwię. - Jej ciało jeszcze unosiło się nad nocnymi łąkami, dusza śpiewała, a serce przepełniało szczęście.

- Usiądź koło kominka i ogrzej się. Potem zejść i sprawdzę, czy ogień wygasł.
- Poczytaj mi, Maisy.
- Teraz?
- Aha. Wiem, że nie usnę.
- Historia Luizy może poczekać.
- Chcę poznać ją całą.
- Jeszcze nie doszłam do końca.
- Przeczytaj to, co masz. - Julia przechyliła głowę na bok. - Co się stało z Luizą?
- Wiesz już, że wróciła do Iana - powiedziała Maisy z ociąganiem.

Nadeszła pora, by usłyszała, co postanowiła jej córka.

- Nie wrócę do Barda.
- Tak podejrzewałam.
- Nie, taką miałaś nadzieję.
- Julio, ja mogę mieć tylko nadzieję, że znajdziesz szczęście. Lecz jak to się stanie, tego nie wiem.
- Trzeba żyć chwilą. Tylko to naprawdę się liczy.
- Mylisz się. Posiadamy tę moc, by wpływać na naszą przyszłość. Może nie do końca, ale bardziej, niż przypuszczasz.
- Oby Luiza też tak myślała. Maisy uścisnęła dłoń córki.
- Na tym polega piękno opowieści. Nadajemy jej taki bieg, jaki nadać pragniemy.

Fragment niepublikowanej powieści „Fox River”

Maisy Fletcher

Ian przez pięć dni leżał nieprzytomny. Szóstego otworzył oczy i spojrzał na pielęgniarkę.

- Co, do kroćset...?

Kobieta cofnęła się, ustępując mi miejsce przy łóżku. Nachyliłam się nad mężem.

- Miałeś wypadek. Baliśmy się, że nie odzyskasz świadomości.

Wpatrywał się w moją twarz zamglonym wzrokiem. Doktor Carnes uprzedził mnie, że przy obrażeniach, które Ian odniósł, w pamięci mogą pojawić się luki, istniała nawet obawa całkowitej amnezji.

Przed dwa kolejne dni budził się oszołomiony, po czym znowu zapadał w śpiączkę, ale trzeciego poczuł się na tyle silny, że usiadł w pościeli wsparty o poduszki. Pochłonął talerz zupy, a potem pudding ryżowy.

- Była burza - powiedział, gdy zaspokoił głód.

Ucieszyłam się, że pamięć mu wraca, choć wolałabym, żeby o pewnych rzeczach zapomniał.

- Wyjechałeś na Ekwadorze. - Rzuciłam następane zdanie niczym zwykłą informację:  
- Ja z Alicją ruszyliśmy w drogę do Nowego Jorku. Stan mamy się pogorszył, chcieliśmy się z nią pożegnać. Sposepniał.

- Twoja matka...?

- Umarła. George mówi, że miała spokojną śmierć.

- Jak długo byłem nieprzytomny?

- Prawie dziesięć dni.

- Ekwador?

- Nic mu się nie stało.

- Żeby mnie... zrzucił koń! - Próbował się uśmiechnąć i przez moment dojrzałam dawnego Iana. - Coś sobie złamałem?

- Obojczyk. Zwichnąłeś też nadgarstek. Masz założony temblak i łubki. Najbardziej jednak ucierpiała twoja twarda głowa. Fakty mogą ci się mieszać, możesz nie pamiętać

różnych rzeczy, ale nie martw się. Doktor Carnes mówi, że wszystko będzie dobrze. Musisz być tylko cierpliwy.

Ian nachmurzył się, jakby jedyną, rzeczą, którą pamiętał, był jego własny brak cierpliwości.

- Alice?

- Ma się dobrze. Potem przyprowadzę ją do ciebie.

- Jest... kucyk?

Zaparło mi na moment dech w piersiach.

- Łatek? Odesłaliśmy go do Sweetwater, chłopcy Carroltonów na nim jeżdżą. Konik potrzebuje ruchu.

- Alice się zgodziła?

- Nie miała nic przeciwko temu.

Ian zamknął oczy, a ja byłam ciekawa, kiedy wszystko sobie przypomni i każe sprowadzić Łatka na powrót do domu.

W tydzień później polecił sprzedać Ekwadora.

Mój los ważył się przez pierwsze miesiące po wypadku. Ian był zbyt słaby, żeby mnie atakować, nie miał też sił, by uczyć Alice jazdy konnej. Większość nocy przesypiał w moim łóżku. Łatek nadal pozostawał w Sweetwater. W domu panował wymuszony nadzwyczajnymi okolicznościami rozejm.

Pewnego dnia wybrałam się z wizytą do Etty Carrolton i, od słowa do słowa, zdecydowałam się wyznać jej prawdę o moim małżeństwie i znęcaniu się Iana nad córką. Chciałam, żeby ktoś o tym wiedział. Na wypadek gdyby miało zdarzyć się najgorsze i Ian mnie zabił, niechby był ktoś, kto mógłby powiedzieć policji, jak się sprawy miały i kto uratowałby Alice.

- Luiz... - Etta zaczęła kiwać głową.

- Nie powtarzaj nikomu, co ode mnie usłyszałaś. I obiecaj mi, nauczysz Alice jeździć konno, zanim Ian zacznie znowu ją ćwiczyć. Nauczyłaś swoich chłopców, nauczysz i ją.

Etta, która sama była świetnym jeźdźcem i potrafiła przekazać swoje umiejętności synom, przyrzekła zająć się Alice. Ta zbawienna myśl wcześniej nie przyszła mi głowy.

Pod koniec lata Ian na tyle wydobrzał, że uparł się wrócić do swych obowiązków mistrza łowów. Z tej okazji urządziliśmy piknik w Fox River. Lettie i jej córka podawały do stołów rozstawionych w ogrodzie, a Seth zadbał o wystarczającą ilość wódki kukurydzianej. Przyjęcie przebiegało w pogodnej atmosferze, gdy wtem któraś z naszych sąsiadek zagadnęła:

- To dobrze, że znowu będziesz prowadził polowania. Zastanawiam się tylko, jakiego konia wybierzesz pod wierzch, skoroś sprzedał Ekwadora. Ognistą?

Ian skrzywił się.

- Myślałem o siwku Billa Jacksona. Goście popatrzyli na niego zaszokowani.

- O Tancerzu? Toż on jeszcze nie ujeżdżony. To diabeł wcielony, a nie koń - zaoponował ktoś.

Do Iana te argumenty nie dotarły.

- Jeśli Bill zgodzi się na cenę, z końcem tygodnia Tancerz będzie mój - oznajmił zebrany. - To najlepszy ogier w całym hrabstwie.

Nie próbowałam dyskutować z mężem. Miałam tylko nadzieję, że kiedy przyjdzie do pierwszego polowania, Ian zmieni swoje postanowienie. Kiedy goście się rozjechali, powiedział, że chce oddać Billowi Jacksonowi Łatka jako dopłatę za Tancerza.

- Bill ma syna i kuc w sam raz się nada dla chłopca - tłumaczył - a dla Alice kupimy nowego konika, którego nie będzie się bała.

- Może minąć sporo czasu, zanim nasza córka zdoła dosiąść konia - przestrzegłam.

Utrzymywane w tajemnicy lekcje pod kierunkiem Etty przynosiły coraz lepsze efekty, ale bałam się, że kiedy Ian zacznie znowu uczyć córkę, stosując swoje bezlitosne metody, poprzednie lęki wrócą.

Mąż spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem, pot wystąpił mu na czoło, zeszywniał, po czym zamierzył się, chcąc wymierzyć mi cios. Uskoczyłam, a on bez sił opadł na fotel i ukrył twarz w dłoniach.

Takie chwile powtarzały się wiele razy. Gdy coś zirytowało Iana, wpadał w wściekłość pomieszana z obłędem, zdawał się nieobecny i półprzytomny, jak człowiek w malignie.

- Źle się czujesz. Powinieneś...

- Nie mów mi, jak się czuję! - powiedział z trudem. - Źle się czuję - przyznał w końcu.

- Doktor Carnes uważa, że to minie.

- Co on tam wie!

- Jest lekarzem.

- Konowałem! Nie wie, jak czasami boli mnie głowa. Nic wtedy nie widzę, robi mi się czarno przed oczami. Kiedy wsiadam na konia...

- Tylko kiedy dosiadasz konia?

- Tak.

- Jak więc możesz jeździć? Jak zapanujesz nad Tancerzem, tym szalonym wierzchowcem? Powinieneś powiedzieć o tym doktorowi.

- Nikomu nie powiem. I ty też nie. Bo wtedy ktoś może uznać, że już nie nadaję się na mistrza łowów. Ty tego nigdy nie zrozumiesz. Dla ciebie polowanie to tylko pusta zabawa, a dla mnie jest wszystkim.

Głos miał piskliwy, drżący. Zdrowy był niebezpieczny, gnębiony bólem budził zgrozę. Zupełnie stracił samokontrolę.

- Gdyby doktor Carnes wiedział, co się dzieje w mojej głowie, zamknąłby mnie w zakładzie. - Zmrużył oczy i wyprostował się. - A ty byś mu w tym dopomogła. Życzysz mi jak najgorzej.

Miałam już tego dość.

- Chciałeś mnie uderzyć. Jeśli nie potrafisz panować nad sobą, a ja nie mogę ci pomóc, lepiej, żebym odeszła, niż narażała się na twoje ciosy.

Ian zaśmiał się ponuro.

- Dokąd pójdziesz?

- Gdzieś, gdzie mnie nie znajdziesz.

- Raz już próbowałaś, w dniu mojego wypadku. Myślisz, że o tym nie wiem?

Obserwuję cię.

Nie miałam dokąd pójść. Mama nie żyła, George uważał, że powinnam trwać przy mężu, Annie po ciężkiej ciąży urodziła zdrową córeczkę, ale sama walczyła o życie. Nie



mogłam obciążać przyjaciółki swoimi problemami, gdy miała tyle własnych. Nie miałam kogo prosić o pomoc.

A jeśli Ian rzeczywiście kazał mnie pilnować, ucieczka zdawała się zupełnie niemożliwa.

- Kiedy te bóle głowy miną, a miną na pewno, zajmę się naszymi sprawami.
- Idę na górę - powiedziałam. - Przyślę do ciebie Setha.

## ***ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI***

Christiana znowu obudził poranny telefon.

- Witaj. - W słuchawce rozległ się głos Julii.

Natychmiast usiadł w pościeli i przeczesał włosy palcami. Czyż mogło być coś bardziej seksownego niż bladym świtem usłyszeć ten cudowny, miękki głos?

- Coś się stało?

- Nie, ale dzisiaj jest otwarcie sezonu łowieckiego. Chciałam ci życzyć powodzenia na polowaniu. Dałabym wszystko, żeby zobaczyć, jak prowadzisz sforę.

Christian mocniej przycisnął słuchawkę do ucha, niczym najukochańszy przedmiot.

- Nie mam odpowiedniego doświadczenia, Peter będzie musiał przejąć większość moich obowiązków.

- Robby zawsze mówił, że Peter lubi być panem sytuacji.
- Może właśnie dlatego między nimi zbyt dobrze się nie układało.

Julia milczała przez chwilę.

- To samo powiedział mi Robby na kilka dni przed swoją śmiercią, kiedy przypadkiem spotkaliśmy się w miasteczku. Nie widywałam go po śmierci Fidelity. Zamknął się w sobie, z nikim nie chciał się kontaktować. Wtedy, w miasteczku, był jakiś zamyślony, nastrojony filozoficznie. Powiedział, że może po latach nieporozumień stanie się wreszcie idealnym synem. I dodał coś, co zabrzmiało tajemniczo: że zrobił dwie rzeczy, które wypełnią Peterowi życie do końca jego dni. Nic z tego nie rozumiałam. Podobnie jak teraz Christian.

- Wyjaśnił, co miał na myśli?

- Nie. Kiedy go zapytałam, odpowiedział pytaniem. Chciał wiedzieć, czy bardzo brakuje mi Fidelity. Jakże miało mi jej nie brakować? Robby, jakby chciał mnie pocieszyć, stwierdził, że być może Fidelity miała szczęście, umierając tak młodo, pełna radości życia i energii. Tego lata ostro z nim flirtowała. Ostrzegałam ją, że posuwa się za daleko. Nie chciałam, by zbyt mocno zawróciła mu w głowie. Może dlatego po jej śmierci Robby wpadł w depresję i odsunął się od ludzi. Długo się zastanawiałam...

- Nad czym?

- Czy to na pewno był wypadek.

- Myślisz, że popełnił samobójstwo?

- Nie wiem. Gdyby było aż tak źle, Peter musiałby coś zauważyć i próbowałby mu pomóc.

- Czasami najmniej potrafimy dostrzec, gdy chodzi o najbliższe nam osoby.

Christian usłyszał swoje własne słowa i przypomniał sobie, co powiedział Bard Warwick: „Od początku wiedziałem, kto ją zabił. Ty się nie domyślałeś, bo byłeś tak samo ślepy jak moja żona.”

Mocniej zacisnął dłoń na słuchawce. Chyba zrozumiał, co Bard miał na myśli. Poczł kompletny zamęt w głowie.

- Muszę kończyć, Julio. Mam mnóstwo do zrobienia przed polowaniem. Dziękuję, że zadzwoniłaś.

- Uważaj na siebie. Bard może być dzisiaj nieobliczalny - powiedziała cicho.

- Będę uważał, chociaż może Bard nie jest aż takim draniem, jak by się zdawało.

Skończywszy rozmowę, Christian przez chwilę siedział nieruchomo, zapatrzony w ścianę. Rozmyślał o swoim rządonym przez ślepy los życiu, po czym podniósł raz jeszcze słuchawkę i wystukał numer Pinky'ego Stewarta.

Julia, zanim ktokolwiek z domowników zszedł do kuchni, zdążyła przygotować poranną kawę.

Tiffany i Callie jechały na cały dzień do letniego domku ich szkolnej koleżanki, położonego w Shenandoah County. Lada moment w Ashbourne miała pojawić się Samantha. Jadąc do Claymore, chciała zostawić tu Tiffany, a potem Jake miał zawieźć dziewczynki do ich przyjaciółki.

Julia już czuła, jak pusto się zrobi w domu bez radosnego szczebiotu córki, ale chciała spędzić dzień w ciszy. Martwiła się o łowiecki debiut Christiana i na niczym innym nie potrafiłaby się skoncentrować.

- Wcześniej wstałaś - rozległ się od progu głos Maisy i po chwili skrzypnęło krzesło.  
- Gdyby ktoś nie wiedział, nigdy by się nie domyślił, że straciłaś wzrok. Świetnie się poruszasz.

- Jakoś sobie radzę, ale pod warunkiem, że nie opuszczam Ashbourne - powiedziała Julia zrezygnowanym głosem. - Przygotować ci śniadanie?

- Jak to miło być obsłużoną. Julia otworzyła kredens.

- Pełnoziarnisty czy pszenny?

- Jak je rozróżniasz?

- Po zamknięciach opakowań. Przy pełnoziarnistym jest kawałek plastiku zaciśnięty na okrągło, a przy pszennym taki mały... cypek przechodzący przez dziurkę.

- Niech ci będzie, że to cypek, równie dobro słowo jak każde inne, ale poproszę pełnoziarnisty. Bez masła. Jestem na diecie.

Diety Maisy należały już do legendy.

- Jaka tym razem: wysokoproteinowa, niskoproteinowa czy bezproteinowa?

- Żadna. Po prostu trochę rozsądku oraz mocne postanowienie, żeby nie chować się za kolejnymi kilogramami.

Palce Julii znieruchomiały.

- Wreszcie mądra dieta, Maisy.

- Pamiętasz, kiedy zaczęłaś mnie tak nazywać? Julii wydawało się, że mówiła tak od zawsze.

- Nie pamiętam. Chyba od urodzenia.

- O nie. Od śmierci twojego ojca.

- Nie strofowałaś mnie za to.

- Byłam zajęta innymi problemami.

Julia wróciła do rozpakowywania chleba pełnoziarnistego.

- Potrafię to sobie wyobrazić.

- Naprawdę?

- Tak. W każdym razie zaczynam sobie wyobrażać, jak to może być. Skończyłaś swoją powieść?
- Tak.
- Chciałabym wysłuchać jej do końca. Poczytasz mi, kiedy Jake i dziewczynki już wyjadą?
- Chętnie.
- Julia odwróciła się ku matce, zapominając o grzance.
- Jake też ją czytał?
- Tylko wie, że coś piszę. Twój ojczym jest cierpliwym człowiekiem. Długo czekał, aż odnajdę swoje miejsce.

Fragment niepublikowanej powieści „Fox River”

Maisy Fletcher

W kilka tygodni po pikniku pojechałam do Sweetwater, gdzie Alice pobierała lekcje pod okiem Etty. Przybyłam tam w towarzystwie masztalerza. Ilekroć opuszczałam Fox River, zawsze ktoś mi towarzyszył, a ja wolałam nie protestować, szczęśliwa, że Ian mnie nie indaguje, dlaczego nasza córka tak długo bawi poza domem.

Etta przywitała mnie szerokim uśmiechem.

- Mamy dla ciebie z Alice niespodziankę - powiedziała i pociągnęła mnie w stronę niewielkiego padoku.

Rozglądałam się przez chwilę, aż w końcu zobaczyłam moją córkę, która wyjeżdżała ze stajni. Moja Alice na grzbiecie małego szetlanda! W końcu jednak przemogła strach! Łzy stanęły mi w oczach, klasnęłam w dłonie.

- Dokonałaś cudu, Etto.

- Nie. Alice to twarda osóbka. Bardziej wdała się w ojca, niż sam przypuszcza.

Bo też Ian niczego nie przypuszczał. Nie miał pojęcia, jaka naprawdę jest jego córka. Była dla niego po prostu istotą płci żeńskiej.

- Jak mam ci dziękować? - zapytałam.

- Troszcz się o nią, i tyle. - Etta spojrzała mi w oczy. - Dbaj, by była bezpieczna, a w razie czego natychmiast przyślij ją tutaj. Nauczę ją, jak dojechać z Fox River do nas.

Odczekałam kilka tygodni, by dać szansę Alice na udoskonalenie swoich umiejętności, zanim zaprezentuje je przed ojcem, po czym któregoś dnia, kiedy Ian wydawał się w lepszym usposobieniu, zaproponowałam mu wyjazd do Sweetwater.

Staliśmy przy padoku i obserwowaliśmy Alice w siodle, gdy Etta, której sympatia dla Iana znacznie w ostatnich czasach ochłodziła, zwróciła się do niego z takimi słowami:

- Jak mówi Ezop, wygrywa stateczny i niespieszny.

Ian zbył przytyk milczeniem.

- Teraz możemy kupić jej nowego kuca - snuł już plany.

Etta spojrzała na mnie porozumiewawczo. Krykiet, szetlandzki konik Dicka, był idealnym wierzchowcem dla małej Alice.

- Weźcie na razie Krykieta - zaproponowała. - Dick na nim już nie jeździ, a ty będziesz mógł spokojnie rozejrzeć się za jakimś konikiem, Ianie.

Wzruszył ramionami.

- Bardzo to uprzejme z waszej strony - powiedział tylko.

W drodze powrotnej do domu powiedział Alice, że jest z niej dumny. Jedyne raz w życiu usłyszała od ojca te słowa.

Na rozpoczęcie sezonu łowieckiego Ian zdecydował się dosiąść Tancerza, którego od pewnego czasu mieliśmy w naszych stajniach. Siwek był pięknym ogierem, pełnej krwi, po świetnych rodzicach, ale zanim będzie miał okazję zainteresować swoimi wdziękami klaczki w okolicznych majątkach, najpierw musiał pokazać, na co stać go w polu.

Dla Iana, nawet przy pełnym zdrowiu, poskromienie Tancerza przedstawiałoby nie lada wyzwanie, natomiast w stanie, w jakim się teraz znajdował, takie próby mogły skończyć się nieszczęściem.

A jednak na pierwszym polowaniu pojechał wspaniale, budząc powszechny podziw. Tancerz okazał się niedościgły w braniu przeszkód, wprost przefruwał nad nimi. Dopiero pod wieczór dało o sobie znać wyczerpanie mojego męża.

Przez następny tydzień, o ile mogłam wnosić z zachowania i nastroju Iana, znów musiały mu dokuczać uporczywe bóle głowy.

Prawdziwe kłopoty zaczęły się podczas trzeciego polowania. Była na terenie naszej posiadłości przeszkoda, którą brali tylko najtężsi jeźdźcy: wysoki płot z czterech bali kasztanowca, a za rum śliska, kamienista pochyłość opadająca ku brzegowi Fox River. Co sezon powracały dyskusje, czy jej nie zlikwidować, ale za każdym razem odzywały się głosy, by ją zostawić jako znak tradycji.

Kiedy cała kompania, przekroczywszy granicę Sweetwater i naszego majątku, powściągnęła wierzchowce, czekając na sygnał rogu, zauważyłam, że Ian ledwie trzyma się w siodle. Zeskoczyłam z mojej klaczy, podeszłam do niego i odezwałam się dość głośno, by inni słyszeli:

- Kochanie, Ognista wbiła sobie chyba kamień pod podkowę. Mógłbyś jej pomóc?

Ian zsunął się z Tancerza i chwilę stał bez ruchu. Widząc, że najgorszy atak bólu minął, wzięłam siwka za uzdę i tak podeszliśmy do Ognistej, nad której kopytem Ian się nachylił w poszukiwaniu wyimaginowanego kamienia.

- Przyznaj, Luizo, że szukałaś pretekstu, by rozprostować nogi - zbył kpiną ten epizod.

W takim to stanie mąż zamierzał wziąć przeszkodę z bali kasztanowca nad pochyłością schodzącą ku rzece.

Jeszcze miałam nadzieję, że się wycofa i powie, iż przez wzgląd na resztę kompanii zmienił szlak, chcąc innym oszczędzić ryzyka bądź wstydu. Część z nas wybrała lżejszy przeskok nad niewielką odnogą Fox River, ale Ian najbardziej odważnych poprowadził tam, gdzie najtrudniej.

Dla Tancerza wzięcie wysokiego płotu i pewne lądowanie na grząskim, spadzistym gruncie znaczyło tyle, co opędzić się od uprzykrzonej muchy ogonem.

Patrzyłam, co się dzieje: koń wzbity w powietrze płynie miękko do przodu, gdy mój nieszczęsny mąż, podskakując w siodle, odchyła się do tyłu. Gdyby nie cudowny zmysł Tancerza i jego wielkie serce, skok skończyłby się tragicznie.

Nie ja jedna to widziałam.

Ian cały następny dzień przespał, a przy kolacji uparcie twierdził, że nic się nie stało. Kiedym go ofuknęła, dostał białej gorączki i pewnie dałby mi w twarz, ale w jadalni krzatali się Lettie i Seth.

Jak nikt zdawałam sobie sprawę z rozdarcia, w jakim żył mój targany sprzecznościami mąż. Walczyło w nim o lepsze dwóch ludzi: ten, jakim „winien być”, oraz taki, jakim ukształtował go ojciec. Stałam się mimowolnym arbitrem tych walk i jak każdy sędzia w ringu, nieustannie narażona byłam na niebezpieczeństwo.

Nigdy nie było ono jednak równie wielkie jak teraz.

Iana nadal dręczyły bóle głowy, a wtedy zwykł obracać swój bezradny gniew przeciwko tym, którzy nie mogli dać mu odporu.

Alice coraz pewniej radziła sobie na grzbiecie maleńkiego szetlanda, ale nadal bała się większych koników, nawet kuców. Tymczasem Ian umyślił kupić jej kuca palomino. Księżniczka była śliczną klaczką, ale za dużą i zbyt żywą jak dla mojej córeczki. Ian chciał postawić Alice w sytuacji, w której z całą pewnością nie sprostą jego oczekiwaniom.

Czyż nie tak samo postępował ze mną? Jeśli nie miał jak wyładować zbierającej w nim wściekłości, kreował po temu powód.

Pewnego wieczoru, kiedy leżeliśmy już w łóżku i Ian właśnie skończył się kochać ze mną, spróbowałam odwieść go od pomysłu kupienia Księżniczki. Wiedziałam od Etty, że został wystawiony na sprzedaż mały kucyk w sam raz dla Alice.

Niestety źle rozegrałam swoją partię. Fakt, że Etta miałaby doradzać nam w sprawach dotyczących naszej córki, kwestionując pośrednio decyzje Iana, tylko go rozsierdził.

- Jutro z samego rana sprowadzę Księżniczkę i Alice rozpocznie lekcje - oznajmił stanowczo.

Na mojej twarzy musiało odmalować się przerażenie, lęk o zdrowie i życie mojego dziecka.

- Nie patrz tak na mnie, psiakrew! Przeklęta Frances patrzyła tak samo - warknął Ian.

- Ja i Frances mamy ze sobą więcej wspólnego, niż sobie wyobrażasz.



- Co to ma znaczyć?

- Czy nie dlatego Frances uciekła od ciebie, że ją biłeś? Tak jak bijesz mnie. Czy nie dlatego straciła dziecko, że biłeś ją, gdy była w ciąży?

Ian pobladł.

- Jak... śmiesz?

Uniósł rękę, ale nie drgnęłam, nawet nie próbowałam się uchylić.

- Powiedziałam Etcie, jak mnie traktujesz. Jeśli coś mi się stanie, ma natychmiast zawiadomić szeryfa i zabrać Alice z tego domu. Nie będziesz dłużej mną poniewierał. Ktoś wreszcie się tym zajmie. Wniosę sprawę do sądu i powiem wszystko.

- Stąpasz po cienkim lodzie, Luizo, lepiej uważaj.

- Jesteś ode mnie cięższy, więc lód pod tobą prędzej się załamie. Myślisz, że ktoś przyjdzie ci wtedy na ratunek?

Ian milczał. Nie potrafiłam powiedzieć, co myśli i wołałam nie wiedzieć. Wreszcie, o dziwo, opadł na poduszki i utkwiał wzrok w suficie.

- Mój Boże, kim ja się stałem?

Oślupiałam. Męka w jego głosie była autentyczna. Nikt nie potrafiłby tak jej zagrać. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Ian był tym, kim uczynił go ojciec. Człowiekiem, który niszczył rok po roku swoich najbliższych i wyhodował w sobie potwora. Małym chłopcem płaczącym za matką.

- Uderzyłem Frances - przyznał - ale nie wiedziałem, że jest w ciąży. Przysięgam. Ukrywała to przede mną. Chciała jechać do swojej matki, z tym też się kryła. Któregoś wieczoru zaczęliśmy się kłócić, popchnąłem ją, a ona uderzyła głową w szafę. Zaniósłem ją do łóżka, rozebrałem. Wtedy odkryłem, że jest w ciąży. Od tej chwili zaczęły się jej kłopoty ze zdrowiem. Była pewna, że jeśli tylko znajdzie się z dala ode mnie, wszystko będzie dobrze. Pojechała w końcu do matki. Jak się to skończyło, już wiesz.

Zaczęłam płakać. Ian przygarnął mnie do siebie, głaskał po głowie. Nic nie mówił, bo jakich słów miał użyć? Przecież wszystko zostało już dawno powiedziane.

Nie próbował mnie przeproszać, nie czynił obietnic, nie uciekał w kłamstwa. Była to najpiękniejsza chwila naszego małżeństwa.

- Mogłam była cię kochać. Na początku wszystko wydawało się możliwe.



- Ja cię kocham - głos Iana drżał - chociaż ty w to oczywiście nie wierzysz.

- Wierzę. Gdybyś mnie nie kochał, nie próbowałbyś odpychać mnie od siebie z takim okrucieństwem.

- Pokochałem cię od pierwszego dnia. Z potarganymi włosami, w rozdartej amazonce. Pomyślałem: jeśli wyszła cało ze spotkania z niedźwiedziem, może i mnie potrafi stawić czoło? Może ta kobieta wreszcie mnie wyzwoli?

Rozpłakałam się jeszcze bardziej, Ian też płakał. Tak też usnęliśmy.

Kiedy obudziłam się następnego ranka, zobaczyłam przez okno, jak Ian daje polecenia masztalerzowi, który oprowadzał Księżniczkę.

## ***ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI***

Nadszedł uroczysty dzień otwarcia sezonu łowieckiego i cała kompania z Mosby Hunt zebrała się w miejscu, z którego miała ruszyć gonitwa. Trwały ostatnie przygotowania. Psy, konie, ludzie, wszyscy byli jednakowo podnieceni i ożywieni. Oprócz członków klubu w gonitwie brali udział zaproszeni goście, pojawili się nawet piesi ciekawscy. Zdawało się, że całe Ridge's Race świętuje początek łowów.

Do Christiana, który pilnował wyładunku koni z ciężarówki, podjechał Peter. On, jako mistrz łowów, wcześniej już dosiadł swojego Jacka.

- Witaj, Christianie. Umówiłem się z Bardem Warwickiem, że będzie trzymał się z tyłu, mając oko na maruderów. - To oznaczało, że Christian i Bard nie powinni mieć okazji do bezpośredniego spotkania.

- Dzięki.

Powoli kompania zaczęła ustawiać się na skraju pola kukurydzy. Prowadzący psy zajęli swoje miejsca. Peter wysunął się na przód, by w kilku słowach otworzyć gonitwę.

- Dzisiaj znowu ruszymy na łów - zaczął. - Gonitwa za lisem to sport starszy niż ten kraj. Prawdę powiedziawszy, narodził się w dniu, kiedy człowiek jaskiniowy, dosiadłszy swego pterodaktyla, ruszył w pogoń za przodkiem rudego mieszkańca naszych lasów.

Żart został przywitany gromkimi śmiechami, Peter skinął głową.

- Honor to rzadko dzisiaj używane słowo - ciągnął. - Nie znajdziesz go w gmachach Waszyngtonu. Wystarczy przejechać się autostradami Wirginii czy Marylandu, by przekonać się, że znikło bez śladu.

Przeczekął następny wybuch śmiechu.

- Jednak inaczej w naszym sporcie. Zachowujmy się dzisiaj, jak na ludzi honoru przystało, jak się godzi myśliwym. - Peter spojrzał na Christiana. - Witamy dzisiaj wśród nas nowego łowczego, człowieka zasługującego na nasze pełne uznanie. Zaczyna dopiero swoje powinności, więc wybaczajcie mu potknięcia, a chwalcie sukcesy. Wiem, że z czasem stanie się najlepszym łowczym w całej Wirginii.

Rozległy się okrzyki.

- Łowczy. - Peter ceremonialnie skłonił głowę.

W odpowiedzi, jak nakazywała tradycja, Christian nałożył trzymany dotąd w dłoni kapelusz. Był to znak, że podejmuje swoją rolę.

- Gotowe? - zwrócił się do psów.

Psy, doborowa zgraja złożona z dwudziestu sfor, wyciągały szyje i podnosiły wysoko łby. Na ten widok duma ogarnęła Christiana. Spiał Rangera i ruszył polną drogą, zgraja pomknęła za nim. Kawalkada minęła niewielki zagajnik, przecięła łąkę i dotarła do wzgórza, po czym zaczęła zjeżdżać ku potokowi.

Tu Christian ponownie zwrócił się do psów:

- Szukajcie go, przyjaciele! - zawołał i zadał w róg. Psy z nosami przy ziemi poszły w zarośla. Teraz pozostało tylko czekać na sukces bądź porażkę.

- Jest tam gdzieś na pewno, wiem, że jest. Znajdziecie go! Próbuje, moje miłe - zachęcał od czasu do czasu zgraję, wiedząc, że jego głos dodaje psom pewności.

Część foxhoundów szukała tropu w pobliżu strumienia, inne rozbiły się w szeroką tyralierę, jakby ćwiczyły wczoraj wieczorem w psiarni dzisiejszą strategię. Skupione i napięte, szły z nosami niemal wbitymi w ziemię. Jeźdźcy obserwowali psy w nie mniejszym napięciu, oczekując rozpoczęcia gonitwy.

Pierwszy dał głos Darth, o którym Robby tak kiedyś powiedział: „W rześkim powietrzu poniosła się barytonowa aria”. Christian jeszcze czekał, wiedział bowiem, że

Darthowi nie zawsze można ufać, ale oto do jego śpiewnych nawoływań dołączyła się Daisy.

- Ruszaj, Darth! - zawołał Christian. - Bieg, Darth, bieg!

Teraz podniósł się już cały chór psich głosów.

Wypłoszony z ukrycia lis pomykał w stronę płytkiego strumienia. Christian ponownie zadał w róg, spiął Rangera i ruszył za ujadającą zgrają.

Piękna gonitwa trwała pół godziny. Wiodła przez strumień, stokiem wzgórza w górę, przez wykroty i wiekowy kamienny mur, nad którym Ranger wzniósł się niczym potężny szary ptak, i dalej przez łąkę, wyschnięte koryta potoków i niewielki zagajnik.

Na jego skraju lis zmylił pogonie i gdzieś czmychnął, klucząc, a psy na chwilę straciły trop.

Christian zatrzymał się, podniósł dłoń, dając znak, by jeźdźcy się zatrzymali i nie przeszkadzali swoją bliskością zgrai w podjęciu na nowo tropu.

- W tym właśnie miejscu już się to zdarzyło kilka razy - powiedział Peter, podjeżdżając do Christiana.

- Jak myślisz, co się stało?

- Lis musiał nagle skrócić, przeskoczyć przez tamten kamienny murek i potem umknąć wzdłuż potoku.

- Christian wskazał pejczem kierunek.

- Też tak myślę - odparł Peter. - Spisałeś się, synu - dodał po chwili.

- Pański syn nie żyje.

Patrzyli przez chwilę na siebie w milczeniu.

- Przepraszam, nie wiedziałem, że cię drażni, kiedy tak się do ciebie zwracam.

- Kiedyś był to dla mnie zaszczyt, ale dzisiaj rano zrozumiałem, że z twoją pomocą twój prawdziwy syn ukradł mi dziewięć lat życia.

Peter nie odpowiedział. Ciszę przerwało dopiero szczekanie Chipera.

- Znalazł trop - powiedział Peter i podniósł róg. - Porozmawiamy później - dodał jeszcze i spiął konia.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Psy znowu zgubiły trop. Kiedy Christian wjechał na wzgórze, w dole zobaczył machającego doń Petera.

Gdy zbliżył się i zeskoczył z Rangera, Peter podniósł strzelbę i skierował lufę w pierś Christiana.

- Chytrus schował się w grocie, o tam - wskazał kierunek. - Psy nie zamierzają tam wejść. Dziwi mnie, że są tak niezdyscyplinowane. - Mówił normalnym tonem, ale cały czas celował ze strzelby.

Christian milczał. Peter skrzywił się.

- Mówiłem ci wiele razy, żebyś zostawił tę sprawę w spokoju. Wyciągnąłem cię z więzienia i to powinno ci wystarczyć.

- Musiałem dojść prawdy.

- Za bardzo go kochałeś. Od początku miałeś wszystkie elementy układanki, tylko nie chciałeś złożyć ich w całość.

- Nie wszystkie. Nie miałem pojęcia, że Fidelity i Robby byli ze sobą aż tak blisko, dopóki Julia o tym nie wspomniała. Nie przyszłoby mi do głowy, że pański syn miał powody, by ją zabić.

- Fidelity zakpiła sobie z Robby'ego.

- Mogło być tak. - Christian zaczął snuć domysły.

- Tamtego ranka, w dniu swojej śmierci, Fidelity najpewniej powiedziała Robby'emu, że to koniec romansu. Julia ją ostrzegła, by nie posuwała się zbyt daleko, widać wzięła to sobie do serca. Rozstanie musiało być burzliwe, bo zaraz potem Fidelity spotkała się Bardem Warwickiem. Jak sądzę, szukała u niego rady.

- Mój syn był namiętym człowiekiem. Jeśli kochał, to głęboko i na zawsze.

Wydawało mu się, że znalazł prawdziwą miłość, a tymczasem...

- Tymczasem dla Fidelity była to tylko przygoda. Zabił ją w ataku furii.

- Nie chciał tego. Pojechał do niej błagać, by od niego nie odchodziła i zastał ją gotującą się na randkę z innym. Właśnie wybierała biżuterię. Robby... nie wytrzymał. Potem zabrał biżuterię, żeby upozorować rabunek i zakopał ją pod płotem. Kiedy wrócił

do Claymore Park, traf zdarzył, że znalazłem twój nóż w stajni i dałem go Robby'emu. Był identyczny jak Robby'ego, pamiętasz? Policja znalazła przy tobie jego nóż, on miał twój. Pokazał go policji w trakcie dochodzenia.

- I wysłał mnie do więzienia.

- Tak, ale sam wyznaczył sobie karę śmierci. Z całym rozmysłem uderzył samochodem w drzewo. Tamtego wieczoru zostawił mi pożegnalny list. Nie mógł znieść tego, co zrobił, ani pogodzić się z tym, że ty musisz płacić za jego zbrodnię. Nie przestał cię kochać.

W piersi Christiana wezbrał gniew.

- Dlaczego się nie przyznał?

- Nie pozwoliłbym na to.

- Jasne, nie zniosłbyś takiej hańby.

- Dobrze mnie znasz.

- Wolaleś zhańbić sam siebie, niż widzieć hańbę Robby'ego.

- Daj spokój. Wierzyłem, że w końcu jakimś sposobem wyciągniemy cię z więzienia i nikt nigdy się nie dowie, co Robby zrobił. Wynająłem najlepszego adwokata. Dowody przeciwko tobie były słabe, nie miałeś też motywu. Zdecydowało to, że zastano cię nad ciałem Fidelity z narzędziem zbrodni w ręku.

- Mogłeś mnie wybronić.

- Liczyłem, że uniewinnią cię podczas apelacji.

- Skąd wziął się w całej sprawie Zandoff?

- A jak myślisz?

Christian przypomniał sobie rozmowę z Bardem.

- Nie miał nic wspólnego z zabójstwem.

- Lata mijały, przegraliśmy wszystkie apelacje. Wtedy zrozumiałem, że muszę znaleźć kogoś, kto weźmie winę na siebie. Porozumiałem się z adwokatem Zandoffa, a potem spotkałem się z samym Zandoffem i powiedziałem mu, co ma mówić. Obiecałem, że jeśli się przyzna, zaopiekuję się jego rodziną. Wprawdzie policja, co oczywiste, nie znalazła żadnego potwierdzenia, że pracował wtedy w Wirginii, ale on wędrował po całym kraju, więc mógł i tu być jakiś czas. Wierzyłem, że musi się udać.

- Jak się to wszystko zgrabnie układa - mruknął Christian. - Rozmawiałem dzisiaj rano z moim przyjacielem z biura szeryfa. Powiedział mi, że Robby miał niepodważalne alibi.

- Przyjechał do mnie zaraz po tym, jak zabił Fidelity. Był zupełnie nieprzytomny. Kazałem mu się wziąć w garść i zachowywać jak mężczyzna. Obiecałem, że i tym razem mu pomogę.

- I tym razem? - zapytał się Christian. - Dzisiaj rano dzwoniła do mnie Julia. Wspominała ostatnie spotkanie z Robbym. Powiedział jej wtedy, że zrobił dwie rzeczy, które wypełnią ci życie do końca twoich dni.

- Nie lubił mnie. Chciałem zrobić z niego silnego człowieka, który mógłby kontynuować tradycję rodzinną.

- Nie powiem, żeby ci się to udało.

- Odważna uwaga jak na kogoś, komu celują w pierś.

- Nic gorszego poza tym, co zrobiłeś, nie możesz mi już uczynić. Na spółkę z Robbym odebraliście mi wszystko, co kochałem.

- Obawiam się, że Robby odebrał ci więcej, niż przypuszczasz.

Christian nagle zrozumiał, o czym Peter mówi.

- Chodzi o mojego ojca?

- Tak.

- Dlaczego?

- Dlatego, że cię kochał. Gdy odkrył, że Gabe cię uderzył, nie mógł się z tym pogodzić.

- I podłożył ogień w stajni, kiedy ojciec usnął?

- Zrobiłem wszystko, żeby jakoś zadośćuczynić ci śmierć Gabe'a. Traktowałem cię jak drugiego syna.

- Chryste... Robby był chory. Już wtedy powinieneś być coś z tym zrobić, ratować go, leczyć, a tymczasem dopuściłeś do tego, by zabił ponownie.

Peter nie próbował się usprawiedliwiać.

- Jesteśmy Claymore'ami i od stuleci mieszkamy na tej ziemi. Nie pozostało mi nic innego, jak bronić honoru naszego nazwiska.

- Teraz też będziesz go bronił? Zabijesz mnie? Jeśli tak, to pospiesz się, zanim ktoś cię zobaczy. Jakoś to potem wyjaśnisz, możesz przecież powiedzieć, że zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Jak nikt umiesz usuwać ślady.

- Jesteś mądrym człowiekiem, ale tym razem się pomyliłeś - powiedział Peter.

- To nie musi się tak skończyć. Nie rób tego. - Christian nagle zrozumiał, co Peter zamierza.

Claymore uśmiechnął się smutno.

- Spróbuj myśleć rozsądnie, chłopcze. To dla mnie jedyne wyjście z tej sytuacji.

## ***ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY***

Julia była po południu sama w domu, gdy usłyszała silnik bmw Barda.

Maisy gdzieś pojechała, dając córce kilka godzin samotności.

Christian dotąd nie zadzwonił, by powiedzieć", jak się udało polowanie.

Julia podeszła do drzwi i otworzyła nieproszonemu gościowi.

- Witaj, Bard.

- Skąd wiedziałas, że to ja?

- Po odgłosie twojego samochodu. Jest ktoś z tobą?

- Nie, jestem sam. Mogę wejść? - zapytał. Cofnęła się, robiąc mu przejście.

- Maisy i Jake w są domu? - Zabrzmiało to tak, jakby Bard wołał, żeby Fletcherów nie było.

- Maisy pojechała po zakupy, a Jake zawiózł dziewczynki do Lilith. - Julia ruszyła w stronę bawialni, raz tylko uderzając w coś ramieniem. - Pewnie wracasz z przyjęcia po polowaniu, ale może masz ochotę na herbatę albo coś mocniejszego?

- Nie było przyjęcia.

Julia zachmurzyła się.

- Dobrze słyszysz? Przecież Peter zmówił firmę kateringową, wszystko było przygotowane i...

- Pozwól mi mówić, Julio.

- Co się dzieje?

- Przykro mi, że to właśnie ja przywożę tę wiadomość, ale... Peter nie żyje. To stało się na Little Seargent Hill. Jechał tuż za Christianem, reszta została daleko z tyłu.

Brzmiało to dziwnie. Łowczy powinien opiekować się zgrają, a mistrz polowania być z kompanią.

- Spadł z konia?

- Nie, zginął od kuli. Kilku myśliwych wjeżdżało właśnie na wzgórze, gdy rozległ się strzał. Po chwili dojrzeli Petera leżącego na ziemi, a Christian stał nad nim. - Bard zamilkł na moment. - Peter miał strzelbę w ręku.

Oszołomiona Julia próbowała coś zrozumieć z relacji Barda.

- Czyją strzelbę?

- Swoją, oczywiście. Christian był bez broni.

Nadal nic nie mogła pojąć. Peter martwy, ze strzelbą w ręku? Christian stojący nad zwłokami?

- Christiana zabrano do biura szeryfa.

Julia zerwała się ogarnięta paniką.

- Aresztowali go?

- Nie, po prostu muszą go przesłuchać. Christian wezwał ich przez krótkofalówkę. Trochę potrwało, zanim wreszcie dotarli na miejsce. Musieli jechać leśnym traktem, potem około siedmiuset metrów pieszo. Zabrali Christiana, ktoś zaopiekował się końmi, ktoś inny psami. Jeden z ludzi szeryfa został przy zwłokach.

- Christian traktował Petera jak ojca. Nie mógł go zabić.

- Nie musisz mi tego mówić. Julia na powrót usiadła.

- Myślisz tak samo jak ja?

- Czy myślę tak samo? Peter popełnił samobójstwo. To przez niego Christian został skazany. Robby zabił Fidelity. Peter pomógł mu uniknąć kary, potem usiłował wydostać Christiana z więzienia. - Bard zaśmiał się gorzko. - To się nazywa podwójne życie.

Julia poczuła, że robi się jej słabo, jakby jej ciało nie było w stanie pogodzić się z ostatnią tragedią.

- Skąd to wiesz?

Usłyszała, że Bard wstaje i zaczyna niespokojnie chodzić po pokoju.



- Rano, w dniu swojej śmierci, Fidelity spotkała się ze mną. Miała romans z Robbym i...

- Romans?

- Tak, Julio. Sypiali ze sobą tamtego lata. Nic o tym nie wiedzieliście, prawda?

- Widziałam, że Fidelity flirtuje z Robbym, ale...

- Zwierzała mi się. Nie miała nikogo innego, komu mogłaby powiedzieć coś takiego. - Bard, człowiek z boku, mógł być dla Fidelity wygodnym powiernikiem. - Robby niczego nie rozumiał. Obserwował przez lata, jak Fidelity sypia z kim popadnie i nadal nic do niego nie docierało. Kochał ją, wyobraził sobie, że ona też go kocha. Kiedy mu powiedziała, że to koniec, oszalał i zabił ją.

- Mówisz, że Fidelity widziała się z tobą tamtego dnia. Co mówiła? - Julia zamilkła. Nagle dotarł do niej jeszcze jeden ponury aspekt tej już wystarczająco przerażającej tragedii. - Dlaczego nigdy nie wspomniałeś nikomu o tej rozmowie?

Bard westchnął głęboko.

- Powiedziała, że właśnie zerwała z Robbym, a on zachowywał się jak obłąkany. Przerażona, zostawiła go w lesie, odprowadziła konia do stajni i przyjechała prosto do mnie.

- A ty co powiedziałeś?

- Że każdy facet, z którym by zerwała, zachowywałby się jak wariat. - Zdumiona Julia usłyszała w głosie Barda skrucę. - Chciałem ją w ten sposób uspokoić. Mówiłem, że Robby w końcu przeboleje rozstanie.

- Jak się poczułeś, kiedy usłyszałeś, że Fidelity nie żyje?

- A jak, twoim zdaniem, się mogłem poczuć?

- Nie na tyle źle, by powtórzyć policji treść waszej rozmowy. Pozwoliłeś, żeby Christian trafił do więzienia, chociaż wiedziałeś, że to Robby jest mordercą.

- Nie wiedziałem. Mogłem się domyślać, ale nie miałem żadnego potwierdzenia. Na miejscu zbrodni zastano Christiana z nożem w dłoni, natomiast Robby miał alibi. Peter zareczył, że całe popołudnie spędzili razem. Nikt nie widział Robby'ego w pobliżu South Land w czasie, kiedy popełniono morderstwo. Był najlepszym przyjacielem Christiana,

gdyby to rzeczywiście on zabił, nie dopuściłby, żeby niewinnie skazano najbliższego mu człowieka. Tak wtedy myślałem.

- Nie wierzę ci.

- Jak bym wyglądał, gdybym wskazał na Robby'ego i pomylił się? Claymore'owie są moimi sąsiadami, Peter był mistrzem łowów i człowiekiem powszechnie szanowanym. Zostałbym wyklęty przez wszystkich.

- Miałeś obowiązek powiedzieć wszystko, co wiesz, ale siedziałeś cicho, bo chciałeś, żeby Christian trafił do więzienia.

- Nie wiem. Nie sądziłem, że to tak się skończy. Wierzyłem, że prawda ostatecznie musi wyjść na jaw.

- I cały czas milczałeś! Chcę rozwodu, Bard.

- Rozumiem cię.

- Tak szybko, jak to tylko możliwe. Załatw to gdzieś, gdzie dostaniesz orzeczenie od ręki. W Nowadzie, na Karaibach, gdziekolwiek.

- Musimy najpierw dokonać podziału majątku.

- Zachowaj sobie wszystko. Nie chcę nic, niech tylko to małżeństwo wreszcie się skończy.

- A dziecko?

- Od kiedy troszczysz się o Callie?

- Dla niej, przynajmniej na razie, wciąż jestem ojcem. Nie mogę ot tak, po prostu, zniknąć z jej życia. Nie byłem cudownym tatusiem, wiem, ale będę za nią tęsknił. Jej też będzie mnie brakowało. Zawsze chciała, żebym był z niej dumny. Pozwólmy jej przekonać się, że tak jest.

Julia miała ochotę krzyknąć i płakać. Wszystko, co Bard powiedział, było absolutną prawdą.

- Możemy się nad tym zastanowić? - zapytał.

- Owszem - powiedziała Julia po chwili wahania. - Za zgodą Christiana.

- Christian...

- Trafił do więzienia przez twoje milczenie.

- Wątpię.

Julia wiedziała, że Bard i tak wzięł na swoje barki tyle odpowiedzialności, ile był w stanie unieść.

- Jeszcze o jedno chciałam cię prosić.

- Słucham.

- Zawieź mnie do biura szeryfa. Powtórzę im, co usłyszałam od ciebie. Nie dopuszczę, żeby Christian spędził chociaż jedną noc za kratkami.

- Nikt tam nie będzie chciał cię słuchać. Poza tym to zupełnie oczywiste, że zdesperowany Peter popełnił samobójstwo...

- Zabierzesz mnie, czy mam iść pieszo? Zapewniam cię, że na pewno pójde. Dotrę jakoś do drogi, może ktoś ulituje się nade mną, o ile wcześniej mnie nie rozjedzie.

- Zabiorę cię.

- Pójde po płaszcz.

- Julio?

- Tak?

- Żałuję, że to tak się ułożyło. - W ustach Barda brzmiało to niemal jak przeprosiny.

- Ja też żałuję.

- Kochałem cię.

- Jeśli to miała być miłość, dobrze, że wreszcie się skończyła.

Do pokoju, w którym siedział Christian, weszło dwóch ludzi szeryfa. Przesłuchanie trwało od kilku godzin i co jakiś czas rytuał się powtarzał: wychodzili, wracali, i tak bez końca. Zbliżała się ósma, a Christian od brzasku nie miał nic w ustach poza batonikiem z automatu. Ktoś z klubu przywiózł mu ubranie. Mógł wreszcie zrzucić strój łowiecki i włożyć dzinsy, koszulę oraz sweter.

- Chciałbym w końcu podpisać protokół. Powiedziałem wam wszystko, co wiem.

- Musimy poczekać na twojego adwokata. Jest już w drodze.

Christian próbował dodzwonić się do Mela, ale nie zastał go ani w domu, ani w kancelarii. Zostawił mu wiadomość na sekretarce, ale nie spodziewał się, by Powers odebrał ją przed nocą.

- Ile to może potrwać?

- Niedługo powinien przyjechać.

Jakby na potwierdzenie tych słów w korytarzu rozległy się kroki i w pokoju pojawił się Mel. Podszedł prosto do Christiana.

- Powiedziałeś coś?
- Mnóstwo.
- Chcesz znowu siedzieć z paragrafu sto jeden?
- Nie powiedziałem nic, co mogłoby mnie obciążyć. Bo i nie ma nic takiego.

Mel spojrzał na ludzi szeryfa.

- Chciałbym porozmawiać z moim klientem w cztery oczy.
- Przynieść ci coś picia? Kawę? Może twixa? - zapytał jeden z policjantów, wstając

powoli zza stołu.

- Nie, dziękuję.

- To dobry znak, że proponują kawę i twixa - powiedział Mel, kiedy został sam z Christianem. - Chyba że grają dobrych gliniarzy i w ten sposób chcą cię zmiękczyć. Zresztą to nieważne. - Mel usiadł. - Jesteś bezpieczny, Chris. Nie masz czym się martwić. Rozmawiałem już z szeryfem.

- I?
- To samobójstwo. Bez żadnych wątpliwości.
- Wiem. Musiałem na to patrzeć. - Christian zamknął oczy i szybko je otworzył.

Obraz śmierci Petera jeszcze długo będzie go prześladował. - Mogę stąd wyjść?

- Jeszcze nie. Chcą mieć twoje spisane zeznanie w sprawie śmierci Fidelity Sutherland. Napiszesz?

- Po co? Jakie ma znaczenie, co teraz powiem? Wszyscy, którzy mogliby poświadczyć moje słowa, nie żyją. Może szeryf mógłby znaleźć jakieś dowody na potwierdzenie słów Petera, ale nie będzie mu się chciało szukać.

- Nie muszą szukać - oznajmił Mel. - Mam oświadczenie Petera złożone cztery lata temu i list pożegnalny Robby'ego. Przyznaje się w nim do winy i prosi cię o wybaczenie. Może miał nadzieję, że ojciec da ten list szeryfowi.

Christian był tak wyczerpany, że z trudem zrozumiał, co Mel do niego powiedział.

- Jak dotarłeś do tych dokumentów?

- Peter zdeponował u mnie kopertę, którą miałem otworzyć po jego śmierci. Dopiero dzisiaj zobaczyłem, co jest w środku. Myślałem, że to akcje, które mam przekazać tobie, ale zawartość okazała się znacznie cenniejsza. Peter szczerze wyznaje całą prawdę, do tego dołącza list syna. Nie trzeba nic więcej.

Christian nie był w stanie wydobyć słowa z gardła, a nawet gdyby, i tak nie wiedziałby, co w takiej sytuacji powiedzieć.

- Sprawa śmierci Fidelity Sutherland została rozwiązana raz na zawsze.

- A więc to koniec.

- Koniec. - Mel zawahał się. - W poczekalni siedzi piękna młoda kobieta, która też chciałaby wiedzieć, czy to koniec.

- Julia?

- Równie piękna jak przed dziewięciu laty. Od kilku godzin próbują namówić ją, żeby wracała do domu, a ona zagroziła szeryfowi, że zadzwoni do waszej gazety i opowie, jak jego funkcjonariusze wyrzucili niewidomą kobietę na ulicę.

Christian pokręcił głową, uśmiechnął się blado i zaraz spoważniał.

- Nie wiem nawet, gdzie się podziać dzisiejszej nocy. Nie mam domu. Chyba nigdy nie miałem.

Mel nachylił się i położył rękę na jego dłoni.

- Masz za sobą koszmarne dzień. Boję się powiedzieć cokolwiek więcej, bo nie wiem, jak to zniesiesz, ale trudno, powiem. Chyba jednak masz dom.

Spojrzał na dłoń Mela, a potem podniósł wzrok.

- O czym mówisz?

- To jest tak, Chris: nie mam testamentu Petera, zdeponował go u swojego adwokata, ale w liście, który u mnie zostawił, oświadcza, że Claymore Park ma należeć do ciebie. Prosi, żebyś przyjął tę schedę jako mizerną zapłatę za dziewięć lat twojego życia.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Julia usłyszała rozgwar, w którym wyróżniał się głos Christiana. Od kilku godzin tkwiła na krześle w poczekalni biura szeryfa. Z telefonu komórkowego zadzwoniła do Maisy i zostawiła wiadomość, że wróci późno. Aż do przyjazdu Mela Powersa, poza kilkoma ostrymi utarczkami z szeryfem, z nikim nie zamieniła słowa.

Mel zapewnił ją, że Christianowi nic nie grozi, ale to samo mówił Peter po śmierci Fidelity. Bała się.

- Christian? - Miała nadzieję, że ją usłyszy. Żadnej odpowiedzi - i nagle znalazła się w znajomych ramionach.

- Witaj, Jules. - Przed laty właśnie tak ją nazywał. - Zdaje się, że trochę dopiekląś tym facetom.

- Wszystko w porządku? - zapytała cicho.

- Może nie wszystko, ale jestem wolny.

Łzy napłynęły jej do oczu. Mocniej przytuliła się do Christiana i powiedziała cicho:

- Wyjdźmy stąd.

- Podwoję was, dokąd chcecie - zaproponował Mel.

Julia wyczuła wahanie Christiana.

- Jedziemy do Ashbourne? Wiesz, że wszyscy ucieszą się na twój widok.

- Nie. Mel, podrzuć nas do Claymore Park.

- Jesteś pewien? - spytała Julia. - Nie musisz tam dzisiaj wracać.

- Muszę zajrzeć do Rangera i psów. - Christian zacisnął konwulsyjnie rękę na jej ramieniu. - Nauki Petera nie poszły w las.

Przełknęła łzy.

- Wiem.

- Aż w końcu go zabiły. - Ujął twarz Julii w dłonie. - Uspokój się. Już nie odejdę.

- Nawet gdybyś tak zrobił, kto mógłby cię za to winić?

- Mam córkę w Ridge's Race. Spróbowała się uśmiechnąć.

- Tak.

- Zaczekajcie tutaj, aż wyprowadzę samochód z parkingu - powiedział Mel.

- Rozumiem, że jesteś rozgoryczony, Carver - odezwał się szeryf. - Nie jest miło żyć z myślą, że posłało się za kratki niewinnego człowieka.

- Mnie też nie było miło, kiedy za nie trafiłem - odparł Christian.

- „Przykro mi” to niewłaściwe słowo.

- Owszem.

- Daj znać, jeśli będę mógł ci w czymś pomóc.

- Dzięki - mruknął Christian i wyprowadził Julię na zewnątrz. - Kiedy ostatnio coś jadłaś?

- Dawno. Która teraz?

- Dochodzi ósma. Kupimy coś po drodze.

- Możemy podjechać do Ashbourne...

- Nie. Zabieram cię do domu.

- Christianie, nie chcę wchodzić ci w drogę. Przyjechałam, żeby upewnić się, czy nic ci nie grozi.

- A chcesz jechać ze mną do Claymore Park? Zdawała sobie sprawę, że minęli punkt zwrotny.

- Tak. - Mocniej uściśnęła jego ramię.

- Zatem do Claymore Park.

Po chwili siedzieli już w samochodzie Mela. Po drodze kupili hamburgery i coś do picia, ale podróż upłynęła niemal w milczeniu. Nawet gadatliwy Mel miał niewiele do powiedzenia.

- Naprawdę chcecie tu dziś zostać? - upewnił się, wjeżdżając na teren Claymore.

Christian nachylił się do przodu.

- Pamiętam, jak zjawiłem się tu po raz pierwszy. Miałem wtedy dziesięć lat.

Rozejrzałem się dookoła i dech mi zapało. Pomyślałem, że to niemożliwe, bym zamieszkał w tak wspaniałym miejscu.

- Może lepiej byś na tym wyszedł. Christian musnął palcami kark Julii.

- Może tak, może nie.

- Teraz Claymore Park należy do ciebie.

- Co takiego?! - krzyknęła Julia.

- Nic nie mów, dopóki nie masz pewności - zirytował się Christian.

- Przepraszam! - bąknął skruszony Mel.

- O co chodzi? - dopytywała się Julia.

- Wygląda na to, że Peter zapisał mi Claymore Park w spadku.

Julia wypuściła powietrze z płuc.

- A któż inny lepiej niż ty nadawałby się na gospodarza tego majątku?

- Tak sądzisz? Według Petera ma to być forma rekompensaty za dziewięć lat  
mojego życia.

- Cały Peter. Wiedział, że tylko ty potrafisz przejąć spuściznę Claymore'ów,  
zaopiekujesz się jego ukochanymi końmi i psami, i nie wyprzedasz ziemi deweloperom.

- Julia ma rację - stwierdził Mel. - Stary lis wiedział, co robi.

- Założę się, że w testamencie będzie klauzula, że nie wolno zmienić nazwy majątku  
- powiedziała Julia.

- I tak bym tego nie zrobił.

- A niby dlaczego? - prychnął Mel. - W końcu Claymore'owie zniszczyli ci życie.

- I zapłacili za to własnym.

- Żaden z nich nie mógł się z tobą równać. - Mel zatrzymał się, jak prosił Christian,  
przy stajniach. - Nie zapomnijcie swoich hamburgerów.

- Dziękuję za wszystko, co zrobiłeś dla Christiana, Mel - powiedziała Julia.

Kiedy odjechał, weszli do ciepłej, pachnącej sianem stajni. Jakiś koń parsknął, z  
dalekiego boksu rozległo się radosne rzenie.

- To Ranger. Czeka, żebym się z nim przywitał.

- Przecież wiedziałeś, że ktoś z klubu przyprowadzi go bezpiecznie do domu.

- Tak, ale to stary przyjaciel. Nigdy mnie nie zawiódł. Należy mu się mój szacunek.

- Teraz pewnie pójdziesz do psiarni...

- Nie od razu. Najpierw pójde do Rangera, potem coś zjemy.

Julia została przy wejściu, czekając, aż Christian wróci. Utrata wzroku nauczyła ją  
poruszać się w miarę sprawnie, ale nauczyła ją też zdawać się na tych, których kochała.  
Zastanawiała się, jak bardzo się zmieniła. Czy przypomina jeszcze tamtą dziewczynę  
sprzed lat? Czy postarzała się? Wygląda smutniej?



- Ranger ma się dobrze? - spytała, słysząc zbliżające się kroki Christiana.  
- Zamknąłem jego boks. Nie zmarzną mu jego stare kości.  
- Nie takie stare. Jeszcze długo będzie cieszył się życiem.  
- To stajnia Mosby Hunt - zaczął Christian. - Jedyna z otwartym pięterkiem na siano. W innych góra jest zabudowana i zsypy wiodą prosto do boksów. Tej Peter nigdy nie przebudował, bo zawsze było coś ważniejszego do zrobienia.

Julia domyśliła się, do czego Christian zmierza.

- Na górze będzie nam ciepło.  
- Będziesz musiała wejść po drabinie. Potrafisz?  
- Jakoś sobie poradzę.  
- Wezmę koce.

Christian wspinał się zaraz za Julią, chroniąc ją przed ewentualnym upadkiem.

- Ostatni szczebel i będziesz na górze. Uważaj na belki stropowe, tu jest nisko.  
Zaraz rozścielę koce i możesz się położyć.

Julia usłyszała szelest i otulił ją zapach siana. Christian umościł się obok. Nagle poczuli się jak za dawnych czasów, kiedy najtrudniejsze decyzje, jakie musieli podejmować, dotyczyły tego, czy pójść na pizzę, czy też zostać w domu i zadowolić się resztkami znalezionymi w lodówce Maisy.

- Jules... - Christian przesunął palcem po jej brwiach.

Drgnęła mimo woli i zapytała cicho:

- Widzisz mnie?  
- Nie za dobrze.  
- Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo chciałabym zobaczyć ciebie i jak mi tego brakuje.

- Nie zmieniłem się, tylko trochę się postarzałem.

Ujęła jego twarz w dłoń.

- Chciałam to zrobić od chwili, gdy usłyszałam twój głos tamtego wieczoru w ogrodzie w Ashbourne - powiedziała, przelękając łzy. - Tylko tak mogę teraz widzieć. Ciągle masz takie jasne włosy? - Przesuwała palcami po brodzie, policzkach, powiekach i czole Christiana.

- Nie wiem.
- Nie ściemniały?
- Nie przyglądam się sobie w lustrze.
- Domyślam się.

Jej dłonie skończyły swoją wędrówkę.

- Przypomniałaś sobie mnie?
- Nigdy cię nie zapomniałam.
- Wiesz, jak bardzo cię pragnę?
- Tak jak ja ciebie.
- Nie myślałem o zabezpieczeniu, kiedy rano wyjeżdżałem na polowanie.

Julia przyciągnęła go bliżej.

- Biorę pigułki. Jesteśmy bezpieczni, dopóki nie uznamy, że wcale tego nie chcemy.
- Jules...
- Mówiłam ci już, jaka jestem dobra, gdy kieruję się tylko dotykiem?
- Nie mówiłaś, i dobrze. I tak z trudem panowałem nad sobą...

Owinieci w koce, zajadali zimne hamburgery. Christianowi jeszcze nic tak nie smakowało. Gdy się kochali, nagle przestraszył się, że Julia lituje się nad nim. Teraz, widząc jej uśmiech, wiedział, że nie kierowała się współczuciem, ani nawet tęsknotą za dawnymi czasami.

Matka jego dziecka naprawdę go kochała.

- Zamierzam przenieść się na dobre do Ashbourne - oznajmiła. - Znowu zostaniemy sąsiadami. Będziesz, jak dawniej, zakradał się do mnie?
- Nie będę się zakradał, tylko podjeżdżał pod frontowe drzwi.
- Stanę się wytykaną palcami rozwódką, a Bard pokrzywdzonym mężem. Zniesiesz taki skandal?
- Na drugie imię mam Skandal.
- No to jestem kobietą w sam raz dla ciebie.

Christian rozumiał, że powinni postępować rozważnie i bez pośpiechu.

Najważniejsze było dobro Callie, a im pozostawała perspektywa wspólnej przyszłości.

Pewne sprawy należało jednak wyjaśnić już teraz.

- To Bard naprowadził mnie na trop Robby'ego - zaczął. - Powiedział, że oboje byliśmy ślepi. Chciał, żebym przejrzał i domyślił się, kto zabił Fidelity. - Powtórzył Julii rozmowę, którą odbył z Bardem w biurze Virginia Vistas.

- Miło z jego strony, że zdobył się na tyle szczerości, ale to niczego nie zmienia - skwitowała Julia.

- Zrezygnuję z funkcji łowczego. Nie będę miał teraz czasu na polowania.

- Szkoda, że nie mogłam cię widzieć, jak prowadzisz zgraję, ale dobrze, że mnie tam dzisiaj nie było.

- Też się z tego cieszę.

- Wszystko nagle się zmieniło. Zdarzyło się tyle cudownych rzeczy. - Poszukała dłoni Christiana. - I strasznych. Będziesz mógł tutaj mieszkać?

- Mam swoje plany na przyszłość. Chciałabyś je poznać?

- Wiesz, że tak.

- W Ludwell przekonałem się, jak ważny dla więźniów był nasz program szkolenia psów. Wielebna Petersen zawsze stara się znaleźć pracę dla tych, którzy wychodzą na wolność, ale wiesz, że nikt zbyt chętnie nie zatrudnia ludzi po odsiadce. Chciałbym w Claymore kontynuować jej program. Na razie nic wielkiego. Na początek przyjąłbym kilku zwolnionych. - Christian myślał o Timbo i Javierze. Gdyby ktoś im pomógł, mieliby szansę zacząć nowe życie.

- Jak by to miało wyglądać?

- Dałbym byłym więźniom pracę i punkt oparcia. Z czasem, kto wie, może udałoby się rozwinąć program szkolenia. Psy muszą kończyć kurs na wolności, więc dlaczego nie w Claymore? Myślę o tym od czasu ostatniej rozmowy z Berthą. Zamierzałem przekonać do mojego projektu Petera. Teraz już nie muszę.

- Wiesz, że ludzie mogą to różnie odebrać?

Christian uśmiechnął się.

- Pewnie.

Julia też się uśmiechnęła.

- Wspaniały pomysł. Tylko nic nie mów Maisy, bo ci go ukradnie. Przeniesie program do Ashbourne, będzie chłopcom gotowała zupki i piekła ciasteczka, robiła ich

żonom wykłady na temat antykoncepcji i pilnowała, czy wszystkie dzieci są szczepione przeciwko różnym chorobom.

- W takim razie ma już u mnie pracę.

- Może rzeczywiście powinieneś ją zaangażować?

- Masz siano we włosach, Julio.

- Oto niedogodności bycia niewidomą. Nie mogę ci się zrewanżować tym samym. - Spoważniała. - Być może nigdy nie odzyskam wzroku. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Dobrze się zastanów, kiedy...

- Kiedy co?

- Kiedy będziesz się do mnie zakradał.

- Nad niczym nie muszę się zastanawiać, Jules. I tak będę się do ciebie zakradał.

Uśmiechnęła się.

- To obietnica czy tylko żart? - zapytała.

- Obietnica. A wiesz, że zawsze dotrzymuję słowa.

Christian pocałował Julię na dobranoc na ganku Ashbourne. Chwilę nasłuchiwała oddalającego się stukotu kopyt Rangera i wślizgnęła się do cichego, na pozór pogrążonego we śnie domu.

- Dobrze, że jesteś.

Była pewna, że Maisy będzie na nią czekać.

- Tylko nie wściekaj się, że ponownie nie zadzwoniłam, proszę.

- Wiem, co się stało. Miałam z dziesięć telefonów od członków klubu. Bard dzwonił i powiedział, że zawiózł cię do szeryfa. Co z Christianem?

- Wypuścili go. Co wiesz?

- Więcej niż bym chciała. Nie mogę uwierzyć, że to Robby zabił Fidelity. Minie trochę czasu, zanim oswoję się z tą myślą.

- Jednego na pewno nie wiesz. Peter zapisał Claymore Park Christianowi.

Maisy z wrażenia odjęło mowę.

- Callie wróciła? - spytała Julia.

- Mniej więcej godzinę temu. Padła ze zmęczenia.

- Maisy, czy mogłybyśmy jeszcze jakiś czas pomieszkać w Ashbourne? Dopóki nie znajdziemy jakiegoś odpowiedniego domu dla siebie? Powiedziałam Bardowi, że powinien jak najszybciej załatwić rozwód. Obiecał, że się postara.

- Ashbourne należy do ciebie. To twój dom.

- Przyszłość nie wydaje mi się już taka pewna, jak kiedyś.

- W końcu znajdziecie z Christianem swoje miejsce na ziemi. Czuję to w głębi serca. Jestem romantyczką. Nigdy nie tracę nadziei.

- Chciałabym mieć twoją wiarę. Myślisz, że to możliwe? Po tych wszystkich... smutkach?

- Wierzę.

Julia wyciągnęła dłoń i Maisy ją ujęła.

- Dotarliśmy do końca twojej książki, prawda? - odezwała się w końcu Julia.

Maisy zdziwiła raptowna zmiana tematu. Dopiero po chwili zrozumiała, że temat pozostał ten sam.

- Mamy do przeczytania ostatni rozdział.

- Chcę go posłuchać.

- Czy aby na pewno? Masz za sobą jeden z najtrudniejszych dni w swoim życiu, kochanie. Epilog może poczekać.

- Przeczytaj go dzisiaj. Proszę.

- Usiądziemy przy kominku. Jake i Callie już śpią. - Maisy położyła dłoń na ramieniu córki. - Przebierz się w koszulę nocną, a ja zaparzę herbatę.

Skinęła głową.

- Wezmę szybki prysznic.

- Czekam na ciebie.

Julia wyczuła policzek matki i pocałowała ją.

- Myślę, że czekałaś od bardzo dawna.

Błagałam męża, by nie kazał tego dnia Alice dosiadać Księżniczki. Ledwie spojrzała na nowego kucyka, natychmiast uciekła do swojego pokoju. Miałam nadzieję, że wyznania poprzedniej nocy odmienią Iana, lecz stało się odwrotnie. Był wściekły, bo widziałam chwile jego największej słabości.

Gdy gorąco go zaklinałam, żeby raz jeszcze przemyślał swoją decyzję, nawet na mnie nie spojrzał.

- Będzie tak, jak postanowiłem. Albo przyprowadzisz tu zaraz Alice, albo sam po nią pójde. Im szybciej zrozumie, że nie ma się czego bać, tym lepiej.

- Ianie, proszę, pozwól jej najpierw przyzwycząić się do Księżniczki.

- Widzę, że sam muszę po nią pójść.

Nie wiedziałam, co robić. Chłopcy stajenni dyskretnie znikli, zaś Ian ruszył w stronę domu. Pobiegłam za nim i chwyciłam go za rękaw.

- Czy chcesz, żebym cię znienawidziła?! Do tego dążysz? Obie mamy cię znienawidzić?

Zatrzymał się i zmierzył mnie zimnym spojrzeniem.

- Ja tu jestem panem, Luizo, i ja będę decydował, jak postępować z Alice.

- Nie musisz niczego udowadniać ani sobie, ani jej, ani mnie. Nikomu. To jeszcze małe dziecko. Ona chce cię po prostu kochać.

- Wiem dobrze, o co ci chodzi.

- O nic mi nie chodzi, Ianie. Ja tylko chcę... Strząsnął moją rękę.

- Chcesz, żebym ci ustąpił. Jak każda kobieta. Nie uda ci się. W tym domu ja podejmuję decyzje. Zapamiętaj to sobie, bo inaczej... inaczej...

Oczy męża stały się nieprzytomne. Znałam już to spojrzenie, wiedziałam, że nadchodzi kolejny atak bólu wywołanego gniewem. Odwróciłam się i pobiegłam do domu. Chciałam zabrać Alice do Sweetwater i wrócić, gdy Ian trochę się uspokoi.

Kiedy wreszcie pojawiliśmy się na dziedzińcu, Ian na nas czekał, blady, drżący i bardzo zdeterminowany.

- Daj mi naszą córkę.

- Proszę, poczekaj, aż poczujesz się lepiej. Pójdziemy odwiedzić Księżniczkę. Alice mogłaby dać jej jabłko.

Ian czekał. Mogłam mu oddać córkę albo dalej się kłócić i jeszcze bardziej ją zdenerwować. Mój mąż rozwiązał problem, wyrywając mi dziecko z objęć.

- Wracaj do domu. Utrudniasz tylko całą sprawę.

- Proszę cię...

Ruszył w stronę padoku, gdzie czekała osiodłana Księżniczka. Alice zaczęła szlochać, lecz Ian pozostał nieugięty. Nie próbował jej uspokajać, nie odezwał się do niej słowem. Kiedy zaczęła się wyrywać z jego objęć, potrząsnął nią z całych sił, potem jeszcze raz.

- Przestań, Ianie! Zrobisz jej krzywdę.

Zatrzymał się, ale tylko po to, aby mnie odepchnąć. Upadłam na ziemię, a kiedy wstałam, był już na padoku.

- Nie wchodź tutaj - ostrzegł mnie. - Nie odpowiadam za to, co się stanie, jeśli nie posłuchasz.

Zmroziły mnie jego słowa i ton głosu. Swoim zachowaniem pogarszałam tylko sytuację. Nie powinnam była wdawać się w kłótnię.

Nie powinnam była wychodzić za niego za mąż.

A teraz stał kilka metrów ode mnie z naszym jedynym dzieckiem w ramionach.

Uniósł Alice i posadził ją w siodle. Była blada jak płótno i cicho popłakiwała.

- Czemu beczysz? No mów! - srożył się Ian.

- Ja... spadnę... spadnę...

- Nawet gdyby, to co z tego? Od tego się nie umiera, Alice. To cię tak martwi?

Patrzyła na ojca szeroko rozwartymi, pełnymi przerażenia oczami. Wyciągnęła do niego rączki.

Serce mi niemal stanęło, kiedy zdjął ją z siodła. Nie przytulił jej jednak, tylko upuścił naszą córkę. Upadła u jego stóp niczym worek.

- Widzisz, to nic takiego. Jak spadniesz z Księżniczki, też nic ci się nie stanie.

Alice, łkając spazmatycznie, usiłowała odczołgać się od Iana, lecz on chwycił ją i raz jeszcze upuścił.

- Co ty robisz?! Przestań! Natychmiast przestań, bo zawołam stajennych, żeby cię powstrzymali! - krzyknęłam.

Roześmiał się.

- Co im powiesz? Że nie podobają ci się moje metody nauki jazdy konnej? Jestem najlepszym jeźdźcem w całym hrabstwie. - Nachylił się, podniósł córeczkę wyżej niż poprzednio i tym razem cisnął nią o ziemię.

Wpadłam na padok, by przerwać ten koszmar. Grunt był miękki po deszczu, ale Alice była mała i delikatna, Ian mógł zrobić jej krzywdę. Już zresztą to zrobił. Nawet jeśli nie poniesie uszczerbku na ciele, na zawsze zapamięta ten straszny dzień. Chwyciłam męża za rękę, gdy ponownie próbował podnieść Alice. Odepchnął mnie tak mocno, że zatoczyłam się i upadłam. Widziałam, jak znów sadza maleńką w siodle i zrzuca ją z grzbietu kucyka.

Zaczęłam wzywać pomocy, ale nikt się pojawił. Byłam tylko kobietą, a kobiety, jak wiadomo, to histeryczki.

- Zostawimy cię, Ianie! Przestań, jeśli nie chcesz, żebym cię porzuciła.

- Nawet gdyby ci się udało jakimś cudem uciec, znajdę cię i odbiorę Alice.

Pamiętaj, że mam pieniądze i wpływy, a ty nie masz nic.

- Nie powstrzymasz mnie!

- Jeśli natychmiast się stąd nie wyniesiesz, nie odpowiadam za siebie - rzucił przez zęby. - Słyszysz, co do ciebie mówię?

- Proszę, przestań!

Uderzył mnie ponownie, gdy próbowałam chwycić w ramiona córkę. Wyciągała do mnie rączki, a ja nie mogłam jej pomóc. Zaczęłam szarpać się z Ianem, zyskałam tyle, że rzucił Alice jeszcze raz o ziemię. Wreszcie zrozumiałam, że muszę zejść z padoku, w innym razie gotów jest zabić swoją córkę.

By pokazać, że jest równie twardym mężczyzną jak jego ojciec.

Wycofałam się przerażona.

- Już lepiej, Luizoo, ale jeszcze nie za dobrze - powiedział.



Wybiegłam z padoku, zamykając za sobą bramę.

- Do domu, Luizo.

Słyszałam za plecami krzyki Alice. Biegłam co sił w nogach, mając nadzieję, że po moim zniknięciu Ian zaprzestanie torturować nasze dziecko.

Tego popołudnia uparł się, żebyśmy całą trójką wybrali się na przejażdżkę: on na Tancerzu, ja na Ognistej, Alice na Księżniczce. Twierdził, że to jedyny sposób, by przejść do porządku nad feralnym porankiem. Chciał mi zademonstrować, jak bardzo się myliłam. Alice nie odezwała się słowem od powrotu z padoku. Kiedy tłumaczyłam jej, że pojedziemy na przejażdżkę, patrzyła na mnie w milczeniu. Wiedziałam, że nie zdołam przemówić Ianowi do rozsądku. Gdybym zaczęła się opierać, groziła nam kolejna straszna scena.

Ubierając naszą córkę, bezskutecznie próbowałam ją uspokoić:

- Nie pojedziemy daleko. Księżniczka to dobry konik. Będę przy tobie, kochanie.

Nigdy wcześniej nie widziałam u Alice takiego wyrazu twarzy. Odwróciła główkę. Nie chciała słuchać moich zapewnień.

Kiedy Ian sadzał ją w siodle, była niezwykle spokojna.

- Widzisz? - Odstąpił kilka kroków i tak się uśmiechnął, że przeszedł mnie lodowaty dreszcz.

- Dowiodłeś tylko, że jesteś od niej większy i silniejszy.

- Zapamiętała dzisiejszą lekcję - oznajmił z satysfakcją.

- Możesz być pewien, że Alice i ja nigdy nie zapomnimy dzisiejszego poranka.

Było mi obojętne, czy Ian mnie uderzy, czy nie, ale on tylko wzruszył ramionami i pomógł mi dosiąść Ognistej.

Jechał pierwszy, pełnym galopem. Wyprzedzał nas, po czym nawracał Tancerza, który cały dzień przestał w stajni i rozsadzała go potrzeba ruchu. Gdy dotarliśmy nad potok, Ian wykonał kilka skoków, pozwalając wyładować swojemu wierzchowcowi nadmiar energii, ale ogier cały czas był niespokojny i bardzo pobudzony. Widziałam, że mój mąż z trudem nad nim panuje.

Głównie jednak zajmowałam się moją ukochaną córką. Strach minął, ale w jego miejsce zrodziło się coś znacznie gorszego. Annie opowiadała mi kiedyś, że znalazła

królika w potrzasku. Wyobrażałam sobie teraz, jak musiał wyglądać i co czuł, zanim Paul Symington go uwolnił.

- Musimy częściej urządzać sobie takie przejażdżki - oznajmił Ian. - Cóż za piękny rodzinny obrazek - szydził. - Alice, siedź prosto w siodle!

Wyprostowała się gwałtownie, szeroko otwierając oczy.

- Daj jej spokój. - Zbliżyłam się do Iana, oddalając się na kilka metrów od córki. - Dość złego dzisiaj uczyniłeś. Dopiąłeś swego, Alice jest tutaj, jedzie na Księżniczce. Czego chcesz więcej?

- Chcę syna, ale że nie mogę go mieć, przynajmniej niech moja córka nie maże się i nie beczy.

- Nie jesteś wart Alice!

Jego twarz wykrzywiła się w grymasie wściekłości. Są słowa, które ranią głęboko i zostawiają trwałe blizny.

Ja je znalazłam.

Uniósł szpicrutę, by smagnąć mnie przez plecy. Nagle zeszywniał, z jego gardła dobył się jęk. Tancerz, czując napięcie pana, zaczął niespokojnie przebierać nogami.

Całe popołudnie wiał ostry wiatr, a kolejny jego podmuch spłoszył konia.

Zsunęłam się z Ognistej i chciałam podejść do Tancerza, ale ten odsuwał się i nerwowo prychał, a w jego oczach pojawiły się dzikie błyski. Wreszcie przyskoczyłam do niego z wyciągniętą ręką. Udało mi się chwycić wodze.

Szpicruta Iana upadła na ziemię. Puścił wodze i objął głowę dłońmi. Za plecami usłyszałam krzyk przerażonej Alice, ale nie mogłam oderwać wzroku od twarzy męża. Nachyliłam się i niemal spod samych kopyt znarowionego konia podniosłam szpicrutę, puściłam wodze i z całych sił smagnęłam Tancerza.

Stałam bez ruchu i patrzyłam na swoje dzieło. Oszalały ogier rzucił się galopem, przesadził wysoki płot i znikł między drzewami, zostawiając bezwładnego Iana na ziemi koło przeszkody. Miałam nadzieję, że mój mąż miał szybką śmierć, że skreślił kark, zanim zdążył pojąć, co się z nim dzieje.

Pamiętam wyraz jego twarzy, gdy zrozumiał mój zamiar. Rysowało się na niej wiele uczuć, niedowierzanie, wściekłość, nienawiść, ale i ulga, że walka, którą ze sobą toczył, dobiega wreszcie kresu.

Tak to pamiętam, ale i tak nigdy się nie dowiem, co naprawdę czuł. Jak wiele kobiet, czasami widzę rzeczy inaczej, niż mają się naprawdę. Być może od samego początku usiłowałam dopatrzeć się w Ianie Sebastianie czegoś, czego w nim nie było. Kto to wie?

Posadziłam Alice przed sobą i ruszyliśmy do Fox River, prowadząc ze sobą Księżniczkę. Jechaliśmy powoli. Nie miałam pewności, czy Ian rzeczywiście nie żyje. Służbie zamierzałam powiedzieć, że ruszył na samotną przejażdżkę i obiecał być w domu w porze kolacji, a nam kazał wracać wcześniej. Chciałam, żeby mój mąż umarł, zanim ludzie zaczną go szukać.

Alice nie odzywała się słowem przez wiele tygodni: ani na pogrzebie ojca, gdzie żałobnicy wychwalali jego zalety, ani kiedy sprzedawałam Księżniczkę, ani kiedy pozbywałam się kolejno wszystkich koni z naszych stajni. Ostatnia opuściła Fox River Ognista, którą podarowałam Etcie Carrolton.

Kiedy Alice zaczęła wreszcie znowu mówić, nigdy słowem nie wspomniała ojca, jakby w ogóle nie istniał. Ja ze swej strony usunęłam z domu wszystko, co mogłoby nam go przypominać. Zamknęłam nasz majątek dla myśliwych i na wiele miesięcy wyjechałam z córką do Chicago, do mojej drogiej Annie, która wreszcie zaczęła dochodzić do zdrowia.

Nie powiedziałam jej, co zrobiłam, ale ona chyba wszystkiego się domyślała. Namawiała mnie, żebym sprzedała Fox River, przeniosła się do Chicago i zapomniała o upiorach przeszłości. Nie potrafiłam.

Czasami budzę się w jesienne poranki i słyszę w oddali ujadanie psów. Patrząc wtedy w sufit, czuję na twarzy pęd zimnego powietrza i widzę lot potężnego konia przesadzającego przeszkodę.

Widzę mistrza polowania na dumnym czarnym ogierze, gotowego wziąć mnie na rękę i przenieść przez próg, za którym otwiera się świat baśni.

Wstaję i przechodzę do sąsiedniego pokoju, by sprawdzić, czy głosy psów obudziły córkę mistrza. A ona czeka na mnie, bym ją przytuliła.

Będę żyła dla Alice, będę dla niej tym, kim nie mogłam być dla jej ojca.

Na zawsze.

## **ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY**

Julia patrzyła martwym wzrokiem w płomienie.

- Mój ojciec był potężnym mężczyzną. - Odchrząknęła, usiłując powstrzymać napływające do oczu łzy. - Dopiero teraz przypominam sobie, co czułam, gdy brał mnie na rękę. Miał mocny uścisk. Patrzyłam w dół i zdawało mi się, że jestem miliony kilometrów od ziemi. Kiedy zaczynałam płakać, podnosił mnie jeszcze wyżej. Złościło go, że się boję.

Maisy słuchała bez słowa. Drżała.

- Chciał mnie nauczyć jeździć konno. Kiedy zaczynałam płakać, rzucał mną o ziemię. - Objęła głowę dłońmi.

Maisy zdobyła się wreszcie na odwagę.

- Kiedy zrozumiałaś, że to nasza historia?

- Nie wiem. Stopniowo. Tyle się działo wokół mnie. Nie chciałam dopuścić tego do świadomości.

- Bardzo głęboko pogrzebałaś przeszłość.

- Był łajdakiem!

- Był okrutny, ale potrafił też być czarujący. Nigdy nie wiedziałam, czego się po nim spodziewać.

- Dlaczego zrobiłaś z naszej tragedii powieść? Ile w niej prawdy, a ile fikcji?

- Aż nazbyt dużo prawdy. Pokochałam twojego ojca i wyszłam za niego. Był opętany przez demona, którego niewielu ludzi dostrzegało, lecz ja widywałam go zbyt często. Nie musisz znać wszystkich faktów.

- Nie wychodziłaś za mąż na początku dwudziestego wieku, jak Luiza. Nie byłaś sama, miałaś przyjaciół. Byłaś nowoczesną kobietą z Baltimore. Mogłaś go zostawić.

- Łatwo się teraz tak mówi. Niewiele różniłam się od Luizy. Nie miałam nikogo. Twoi dziadkowie zginęli, gdy byłam dzieckiem. Ciotka, która mnie wychowywała, umarła

krótce po moim ślubie. Byłam młoda, naiwna i nieprzytomnie kochałam Harry'ego. Nie wiedziałam, w jaką wpadłam pułapkę.

- Mogłaś od niego odejść.

- Nie miałam ani zawodu, ani własnych pieniędzy, a Harry w końcu mnie przekonał, że do niczego się nie nadaję. Niemądra Maisy, głupiotka Maisy. Trudno to pojąć, ale podobne sytuacje zdarzają się i dziś wielu kobietom. Mnie się zdarzyła. W końcu uwierzyłam, że sama nie dam sobie rady. Harry groził mi, straszył. Miał bezcenną kolekcję broni. Musiałam asystować przy jej czyszczeniu. Siedziałam bez ruchu naprzeciwko niego, a on bawił się strzelbami, mierzył do mnie, udawał, że naciska spust. Nie miałam dokąd uciec, gdzie się ukryć.

- Więc dlaczego zawsze byłaś taka wierna jego pamięci? Dlaczego opowiedziałaś mi prawdę o moim ojcu w taki sposób? I właśnie teraz?

- Wcześniej nie widziałam powodów, żeby ci o nim opowiadać, bo niczego nie pamiętałaś. Po co miałabyś dorastać w nienawiści do niego? W końcu i ja zaczęłam wypierać z pamięci wspomnienia. Zadawałam sobie pytanie, czy to rzeczywiście się zdarzyło. Wszyscy wiedzą, że jestem niemądra i postrzelona. Może wymyśliłam sobie te straszne rzeczy? Nie mogłam też uwierzyć, że moje małżeństwo wypełnione było tylko strachem i obrzydzeniem dla samej siebie.

- A teraz?

- Zbyt wiele było kłamstw i niedopowiedzianych spraw. Patrzyłam na twoje małżeństwo i coraz wyraźniej widziałam, że wybrałaś człowieka pod pewnymi względami bardzo podobnego do swojego ojca. Tak bywa, że akceptujemy to, co dobrze znane, nawet wbrew własnemu dobru czy bezpieczeństwu. Bard też starał się mieć cię pod kontrolą. W końcu zrozumiałam, że w jakiejś mierze przyłożyłam do tego rękę. Milczałam i w ten sposób pozwoliłam, byś powtarzała moje błędy i brnęła w podobne nieszczęście.

Maisy podniosła się i usiadła obok córki.

- Od lat chciałam ci powiedzieć, tylko nie wiedziałam, jak.

- I dlatego napisałaś powieść.

- Yvonne wie o wszystkim. Radziła, żebym była ostrożna i odkrywała przed tobą prawdę stopniowo.

- A zakończenie?

Maisy splotła dłonie. Bezradne dłonie, które nie potrafiły ochronić ukochanego dziecka.

- Smagnęłam konia Harry'ego - szepnęła. Julia pokiwała głową.

- Pamiętam krzyk.

- Tylko mój. Twój ojciec zginął na miejscu.

- Myślisz, że poczuł ulgę, bo wreszcie uwolnił się od demonów?

- Nie wiem. Był człowiekiem o udręczonej duszy. Chyba nie chciał być tym, kim był.

Maisy ujęła dłoń córki.

- Nie oczekuję wybaczenia.

- Czy wybaczyłaś sama sobie?

- Zabrało mi to wiele lat.

- Tak strasznie bałam się koni, lękałam się ich dosiadać, a pomimo to zawsze je kochałam.

- Masz miłość do nich we krwi. Odziedziczyłaś po ojcu wszystkie jego dobre cechy i żadnej złej. Potrafiłaś przemóc strach wytrwałością.

Julia przytuliła dłoń matki do policzka.

- Muszę teraz zostać sama. - Podniosła się. - Maisy, czy Jake zna prawdę?

- Nie, opowiedziałam o wszystkim tylko Yvonne.

- Dasz mu przeczytać twoją... powieść?

- Spalę ją.

- Myślę, że to dobra decyzja. - Julia zawahała się.

- Powinnaś napisać następną. - Znowu się zawahała.

- Ale... powiesz Jake'owi?

- Tak, dzisiaj wieczorem. Czekał równie długo jak ty, żeby usłyszeć prawdę. Myślę, że jego cierpliwość już się wyczerpała.

- Powiedziałaś, że nie oczekujesz ode mnie wybaczenia.

- Bo też go nie oczekuję.

- Czy to ma być przesłanie od mojego ojca?

Maisy nie była w stanie odpowiedzieć.

- Zawsze byłaś przy mnie, kiedy cię potrzebowałam, Maisy. Zawsze. Lecz aż do dzisiaj nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Patrzyła, jak Julia wychodzi z pokoju. Jej córka. Jedyne dziecko Harry'ego Ashbourne'a. Być może człowiek, który w nim drzemał i któremu demon nie dawał dojść do głosu, byłby dumny z kobiety, którą pocałował.

Maisy była dumna za nich oboje.

Pół godziny później ciągle jeszcze siedziała w fotelu, wpatrując się w płomienie na kominku. Jutro zbierze popiół i rozsypie go nad potokiem. Fox River, tak Harry nazywał potok Jeeb Stuart, bo wzdłuż jego brzegów było wiele lisich nor.

- Fox River. Tu zawsze zaczynało się polowanie.

Zaczęła płakać.

- Maisy?

Otworzyła oczy. Jake klęczał koło jej fotela.

- Co ci jest, Maisy?

- Nic, zaraz wszystko będzie dobrze.

Wziął ją za rękę.

- Chodź do łóżka.

- Muszę ci opowiedzieć pewną historię.

- Dzisiaj?

- Tak. Chcesz jej posłuchać?

Ujął żonę pod brodę, spojrzał jej w oczy. Gdy pierwszy raz tak na nią spojrzał, z czułością i troską, pomyślała, że wreszcie spotkała człowieka, który potrafi pokochać czule i na zawsze.

- Chcę od dawna, ale jeśli trzeba, poczekam.

- Wystarczająco długo czekałeś.

W nocy w sypialni Julii rozległ się tupot bosych stóp.

- Mamo, nie mogę usnąć. Położę się w twoim łóżku, dobrze?

Nigdy żadna prośba nie zabrzmiała milej. Julia przesunęła się i otworzyła ramiona, żeby przytulić córkę.

- Oczywiście, skarbie. Dlaczego nie możesz usnąć?
- Maisy i Jake przez cały czas rozmawiają.
- Tak.
- Słyszę, jak szepczą. To takie niesamowite.
- Pewnie tak. - Julia przygarnęła Callie i pocałowała jej włosy. - Fajnie było u

Lilith?

- Uhu. Kocham cię, mamusiu.
- Ja też cię kocham. Śpij, maleńka.

Julia nie wierzyła, że sama zaśnie. Wypłakała już wszystkie łzy, ale oderwane wspomnienia wciąż przesuwwały się przed oczami. Kiedyś wystarczyło otworzyć powieki, by męczące obrazy pierzchły, teraz, pogrążona w mroku, skazana była na powroty do przeszłości.

Czuła ciepło ciała Callie i myślała o Maisy, która odważyła się na tak wielkie ryzyko i tyle wycierpiała. O ojcu, którego prawie nie знаła, a który odcisnął tak straszliwe piętno na jej życiu.

Była świadkiem śmierci Harry'ego Ashbourne'a, chociaż pamiętała tylko krzyk Maisy. Alice przez wiele tygodni nie wypowiedziała słowa i Julia podejrzewała, że również to nie było literackim zmyśleniem.

Jako dziecko zaniemówiła, teraz była niewidoma. Jej ciało reagowało w ten sposób na zamknięte gdzieś w zakamarkach duszy dramaty. A jednak, mimo tych wszystkich nieszczęść, była kochana. Przez Maisy, Jake'a i Callie.

I przez Christiana.

Zasnęła wreszcie i na powrót znalazła się w lesie, w pobliżu potoku. Olbrzym jadący przed nią odwrócił się i coś krzyknął. Odruchowo wyprostowała się w siodle. A potem olbrzym wznosił się z końskiego grzbietu i poszybował wysoko w powietrze, niczym wielki czarny sęp. A gdy zniknął, świat się rozjaśnił.

Obudziła się przestraszona, z trudem chwytając oddech. Obok niej spokojnie spała Callie. Otworzyła oczy, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Jakiś obcy pokój. Rozglądała się, nie dowierzając temu, co widzi. I że widzi.



Spojrzała na Callie, śliczną dziewczynkę z płowymi włosami, otrzymanymi w darze od ojca. Callie, jej wspaniała córeczka!

Przez okno sączyło się pierwsze światło. Usłyszała śpiew ptaków. I coś jeszcze. Spokojny stukot końskich kopyt na dziedzińcu.

Wstała, pełna lęku, że nadal śni. Miała na sobie długą niebieską koszulę nocną. Podłoga z jasnej sosny, rama łóżka z klonu. Zrobiła krok, potem następny. Podniosła dłonie do twarzy.

Otworzyła szeroko okno, wystawiając policzki na powiew chłodnego powietrza. Zamknęła oczy, blask słońca znikł. Otworzyła je i świat pojawił się znowu: błękitne niebo, kobierzec jesiennych liści, gałęzie drzew.

I mężczyzna na wielkim jabłkowitym koniu. Jego włosy jaśniały w promieniach słońca. Twarz miał nieco starszą, ale równie drogą jak ta, którą zachowała w pamięci. Ubrany był w niebieską koszulę i sprane dżinsy.

Nie wiedziała, jaka przyszłość ją czeka. Z przeszłością zdołała się uporać. Liczyła się tylko terażniejszość, jedyny, najwspanialszy moment.

- Jules? - Jak dumnie Christian trzymał się w siodle!

- Wyglądasz cudownie! Tak cię namaluję. Już idę do ciebie.

Nie czekała, by zobaczyć zaskoczenie i radość na jego twarzy, kiedy zrozumiał, że znowu widzi. Biegła mu na spotkanie.

